PODWÓJNY NUMER PO PIERWSZE PISZ RĘCZNIE | KURS TAŃCA DLA PSZCZÓŁ
ŚLĄZACY SIĘ LICZĄ | POLSKA ROŚNIE NA DZIAŁKACH | CO NOWEGO W PRZYSZŁOŚCI
GITARA, ŹRÓDŁO OGNIA | JEDŹ W SUDETY **RADOŚĆ CZYTANIA NA MAJÓWKĘ**

Kraków 30 kwietnia–7 maja 2023 nr 18-19 (3851-3852) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

KATARZYNA GRONIEC

Życie w pełni

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
18
9 770041 480307

REKLAMA

Albatros travel

Opera w Budapeszcie

Program wycieczki: Dz. 1 Przylot do Budapesztu. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta po stronie Pesztu. Przedstawienie operowe w Operze Narodowej. **Dz. 3** Zwiedzanie Budy z Basztą Rybacką i Kościołem Macieja. Rejs statkiem po Dunaju. **Dz. 4** Powrót do Polski.

La Traviata
4 dni | wylot z Warszawy | 24/07 2023

Rigoletto
4 dni | wylot z Warszawy | 28/07 2023

od **2.798,-**

WYKŁAD ONLINE

Hiszpania i Maroko
11/05/23 o godz. 17:00
Rejestracja na stronie
www.albatros.pl

Kair i rejs po Nilu

Wyjątkowa wycieczka po największych atrakcjach Egiptu: Kair, piramidy w Gizie, 3-dniowy rejs po Nilu z Asuanu do Luksoru oraz plażowanie nad Morzem Czerwonym.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Kair. **Dz. 2** Kair. Piramidy w Gizie i Muzeum Egipskie. **Dz. 3** Kair. Koptyjska część Kairu, Cytadela i Bazar. Nocny pociąg do Asuanu. **Dz. 4** Przyjazd do Asuanu. Tama Asuańska i Świątynia Izydy w Asuanie. Zaokrętowanie na statek. **Dz. 5** Asuan – Edfu. Świątynia Kom Ombo i Edfu. **Dz. 6** Edfu – Luksor. Świątynia Horusa w Edfu i przepłynięcie przez Esnę do Luksoru. **Dz. 7** Luksor. Dolina Królów i świątynia królowej Hatszepsut. **Dz. 8** Z Luksoru nad Morze Czerwone. **Dz. 9** Makadi Bay. Relaks nad Morzem Czerwonym i wylot do domu. **Dz. 10** Powrót do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy
31/10 2023, 19/03 2024

od **10.998,-**

Gejsze, szoguni i samuraje

Duchowy mistycyzm, górskie krajobrazy, wspaniałe ogrody, artyści mangi, drapacze chmur, neony oraz wielkie katastrofy – poznaj z nami wszystkie oblicza Japonii!

Program wycieczki obejmuje wszystkie najważniejsze zabytki Tokio, Kioto i Hiroszimy, ale także ekscytujące wyprawy do rzadko odwiedzanych rejonów. Pojedziemy na miejsce tsunami z 2011 roku i dowiemy się więcej o tym wydarzeniu od bezpośrednich świadków. Odwiedzimy herbacianą wioskę w górach oraz wyjątkowe Muzeum Miho ze zbiorami sztuki japońskiej i starożytnych cywilizacji. Wśród dzikiej przyrody odnajdziemy świątynię Shinto Izumo-Taisha – jedną z najważniejszych w Japonii. Na koniec dla odprężenia zażyjemy kąpieli w gorących źródłach onsen i odwiedzimy najwspanialszy ogród Japonii położony przy Muzeum Sztuki Adachi.

15 dni | Wylot z Warszawy
25/10 2023

21.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP10

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki: *Co zrobi Archanioł*

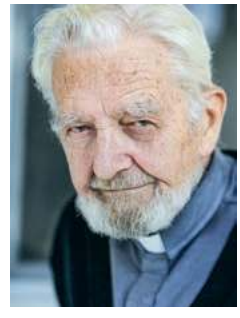

Przyznam, że mnie to zaskoczyło. Jak pisze Jarema Piekutowski w „Tygodniku": „Dziś w Polsce w wielu kościołach słychać słowa: »Wodzu niebieskich zastępów, szatana i inne duchy złe, które na zgubę dusz ludzkich po tym świecie krążą, mocą Bożą strąć do piekła«. Można odnieść wrażenie, że popularność modlitwy rośnie". Chodzi o modlitwę do Michała Archanioła z końca XIX wieku, odmawianą po mszy świętej.

Na pierwszy rzut oka dziwne, a nawet dziwaczne. Tekst mszy jest ustalony, dodatki usunięte, a nawet jeśli ten czy inny biskup próbuje je przywracać, są to jego własne, partykularne inicjatywy. W takich lokalnych instrukcjach odmówienie tekstu zalecanej w ten sposób modlitwy nabiera magicznego znaczenia, a sama religia zaczyna przypominać magię.

Odmawianie modlitw po mszy świętej zostało (szczęśliwie) zniesione przez reformę liturgii, odwołującą się do znaczenia Eucharystii. Dodawanie do niej ekstra modlitwy może być odebrane jako wyraz niepewności. Zapewnienie Jezusa, że Ojciec wie, czego potrzebujemy, jest nieustannie kwestionowane przez zalecanie takich czy innych modlitw, co niebezpiecznie przypomina konieczność wymieniania wszelkich naszych „modlitewnych zamówień". A jednak – może nie wszyscy i nie zawsze – wolimy formułę magiczną, jakby od precyzji naszej prośby zależało jej wysłuchanie – niczym w dziecięcym liście do św. Mikołaja.

Ale... coś w tym jest. Nie twierdzę oczywiście, że Bóg może się w naszych prośbach pogubić, lecz nie jest przecież wszystko jedno, jak prosimy. Lektura Ewangelii wskazuje na wiarę proszących Jezusa, by dokonał cudu. Mało tego, po dziś dzień mamy prośby wysłuchane, prośby o wyzdrowienie czy odwrócenie nieuchronnych, wydaje się, nieszczęść. Pewnie mają jakąś rację biskup Mering i ksiądz Data, że modlitwa do Michała Archanioła jest w czasie posoborowym wciąż potrzebna. Jednocześnie nie ma wątpliwości, że nawet najlepszy tekst modlitwy może się zużyć przy zbyt częstym używaniu, że słowa tracą swą pierwotną siłę. Tak jest z wieloma modlitwami. Nie wszystkimi, bo Modlitwa Pańska, „Ojcze nasz", jakoś wytrzymuje próbę czasu i przemian kulturowych. Dziwne, ale tak jest. Dlatego nic mi nie przeszkadzają biskupi, którzy przywracają zniesione w soborowej reformie zdrowaśki i modlitwy po mszy świętej. Choć uważam też, że nie trzeba ich dodawać, bo i tak każdy bardziej czy mniej wierzący ma swoje dodatki do oficjalnej modlitwy Kościoła, w której jest wszystko.

Modlitwa jest czymś najbardziej własnym. Nie mówmy nikomu, jak trzeba się modlić. Bo niby skąd mamy to wiedzieć? Odmawiajmy nakazane modlitwy i się nie dziwmy, że czasem nie za bardzo nam to wychodzi. Są sprawy, o które się modlimy, i to jest normalne, są takie, o które się modlimy z polecenia wspólnoty czy biskupa, i to też jest w porządku, w końcu ktoś może lepiej od nas wiedzieć, o co trzeba prosić. Nawet kiepsko.

Opowiadanie o św. Janie Vianneyu mówi, że kiedy zapytano go o jego modlitwę, miał powiedzieć, że gdy klęczy przed Najświętszym Sakramentem, nie mówi nic. Patrzy w Najświętszy Sakrament i wie, że Pan Jezus na niego patrzy. Do takiej modlitwy się dochodzi przez długie monologi, wyszeptywane teksty, przez liturgiczne inwokacje. Żeby wreszcie ucichnąć. Patrzeć. Milczeć.

Drogi modlitwy, podobnie jak drogi człowieka do Boga, są różne. Najgorsza rzecz to wskazywać jedną z nich jako jedyną. Dlatego możliwie czysta liturgia mszy świętej, która jest modlitwą Kościoła, modlitwą wspólną, modlitwą otwartą, modlitwą obejmującą wszystko, nie zastępuje modlitwy własnej każdego, kto choć czasem się modli. ©℗

NA MAJÓWKĘ

14 Do piór!
MACIEJ MÜLLER:
Wielu z nas chciałoby pisać czytelnie, ale nie potrafi. Szkoła nie dała nam do tego żadnych narzędzi. Tę barierę da się jednak przy odrobinie wysiłku przeskoczyć.

17 Narzędzia pisarskie
Dzisiaj najczęściej polecanym przez nauczycieli kaligrafii przyrządem do pisania jest pióro wieczne

18 ABC pisania ręcznie, czyli słowniczek

36 Życia szukaj w Sudetach
ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM PIOTROWICZEM, ZNAWCĄ GÓR:
W ciągu czterech-pięciu pokoleń po 1945 r. powiązaliśmy to, co robimy, z przeszłością. To już nie jest nieswojość, ale swojość. A jeśli to pojęcie nałożymy na konkretny obszar, to mamy sudeckość.

91 Patrz z ukosa
MAREK BIEŃCZYK:
Przyjemność opowiadania biografii i dzieła SAMA SZAFRANA *jest oczywista. Od bidy z nędzą po wybitność. Od materii prostej do materii wyższej.*

52 Przyszła przyszłość
ROZMOWA Z ZUZANNĄ SKALSKĄ, ANALITYCZKĄ TRENDÓW:
Nie mamy dziś prototypów jutra. Potrzebujemy Ewy. Adam pilnował, czego nie można, a Ewa zaryzykowała.

96 Życie w pełni
ROZMOWA Z KATARZYNĄ GRONIEC:
Świat ma skrajną naturę, jest piękny i ohydny, dobry i wściekle zły, bywa niewinny, ale też zepsuty. Czy przyszliśmy do dobrego świata, który natychmiast popsuliśmy? Czy do złego, który próbujemy naprawić, a on się nie poddaje, wymyka?

Następne wydanie „Tygodnika Powszechnego" ukaże się w kioskach w środę 10 maja, wydania cyfrowe we wtorek 9 maja wieczorem.

PAWEŁ NOWICKI // MATERIAŁY PRASOWE SWPS // MAŁGORZATA TELAGA

ADOBE STOCK // DOMENA PUBLICZNA // MARTINE FRANCK / MAGNUM PHOTOS / FORUM // ALEX LUA KACZKOWSKA / WARNER MUSIC POLAND //

6 O krok bliżej Marsa
MICHAŁ GIKOWSKI

7-13 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ, PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Fundusz rezerwy partyjnej
STEFAN SĘKOWSKI *o funduszach celowych*

26 Homo silesius
ZBIGNIEW ROKITA: *Ślązacy stanowią 1,5 proc. populacji Polski*

29 W stronę domu
ROZMOWA Z RYSZARDEM IZDEBSKIM: *Wrócił trend hospitalizowania dzieci*

Z ODDECHEM

36 Życia szukaj w Sudetach
ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM PIOTROWICZEM

WIARA

40 Archanioł pomoże
JAREMA PIEKUTOWSKI

44 Knebel na księży
MONIKA BIAŁKOWSKA: *Biskupi i przełożeni jezuitów wprowadzają dla księży zakazy*

46 Papieskie alibi
KAROL TARNOWSKI: *Kandydaci na biskupów okazywali się często ludźmi przeciętnymi*

49 Poprawka ze sprawiedliwości
DOMA MATEJKO: *Czy papież może ukarać świeckiego pedofila?*

ROZMOWA

52 Przyszła przyszłość
ROZMOWA Z ZUZANNĄ SKALSKĄ

ŚWIAT

56 Crash test dla Niemiec
ŁUKASZ GRAJEWSKI *o kryzysie tradycyjnej branży motoryzacyjnej*

60 Biały jeleń, czarna lalka
PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII: *Golliwog i rasizm*

62 Tutaj armii nie miał kto witać
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z UKRAINY

ADOBE STOCK

WIARA

40 Archanioł pomoże
JAREMA PIEKUTOWSKI:
Wzrasta popularność modlitwy do św. Michała Archanioła. Czy świadczy to o pogłębieniu patrzenia na rzeczywistość jako na teatr walki dobra ze złem?

34 Tygodnik Czytelników

DODATEK

85 NAGRODA LITERACKA IM. WIESŁAWA KAZANECKIEGO

FELIETONY

32 TOMASZ STAWISZYŃSKI
51 ZUZANNA RADZIK
75 ELIZA KĄCKA
116 OLGA DRENDA
117 PAWEŁ BRAVO
122 STANISŁAW MANCEWICZ
122 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
KATARZYNA GRONIEC, styczeń 2023 r.
FOTO: ALEX LUA KACZKOWSKA / WARNER MUSIC POLAND

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

65 Republika żołnierzy
WOJCIECH JAGIELSKI: *W Sudanie przewroty wojskowe to jedyny sposób wymiany elit*

HISTORIA

68 Czas gruzobetonu
ROZMOWA Z ADAMEM PRZYWARĄ, BADACZEM ARCHITEKTURY

72 Otrzaskane z rozpaczą
BARTŁOMIEJ NOSZCZAK: *Powojenna Warszawa to dziesiątki tysięcy mogił*

NAUKA

76 Zamaskowani
MARZENA ZDANOWSKA: *80 lat temu powstały pierwsze naukowe opisy autyzmu*

80 Szkoła pszczelego tańca
JUSTYNA KIERAT: *Owady potrafią się uczyć*

Z ODDECHEM

91 Patrz z ukosa
MAREK BIEŃCZYK

KULTURA

96 Życie w pełni
ROZMOWA Z KATARZYNĄ GRONIEC

100 Rozkojarzeni
GRZEGORZ JANKOWICZ *o Franzu Kafce*

104 Na czasie i poza nim
JAKUB MAJMUREK *o legendzie Jamesa Bonda*

107 Przestali płakać
ROZMOWA Z ELWIRĄ NIEWIERĄ I PIOTREM ROSOŁOWSKIM

110 Zrzuć winę na mamę
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Bo się boi”*

111 Podróż w czasie
LEKTOR *o albumie Joanny Gellner „Kraków Kriegerów. Zbliżenia”*

Z ODDECHEM

112 Źródła ognia
ROBERT KASPRZYCKI: *gitara kluczem do wrót ostateczności*

ZMYSŁY

118 Kwitnie życie
MAREK RABIJ: *Ogródki działkowe wcale nie odchodzą w przeszłość – można wręcz odczytać z nich przyszłość*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Koniec projektu „Zwycięstwo”? [Rosyjska Ruletka]
Czemu Kreml zwija swój wielki projekt? – wyjaśnia ANNA ŁABUSZEWSKA | TygodnikPowszechny.pl/rosyjskaruletka

Pusty tramwaj [Co obejrzeć w weekend]
O raporcie z nieistniejącego już miasta pisze ANITA PIOTROWSKA | TygodnikPowszechny.pl/co-obejrzec-w-weekend

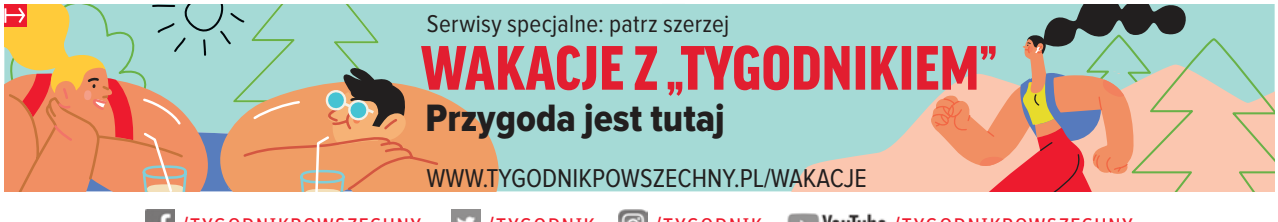

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

JONATHAN NEWTON / WASHINGTON POST / GETTY IMAGES

OBRAZ TYGODNIA

O KROK BLIŻEJ MARSA

Z Elona Muska łatwo się naśmiewać. Jednak trzeba przyznać, że jego Starship może otworzyć nową erę eksploracji kosmosu.

MICHAŁ GIKOWSKI

Eksplozje rakiet kosmicznych rzadko wywołują wiwaty. Ale efektowny koniec rakiety Starship, która w minionym tygodniu wybuchła 30 km nad Atlantykiem, została powitana owacjami przez inżynierów firmy SpaceX.

Cztery minuty wcześniej rakieta oderwała się od wyrzutni w położonym w Teksasie Boca Chica. Mimo problemów – 4 z jej 33 silników przestały działać tuż po starcie, wkrótce wyłączyły się kolejne – wzniosła się na wysokość niemal 40 km. Tam jednak, zamiast oddzielić się i kontynuować osobno lot, dwa człony pojazdu zaczęły wirować, spadając w stronę Zatoki Meksykańskiej. Na wysokości 30 km automatyczne systemy bezpieczeństwa zdetonowały ładunki wybuchowe.

KONIEC TEGO LOTU nie oznacza końca prób stworzenia największej rakiety w historii. Twórcy Starshipa od początku zapewniali, że „szybki, nieplanowany demontaż" jest najbardziej prawdopodobnym rezultatem ambitnego testu budowanej od 11 lat rakiety. Inżynierowie zebrali jednak mnóstwo danych do kolejnych testów. Elon Musk wierzy, że rakieta otworzy nową erę, nie tylko dla kosmonautyki, ale dla ludzkości. I choć łatwo dziś naśmiewać się z megalomanii 51-letniego miliardera, trzeba przyznać, że niekoniecznie jest w błędzie.

Gdyby cały Starship stanął na krakowskim Rynku, byłby o połowę wyższy od bazyliki Mariackiej. Jest największą i najpotężniejszą rakietą, jaką zbudowała ludzkość. 33 silniki pierwszego i 6 silników drugiego stopnia pozwalają wynieść w kosmos 150 ton

ładunku. Ładownia statku jest tak wielka, że zmieściłaby się w niej – w kawałkach – wieża Eiffla.

STARSHIP MOŻE ROZWIĄZAĆ dwa problemy, które dotąd utrudniały ludzkości dostęp do przestrzeni kosmicznej. Pierwszym jest masa. Drugim – kasa.

Masa, bo ograniczona moc istniejących rakiet sprawia, że wynoszone przez nie sondy czy pojazdy kosmiczne buduje się tak, by były jak najlżejsze. Wieloletnie przygotowania do misji kosmicznych w znacznym stopniu poświęcone są mozolnemu zmniejszaniu masy wszystkich elementów o kolejne gramy. Nawet teleskop Hubble'a ważył „zaledwie" 12 ton.

Kasa, bo cena lotów w kosmos pozostaje astronomiczna. „Bilet" na europejską rakietę Ariane 5G to ok. 9 tys. dolarów za kilogram ładunku. Na chiński Długi Marsz 3B i rosyjski Proton – 4 tys. Poprzedni wytwór SpaceX, Falcon 9 – to około 3 tys. dolarów za kilogram.

Problemem jest cena samej rakiety. Stworzony w NASA na potrzeby programu Artemis ogromny SLS jest inżynierskim arcydziełem, które po każdym starcie będzie się rozbijać w Atlantyku. Za każdym razem amerykański podatnik utopi w oceanie 4 miliardy dolarów.

Jeszcze większy Starship ma to radykalnie zmienić. Każda rakieta ma być wykorzystywana dziesiątki czy setki razy. Skutkiem tego każdy start ma kosztować zaledwie 10 mln dolarów. A nawet jeśli ostateczny koszt będzie o rząd wielkości większy, to gigantyczny skok naprzód. I szansa na robienie w kosmosie rzeczy, które dotąd uchodziły za zupełne mrzonki.

PIERWSZYM KIERUNKIEM ma być Księżyc. SpaceX zawarł już kontrakt z NASA, w ramach którego zmodyfikowany Starship ma brać udział w przyszłych misjach na Srebrny Glob. Z kolei japoński miliarder Yusaku Maezawa podpisał z Muskiem umowę, zgodnie z którą ma wkrótce wyruszyć na pokładzie Starshipa w podróż dookoła Księżyca. Na pokładzie, prócz biznesmena, znajdzie się ośmioro artystów i youtuberów. Cena, jaką zapłacił, i data lotu są nieznane.

Osiem osób to tylko mała demonstracja możliwości pojazdu, który mógłby za jednym zamachem zabrać setkę ludzi na orbitę, Księżyc czy Marsa. Potencjał rakiety jako kosmicznego jachtu jest ogromny, ale wiele istotniejszy jest wpływ, jaki może wywrzeć na naukowe badania Układu Słonecznego i działalność gospodarczą w kosmosie.

Niska cena i ogromna ładownia pozwalają inżynierom snuć wizje rodem z *science fiction*. Zamiast małych łazików Starship pozwoliłby przewieźć na Marsa ciężarówki i koparki.

„MOGLIBYŚMY WYSŁAĆ tam całą przemysłową wiertnicę i wkopać się w powierzchnię Marsa na kilometr, jak robimy to na Ziemi – mówi „MIT Technology Review" Jennifer Heldmann z Ames Research Center NASA. – Wcześniej taki pomysł byłby szalony. Teraz moglibyśmy to zrobić i mieć jeszcze spory zapas miejsca. A jeśli możemy to zrobić, co jeszcze będziemy w stanie osiągnąć?".

Na przykład zbudować teleskopy, przy których Hubble i Webb wyglądają jak zabawki. Ma już nad takim pracować sam SpaceX. Albo wysłać na Księżyc maszyny, które tam przystąpią do budowy bazy.

Wśród planów pojawiają się też wielkie, kilkudziesięciotonowe pojazdy, które mogłyby szukać życia na lodowych księżycach Jowisza czy badać Neptuna, Urana i Plutona – trzy obiekty pozostające dla nas w znacznym stopniu tajemnicą.

Sondy stałyby się wielokrotnie tańsze i bardziej niezawodne. „Zamiast miniaturyzować laboratoryjne instrumenty, możemy po prostu wziąć to, co mamy, i wysłać w kosmos. Nawet w trzech kopiach" – mówi Heldmann. Zwielokrotnione mogą być także same misje. Dziś utrata sondy budowanej przez dekadę to ogromny cios. W przyszłości możemy zacząć wysyłać ich prawdziwe flotylle – budowane seryjnie, czyli o wiele taniej.

JONATHAN NEWTON / WASHINGTON POST / GETTY IMAGES

Boom może czekać też kosmiczny biznes, bo Starship nadaje się na kosmiczną ciężarówkę rutynowo wynoszącą na orbity satelity, stacje kosmiczne i zaopatrzenie, a z powrotem przywożącą produkty kosmicznego przemysłu, jak egzotyczne materiały czy leki możliwe do wyprodukowania wyłącznie w nieważkości. Dziś ludzkość wysyła na orbitę 500 ton ładunków rocznie. Dla Starshipa to zaledwie pięć startów.

TO JEDNAK DŁUGA DROGA. „Nawet po całkowicie udanym locie testowym pozostanie wiele rzeczy do sprawdzenia" – mówi magazynowi „Nature" astrofizyk Jonathan McDowell. Starship musi udowodnić, że potrafiłby nie tylko dotrzeć na orbitę, ale też wrócić i powtarzać oba te manewry niemal codziennie.

Choć rakieta może bowiem wynieść 150 ton na orbitę Ziemi, to po jej osiągnięciu zbiorniki paliwa są już niemal puste. Aby lecieć dalej, musi zostać zatankowana na orbicie przez kosmiczną cysternę. Jeden lot na Księżyc ma wymagać 11 tankowań, czyli kilkunastu udanych startów w ciągu zaledwie kilkudziesięciu godzin.

Gra jest jednak warta świeczki, bo jeśli ten program się powiedzie, pojazd może stać się istnym kosmicznym wołem roboczym. I kurą znoszącą złote jaja. „Jeśli faktycznie uda im się zbić cenę lotu w pobliże deklarowanych przez nich 10 mln, Starship stanie się czymś w rodzaju połączenia boeinga 747 i kontenera towarowego" – mówi Robin Hague, były szef kosmicznego start-upa Skyrora.

Na razie jednak wydaje się, że Elon Musk znów potyka się o własne ego. Krytycy twierdzą, że ubiegłotygodniowa eksplozja Starshipa była wynikiem pośpiechu i oszczędności. Firma nie wyposażyła wyrzutni w kanały odprowadzające płomienie z rakiety. Skutkiem tego jej ryczące silniki zmieniły betonowy kosmodrom w ziejący krater. A latające odłamki uszkodziły pobliskie zbiorniki paliwa i mogły zniszczyć kilka z silników rakiety, skazując ją na szybki, nieplanowany demontaż. ©

Na sąsiedniej stronie: Starship na rakiecie Super Heavy startuje z wyrzutni w Boca Chica, Teksas, 20 kwietnia 2023 r.

Obok: Ok. 4 minuty po starcie prototypowy pojazd zaczyna wirować i eksploduje.

Po co program, liczy się kasa

MAREK KĘSKRAWIEC

Niemal połowa Polaków (43,1 proc.) jest przekonana, że wybory wygrywa się transferami socjalnymi. Tak wynika z sondażu United Surveys dla „DGP" i RMF FM. Na drugim miejscu (18 proc.) badani wskazali pomysły na naprawę systemu ochrony zdrowia i edukacji; na trzecim znalazło się bezpieczeństwo państwa (12 proc.), a jeszcze dalej (11,8 proc.) kwestie światopoglądowe i wartości ogniskujące się na prawach mniejszości i aborcji. Ledwie 6,5 proc. jako sposób na zdobycie władzy wskazało słabości programowe konkurentów.

Trudno się dziwić, spójne programy ani nie są partiom potrzebne, ani partie nie umieją ich tworzyć, ale prawdą jest, że również wyborcy niespecjalnie się ich domagają. Żyjemy w świecie postpolityki, gdzie nie ma już mowy o długofalowych strategiach, a o państwie nie myśli się jako o „dobru wspólnym". Takie sformułowanie budzi wręcz uśmiech politowania. Strategie trwale zastąpiono doraźnymi taktykami, skutecznymi w krótkiej perspektywie.

Dla jednych transfery społeczne to obowiązek państwa, o którym przypomniało sobie ono dopiero za rządów PiS. Dla innych zwykłe przekupstwo elektoratu, które w końcu doprowadzi kraj do bankructwa. Prawda zapewne leży gdzieś pomiędzy: PO ośmieszyła się tezą, że państwo zawali się od 500 plus, z kolei PiS sprawia wrażenie, jakby zasłonił oczy i był gotów wręcz balansować na krawędzi, byle tylko utrzymać władzę. Dodatki dla biedniejących, schorowanych niejednokrotnie seniorów („trzynastki" i „czternastki" to nie emerytury) są im na pewno bardzo potrzebne, ale nie przypadkiem spośród wielu grup poszkodowanych kryzysem PiS wybiera akurat tę, w której może liczyć na najwyższe poparcie. Co prawda tylko 29 proc. zwolenników obozu władzy przyznaje, że transfery są kluczowe dla wygranej (wśród sympatyków opozycji uważa tak 60 proc.), ale trudno się przecież przed sobą przyznać, iż główną przyczyną udzielanego poparcia są pieniądze. Wzbraniająca się latami przed pójściem tym samym śladem opozycja wyciąga dziś wnioski i proponuje babciowe oraz podwyżki dla budżetówki. Tymczasem głośne w mediach spory ideowe badani potraktowali marginalnie. Zakreślają one czytelne linie podziału i wywołują emocje, ale zdecydowana większość z nas, niezależnie od poglądów, trochę zapomina o nich idąc do urny. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

Z LASU

W trakcie Światowego Dnia Ziemi posłowie PO zadeklarowali, że w przypadku wyborczego zwycięstwa wyłączą 20 proc. powierzchni lasów z czynnej gospodarki i obejmą je ochroną. Lasy Państwowe tymczasem nie próżnują: min. Edward Siarka zadysponował utworzenie w każdym nadleśnictwie drzewostanu upamiętniającego papieża Polaka.

Z TELEWIZJI

Onet ujawnił list, którego treść zdradza autorstwo szefa informacji w TVP Jarosława Olechowskiego. Jest on donosem na prezesa stacji. Autor tekstu adresowanego do władz PiS narzeka, że Mateusz Matyszkowicz chciałby ograniczyć liczbę politycznych materiałów w „Wiadomościach"; deklaruje też służbę partii i przypisuje sobie zasługi za jej wysokie sondaże.

Z KATEDRY

Premier Morawiecki „jako historyk" określił mianem „skandalicznych słów, które nie mają nic wspólnego z rzetelną wiedzą historyczną", wywiad Barbary Engelking dla TVN24, gdzie badaczka krytycznie odniosła się do postaw Polaków wobec Zagłady. „Twierdzenie, że ratowanie Żydów było powszechną postawą, to właśnie zamazywanie prawdy przez przedstawicieli władz" – odpowiedziało kierowane przez Engelking Centrum Badań nad Zagładą Żydów.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

Konfederacka gimnastyka

GRZEGORZ BRAUN nie otrzymał ultimatum – twierdzą władze Konfederacji po doniesieniach na temat kłótni w koalicji, jaką *de facto* jest to ugrupowanie, składające się z Nowej Nadziei Mentzena, Ruchu Narodowego Winnickiego i Bosaka oraz Konfederacji Korony Polskiej Brauna.

Kiedy sojusz ten wdzierał się w 2019 r. do Sejmu z poparciem 6,8 proc., to właśnie Grzegorz Braun oraz zepchnięty dziś na margines Janusz Korwin-Mikke (na pocieszenie trafi na listę do europarlamentu) byli koniami pociągowymi. Zarazem jednak ich niewyparzony język, pochwały Korwina dla Rosji oraz antyszczepionkowe poglądy Brauna stały się z czasem obciążeniem wizerunkowym dla partii, która w sondażach zdobywa od 7 do 14 proc. i dziś jest trzecią siłą polityczną, przed Nową Lewicą i Polską 2050. Ma więc szansę stać się ważnym rozgrywającym w nowym Sejmie, a może nawet partycypować w sprawowaniu władzy, jeśli PiS nie zdobędzie bezwzględnej większości w wyborach. Co prawda Mentzen wyklucza dziś porozumienie z Kaczyńskim, ale to może się zmienić jesienią. Z różnych poglądów już się wycofywał.

Konfederacja ustaliła wewnętrzny parytet na przyszłych listach oraz zasadę, że każdy z trzech członów ugrupowania sam ustala kandydatów. Jednak prorosyjskie oraz skrajnie antyszczepionkowe poglądy niektórych ludzi promowanych przez Brauna miały stać się już źródłem kłótni. Konfederacja chce być poważną partią, a różne „dziwactwa" mogą ją ciągnąć w dół. Kłopot w tym, że są też źródłem popularności. Dziś partia musi się więc nagimnastykować przy ustalaniu odpowiednich składników wyborczej mieszanki, tak by nie doszło do wewnętrznej eksplozji. ©℗ KĘS

LICZBA TYGODNIA

16,9 mld zł

– tyle straty miał Narodowy Bank Polski w 2022 r. Na szczęście taki wynik nie zagraża złotemu ani stabilności polskiego systemu bankowego: to efekt spadku wartości posiadanych przez bank obligacji. Gigantyczne straty zanotowało w ub. roku wiele banków centralnych. Amerykański FED zakończył rok 2022 z 40 mld USD na minusie. Bank of England stracił 133 mld funtów, a szwajcarski SNB 132 mld franków – czyli równowartość aż 18 proc. PKB tego kraju.

JACEK TARAN

PRZYSZŁY OWIECZKI DO KOŚCIOŁA – w dzień św. Wojciecha (23 kwietnia) górale wyprowadzają swoje owce na wiosenny redyk. To dla nich jedno z największych świąt, zwane również Świętem Bacy. Dawniej gospodarze oddający bacom owce na czas od maja do końca września spisywali je poprzez oznaczanie zacięciami na lasce bacy, znakowali i wprowadzali do koszora, gdzie całe stado było liczone. W bazylice Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Ludźmierzu (na zdjęciu) odbywa się co roku uroczyste poświęcenie owiec. Przyjeżdżają na nie górale nie tylko z Podhala, ale też ze Śląska Cieszyńskiego, a nawet Zaolzia. ©℗ JT

Zgrana Karta w rękawie ministra

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Szef resortu edukacji i nauki zapowiedział likwidację Karty Nauczyciela. I choć nie stanie się to w tej kadencji Sejmu (czytaj: nie wiadomo, czy Przemysław Czarnek będzie miał w ogóle okazję zrealizować swoją zapowiedź), w środowisku zawrzało. Przeciw zniesieniu dokumentu zaprotestowały oświatowe centrale związkowe, a niektórzy pedagodzy mówili mediom, że czas zmienić zawód.

Skąd powrót ministra do zgranej, *nomen omen*, Karty, po którą sięgało wielu poprzedników Czarnka, by później schować ją z powrotem do rękawa – można się tylko domyślać. Deklaracja padła po tym, jak likwidacji ustawy zażądał w Sejmie jeden z posłów Konfederacji – a że PiS panicznie boi się konkurencji ze strony partii Mentzena i Bosaka, wiadomo nie od dziś. Tymczasem postulat wygaszenia nauczycielskich praw jest nośny; stereotyp belfra, kończącego pracę o trzynastej i cieszącego się długimi wakacjami oraz feriami, ma się dobrze. Choć z prawdą jest na bakier: polscy pedagodzy pracują przeciętnie ponad 40 godzin tygodniowo, zresztą coraz większy ich odsetek nie podlega w ogóle Karcie (niemal 20 proc. pracuje w oświacie niepublicznej).

Sam dokument – ów dar pocieszenia od gen. Wojciecha Jaruzelskiego, złożony w drugim roku stanu wojennego – jest rzeczywiście anachroniczny. Daje bezpieczeństwo, ale jest też miejscami absurdalny w swoim zapętleniu: w logice działania choćby tylko wyjątkowo licznych dodatków z trudem odnajdują się nawet sami zainteresowani. To jasne, że w końcu Karta wyląduje za gablotą muzeum edukacji polskiej, pytanie tylko, czym zostanie zastąpiona.

By zmiana miała sens, musi objąć nie tylko nauczycielskie pensje, przywileje i wymagania, ale też – obecnie zdecydowanie zbyt łatwy – dostęp do zawodu. Łatania dziur w wysłużonej Karcie było przez ostatnie czterdzieści jeden lat już dość. ©℗

Zboże z Ukrainy to wciąż nierozwiązany problem

KIEROWCY PODRÓŻUJĄCY w ubiegły weekend autostradą A4 w kierunku granicy z Ukrainą mogli zobaczyć na przeciwnym pasie zmierzające na zachód sznury ciężarówek konwojowanych przez policję lub celników – tranzyt zboża odbywa się teraz pod ścisłym nadzorem.

Ogłaszając wznowienie przewozów, minister rolnictwa Robert Telus ręczył własną głową, że ani tona pszenicy czy kukurydzy wjeżdżającej teraz z Ukrainy nie pozostanie w Polsce. Uszczelnienie tranzytu to jednak łatwiejsza połowa zadania, jakie spadło na barki nowego szefa resortu. PiS obiecało rolnikom, że do żniw – czyli *de facto* w ciągu niecałych dwóch miesięcy – pozbędzie się z Polski również zbóż, które trafiły do krajowych magazynów, mimo że przekroczyły granicę jako ładunek tranzytowy. Poszkodowani plantatorzy mają też dostać dopłaty.

Minister Telus zapewnia, że „skoro sprowadziliśmy 17 mln ton węgla jesienią, to damy radę wyeksportować nadwyżkę 4 mln ton zboża”. Szkopuł w tym, że eksperci od transportu oraz eksporterzy mówią coś dokładnie odwrotnego. W portach nadal zalega mnóstwo węgla, który czeka na rozwiezienie do składów w głębi kraju. To może być trudne, gdyż sezon grzewczy właśnie dobiegł końca. Izba Zbożowo-Paszowa sygnalizuje z kolei, że po ogłoszeniu embarga na import towarów rolnych z Ukrainy zagraniczni kontrahenci praktycznie nie składają zamówień na zboże w Polsce, bojąc się niestabilności cen i dostaw.

A to nie koniec kłopotów. Organizacje rolnicze oczekują przywrócenia ceł na produkty rolnicze z Ukrainy w obawie, że tanie zboże ze wschodu może być łatwo reimportowane do Polski z krajów Unii. Wieś przy okazji twardo negocjuje z PiS-em warunki poparcia w jesiennych wyborach, czując, że rząd nie ma silnej pozycji przetargowej. Z początkowej propozycji dopłat do skupu polskich zbóż z zeszłorocznych upraw, na które resort rolnictwa chciał przeznaczyć 600 mln zł, zrobił się pakiet wparcia dla producentów rolnych, który kosztować ma budżet – czyli wszystkich podatników – 10 mld zł. ©℗ MAREK RABIJ

Radykalnie nieskuteczni

AKTYWIŚCI KLIMATYCZNI z grupy Letzte Generation (Ostatnie Pokolenie) w poniedziałkowy poranek zablokowali kilkadziesiąt ulic Berlina. Godzinę wybrali celowo: ludzie jeszcze zaspani, a często już spóźnieni. Trzeba odwieźć dzieci i dotrzeć do pracy. W tym czasie blokowanie obwodnicy Berlina to proszenie się o problemy i przebieg protestów łatwo było przewidzieć. W korku zawsze znajdzie się kierowca, któremu puszczą nerwy. Najpierw jest krzyk, później ciąganie protestujących ku poboczu. Tyle że część z nich przykleja sobie ręce do jezdni klejem „kropelką"...

Jeszcze kilka lat temu na niemieckie ulice wychodziły setki tysięcy ludzi: inspirowany Gretą Thunberg ruch klimatyczny Fridays for Future organizował masowe pokojowe marsze. Było głośno – i nieskutecznie. Niemiecka transformacja energetyczna ugrzęzła bowiem w labiryntach kafkowskiej biurokracji. Powstaje za mało farm wiatrowych i solarnych, by zielona energia zastąpiła tę ze źródeł konwencjonalnych. W 2022 r. najwięcej, bo 33,3 proc. energii powstało w Niemczech z węgla. W 2023 r. węgiel może być jeszcze ważniejszy, bo w kwietniu wyłączono ostatnie reaktory jądrowe. W efekcie Niemcy odpowiadają za największe emisje CO_2 w Unii.

Dlatego Letzte Generation chce wymusić na rządzie natychmiastowe działania, m.in. limit prędkości do 100 km/h na autostradach, ogólnodostępny miesięczny bilet na wszystkie połączenia kolejowe w kraju w cenie 9 euro i powołanie przy rządzie rady społecznej, która opracuje plan zakończenia spalania gazu i węgla do 2030 r.

Ruch na pewno osiągnął jedno: rozpoznawalność. Filmiki, na których kierowcy atakują protestujących, świetnie nadają się do rozemocjonowanego świata mediów społecznościowych. Działania ruchu dzielą Niemców na jego radykalnych zwolenników lub radykalnych przeciwników. Tych drugich jest znacznie więcej. Blokowanie ulic krytykują nawet mniej radykalne ruchy klimatyczne i politycy Zielonych. Co wydaje się tylko motywować Ostatnie Pokolenie do kontynuacji swych działań. Spirala złości i wzajemnych pretensji będzie dla Niemiec coraz większym problemem.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Rosja: koniec projektu „Zwycięstwo"?

ANNA ŁABUSZEWSKA

Fundamentem mitologii reżimu Putina była dotąd wiara w Pobiedę: zwycięstwo w „wielkiej wojnie ojczyźnianej 1941-1945". Wypaczone fakty i interpretacje miały budować w Rosjanach przekonanie o prawie do wiecznych zwycięstw. Główne rytuały Pobiedy odbywały się 9 maja: na paradach prężyła muskuły „niezwyciężona rosyjska armia", potem na ulice wychodził „Nieśmiertelny pułk", a wieczorem puszczano fajerwerki.

Teraz najpierw ogłoszono, że defilady i inne imprezy związane z 9 maja nie odbędą się na Krymie i w obwodach graniczących z Ukrainą ze względów bezpieczeństwa. Potem przyszła pora na „Nieśmiertelny pułk". Wymyśliło go w 2012 r. trzech dziennikarzy z Tomska: by upamiętnić swych dziadków, uczestników tamtej wojny, zaprosili do akcji mieszkańców i 9 maja tamtego roku przez Tomsk przeszło kilka tysięcy ludzi, niosąc portrety przodków. Akcja miała też przypomnieć, że wojna to okrutny czas, pożerający ludzi. „Chcieliśmy, aby wszyscy zdali sobie sprawę, że wojna w żadnym razie nie powinna się powtórzyć" – mówił potem jeden z pomysłodawców.

Akcja spodobała się Kremlowi, który objął ją patronatem. Marsze szły po całym kraju, a towarzyszyła im propaganda będąca zaprzeczeniem antywojennego wydźwięku. Zamiast hasła „Nigdy więcej wojny" lansowano inne: „Możemy powtórzyć". Marsz stał się kolejnym narzędziem militaryzowania świadomości społecznej.

W tym roku ogłoszono, że go nie będzie z uwagi na „zagrożenie terrorystyczne". Wśród niezależnych komentatorów panuje opinia, że władze boją się antywojennych akcji podczas marszu. A może chodzi o to, że ludzie mogliby wyjść na ulice z portretami krewnych, którzy padli na wojnie toczonej przez Rosję w Ukrainie? Czy może Putin boi się w ogóle jakichkolwiek zgromadzeń, podczas których ludzie mogliby się spotkać, porozmawiać, skonfrontować propagandową papkę z rzeczywistością? ©

Więcej na:
tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Bardzo drogie kłamstwo

TELEWIZJA FOX NEWS zapłaci za teorie spiskowe o wyborach prezydenckich w USA w 2020 r. Ale nie przestanie zarabiać na Donaldzie Trumpie.

Zawarta w zeszłym tygodniu ugoda pozasądowa opiewa na 787,5 mln dolarów – to jedna z najwyższych kwot, jaką ustalono w postępowaniach o zniesławienie. Konserwatywna stacja Fox News zapłaci tyle firmie Dominion Voting Systems, producentowi maszyn do głosowania, która padła ofiarą teorii spiskowych. Po przegranej Trumpa w 2020 r. prezenterzy stacji i ich goście sugerowali, że firma fałszowała głosy na rzecz Joego Bidena. Stacja przyznała, że pewne stwierdzenia na antenie były wyssane z palca, ale nie przeprosiła publicznie, o co wnioskowała Dominion.

Zawierając ugodę w ostatniej chwili – gdy zebrała się już ława przysięgłych i prawnicy obu stron mieli wygłosić wystąpienia – stacja uniknęła procesu i kompromitujących zeznań pod przysięgą. Amerykanie dowiedzieliby się wówczas, jak jej szefostwo i dziennikarze promowali popleczników Trumpa, choć nie wierzyli, iż wybory sfałszowano. Z maili cytowanych w materiale dowodowym wynika, że szefostwo stacji pozwoliło na wałkowanie kłamstw wyborczych, bo nie chciało się narazić Trumpowi.

To nie koniec problemów Fox News: czeka ją też batalia z innym producentem maszyn do głosowania – firmą Smartmatic, która za kłamstwa na swój temat żąda 2,7 mld dolarów. Wcześniej stacja zawarła ugodę z wenezuelskim biznesmenem Majedem Khalilem, którego oskarżano o fałszowanie wyborów na rzecz Bidena.

Choć Fox News zapłaciła za powtarzanie kłamstw Trumpa, nie należy się spodziewać zmiany narracji stacji. Tym bardziej że Trump, odgrzewający kłamstwa w swojej kampanii o reelekcję, wrócił do łask: po tym, jak niedawno usłyszał zarzuty karne, dziennikarze stacji bronili go i zrobili z nim wywiad, podbijając rankingi oglądalności. Telewizyjna karawana jedzie dalej. Odszkodowania za kłamstwa są wliczone w cenę.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

RACHUNEK

Jak przeżyć doświadczenie uczniów idących do Emaus? Franciszek podczas niedzielnej modlitwy „Regina caeli" zalecił codzienny rachunek sumienia: „Chodzi o to, aby Jezusowi zanieść osoby, wybory, obawy, upadki i nadzieje, wszystkie nasze sprawy, i stopniowo nauczyć się patrzeć na sprawy Jego oczami".

POMYŁKA

Kapituła bazyliki św. Jana na Lateranie wyraziła ubolewanie z powodu niezgodnego z prawem kanonicznym odprawienia liturgii anglikańskiej przy ołtarzu głównym tej świątyni. Sprawowała ją 18 kwietnia grupa 50 duchownych z Wielkiej Brytanii wraz z biskupem. Kapituła wyjaśniła, że doszło do tego w wyniku „błędu w komunikacji".

ZMIANY

„Brak żywej duchowości w religii, której z istoty nie da się zinstytucjonalizować, doprowadził do kryzysu religii. Duża część Kościoła zapomniała o duchowości. Dzisiaj jego oponentem nie jest ateizm, sekularyzacja, ale brak duchowości, która wymyka się z ram Kościoła i znajduje miejsce gdzie indziej" – powiedział ks. prof. Tomáš Halík podczas wykładu w SGH. „Obecne skandale seksualne odgrywają podobną rolę, jak kiedyś odpusty. Kościół instytucjonalny w dużym stopniu skompromitował się i nadszedł czas na zmiany".

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

CHRISTOPHER FURLONG / GETTY IMAGES

RELIKWIE DLA NOWEGO KRÓLA. Dwa fragmenty relikwii krzyża podarował Franciszek królowi Karolowi III. Zostały umieszczone w srebrnym krzyżu (na zdjęciu), który użyty zostanie podczas koronacji monarchy 6 maja w opactwie westminsterskim w Londynie. Choć według 39 Artykułów Wiary Kościoła Anglikańskiego z 1563 r. kult relikwii „jest zmyśleniem słodkim a próżnym", nigdy tak naprawdę na Wyspach nie zamarł. Rozwija się też „relikwijny" ekumenizm – np. w 2020 r. na 850-lecie męczeńskiej śmierci Tomasza Becketa Watykan wypożyczył anglikanom jego zakrwawioną tunikę. ©℗ ASK

Komunia dla zranionych

„WIELOKROTNIE CZUJĘ SIĘ zawstydzany przez natchnioną pracę świeckich liderów" – powiedział Bernard Hebda, arcybiskup archidiecezji Saint Paul i Minneapolis. Miał na myśli przede wszystkim świecką szafarkę komunii Debrę Schiessl, która jako osoba dorosła została wykorzystana seksualnie przez księdza. Dzięki niej od marca 2023 r. ofiary nadużyć seksualnych pragnące przyjąć Eucharystię, dla których wejście do kościoła jest zbyt traumatyczne, mogą poprosić o przyniesienie sakramentu do domu.

Pomysł Debry Schiessl zrodził się po odbyciu terapii, której ważną częścią był udział w procesie oprawcy (ostatecznie został wydalony z kapłaństwa i odbywa karę więzienia). Posługa przynoszenia komunii pełniona jest w ramach grup wsparcia dla osób skrzywdzonych przez księży, prowadzonych przez diecezjalną koordynatorkę ds. sprawiedliwości naprawczej i zapobiegania nadużyciom.

Schiessl podkreśla, że w swojej pracy czuje się „jak osiołek, który wozi Jezusa". ©℗ ARTUR SPORNIAK

Dyplomacja doktrynalna

ROZWIANIE OBAW wobec Drogi Synodalnej i pozyskanie sojuszników przed październikowymi, plenarnymi obradami biskupów z całego świata to główny cel „synodalnego wieczoru" w niemieckiej ambasadzie przy Watykanie.

W spotkaniu, organizowanym w połowie maja przez redakcję katolickiego miesięcznika „Herder Korrespondenz", wezmą udział m.in. bp Franz-Josef Overbeck z Essen, delegat episkopatu Niemiec na obrady synodu, Birgit Mock, wiceprzewodnicząca Komitetu Centralnego Katolików, oraz Monica Baujard i Nicola Brady – przedstawicielki katolików Francji i Irlandii, których postulaty synodalne były w dużej części zbieżne z niemieckimi.

Stefan Orth, redaktor naczelny „Herder Korrespondenz", powiedział nam, że organizatorzy liczą na obecność przedstawicieli kurii rzymskiej i sekretariatu synodu (który ma reprezentować s. Nathalie Bécquart). Wieczór w ambasadzie będzie okazją do poznania się i rozmowy o propozycjach Drogi Synodalnej.

Orth przewiduje, że w najbliższych miesiącach dojdzie do wielu podobnych, mniej lub bardziej oficjalnych kontaktów biskupów niemieckich z kolegami z innych europejskich episkopatów.

Doktrynalna dyplomacja obliczona jest na przekonanie jak największej liczby uczestników październikowych obrad, że wiarygodność Kościoła da się uratować jedynie zdecydowanymi reformami, które przywrócą mu kontakt z coraz bardziej uciekającą rzeczywistością. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Czterdzieści tysięcy gór na dnie

ŁUKASZ LAMŻA

USS San Francisco, amerykański okręt podwodny o napędzie atomowym, w styczniu 2005 r. zderzył się z nieoznaczoną na mapach górą podmorską. Został uszkodzony, zginęła jedna osoba. W październiku 2021 r. podobny los spotkał USS Connecticut, tym razem na strategicznie newralgicznym Morzu Południowochińskim. Być może na tym kończy się jednak historia takich wypadków: właśnie powstał najobszerniejszy dotąd globalny katalog gór podwodnych, w dużym stopniu dzięki środkom amerykańskich agencji rządowych.

Znajdują się w nim dokładnie 43 454 góry, z czego aż 19 325 opisano po raz pierwszy. Ta liczba dobrze ilustruje skalę naszej niewiedzy. Światło przenika przez wodę morską najwyżej na głębokość kilkuset metrów, a poniżej kilometra panują ciemności niemal doskonałe. Znamy więc lepiej powierzchnię Księżyca i Marsa – które widać– niż dno ziemskiego wszechoceanu.

Jak je zmapować? Są dwie możliwości. Pierwsza to zbadać dno sonarem z pokładu statku, jednak aby zrobić pełną sonarową mapę dna oceanów, musielibyśmy dotrzeć statkami naprawdę wszędzie, co jest koszmarem logistycznym i finansowym. Druga metoda to badanie z orbity, opierające się na drobnych anomaliach grawitacyjnych, które towarzyszą podmorskim górom – to wszak obiekty dość masywne. Najnowszy katalog powstał właśnie w ten drugi sposób.

Takie katalogi to wspaniały prezent dla geofizyków, którzy od dawna marzą choćby o lepszym zrozumieniu podmorskiego wulkanizmu. Lepsze mapy dna morskiego to też bezpieczniejsze wędrówki amerykańskich okrętów atomowych tuż przy dnie chińskiego wybrzeża i, jak można rozsądnie przypuszczać, wszystkich w ogóle okrętów atomowych przy wszystkich w ogóle wybrzeżach. Wspaniale, prawda? ©℗

Grzybie, zjedz światło

DROŻDŻE pozyskują energię do życia z fermentacji cukrów, czego produktami ubocznymi są chleb, wino i piwo. A gdyby tak nauczyć je korzystać ze światła?

Zadania podjęli się Autumn Peterson z Georgia Institute of Technology w Atlancie i współpracownicy. Rośliny do produkcji energii z dwutlenku węgla, wody oraz światła w procesie fotosyntezy wykorzystują skomplikowaną maszynerię białkową, w skład której wchodzi chlorofil. Badacze z Atlanty wykorzystali prostsze rozwiązanie pochodzące ze świata bakterii, które przekształcają światło w energię dzięki barwnikowi rodopsynie. Umieszczono go w drożdżowej wakuoli, gdzie zachodzi degradacja niepotrzebnych białek. Energia produkowana ze światła została wykorzystana do pompowania protonów do wakuoli, aby jej wnętrze było kwaśne – optymalne do degradacji. Drożdże wyposażone w rodopsynę żyją krócej, ale szybciej się namnażają, prawdopodobnie dzięki uwolnieniu części energii, która może być wykorzystana do szybszego podziału komórek. Badania te mogą znaleźć zastosowanie w przemyśle, a nawet w medycynie, w analizach procesów starzenia się. © ANNA BARTOSIK

Komu smakowały pióra dinozaurów

WSPÓŁCZEŚNIE ŻYJĄCE PTAKI to potomkowie teropodów – dwunożnych dinozaurów, z których część osiągała niewielkie rozmiary, latała i była opierzona. Ponad 100 mln lat temu to właśnie ich pióra mogły dać początek symbiotycznej relacji dinozaurów z owadami.

Ricardo Pérez-de la Fuente z Uniwersytetu Oksfordzkiego i współpracownicy opisali w „PNAS" znaleziony w Hiszpanii bursztyn, zawierający pochodzące z okresu kredy fragmenty piór teropoda oraz wylinkę larwy chrząszcza. Szczątki przypominają osobnika z rodziny skórnikowatych (*Dermestidae)*, której część gatunków odżywia się keratyną zawartą m.in. w piórach ptaków.

Naukowcy sugerują, że obecność piór i larw w tak bliskim położeniu oznacza, że chrząszcze zamieszkiwały w gnieździe, czyli dużym skupisku piór stanowiących pożywienie, gdzie mogły swobodnie się rozmnażać. Ślady organiczne znajdujące się na piórze wskazują, że musiało ono wypaść dinozaurowi, zanim chrząszcz przystąpił do konsumpcji, więc obecność owadów prawdopodobnie nie była szkodliwa. Nie jest do końca jasne, czy dinozaury czerpały z niej jakieś korzyści, ale autorzy odkrycia przypuszczają, że owady mogły pomagać w utrzymaniu czystości w gnieździe.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

KULTURA W SKRÓCIE

LITERACI W POZNANIU
Zyta Rudzka została laureatką tegorocznej Nagrody im. Adama Mickiewicza, a pisarz Łukasz Barys, redaktor Ivan Davydenko i dramatopisarka Anna Wakulik otrzymali nominacje do Stypendium im. Stanisława Barańczaka. Oba wyróżnienia składają się na Poznańską Nagrodę Literacką.

KROKODYL W CANNES
Krótkometrażowy film „Krokodyl" Dawida Bodzaka zostanie zaprezentowany podczas Festiwalu Filmowego w Cannes. Obraz wyprodukowany przez Szkołę Filmową w Łodzi trafił do konkursu w ramach sekcji Semaine de la Critique (Tydzień Krytyki Filmowej), w której pokazywane są pierwsze lub drugie filmy w dorobku młodych, obiecujących twórców.

JEREMI DOBRZAŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

BEKSIŃSKI NA WAWELU
W ogrodach Zamku Królewskiego na Wawelu można oglądać wystawę prac rzeźbiarskich Zdzisława Beksińskiego. Na ekspozycję składa się kilkanaście egzemplarzy: cykl „Głowy", trzy reliefy oraz odlewy dwóch rzeźb monumentalnych: „Hamlet" i „Makbet". Rzeźby były prezentowane w roku 1964 w Starej Pomarańczarni w warszawskich Łazienkach – wystawa zaowocowała wówczas wieloma pochlebnymi recenzjami.

Fotografia roku 2022

36-LETNI ukraiński fotograf **Evgeniy Maloletka** przyjechał do Mariupola z kolegą dokumentalistą Mścisławem Czernowem nocą 24 lutego 2022 r., parę godzin przed rosyjską inwazją. Gdy wkrótce stało się jasne, że Rosjanie okrążą miasto, postanowili w nim zostać. Dzięki ich zdjęciom i filmom, wysyłanym do agencji AP, świat zobaczył dramat tego 400-tysięcznego miasta. W niszczonym bez litości Mariupolu, według ostrożnych oszacowań, zginęło 25 tys. cywilów.
Maloletka fotografował także akcję ratowniczą po tym, jak 9 marca trafiony został szpital położniczy. Na jednym ze zdjęć grupa mężczyzn niesie anonimową kobietę w zaawansowanej ciąży. Jeszcze żyła, ręką chroniła brzuch. Zmarła z dzieckiem wkrótce potem. Właśnie tę fotografię jury World Press Photo uznało za Zdjęcie Roku 2022.

EVGENIY MALOLETKA / ASSOCIATED PRESS

Jego przewodniczący Brent Lewis mówił: „W śmierci tych dwojga, ciężarnej kobiety i dziecka, streszcza się ta wojna, a także możliwa intencja Rosjan. Jak ujął to jeden z naszych jurorów: to tak, jakby próbowali zabić przyszłość Ukrainy”. Maloletka i Czernow opuścili miasto z kolumną cywilów. Podobno namówili ich do tego ukraińscy żołnierze, argumentując, że powinni być świadkami. Dziś obaj mają być na „czarnej liście” armii rosyjskiej. ©℗
WOJCIECH PIĘCIAK
Więcej na:
powszech.net/zdjecieroku2022

Bunt wnuków rewolucji w Teheranie

ZDJĘCIE z 27 grudnia 2022 r. zostało wyróżnione przez jury World Press Photo. Młoda kobieta siedzi na ruchliwym placu w irańskiej stolicy – jej milczący protest polega tylko (i aż) na tym, że nie ma chusty, która w myśl religijnego prawa powinna zakrywać jej głowę. Gdy 39-letni **Ahmad Halabisaz** – niezależny irański fotoreporter pracujący w Iranie, Afganistanie, Turcji i Syrii – robił to zdjęcie, protesty trwały w tym kraju już czwarty miesiąc.
Zaczęły się we wrześniu 2022 r., po śmierci 22-letniej Mahsy Amini, zabitej przez patrol policji obyczajowej za nieprawidłowo noszoną chustę. Irańczycy z pokolenia Z, urodzeni na przełomie wieków, wyszli na ulice przeciw rygorom ustroju opartego na religii, a także tyranii, korupcji i zakłamaniu rządzącego islamskiego kleru. Odkąd w 1979 r. rewolucja obaliła szacha i wyniosła do władzy ajatollahów, w Iranie nieraz dochodziło do buntów. W 2009 r. – przeciw sfałszowanym wyborom prezydenckim; a na przełomie 2019/20 – przeciw drożyźnie. Teraz trwający przez pół roku po śmierci Amini bunt młodych ukazał przepaść między liderami i beneficjentami rewolucji a ich wnukami, stanowiącymi jedną piątą ludności. Ajatollahowie chcieli wychować młodzież w posłuszeństwie wobec teokratycznej republiki – i ponieśli klęskę.
©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

AHMAD HALABISAZ

ADOBE STOCK

TEMAT TYGODNIKA

DO PIÓR!

Wielu z nas chciałoby pisać czytelnie, ale nie potrafi. Szkoła nie dała nam do tego żadnych narzędzi. Tę barierę da się jednak przy odrobinie wysiłku przeskoczyć.

MACIEJ MÜLLER

Bazgrzę. Kiedy wynotowuję coś z książek albo przygotowuję pytania do wywiadu (odręcznie, bo wydruki rozmówcy na ogół próbują czytać do góry nogami), jeszcze nie jest tak źle. Nauczyciele kaligrafii mówią w takich przypadkach o „drugim biegu" pisania: to zapiski sporządzane dla siebie. „Pierwszy bieg" to elegancko pisane życzenia, „trzeci" – spisywane czym prędzej informacje np. podczas rozmowy telefonicznej. Własne zapiski trzeciego biegu potrafię odczytać dopóty, dopóki pamiętam, czego dotyczyły. Takie sprzed roku są bezwartościowym bazgrołem.

Moje notatki pokazuję Agacie Kafarskiej, autorce bloga i podręcznika „Italik. Pisz ładniej" o poprawianiu czytelności pisma odręcznego. – To pismo nie jest zupełnie nieczytelne, widywałam gorsze. Ale litery stawia pan tak małe, że ich kształty zanikły. Na przykład „o" straciło owal i stało się kropką. A „z" ulega w środku słowa redukcji do czegoś, co przypomina „r". Są dwa rozwiązania. Może pan swoje pismo poprawiać krok po kroku, zastanowić się, które litery są czytelne, a nad którymi trzeba popracować. Można też skoczyć na głęboką wodę i zmienić pismo zupełnie. Na pewno radziłabym panu powiększyć litery, wypracować na nowo ich kształty i dopiero później ewentualnie je zmniejszyć, skoro pan lubi pisać ciasno.

Przeglądam kilka swoich zalegających na strychu zeszytów szkolnych. W drugiej połowie podstawówki moje pismo stało się drobne i kanciaste. Małe „p" się rozjechało i stało nie do odróżnienia od „r", „b" upodobniło się do „l". To dlatego, że w piśmie, którego mnie nauczono, obie te literki miały otwarte brzuszki. Żeby zapobiec dalszym deformacjom, w siódmej klasie zlikwidowałem dolne i górne pętelki (przy „j", „l" czy „g"), z „z" usunąłem fale, duże „L" zacząłem pisać drukowane, „b" i „p" zamknąłem. Broniłem się przed pisaniem nieczytelnie, ale była to obrona Alpuhary.

Dzisiaj nawet powolne kaligrafowanie niewiele daje. Przykład? Proszę napisać słowo

„numer". Gdyby nie „e", byłoby trudne do odczytania, prawda? A teraz: łacińskie „unum". Jeśli u Państwa również powstał falisty wzorek, w którym nie wiadomo, gdzie jedna litera się kończy, a druga zaczyna – także Wasze pismo nadaje się do naprawy.

Tylko że polska szkoła nie dała nam – i nie daje nadal – żadnych narzędzi, by wykształcić sobie dorosły, czytelny i użyteczny styl pisania.

Ala ma Asa

W polskiej szkole pierwszoklasiści uczą się pisma kursywnego – czyli takiego, w którym przeważająca liczba liter łączy się ze sobą (zobacz ramka). Popularną do połowy XX w. jego amerykańską odmianą, tzw. stylem Palmera, pisano całym ramieniem, opierając o blat jedynie brzeg małego palca. Pozwalało to zapisywać płynnym gestem, bez odrywania pisaka od papieru, bardzo długie fragmenty tekstu. Dzisiaj piszemy za pomocą ruchów palców i nadgarstka, co zmusza do częstego odrywania i przesuwania ręki. I tak naprawdę pozbawia stosowanie kursywy sensu.

Polskie elementarze funkcjonują wciąż w cieniu dzieła Mariana Falskiego. W 1910 r. ten młody inżynier był nowatorem: postanowił zerwać z XIX-wieczną tradycją nauki pisania poprzez żmudne przepisywanie pozbawionych znaczenia sylab. Z ówczesnych podręczników wiało nudą, brakowało w nich obrazków, nauka pisania była dla dzieci udręką. Falski uważał, że „pierwsza książka w życiu dziecka powinna być piękna i pozostawiająca po sobie jak najmilsze wspomnienia". Wykreował kultowych bohaterów – Alę, Janka, psa Asa – i ułożył o nich krótkie historyjki. Ich kontekst zmieniał się wraz z kolejnymi wydaniami elementarza: dzieci mieszkały najpierw na wsi, potem w mieście, ich ojciec, rolnik, stawał się robotnikiem, pies z wilczura przekształcił się w foksteriera. Co dla nas tu najistotniejsze, Falski opracował nowy styl pisania. Sięgnął po angielską kursywę copperplate i radykalnie uprościł jej litery, likwidując pogrubienia, cieniowania i zawijasy. Z podręcznika Falskiego uczyły się 73 roczniki – ostatnie wydanie wyszło w roku 1983 r.

Pismo, którego uczymy się współcześnie, to nieco przekształcony styl Falskiego. W literach z wydłużeniami dolnymi („g", „j" czy „y") dodano pętelki, a ogonki w „ą" i „ę" przekręcono w drugą stronę. Otwarto brzuszki „b" i „p". Oraz udziwniono kształty wielkich liter, które przestały przypominać te znane z druku.

Od kilkudziesięciu lat ów kształt liter jest bezrefleksyjnie przedrukowywany w kolejnych elementarzach. Ostatni postulat reformy pisma nauczanego w szkole wybrzmiał w latach 70., kiedy pedagog Tadeusz Wróbel bezskutecznie zachęcał, aby wprowadzić do niej alternatywny wzór, np. skandynawski (czyli italik, do którego zaraz przejdziemy). Podstawa programowa nauczania początkowego nie precyzuje, jakiego stylu pisania należy uczyć – więc teoretycznie nauczyciel ma wolną rękę.

Co na zadanie?

Polska jest jednym z nielicznych krajów, w których system edukacji poza elementarzową kursywą nie proponuje innych stylów pisania ręcznego. ↦

↦ – Pismo elementarzowe ma dziecinny charakter i nadaje się do użytku najwyżej przez 2-3 lata – podkreśla Agata Kafarska. I wspomina badania z Francji, z których wynika, że po pięciu latach nauki 40 proc. dzieci porzuca pierwotny styl pisania. – Już w czwartej klasie pojawia się konieczność szybszego notowania tego, co mówi albo zapisuje na tablicy nauczyciel. Dziecko zaczyna samo wypracowywać sobie nowy styl, a ponieważ nie dostaje żadnych wskazówek, po prostu deformuje litery. Ale nasza kursywa i tak nie jest najgorsza: np. ta nauczana w szkołach włoskich ma bardzo szerokie litery z niewygodnymi łączeniami. Elementarzowe pismo to nie tylko nasz problem.

Filip, syn Agaty Kafarskiej, w połowie podstawówki zaczął mieć kłopoty z odczytaniem, co było zadane do domu. – Zaczęłam mu robić dyktanda, żeby wyćwiczyć na nowo czytelne pisanie pismem szkolnym, zachęcałam, by pisał litery powoli. Ale on tylko się złościł, bo przecież w szkole musiał pisać coraz szybciej. Na szczęście wtedy właśnie odkryłam italik, styl nauczany w wielu krajach świata. Syn chętnie porzucił udziwnione litery szkolnej kursywy i w kilka tygodni nauczył się pisać na nowo, szybko i wyraźnie. Litery uważał za „dorosłe" i zaczął ich uczyć kolegów.

– W wielu krajach, np. we Francji czy Czechach, uczy się dwóch sposobów pisania, a nauczyciel wybiera, na który kłaść nacisk – opowiada Kafarska. – W Niemczech stosuje się aż cztery style, w zależności od landu. W USA uczniowie najpierw uczą się printu, czyli bardzo wyraźnego stylu wzorowanego na alfabecie drukowanym, w którym litery w ogóle się nie łączą. Dopiero po kilku latach wprowadza się italik lub kursywę.

Czeskie ministerstwo edukacji w latach 2010-12 wprowadziło w 33 szkołach eksperymentalnie styl zwany comenią, od nazwiska wielkiego XVII-wiecznego pedagoga Jana Ámosa Komenskiego. To krój dopasowany specjalnie do języka czeskiego, który ma wiele znaków diakrytycznych. Dzisiaj jest nauczany przez nauczycieli, którzy wyrażą taką chęć i ukończą krótkie szkolenie.

– W Meksyku zmieniono w szkołach pismo na print, ale po kilkunastu latach wrócono do kursywy – mówi Kafarska. – Jak widać, systemy edukacyjne w różnych krajach się miotają między utrzymywaniem tradycji a radykalną zmianą.

Ale przynajmniej odbywa się tam jakaś refleksja.

> Napisz łacińskie słowo „unum". Jeśli powstał falisty wzorek, w którym nie wiadomo, gdzie jedna litera się kończy, a druga zaczyna – Twoje pismo także nadaje się do naprawy.

Pisanie na nowo

Ręka boli w nadgarstku. Wykonuję ćwiczenia na poprawę charakteru pisma i uczę się italika. W tym stylu zamiast owalnych części liter stosuje się zaokrąglone trójkąty: wypełniam więc kolejne linie dość koślawymi kształtami. Trzeciego dnia jestem w stanie napisać „po nowemu" krótką notatkę: wychodzi trochę krzywo i powoli, ale za to jak czytelnie...

Czym właściwie jest italik? Wielu z nas kojarzy tę nazwę z edytorów tekstu: *italic* to drukowane pismo pochylone, po polsku zwane też... kursywą. Zamieszanie w słownictwie dotyczącym pisma trwa od połowy XV wieku, kiedy wynaleziono druk. Z biegiem czasu nazewnictwo stosowane przez paleografów – badaczy historii pisma ręcznego – i drukarzy rozchodziło się, a te same wyrazy zaczęły oznaczać różne rzeczy. Dlatego kursywa (*italic*) to dla drukarza pismo pochyłe, a dla paleografa – niezbyt staranny styl przeznaczony do pośpiesznego pisania. Italik został opracowany w latach 30. XX wieku przez Brytyjczyka Alfreda Fairbanka, a jego obecnie używaną, najpopularniejszą wersję stworzyły Amerykanki Barbara Getty i Inga Dubay w 1976 r. (publikacje z serii „Italic Handwriting"). Punktem wyjścia był dla nich XV-wieczny renesansowy styl stworzony we Włoszech, zwany italiką.

Italik to styl minimalistyczny, pozbawiony szeryfów, pętelek i innych ozdób. Większość liter można napisać jednym ruchem, bez odrywania pióra od papieru (dla porównania: litery większości historycznych stylów, których można uczyć się na coraz liczniejszych kursach kaligrafii, kreśli się 4-5 ruchami). Eliminuje się połączenia sztuczne (w piśmie elementarzowym to np. połączenia pierwszej, wielkiej litery wyrazu z kolejną) oraz pętelki w „g" czy „y". Piszący decyduje, które litery chce ze sobą łączyć. Efektem jest styl czytelny, który jednak nie wygląda infantylnie – jak próby powolnego kaligrafowania pisma pamiętanego ze szkoły. W dodatku wystarczy zmienić stalówkę zaokrągloną na ściętą, zacząć cieniować – i np. wykaligrafować na „pierwszym biegu" życzenia dla babci.

W strojnej szacie

Co sprawia, że dany styl pisania oceniamy jako estetyczny i praktyczny? – Musi być czytelny zarówno dla mnie, jak i dowolnej innej osoby – mówi Agata Kafarska. – Litery powinny być mniej więcej jednakowej wielkości, odstępy między literami i słowami muszą zachowywać rytm.

Style pisania, tak jak style w malarstwie czy muzyce, nie biorą się znikąd, każdy ma długą genezę i stoi na ramionach olbrzymów. XX-wieczni pedagodzy, szukając oparcia do stworzenia wygodnego i czytelnego pisma elementarzowego, przerzucali karty podręczników paleografii – ale nie każdy historyczny krój nadawał się do zastosowania na co dzień. – Większość liter stylów średniowiecznych składa się z tak wielu elementów, że nie byłoby mowy o pisaniu szybkim – tłumaczy Kafarska. – Natomiast do tego celu idealnie nadawała się, po wprowadzeniu pewnych uproszczeń, renesansowa italika.

Odstępy między wyrazami. Znaki przestankowe. Wielkie i małe litery. Wszystko to wydaje nam się oczywiste – ale tak naprawdę to są wynalazki, na które ktoś kiedyś musiał wpaść, zastosować, i znaleźć naśladowców. Tam, gdzie zaczyna się historia pisma zachodniej Europy, czyli w starożytnym Rzymie – istniały tylko wielkie litery, które zapisywano bez żadnych przerw. Początkowo w kamieniu, potem na papirusie i pergaminie. Ten piękny, matematyczny w swoich proporcjach styl historycy nazywają kapitałą kwadratową: jej bardzo dalekim potomstwem jest to, co wysy-

puje się spod klawiatury komputera, kiedy wciśniemy Caps Lock.

Wczesnośredniowieczni mnisi kapitałę jeszcze upiększyli: powstały style, których uczą się dzisiaj miłośnicy historycznej kaligrafii: uncjała i półuncjała. Tymczasem poza klasztornymi skryptoriami, np. w kancelariach, kształtowało się pismo kursywne, potrzebne do szybkiego zapisywania informacji. Była to tzw. starsza kursywa rzymska, z biegiem czasu coraz mniej kształtna, coraz bardziej nasycona skrótami, w końcu tak nieczytelna, jak recepty lekarskie przed uruchomieniem usług e-zdrowia. Kursywie rzymskiej zawdzięczamy jednak ważną rzecz: wprowadzenie małych liter alfabetu.

Odtąd właściwie cała historia pisma to napięcie między pięknymi, kaligraficznymi, ozdobnymi stylami, którymi zapełniano księgi, a szybszymi, niedbałymi, służącymi do tworzenia pism mniej dostojnych. Z biegiem lat, jak w ekonomii, gorsza moneta wypierała jednak lepszą: w końcu nawet mnisi nie oparli się pokusie porzucenia piękna na rzecz efektywności. Wczesnośredniowieczne pismo tzw. merowińskie to prawdziwy koszmar studentów kursu nauk pomocniczych historii: kto je odczyta, ten poradzi sobie nawet z notatkami dysgrafika.

Kres temu położył Karol Wielki, odnowiciel cesarstwa na zachodzie, za którego czasów kultura rozkwitła tak wspaniale, że mówi się o renesansie karolińskim. Elementem tego odrodzenia cywilizacyjnego było wskrzeszenie pięknego pisma. W skryptoriach benedyktyńskich, a może w kancelarii dworskiej w Akwizgranie, powstała minuskuła karolińska. Było to cywilizacyjne osiągnięcie na miarę wynalezienia koła czy uruchomienia ChatGPT: nawet czcionka, którą wydrukowany jest tekst, na który właśnie, Czytelniku, patrzysz, ma w sobie proporcje wypracowane wtedy, w VIII wieku.

Klasyk polskiej paleografii Władysław Semkowicz, kiedy w swoim pisanym podczas hitlerowskiej okupacji podręczniku doszedł do omawiania minuskuły karolińskiej, porzucił rzeczowy ton i odnalazł ↦

ADOBE STOCK X2

Narzędzia pisarskie

PRZED UPOWSZECHNIENIEM PAPIRUSU, pergaminu i papieru codzienne zapiski sporządzano na pokrytych woskiem tabliczkach za pomocą rylca. Jednym końcem, zaostrzonym, skrobano litery, drugim, zaokrąglonym, je zacierano. Do pisania po papirusie służyło pióro trzcinowe; pióra ptasie upowszechniły się wraz z pergaminem w V w. Nieodłącznym elementem wyposażenia skryby był również nożyk do wyskrobywania błędów. Według jednego z zachowanych przepisów atrament sporządzano z wody deszczowej, wywaru z kory dębowej, kwasu siarkowego, octu i wina (składniki należało wymieszać i powoli gotować).

OD XI-XII W. rosła popularność ołowianego rysika, który nie służył jednak do stawiania liter, ale przede wszystkim do kreślenia na karcie linii służących do równego pisania. W kolejnych wiekach dodano mu drewnianą oprawę, a ołów zmieniono na grafit – w ten sposób powstał przodek naszego ołówka.

DZISIAJ najczęściej polecanym przez nauczycieli kaligrafii przyrządem do pisania jest pióro wieczne, które „wymusza" wyraźne pisanie i stawianie nieco większych liter (w przypadku korzystania z grubszych stalówek) – w przeciwieństwie do długopisu (wynalazku bardzo młodego, z 1938 r.). W pracy nad czytelnym charakterem pisma mogą być pomocne także cienkopisy albo specjalne pisaki do kaligrafii.

©℗ MAM

ABC pisania ręcznie

DOMENA PUBLICZNA

ITALIKA – styl pisania powstały w XV-wiecznych Włoszech, jego litery kształtem i proporcjami nawiązywały do minuskuły karolińskiej. Był to styl dostojny i wyraźny, stosowała go kancelaria papieska, co sprzyjało jego rozpowszechnieniu po całej Europie (trafił m.in. na dwór Jana Olbrachta).

ITALIK – jest uproszczoną w XX wieku italiką. To propozycja stylu zarówno szybkiego, jak i czytelnego, w wielu państwach świata jest wpisany w programy nauczania. Uwaga: w drukarstwie słowo *italic* oznacza kursywę, czyli pismo pochylone.

italik – jak chcesz :)

KURSYWA – styl pisania ręcznego, w którym większy nacisk kładzie się na szybkość pisania niż na czytelność. Kursywą posługiwały się kancelarie dworskie czy miejskie, sporządzano nią codzienne zapiski, a także pisano po murach (jak w Pompejach). Nowoczesne kursywy, jak pismo Palmera, świetnie sprawdzały się w pracy biurowej.

kursywa – litery się łączą

czekolada czekolada

KALIGRAFOWANIE – dzięki zastosowaniu ściętej stalówki i manipulowaniu piórem podczas pisania można literom printu czy italika nadać bardziej kaligraficzne kształty.

MINUSKUŁA – styl pisania, w którym istnieje rozróżnienie na litery wielkie i małe. Wszystkie jej litery są wpisane w kilkuliniowy schemat, ich rdzeń znajduje się między dwiema liniami środkowymi, do linii zewnętrznych wypuszcza się laski górne i dolne. Najsłynniejsza i najpiękniejsza minuskuła historyczna powstała w czasach Karola Wielkiego.

Tak wyglądało pismo z Elementarza pana Falskiego.
Tak piszą pierwszaki teraz, według „Naszego elementarza".
Tak mogłyby pisać italikiem, bez pętelek i sztucznych łączeń.

MOTORYKA DŁONI – do czytelnego (i długotrwałego) pisania, dłoń musi być dobrze przygotowana. Służą do tego specjalne ćwiczenia; nauczyciele kaligrafii zalecają też szkicowanie czy kolorowanie.

PRINT – styl pisania ręcznego naśladujący pismo drukowane. Jego litery się nie łączą, jest to pismo bardzo wyraźne, dobrze sprawdzające się na co dzień i w ozdobnej kaligrafii. Wadą printu jest niemożność jego spersonalizowania.

print – litery się nie łączą

PRZYKŁADY ZE SŁOWNICZKA DZIĘKI UPRZEJMOŚCI AGATY KAFARSKIEJ

↦ w sobie poetę: „Przyszła ta piękna pani w swojej strojnej szacie nagle i niespodzianie, przyszła – do dziś dnia nie wiadomo skąd i w jaki sposób; stanęła dumnie wobec rozlicznych zestarzałych, choć nie wymarłych jeszcze przodków (...) Wszystkie te pisma, olśnione jej widokiem, pierzchną rychlej czy później i zginą bezpowrotnie, a ona w swym triumfalnym pochodzie od Atlantyku po wschodnie krańce Polski i Węgier owładnie ręce piszącej ludzkości".

Gdy zaś – ciągnie Semkowicz – „po paru wiekach się zestarzeje i zbrzydnie, pójdzie do ziemi przodków, do Italii, (...) by skąpawszy się w wodach włoskiego renesansu powrócić odmłodzona i świeża, jak ongiś przed wiekami, i pozostać z ludźmi już wiecznie piękną i dostojną panią, choć tylko służebnicą kultury europejskiej, którą rozniesie z czasem po całym globie, w najdalsze jego zakątki".

I oto jesteśmy u celu: dotarliśmy do XV wieku, kiedy to w renesansowych Włoszech bibliofil Niccolò Niccoli, przepisując antyczne rękopisy, tworzy – wzorując się na minuskule – styl nazwany potem italiką. Z którego w XX wieku powstanie italik.

Odzyskać pisanie

– Po czterech, pięciu tygodniach ćwiczeń przez nawet kwadrans dziennie można już pisać nowym charakterem pisma. Chodzi o umiejętność kiedyś posiadaną, ale utraconą – zapewnia Agata Kafarska. I opowiada o badaniach przeprowadzonych w szkołach amerykańskich i kanadyjskich. Kilkuset uczniów przepisywało na czas ten sam tekst, stosując print, italik i kursywę. Okazało się, że kursywa wypadła najgorzej.

Kafarska powtórzyła badanie w warunkach domowych. Nastawiła stoper na minutę, i przepisywała „Fresk) pompejański" Adama Asnyka. Oto wyniki: print na „drugim biegu" 83 litery, na trzecim 143 litery; kursywa: odpowiednio 80 i 132 litery; italik: 86 i 147 liter. To złudzenie, że kursywa jest najszybsza. Choć pewnie by taka była, gdyby wrócić do pisania jej całym ramieniem, ale to dość karkołomne zadanie.

Blog poświęcony m.in. pisaniu ręcznemu na co dzień Agata Kafarska prowadzi od kilku lat, zgromadziła też 9-tysięczną grupę facebookową. – Są w niej głównie rodzice i nauczyciele, ale pisze też do mnie wielu mężczyzn koło trzydziestki: przysyłają próbki pisma i pytają, co robić. Więc tu chodzi o coś więcej niż troskę rodziców o dzieci. Odkrywamy, że coś złego stało się z naszym pismem, coś straciliśmy i chcemy odzyskać.

W 2020 r. wydała podręcznik „Italik. Pisz ładniej". Od tamtej pory było już wiele dodruków, przyszły też zamówienia ze szkół (prywatnych i państwowych). – Może więc coś drgnęło? – zastanawia się. Ostatnio została zaproszona do poprowadzenia warsztatów pisania dla 3. i 4. klasy podstawówki. – Nauczyciel zorientował się, że uczniowie piszą coraz mniej czytelnie, i szukał dla nich pomocy.

Antyteza wygody

No dobrze, ale czy w ogóle potrzebujemy do czegoś umiejętności pisania ręcznie, czy to wszystko nie donkiszoteria? Temu, że nikt już nie pisze do siebie listów, a w skrzynkach pocztowych znajdujemy same przesyłki z banku albo ZUS-u, nie warto poświęcać miejsca, wszyscy to wiemy.

– Jest w ludziach tęsknota za pisaniem – uważa Kafarska. – W wielu zawodach nie potrzebujemy pisać odręcznie w ogóle, więc trzeba to robić w czasie prywatnym, np. prowadzić kalendarz, pisać pamiętnik. Bywało, że wynajdywałam sobie zadania trochę na siłę: wypisywałam cytaty z książek, zaczęłam pisać listy. W naszej grupie facebookowej powstał zwyczaj wysyłania do siebie kartek świątecznych: nie musi być wykaligrafowana, byle ręcznie napisana.

Olga Drenda, felietonistka, pisarka i antropolożka, obserwatorka przemian codzienności, jest o przyszłość pisania ręcznego spokojna. – Zdolność do rejestrowania informacji działa zupełnie inaczej, kiedy łączy się z ruchem dłoni – przekonuje. – Mówiąc wprost, informacja zapisana na klawiaturze wylatuje mi z głowy. Wszelkie elektroniczne pomoce w postaci synchronizujących dane aplikacji w moim przypadku okazują się zupełnie niepomocne.

Intuicję Drendy potwierdzą kognitywiści: pisanie ręczne zmusza do skondensowania informacji, a więc jej przetworzenia – co sprzyja zapamiętywaniu. Agata Kafarska zetknęła się z badaniami, według których wypracowania pisane ręcznie trzymają wyższy poziom językowy niż pisane np. na tablecie.

Ale co w obliczu nieustannego rozwoju technologicznego? – Pisanie ręczne jest pod wieloma względami wygodniejsze – uważa Olga Drenda. – Na przykład kiedy jest zimno i nie chcemy zdejmować rękawiczek, żeby coś wklepać w ekran, albo kiedy rozładuje się bateria. Zamiast snuć futurystyczne scenariusze, wolę wyobrażać sobie scenki typu „drobna niewygoda". Analogowe umiejętności zaskakująco się przydają.

Drenda jest jednak daleka od romantyzowania pisania ręcznego, do wpisywania go w ludzką tożsamość: – Pisanie wzbudza podobne emocje jak każde rzemiosło. To antyteza wygody, ale wiążąca się z poczuciem, że nie jest to praca bezsensowna, nadwyżkowa, tylko wysiłek dobrze zainwestowany. Bo przyjemnie dowieść sobie, że umiemy zrobić coś ręcznie, czy to wydziergać szalik, czy to zapisać sobie notatkę. Coś potrafimy zrobić samodzielnie! Choćby to była taka prosta rzecz, której uczono nas w wieku lat sześciu.

Na mojej lodówce wisi żółta karteczka. Widniejące na niej litery, układające się w napis „Kupić pomarańcze, zadzwonić do okulisty", są dalekim echem pisma stworzonego dwanaście wieków temu, pod groźnym okiem Karola Wielkiego.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Korzystałem z książek Agaty Kafarskiej „Italik. Pisz ładniej" (i materiałów z jej bloga sierysuje.pl), Władysława Semkowicza „Paleografia łacińska", Józefa Szymańskiego „Nauki pomocnicze historii".

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Wina kapłanów

Po siedmiu dniach wprowadzania ich na urząd przez Mojżesza, Aaron i jego synowie zaczynają pełnić funkcje kapłańskie w Przybytku. Wówczas wydarza się tragedia: „I wzięli synowie Ahrona – Nadab i Abihu, każdy kadzielnicę swoję, i włożyli w nie ognia, i położyli nań kadzidła, i tak przynieśli przed oblicze Wiekuistego ogień nieuświęcony, którego nie przykazał im. I wyszedł ogień z przed oblicza Wiekuistego i pochłonął ich; i pomarli przed obliczem Wiekuistego" (Kpł 10, 1-2; Cylkow). Tak dwaj starsi synowie Aarona zginęli na miejscu.

Komentatorzy nie są zgodni co do charakteru ich przewiny. Rabin Eliyahu Dessler w dziele „Michtaw meElijahu" wyłuskuje z midraszy aż dwanaście powodów śmierci wicearcykapłanów. Oto one: 1. podejmowali decyzje prawne w obecności swojego nauczyciela Mojżesza, 2. weszli do świętego świętych, 3. złożyli ofiarę, co do której nie zostali poinstruowani, 4. sprowadzili obcy ogień – tzn. pochodzący z niewłaściwego źródła, 5. nie wspierali się nawzajem, lecz działali niezależnie od siebie, 6. weszli do Przybytku będąc w stanie upojenia alkoholowego, 7. spełniali posługę kapłańską w niepełnym rynsztunku (bez wierzchnich szat), 8. spełniali posługę kapłańską nie obmywszy wcześniej rąk i nóg, 9. nie mieli dzieci, 10. nie mieli żon, bo wychodzili z następującego założenia: „Nasz stryj (Mojżesz) jest królem, nasz wuj dowodzi szczepem, nasz ojciec jest arcykapłanem, my jego zastępcami. Czy są jakieś kobiety godne tego, by zostać naszymi żonami?", 11. powiedzieli lub pomyśleli: „Kiedy tych dwóch starców (Mojżesz i Aaron) dokona żywota, byśmy mogli dojść do władzy?", 12. w ordynarny sposób sycili swoje oczy widokiem Bożej wizji (zob. Wj 24, 11). Rabin Dessler znajduje dla tych wszystkich przewin wspólny mianownik: Nadawowi i Awihu zabrakło pokory.

W Księdze Kapłańskiej 10, 9 znajdujemy skierowane do kapłanów pouczenie, by nie zaglądali do kieliszka przed pełnieniem służby. Ten wers następuje bezpośrednio po opisie incydentu z Nadawem i Awihu, co komentatorzy uznają za nieprzypadkowe. Duchowi przywódcy narodu winni być trzeźwi, by nie „zataczać się" i nie „stać na chwiejnych nogach" (zob. Iz 28, 7), lecz mieć spójną wizję i w jednoznaczny sposób nauczać.

Pierwszymi bohaterami biblijnymi, którym nie posłużył nadmiar alkoholu, byli Noe i Lot. Noe został co najmniej wyszydzony przez własnego syna, a zamroczony Lot spłodził dzieci ze swoimi córkami. Przy zawieraniu przymierza Bóg mówi Mojżeszowi, co ma przekazać ludowi: „A wy będziecie mi państwem kapłanów i narodem świętym. Te są słowa, które powiesz synom Israela!" (Wj 19, 6). Ci, którzy winni być stale w służbie Najwyższego – jak mogą być pijani? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Trzecia część Biblii

Jezus pasterzem, a my Jego owcami – jeśli ta konstatacja coś jeszcze znaczy, to tyle, co odzywka: „Ty głupi baranie!". Ponadto ludzie znający się na pasterstwie mówią, że jeśli pasterz idzie na czele kierdla, to znaczy, że wyprowadza owce na halę, ale gdy idzie na końcu, pędzi je do rzeźni. Jezusa możemy być pewni, nigdy nie będzie szedł za naszymi plecami, obok czy przed nami. Jako że jest On z „rodu Boga", „W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy". A kiedy, jako owce, zatratowaliśmy naszego Pasterza na śmierć, nie odwrócił się do nas plecami, przeciwnie, powrócił, żeby dalej nam towarzyszyć, co nazywamy zmartwychwstaniem. Dlatego to zoologiczne porównanie trzeba czytać łącznie z inną wypowiedzią Jezusa: „Już nie nazywam was sługami, bo sługa nie wie, co pan czyni. Nazywam was przyjaciółmi, bo przekazałem wam wszystko, co usłyszałem od Ojca".

Papież Franciszek, mówiąc o Jezusie pasterzu, radzi starszym Kościoła, żeby przestali w nieskończoność „trefić" czyściusieńkie jagniątka, a zajęli się tymi z hal. Niestety, prawdziwy kierdel nie pachnie fiołkami, zalatuje odstręczającą wonią. I taką wonią powinien przesiąknąć biskup, prezbiter, diakon, każdy chrześcijanin, skoro jesteśmy z jednego stada – Kościoła. Z powodu tej przykrej woni niejednemu Kościół kojarzy się jak najgorzej, ale tylko taki Kościół jest prawdziwy. Jezus powiedział: „Zdrowi nie potrzebują lekarza, tylko chorzy". Nietrudno w tych słowach wyczuć ironię. Mamy zatem być lekarzami, ale takimi, którzy również potrzebują leczenia. Zbyt długo, zamiast poddać się kuracji, skrzętnie ukrywaliśmy chorobę. Papież mówi, że Kościół powinien być szpitalem wojennym, a jak się w takim służy, nie ma potrzeby mówić. Kto chce, ten widzi i wie. Chyba że jest się jednym z tych „sprawiedliwych", którzy żyją z zamkniętymi oczyma i umierają ze strachu, że ktoś może im tę błogą pewność zburzyć. Dlatego postrzegają Jezusa jako wroga, odczłowieczają Go i starają się Go pozbyć.

Mówiąc o brzydocie Kościoła, zauważmy, że również Biblia jest pełna brzydoty, ale i piękna tych, którzy idą za radą Pawła Apostoła: „Wczuwajcie się w potrzeby świętych. Starajcie się być gościnni. Błogosławcie tym, którzy was prześladują. Błogosławcie, a nie przeklinajcie. Cieszcie się z tymi, którzy się cieszą, a płaczcie z tymi, którzy płaczą. Bądźcie złączeni wspólnym uczuciem". Dzięki nim Kościół jawi się jako trzecia część Biblii, więcej, jako dalszy ciąg życiorysu Jezusa, który wciąż się pisze. Rzecz w tym, żeby jeszcze był pisany we współczesnym języku. Nie jesteśmy przecież strażnikami prochów i czcicielami śmierci, ale życia wciąż zmartwychwstającego. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Łamanie Chleba

Zadaniem mnicha jest ujrzeć z daleka swe myśli.

POWIEDZENIE OJCÓW PUSTYNI

Żarliwym ćwiczeniem niszczy się nieczystość – zasłonę i zmącenie świadomości

PATAŃDŻALI

Owa nazwa Eucharystii: „Łamanie Chleba", ciągle nie daje mi spokoju. Choć wspomniałem o niej w zeszłym tygodniu, chcę się podzielić jeszcze kilkoma uwagami. Najpierw dobrze jest sobie uświadomić, kiedy łamiemy chleb, i – konsekwentnie – co ów gest oznacza.

Otóż, niewątpliwie chleb łamiemy tylko wtedy, gdy chcemy go spożyć. Nie ma sensu łamanie chleba, którego nie chcemy jeść. To ważne. W ciągu dwudziestu wieków chrześcijaństwa wytworzyło się w Kościele wiele form pobożności, np. adoracja. Skupia się ona na obecności Jezusa. Wchodzimy do świątyni i wręcz automatycznie rozglądamy się za światłem palącym się przed tabernakulum. Tak naturalnie, że łatwo zapominamy, iż to światło pojawiło się w kościołach dopiero po roku 1215. Zanim Duch w dynamicznym procesie historii zbawienia poprowadził nas do adoracji, wystawienia, procesji eucharystycznych, od początku wołał nas do spożywania Eucharystii. I woła nadal! Ponieważ to, co przyszło później, nie pojawiło się po to, by wyprzeć i zastąpić pierwotne znaczenia. Adoracja ma rodzić się z komunii i ku niej znów prowadzić.

Dalej, „Łamanie Chleba" jest pięknym znakiem jedności. Czym innym jest posiłek, w którym każdy spożywa przygotowane dla siebie kanapki, a czym innym spożywanie z tego samego, właśnie łamanego chleba. To jest cudny znak wspólnoty – znamy go dobrze my wszyscy, którzy lat temu czterdzieści czy pięćdziesiąt jeździliśmy na „Oazy" i w czasie „Dni Wspólnoty", zaraz po skończonej Eucharystii, dzieliliśmy się przyniesionymi na tę okazję świeżymi bochnami chleba.

To nie jakieś wzniosłe, młodociane sentymenty. To Słowo Boga – św. Paweł w 1 Liście do Koryntian pisze: „Chleb, który łamiemy, czyż nie jest udziałem w Ciele Chrystusa? Ponieważ jeden jest chleb, przeto my, liczni, tworzymy jedno Ciało. Wszyscy bowiem bierzemy z tego samego chleba" (10, 16b-17). Ta jedność odbita jest także w prostym stwierdzeniu Dziejów Apostolskich, iż „Łamanie Chleba" dokonywane było „po domach". „Dom" w języku biblijnym oznacza rodzinę. Bo spożywanie Eucharystii nie może być sprowadzone do indywidualnej pobożności – jest z zamierzenia Jezusowego wspólnototwórcze.

„Łamanie Chleba" stoi wreszcie – w pouczeniu św. Pawła – w wyraźnym sprzeciwie w stosunku do jakiegokolwiek bałwochwalstwa. Ten, kto jada ze stołu Pana – nie jada ze stołu demonów! Komunia z Panem wyklucza pseudo-komunię z bożkami. „Czy będziemy pobudzali Pana do zazdrości? Czyż myślimy, że jesteśmy mocniejsi od Niego?" (1 Kor 10, 22). ©

CZYTANIA LITURGICZNE (30 IV – 14 V)

4. niedziela wielkanocna: Dz 2, 14a. 36-41; Ps 23; 1 P 2, 20b-25; J 10, 1-10;
Poniedziałek: Dz 11, 1-18; Ps 42; J 10, 11-18;
Wtorek: Dz 11, 19-26; Ps 87; J 10, 22-30;
Środa, uroczystość NMP, Królowej Polski: Ap 11, 19a; 12, 1-6a. 10ab; Ps: Jdt 13, 18b-20a; Kol 1, 12-16; J 19, 25-27;
Czwartek: Dz 13, 13-25; Ps 89; J 13, 16-20;
Piątek: Dz 13, 26-33; Ps 2; J 14, 1-6;
Sobota: 1 Kor 15, 1-8a; Ps 19; J 14, 6-14;
5. niedziela wielkanocna: Dz 6, 1-7; Ps 33; 1 P 2, 4-9; J 14, 1-12;
Poniedziałek, uroczystość św. Stanisława: Dz 20, 17-18a. 28-32. 36; Ps 100; Rz 8, 31b-39; J 10, 11-16;
Wtorek: Dz 14, 19-28; Ps 145; J 14, 27-31a;
Środa: Dz 15, 1-6; Ps 122; J 15, 1-8;
Czwartek: Dz 15, 7-21; Ps 96; J 15, 9-11;
Piątek: Dz 15, 22-31; Ps 57; J 15, 12-17;
Sobota: Dz 16, 1-10; Ps 100; J 15, 18-21;
6. niedziela wielkanocna: Dz 8, 5-8. 14-17; Ps 66; 1 P 3, 15-18; J 14, 15-21.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

FUNDUSZ REZERWY PARTYJNEJ

Fundusze celowe, agencje i instytuty, namnożone przez Prawo i Sprawiedliwość, przejadają pieniądze przeznaczone na naszą przyszłość. Służą gaszeniu społecznych pożarów i bezpośrednio ludziom władzy.

STEFAN SĘKOWSKI

Długą drogę muszą przejść pieniądze przeznaczone na trzynaste emerytury, zanim trafią do beneficjentów. Formalnie wypłaci je Zakład Ubezpieczeń Społecznych. On nie ma jednak tych pieniędzy, gdyż środki z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych idą tylko na regularne emerytury. I dlatego wprowadzając w 2019 r. dodatki dla seniorów, politycy zdecydowali, że uszczkną na ten cel nieco środków z założonego rok wcześniej Funduszu Solidarnościowego. Tyle że obecnie w nim także nie ma wystarczających sum. Premier Mateusz Morawiecki zdecydował więc, że przeniesie kasę „z jednej kieszeni do drugiej". I sięgnął do Funduszu Rezerwy Demograficznej, który ma udzielić FS na ten cel 5 mld zł nieoprocentowanej pożyczki.

Wydmuszka z solidarności

Na całe szczęście FRD nie potrzebuje tych środków na bieżąco, bo musiałby się za-

MACIEJ WITKOWSKI / REPORTER

pożyczyć w kolejnym funduszu celowym. Może w Kolejowym, może Pracy, bo dlaczego nie? Tak samo jak ich, Funduszu Rezerwy Demograficznej nie założono przecież po to, by płacił seniorom dodatkowe pieniądze. Powstał w 2002 r., ponieważ politycy reformujący system emerytalny wykazali się długofalowym myśleniem. FRD miał dbać o to, byśmy jako wspólnota dysponowali w przyszłości środkami mającymi załatać lukę w systemie emerytalnym, spowodowaną złą sytuacją demograficzną. Instytucja obracała pieniędzmi uzyskanymi m.in. ze składki emerytalnej oraz wpływów z prywatyzacji, gdy jeszcze sprzedawaliśmy państwowe przedsiębiorstwa. Inwestowała je rozważnie, głównie w obligacje, częściowo w akcje spółek giełdowych. Dzięki temu rokrocznie osiągała stopę zwrotu konkurencyjną wobec wyników Otwartych Funduszy Emerytalnych czy prywatnych funduszy inwestycyjnych.

Politycy rychło połasili się na te pieniądze. Już w 2010 r. rząd PO-PSL pożyczył 7,5 mld zł na potrzeby załatania dziury w Funduszu Ubezpieczeń Społecznych. Potem przyszły kolejne trzy pożyczki, na łączną kwotę 17,9 mld zł – i wówczas politycy PiS krytykowali ten ruch. Jednak partia obecnie rządząca zdążyła nas już przyzwyczaić, że gdy wytyka konkurencji jakąś patologię, to później podnosi ją do kwadratu. Już w 2019 r. sięgnęła po pieniądze z FRD, by po raz pierwszy przeznaczyć je na emeryckie „trzynastki" i „czternastki", które formalnie nie mają nic wspólnego z emeryturami, tylko są ustawowym dodatkiem, równym dla wszystkich, niezależnie od wysokości ich zasadniczego świadczenia.

Od tamtego czasu politycy PiS sięgali do FRD już dwukrotnie. I za każdym razem mówili, że to pożyczka. Tyle że pierwszą transzę rządzący już umorzyli, co oznacza, że pieniądze te na konto Funduszu nigdy nie wrócą (dysponujący środkami ZUS nie miał tu nic do gadania). A kolejna pula, nawet jeśli zostanie oddana, również oznaczać będzie drenowanie FRD z pieniędzy, gdyż pożyczka jest nieoprocentowana. W sytuacji, w której w marcu 2023 r. inflacja wyniosła rok do roku 16,2 proc., oznacza to znaczącą realną utratę wartości środków. Zamiast je inwestować po to, byśmy mieli ich więcej na przyszłe emerytury, politycy wydają je na przedwyborcze prezenty dla osób starszych, wśród których jest najwięcej zwolenników PiS.

Jak wskazuje „Rzeczpospolita", od 2010 r. wyciągnięto z FRD 49,5 mld zł. Tymczasem pod koniec 2023 r. Fundusz ma mieć na koncie, według optymistycznych prognoz, w sumie ok. 62 mld zł.

Także Fundusz Solidarnościowy, który pożycza formalnie pieniądze od FRD, nie powstał po to, by wypłacać „trzynastki". Rządzący PiS założył go po protestach osób niepełnosprawnych w 2018 r., oficjalnie po to, by uczynić zadość ich postulatom. Pierwotnie nazywał się Solidarnościowy Fundusz Wsparcia Osób Niepełnosprawnych i miał w całości być przeznaczany na ich potrzeby. Środki trafiały tam ze składek płaconych ZUS oraz z daniny solidarnościowej – *de facto* podatku nałożonego na Polaków zarabiających powyżej 1 mln zł rocznie. Ale już rok później PiS przemianował go na Fundusz Solidarnościowy i dał nowe obowiązki, takie jak wsparcie emerytów i rencistów. W 2021 r. ponad 70 proc. środków, jakimi dysponował, poszło na dodatki dla emerytów. Krótko mówiąc: PiS najpierw założył fundusz, by uspokoić nastroje protestujących, a potem zrobił z niego wydmuszkę.

W 2021 r. ok. 10 proc. budżetu Funduszu Patriotycznego przeznaczono na wsparcie organizacji zajmujących się Marszem Niepodległości. Na zdjęciu: uczestnicy marszu pod hasłem „Polak w Polsce Gospodarzem". Wrocław, 11 listopada 2022 r.

Krótka historia dojenia

„Z pojęciem funduszu wiąże się zamiar zużycia przekazanych mu środków na określony cel; tymczasem okazuje się, że środki funduszu są pożyczane lub odstępowane innym funduszom; odbywa się ciągłe przesuwanie środków pomiędzy funduszami państwowymi, państwowymi instytucjami kredytowymi i innymi podmiotami. (...) Po co tworzyć fundusze z określonym ściśle celem, wyposażać je w określone środki, skoro jedne odstępują swe środki innym?" – pytał retorycznie przedwojenny ekonomista Henryk Tennenbaum w wydanej w 1935 r. książce „Struktura gospodarstwa polskiego". Problem nie jest, jak widać, nowy.

Formalnie fundusze celowe, które można tworzyć bez ograniczeń, służą elastyczniejszemu wykorzystaniu środków publicznych na realizację konkretnych zadań. Nie są wliczane do wydatków budżetowych, a o ich wydaniu decyduje minister i ludzie od niego zależni, bez konieczności nowelizacji ustawy budżetowej. To plusy rozwiązania – pod warunkiem, że się tego narzędzia nie nadużywa. Jednak politycy zyskują pokusę, by upychając w funduszach różnego rodzaju wydatki, unikać zagrożenia płynącego z wysokiego deficytu.

Tak było już za sanacji, tak było za „komuny" (problemy z nieprawidłowym wykorzystywaniem środków z Funduszu Kościelnego zaczęły się już wtedy – finansowano z nich m.in. Centralną Szkołę Partyjną przy KC PZPR), i tak jest od zarania III RP. Najbardziej spektakularnym przykładem była afera związana z Funduszem Obsługi Zadłużenia Zagranicznego (powołanego ustawą jeszcze w lutym 1989 r.). FOZZ miał obsługiwać ogromny, jak na możliwości ówczesnego państwa polskiego, dług w dolarach. Korzystał z tego, że wierzyciele obawiali się niewypłacalności Polski, przez co dług na rynku wtórnym miał bardzo niską wartość. Jednak państwom-dłużnikom nie wolno było go skupować. W związku z tym upadające komunistyczne władze zdecydowały, że robić to będą podstawione firmy i osoby, za fundusze udostępniane przez FOZZ. ↦

Zdecydowana większość środków „rozpłynęła" się, trafiając do spółek, które żadnych długów nie kupiły. Nie było to zjawisko odosobnione. Na mniejsze bądź większe nadużycia w licznych instytucjach (Państwowym Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych, Funduszu Leśnym czy Narodowym Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej) zwracała uwagę już w latach 90. Najwyższa Izba Kontroli.

Patologie występujące w polskich funduszach celowych są objawem szerszego zjawiska, jakim jest krótkowzroczne i doraźne działanie polityczne. Paradoksalnie – udające projekty dalekosiężne. Wiele z omawianych funduszy miało bowiem za zadanie realizować długoterminowe plany państwa, a zostało bezwzględnie wydrenowanych. Przykładowo, pieniądze zgromadzone w Funduszu Reprywatyzacji, które miały służyć wypłacaniu odszkodowań za bezprawnie zawłaszczone przez państwo mienie, posłużyły PiS do swoistej renacjonalizacji, a dokładnie do wykupu akcji spółek zależnych od państwa, takich jak Polska Grupa Zbrojeniowa, Polski Holding Hotelowy czy Centralny Port Komunikacyjny. O ironio, środki, jakimi dysponował fundusz, pochodziły w dużej mierze z wpływów z wcześniejszej... prywatyzacji. Jak wskazuje „Rzeczpospolita", w latach 2019-2022 na ten cel przeznaczono z FR ponad 10 mld zł. Za rządów PiS środki z funduszu zasiliły także PGE czy Gaz-System, których akcje fundusz zakupił, a nawet media publiczne, którym pożyczył pieniądze. W ten sposób obecny rząd wydoił Fundusz Reprywatyzacji niemal do cna – pod koniec ubiegłego roku w jego posiadaniu było ok. 5 mld zł, w tym 3,2 mld w papierach skarbowych.

Paśnik dla polityków

Choć drenowanie funduszy miało miejsce również przed 2015 r., rząd PiS doprowadził je do perfekcji. Od początku swoich rządów utworzył łącznie 16 nowych funduszy (nie licząc dziesiątek agencji i instytutów), które służą mu do ukrywania wydatków budżetowych.

Pieniądze, o których mówimy, idą też często na cele partyjne. Służy temu rozciąganie ich celów do granic możliwości. Jak wskazywała w 2021 r. NIK, kontrolowany przez resort Zbigniewa Ziobry Fundusz Sprawiedliwości – założony jeszcze w 2012 r. jako Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej – wydaje pieniądze w dużej mierze niezgodnie z przeznaczeniem: na promocję działań ministerstwa, dofinansowanie szpitali czy straży pożarnych. Zawsze można powiedzieć, że opieka zdrowotna i OSP likwidują nierzadko skutki przestępstw, więc wszystko jest w porządku. Gorzej, jeśli 43 mln zł trafiają do księdza znanego kiedyś z egzorcyzmowania wegetarian za pomocą salcesonu, a dziś rzekomo eksperta od pomagania ofiarom przemocy domowej, dla których buduje ekskluzywny ośrodek. Znajdzie się w nim (jak twierdzi OKO.press) m.in. pięć studiów nagraniowych...

> PiS zdążył nas już przyzwyczaić, że gdy **wytyka konkurencji jakąś patologię, to później podnosi ją do kwadratu.** W ten sposób znalazły się pieniądze na trzynastki dla emerytów.

Poważne wątpliwości budzą też wydatki z Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych. Jak wynika z opracowania Jarosława Flisa i Pawła Swianiewicza, gminy poniżej 24 tys. mieszkańców, w których rządzą włodarze z PiS, otrzymały w 2020 i 2021 r. dziesięciokrotnie więcej pieniędzy w przeliczeniu na mieszkańca niż gminy rządzone przez osoby związane z partiami tworzącymi opozycyjny blok senacki.

Z tymi patologiami nikt nie walczy. Nowo utworzony Fundusz Rozwoju Regionalnego ma formalnie służyć „organizacji inicjatyw służących promowaniu społeczno-gospodarczego, regionalnego i przestrzennego rozwoju kraju, rozwoju społeczności lokalnych lub wzmacnianiu społeczeństwa obywatelskiego". Jednak zdaniem anonimowych źródeł „Dziennika Gazety Prawnej" może być on wykorzystywany do finansowania wyjazdów ministrów i urzędników do miejscowości, w których w świetle fleszy będą wręczać, w ramach nieformalnej kampanii wyborczej, symboliczne czeki miejscowym beneficjentom środków europejskich.

Szczególnym przykładem jest tu Fundusz Patriotyczny, zarządzany przez Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej, podlegający Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Ma on „za zadanie realizację polityki pamięci w zakresie historii i dziedzictwa Polski, w tym dorobku polskiej myśli społeczno-politycznej, ze szczególnym uwzględnieniem myśli narodowej, katolicko-społecznej i konserwatywnej". Już sam opis świadczy o stronniczości i nakierowaniu funduszu na wspieranie głównie inicjatyw prawicowych. I trzeba przyznać, że ze swoich zadań wywiązuje się wzorcowo. W 2021 r. ok. 10 proc. całego budżetu przeznaczono na wsparcie organizacji zajmujących się Marszem Niepodległości – Stowarzyszenia Marsz Niepodległości oraz Straży Narodowej. Paradoksalnie, tak potężne dotacje nie podobają się części narodowców, którzy widzą w tym próbę obłaskawienia przez PiS swojego zaplecza. „Od kilku lat obserwujemy próbę wykupienia Marszu Niepodległości za pomocą grantów i pieniędzy rządowych, wpływania i kupowania sobie ludzi w Stowarzyszeniu czy nawet prezesa" – krytykował ten stan rzeczy poseł Konfederacji Robert Winnicki.

Rok później, w ramach edycji 2022 najwięcej pieniędzy na projekty przyznano – po milionie – fundacjom powiązanym z politykami PiS (Fundacja Instytut Poznański, Fundacja Inicjatyw Młodzieżowych), Fundacji Rodziny Witaszków (biznesmenów o konserwatywnych poglądach, współpracujących m.in. z Ordo Iuris), założonej przez Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Fundacji dla Młodzieży, Stowarzyszeniu Harcerstwa Katolickiego „Zawisza" oraz Fundacji Szansa dla Niewidomych.

Problem nie leży w tym, że pieniądze na swoje inicjatywy otrzymują organizacje o profilu prawicowym czy katolickim, które nierzadko prowadzą pożyteczną działalność. Ale fakt, iż pomoc dostają niemal wyłącznie takie – i to przy podkreśleniu ich ideowej proweniencji jako oficjalnej przyczyny uprzywilejowania – głęboko psuje naszą kulturę polityczną. Służy politykom do budowania własnej pozycji wyborczej na publicznym pieniądzu i do obłaskawiania środowisk pokrewnych ideowo. Tworzy także napędzany grantami „przemysł patriotyczny", co w dłuższej perspektywie zaszkodzi samej idei.

PIOTR MOLĘCKI / EAST NEWS

Inauguracja Collegium Intermarium, uczelni Ordo Iuris, związanej z Fundacją Rodziny Witaszków. Na zdjęciu: minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek. Warszawa, 28 maja 2021 r.

Nie jest to także myślenie łączące oraz tworzące instytucje, które mogłyby przetrwać dekady. Raczej jest to betonowanie systemu, który Jarosław Kaczyński kiedyś słusznie określił mianem TKM, choć wtedy mało kto przypuszczał, iż nie jest to krytyka działania poprzedników, a jego własny postulat programowy. Patronami Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej są Roman Dmowski i Ignacy Jan Paderewski. Ale gdy do władzy dojdą ideowi antenaci Ignacego Daszyńskiego czy Wincentego Witosa, będą zapewne chcieli przekierować strumień środków do organizacji powiązanych ze sobą. I odciąć od nich dotychczasowych beneficjentów, z którymi często (jak w przypadku Marszu Niepodległości) są głęboko skłóceni. Po prawej stronie sceny politycznej będzie wtedy płacz i zgrzytanie zębami.

Pazerność szkodzi zdrowiu

PiS rozdął w ostatnich latach zarówno stałe wydatki budżetowe, jak i aspiracje Polaków. A pieniędzy na ich zaspokojenie, jak też realizację podstawowych usług publicznych, jest coraz mniej. Brakuje zwłaszcza środków z Krajowego Planu Odbudowy, co powoduje, że rządzący poczynają sobie coraz bardziej panikarsko. To zaś może się skończyć tragicznie. Ostatnio wzięli na cel nawet Narodowy Fundusz Zdrowia (nie jest to formalnie fundusz celowy, ale to nie ma znaczenia). Ten, mimo ogromnych wyzwań, jakie przed nim stoją, wypracował w 2021 r. rekordową nadwyżkę ponad 10 mld zł. Złożyły się na to przede wszystkim dwa czynniki, niekoniecznie pozytywne. Z jednej strony, do NFZ wpłynęło więcej pieniędzy ze składek dzięki wyższemu niż zakładano wzrostowi gospodarczemu. Z drugiej, plany kosztów świadczeń opieki zdrowotnej zrealizowano w ok. 94 proc., na co wpływ mają np. braki kadrowe, jeśli chodzi o specjalistów.

Nie uszło to uwadze rządzących, którzy postanowili, że NFZ przekaże w tym roku 5,5 mld zł Funduszowi Przeciwdziałania COVID-19. Na pierwszy rzut oka cele obu instytucji są zbieżne. Ale w 2022 r. większość pieniędzy z funduszu covidowego nie poszło na ochronę zdrowia, tylko m.in. na dodatki węglowe i rekompensaty dla firm ciepłowniczych, bezzwrotne finansowanie inwestycji publicznych, a nawet na bony wakacyjne. Rządzący bardzo szeroko zarysowali zakres kompetencji funduszu, które nie mają już zbyt wiele wspólnego z działaniami antypandemicznymi.

Ponadto Ministerstwo Zdrowia stara się oszczędzać kosztem NFZ. W ramach nowelizacji ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty oraz niektórych innych ustaw z 16 listopada 2022 r. przesunęło na NFZ obowiązek płacenia za ratownictwo medyczne, za część leków dla seniorów (program „Leki 75+") i ciężarnych kobiet („Ciąża+") oraz za niektóre świadczenia wysokospecjalistyczne. Jednocześnie nie przekazano na to funduszowi żadnych środków.

Dzięki takiemu przerzucaniu kosztów rządzący mogą się chwalić niskim deficytem, ale zarazem tracimy środki, które powinny służyć zabezpieczeniu naszej opieki zdrowotnej. Problem wypychania wydatków do funduszy i pożyczanie „z kieszeni do kieszeni" nie polega więc na tym, że później źle to wygląda w tabelkach. To sposób na marnowanie miliardów złotych i wykorzystywanie ich dla partyjnej propagandy.

O tym, że można te pieniądze wykorzystać dużo lepiej, świadczy los norweskiego Rządowego Globalnego Funduszu Emerytalnego. W 1990 r. tamtejsi politycy zdecydowali, że wpływy uzyskiwane przez państwo dzięki złożom ropy przeniosą za granicę, dzięki czemu w przyszłości łatwiej będzie wypłacać emerytury starzejącemu się społeczeństwu. Od tamtego czasu fundusz zainwestował w ponad 9 tys. spółek na całym świecie (w Polsce m.in. PKO BP, Orlen i Dino). Przede wszystkim w akcje (70 proc. portfela) i obligacje (28 proc.). Po ubiegłorocznych spadkach dysponował aktywami o równowartości 5,5 bln zł (roczne dochody polskiego państwa wynoszą niewiele ponad 10 proc. tej sumy). To potężna poduszka na czas kryzysu systemu emerytalnego.

Nam niestety odkrycie potężnych złóż cennych surowców raczej nie grozi. A wpływy z prywatyzacji zdążyliśmy już przejeść. „Norweskiego" sukcesu nasze fundusze nie osiągną. Aby jednak zarządzanie nimi miało ręce i nogi, należałoby ratować to, co się jeszcze uda. A to oznacza konieczność utrudnienia politykom wyciągania pieniędzy z funduszy na własne cele. Większość z nich należy z powrotem wkomponować w budżet, by zarządzający nimi ministrowie nie mogli tak swobodnie rozporządzać zgromadzonymi w nich milionami. Ale do tego potrzebna jest zmiana myślenia o polityce, na której przeszkodzie stoi logika walki politycznej. Istnienie każdego tego typu funduszu to okazja do zatrudnienia osób podczepionych pod rządzących. A każdy wydatek to możliwość kręcenia spotów czy robienia sobie zdjęć z (tekturowym) czekiem wręczanym szczęśliwym beneficjentom. Propaganda i kupowanie elektoratu wydaje się wciąż łatwiejsze od przekonywania obywateli do swych racji.

© STEFAN SĘKOWSKI

Homo silesius

ZBIGNIEW ROKITA

W spisie powszechnym padło blisko 600 tys. deklaracji śląskiej narodowości. Oznacza to, że Ślązacy stanowią 1,5 proc. populacji Polski. Jest ich więcej niż mieszkańców Malty czy Islandii.

Według wstępnych wyników spisu powszechnego Ślązacy są najliczniejsi wśród mniejszości etnicznych i narodowych w Polsce – podobnie było zresztą we wszystkich spisach w XXI w. Ślązaków i Ślązaczek jest 586 tys., więcej niż wszystkich pozostałych mniejszości razem wziętych (na drugim miejscu byli Kaszubi – 177 tys., na trzecim Niemcy – 132 tys.). W świetle polskiego prawa śląska mniejszość etniczna wciąż jednak nie istnieje; jej status jest równy wikingom lub elfom.

Na te dane trzeba było czekać przeszło półtora roku. Ruch Autonomii Śląska urządził nawet zbiórkę liczydeł dla Głównego Urzędu Statystycznego, żeby pomóc w rachowaniu. 11 kwietnia w końcu się pojawiły, choć wciąż nie są to wyniki ostateczne. Poza tym ostatnia ich transza dotyczy tylko dwóch kwestii: podziału etniczno-narodowościowego Polski oraz języków używanych w kontaktach domowych. Nie ma więc informacji m.in. o rzeczywistym odsetku katolików w Polsce. Tymczasem to właśnie ona, ujawniona przed jesiennymi wyborami mogłaby wywołać trzęsienie ziemi – w przeciwieństwie do odsetka Ślązaków czy Kaszubów, które zapewne interesują głównie Ślązaków i Kaszubów.

Martwe dusze

Te 586 tys. Ślązaków to liczba ekumeniczna, zadowala wszystkich. Śląskoentuzjaści cieszą się, że to nie tak znowu mało, śląskosceptycy, że nie tak znowu dużo (1,5 proc. można uznać za błąd statystyczny) i że sporo Ślązaków się przez ostatnią dekadę gdzieś po drodze wygubiło.

Wyniki ostatniego spisu są jednak zniekształcone, a liczba Ślązaków prawdopodobnie zaniżona. Stało się tak, bo zadeklarowanie narodowości śląskiej wymagało wysiłku i wiedzy. W spisie pod pytaniem o narodowość było do wyboru 14 opcji: tożsamość polska oraz 13 uznanych ustawowo mniejszości – m.in. liczący kilkaset dusz Karaimowie. Nie było wśród nich Ślązaków. Aby zadeklarować się jako Ślązak, należało kliknąć w pole „Inne" i samodzielnie wpisać narodowość.

W dniu ogłoszenia wyników w rozmowie z PAP mówiła o tym prof. Małgorzata Myśliwiec z Uniwersytetu Śląskiego: „Z pewnością biorąc pod uwagę stopień trudności związany z zadeklarowaniem narodowości śląskiej, można uznać te wyniki za sukces". Depeszę zacytowały czołowe polskie media, artykuły z wypowiedziami Myśliwiec wciąż wiszą w sieci. PAP prędko postanowił newsa o sukcesie Ślązaków jednak usunąć, coś takiego wydarza się rzadko i jedynie w szczególnych przypadkach. Gdy próbuję wejść na ową depeszę, zatytułowaną „Ekspertka: wyniki spisu powszechnego sukcesem Ślązaków", na stronie PAP wyświetla się komunikat: „Odmowa dostępu".

Nie, Ślązacy nie są w Polsce prześladowani. Nikt ich z powodu pochodzenia nie więzi, nie bije, nie wyrzuca z pracy. Ślązacy są jednak, powiedzmy, dyskryminowani pluszowo, przez zaniechanie. Państwo wzięło ich na przeczekanie (pewnie nieświadomie, wątpię, aby w Warszawie istniał plan wyniszczenia Ślązaków).

Czas nie działa bowiem na korzyść Ślązaków. Prędzej czy później wyginą. Proces ten potrwa jednak nieco dłużej, jeśli państwo polskie weźmie ich pod ochronę. Taką ochroną byłoby przyznanie im statusu mniejszości etnicznej, a to wymagałoby „aż" uznania pół miliona ludzi twierdzących, że są Ślązakami, za poczytalnych i potrafiących ze zrozumieniem wypełniać formularze.

Wiosna i jesień

Ale Ślązacy nie czekają z założonymi rękami na zmiłowanie Warszawy. Pomiędzy dwoma ostatnimi spisami na Śląsku wydarzyło się dużo, aby kultura śląska nie tylko przetrwała, ale i się rozwijała.

Spis z 2011 r. i 847 tys. śląskich deklaracji (wynik przerósł najśmielsze oczekiwania wszystkich) był symbolicznym początkiem górnośląskiej wiosny, a dekada między spisami 2011 i 2021 była czasem umocnienia i emancypacji śląskiej tożsamości. Śląsk się upodmiotawiał.

Przez blisko dwie kadencje województwem śląskim współrządził mający swoje blaski i cienie Ruch Autonomii Śląska. Literatura śląska i literatura o Śląsku wypłynęła na szerokie wody, zaczęła tłumaczyć region tak Ślązakom, jak Polakom. Uczyła się przekładać swoje doświadczenie na język uniwersalny, a badacze i badaczki rozprawiali się z kolejnymi białymi plamami w miejscowej historii.

MACIEJ JARZĘBIŃSKI / FORUM

Happening mniejszości śląskiej pod Spodkiem w Katowicach.

Śląskość coraz bardziej się popkulturyzowała, jednocześnie była to popkultura coraz dalsza od bercikowania, wiców i krupnioków. Śląska kultura stawała się coraz atrakcyjniejsza, a cały region stawał się coraz przyjemniejszym miejscem do życia. Śląsk powoli wyjmował sztil z rzyci.

Górnośląska wiosna w ostatnich latach zmieniała się jednak powoli w górnośląską jesień; miejsce romantyzmu zastąpił pozytywizm, który może i jest cenniejszy, ale mniej spektakularny. Trochę pary uszło, gdy okazało się, że nie uda się załatwić żadnego z trzech wielkich postulatów części śląskiej inteligencji (podkreślmy: części): przywrócenia międzywojennej autonomii, uznania śląszczyzny za język, a samych Ślązaków za mniejszość etniczną. Zmieniła się atmosfera nie tylko w Polsce, ale i w Europie, okno możliwości dla regionów w Europie Środkowo-Wschodniej nieco się przymknęło.

Śląska inteligencja nie wykrzesała z siebie dostatecznie silnej reprezentacji politycznej, różne miejscowe środowiska osuwały się w swary, ruch się nie instytucjonalizował, Ślązacy nie potrafili załatwić swoich spraw. Region wciąż nie wykorzystał też szansy, aby wymyślić siebie na nowo i stać się awangardą polskiej dyskusji w tematach, do których jest predestynowany – dyskusji regionalistycznej czy ekologicznej.

Ukryte opcje

W porównaniu do spisu powszechnego z 2011 r., obecne 586 tys. deklaracji narodowości śląskiej to spadek – o 271 tys. dusz, czyli ok. 30 proc. Ale w Europie Środkowo-Wschodniej mniejszości co do zasady ubywa.

Jest ich – nas – coraz mniej głównie dlatego, że się polonizujemy. Nie z czyjejś winy ani zasługi, to naturalny proces rozmywania mniejszych organizmów w większych. Polonizuje się śląski język, pamięć, obyczaj. Tożsamościowe rekonkwisty, które odwracają takie tendencje – jak u Walijczyków – są rzadkie.

Coś jest jednak wyjątkowego w tym śląskim losie.

Ślązaków może bowiem ubywać, ale może i przybywać. Między spisami 2002 i 2011 śląskich deklaracji znacznie przybyło, między spisami 2011 i 2021 – ubyło. Mniejszość śląska jest wahliwa i w kolejnym spisie może być jej znowu więcej. Śląski strumyczek czasem podsycha, a czasem zmienia się w rwący potok, bywa że i rzekę.

Nurzająca się w etnonacjonalizmie śląskość mimo wszystko staje się bowiem tożsamością coraz bardziej pojemną. Jako Ślązacy określali się nie tylko ludzie „z korzeniami" czy znający język, ale też tzw. Nowi Ślązacy – ludzie, którzy identyfikują się z kulturą śląską, z miejscem, i na własnych zasadach wybierają dla siebie tę tożsamość. Śląskość nie jest już wyłącznie kategorią etniczną, ale też obywatelską.

W przyszłości za Ślązaków będzie się też zapewne uważać coraz więcej osób spośród ponad 100-tysięcznej mniejszości niemieckiej. Województwa opolskie i śląskie to jedyne dwa polskie województwa, w których odsetek mniejszości przekracza 10 proc. (w obu przypadkach wynosi ok. 13 proc.). W rzeczywistości to nie Ślązacy są ukrytą opcją niemiecką, ale Niemcy z Opolszczyzny ukrytą opcją śląską – trudno znaleźć bowiem na Opolszczyźnie Niemca, który nie uważałby się za Ślązaka. Mniejszość śląską od niemieckiej różni jednak m.in. to, że Ślązacy nie mają nigdzie na świecie państwa, gdzie ich ziomkowie byliby większością.

Dwie polskości

Ja sam czuję się i Ślązakiem, i Polakiem. Polakiem może przestanę kiedyś być, bo moja śląskość jest coraz bardziej wobec polskości konkurencyjna, ale nawet w takim przypadku zawsze będę co najmniej Postpolakiem – zawsze polska siatka mitów, wyobrażeń i polski język będą organizować moją wyobraźnię. Pisząc to jestem i ptakiem, i ornitologiem, i dlatego zastanawiam się, jak w takim razie miałbym się w spisie kiedyś spisać? Moja polskość zresztą już dziś jest inna niż polskość warszawska czy krakowska, ↦

tak jak tamte polskości są inne niż polskość z Wileńszczyzny. Cenzusy na takie niuanse wrażliwe nie są.

A na znaczący wszystko i nic szyld „śląska tożsamość" składa się jeszcze więcej postaw i dlatego nie jestem przekonany, czy polski spis dysponuje w ogóle narzędziami, aby Ślązaków policzyć oraz jak mielibyśmy odczytać ten czy inny wynik. Różne osoby deklarując śląską narodowość deklarują różne rzeczy.

Dla niektórych – to mniejszość – śląska narodowość to deklaracja przynależności do narodu śląskiego. Inni śląskość przeżywają bardziej lokalnie, nie czują związku ze wszystkimi Ślązakami i Ślązaczkami, a jeszcze inni przeżywają ją jako doświadczenie parareligijne i indywidualne. Czasem zadeklarowanie śląskości jest ludziom potrzebne np. do wyrażenia gniewu czy dumy. Niejeden chce wyrazić to, że nie jest Polakiem, odczuwa śląską odrębność, ale nie do końca wie, na czym ona polega. „Za mało na naród, a za dużo na to, żeby nas ta osobność nie uwierała" – słyszymy w spektaklu teatralnym „Nikaj" w Teatrze Zagłębia na temat Ślązaków, którzy lecą na Marsa, aby stworzyć tam rasę *homo silesius* i własny świat, *silesius mundi*.

Niedopolacy

Kolejne spisy pokazują, że większość Ślązaków łączy dziś swoją śląskość z polskością – choć każdy na własnych warunkach. Dla ogromnej części Ślązaków śląskość jest jednak konkurencyjna wobec polskości. Nie wiemy jeszcze, jaki odsetek Ślązaków zadeklarował wyłącznie narodowość śląską, ale wiemy, że 40 proc. zadeklarowało ją jako narodowość pierwszą. To kilkukrotnie więcej niż choćby w przypadku Kaszubów, którzy znacznie ściślej wpisują swoją kaszubskość w polskość.

Ale największe emocje budzą zawsze te rzesze Ślązaków, którzy bądź czują się bardziej Ślązakami niż Polakami, bądź czują się wyłącznie Ślązakami. Znaczna część Ślązaków to „tutejsi", których część (miliony wyjechały z regionu w XIX i XX w., pozostali do dzisiaj stanowią resztkę) przedryfowała przez ostatnie 150 lat nie zapisując się do żadnych większych narodów. To lud dziwny, którego tak różne systemy, jak sanacja, nazizm czy stalinizm, zawsze uznawały za

Ślązacy to lud dziwny, którego tak różne systemy jak sanacja, nazizm czy stalinizm – zawsze uznawały za część narodu panującego, choć za część niepewną. Za Niedopolaków lub Niedoniemców.

część narodu panującego, choć za część niepewną, za Niedopolaków czy Niedoniemców. Śląska krowa zawsze pasła się na iluś tam łąkach, i dopiero od niedawna próbuje sobie wykroić swój własny kawałek, starając się opowiedzieć nie z perspektywy Warszawy czy Berlina, ale swojej własnej. Pełga więc śląska emancypacja kulturowa, mentalna dekolonizacja, choć Ślązakom trudno emancypować się od Polaków, bo z kolejnymi pokoleniami są do nich coraz bardziej podobni. Jako się rzekło, zachodzą dwa procesy jednocześnie: kulturowego upodmiotowiania Ślązaków i ich rozcieńczania się w polskości.

Godka

GUS podał też wyniki dotyczące języka kontaktów domowych. Śląski znalazł się tu na trzecim miejscu – po polskim i angielskim. Posługuje się nim blisko pół miliona osób.

Dlatego dziś ideą, wokół której ogniskuje się najwięcej emocji śląskiej inteligencji, jest właśnie postulat uznania godki za język i nadania jej takiego statusu, jaki ma kaszubszczyzna – języka regionalnego, który otrzymywałby finansowanie z budżetu państwa. Obecnie wszystkie siły polityczne w kraju – poza PiS i Konfederacją – deklarują, że to uczynią, a bawiący niedawno na Śląsku Donald Tusk po raz kolejny wyraźnie to obiecał. O statusie mniejszości politycy nie mówią zbyt chętnie.

W nieskończoność można debatować, czy śląski jest językiem, czy dialektem. Na pewno nie jest gwarą, wystarczy przeczytać w słowniku, jaka jest gwary definicja. Jednak zaakceptowanie ślązczyzny bądź jako języka, bądź dialektu jest sprawą uznaniową i zarazem kwestią decyzji politycznej. Ślązczyzna swoją robotę już wykonała. Została skodyfikowana, udowodniła, jak wiele udźwignie – dorobiła się znakomitych przekładów. Od Ajschylosa po Tolkiena, po śląsku wyrazić można wszystko.

Na rozgrzewkę

Ale to w dużej mierze inteligenckie rozważania, w których większość mieszkańców regionu nie uczestniczy. Dyskusja o śląskiej tożsamości czy kolejnym muzycznym festiwalu nie wszystkim spędza sen z powiek. Nie jest tak, że cały Śląsk jest w stanie wzmożenia, a gdyby spytać Ślązaków na ulicy, jaki status mają oni sami oraz ich język – mało kto by wiedział.

Niemniej Śląsk to jedno z miejsc, gdzie spis powszechny budzi największe zainteresowanie. To zrozumiałe: interesuje przede wszystkim grupy wykluczone i mniejszościowe – od głuchych przez mniejszości seksualne, po etniczne i narodowe. Spis powszechny ze swoją metodologią jest więc sprawdzianem dla władz, na ile inwentaryzując obywateli są wyczulone na niuans, którym mniejszości zawsze są. To jest wyzwanie zwłaszcza w takim kraju jak Polska, gdzie wciąż pokutuje przekonanie o homogenicznym społeczeństwie. Tymczasem Polska się przepoczwarza, a odsetek mieszkańców o narodowości innej niż polska po raz pierwszy od wielu lat zbliża się do 10 proc. – choć nie za sprawą Ślązaków, a głównie Ukraińców. Część z nich pozostanie tu na dłużej, przyjmie polskie obywatelstwo, zacznie głosować w wyborach, zabierać głos w sprawie treści szkolnych podręczników. Ślązacy są więc dla przysłowiowej Warszawy rozgrzewką przed licznymi wyzwaniami, przed którymi stanie i tak w najbliższych latach wraz z tworzeniem się coraz bardziej wielokulturowego społeczeństwa.

Polskości nic przez to nie grozi. Polskość jest w stanie udźwignąć śląski niuans. © ZBIGNIEW ROKITA

Autor jest pisarzem i dziennikarzem, specjalizującym się w tematyce Europy Wschodniej i Górnego Śląska. Laureat Nagrody Literackiej Nike za „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku". Stale współpracuje z „TP".

W stronę domu

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

RYSZARD IZDEBSKI, PSYCHOLOG KLINICZNY, PSYCHOTERAPEUTA:

Doszło do odwrócenia koła historii. Wrócił trend hospitalizowania dzieci i nastolatków. Dla mnie to smutne. Przezwyciężenie oporu do leczenia ludzi w domach, w ich środowisku, wymagało wysiłku.

ANNA GOC: Dlaczego warto pojechać do domu pacjenta?

RYSZARD IZDEBSKI: Odpowiem przykładem z przeszłości. Uczennica podstawówki miała zaburzenia depresyjne. Pojechaliśmy do niej z zespołem leczenia domowego. Mieszkała na wsi. W domu zastaliśmy pacjentkę i jej matkę, ale nie było ojca, który pracował jako wozak. Czekaliśmy. Już się ściemniało, gdy usłyszeliśmy stukot kopyt. Zagadnąłem kobietę, jakiej maści są konie męża. Odpowiedziała, że nie wie. Wyszedłem na zewnątrz, przywitałem się z panem i zapytałem, czy mogę z nim odprowadzić konie. On przeprosił, że musieliśmy czekać, jechał z daleka.

Czy czas psychoterapii środowiskowej nie jest limitowany?

Zwykle jest, ale wtedy czekaliśmy, aż cała rodzina będzie w komplecie. W końcu zaczęliśmy rozmowę. Mężczyzna wyznał, że czuje, iż jego żona pogardza nim, odkąd obroniła pracę magisterską. A on nie zmieni pracy – nie odda koni do rzeźni, bo to są jego przyjaciele. Kobieta odpowiedziała, że szanuje męża, i że to on nią pogardza, bo odkąd poszła na studia, już nigdy nie poprosił jej o pomoc w polu. Wspomniała też, że nie chce z nią jechać do miasta. Na co znów mąż, że przecież pojechałby, chętnie, tylko jest tak wysoki, że nie zmieści się do ich malucha. I wtedy kobieta wyznała, że kupiła nowy samochód, tylko trzyma go w garażu, do którego on nie zagląda. „Do tego auta na pewno się zmieścisz" – powiedziała.

Skracając: gdybyśmy tam nie pojechali, nie zapytali o konie, to pewnie nie zobaczylibyśmy tak szybko, że to małżeństwo prawdopodobnie wciąż się kochało, tylko już ze sobą nie rozmawiało. Córka poczuła, że rodzice się oddalają, i na to zareagowała.

Dziecko zyskuje na terapii całej rodziny?

Terapia rodzin jest trudnym zadaniem, bo to terapia całego systemu. Trudniej być terapeutą, który musi być w takim samym dystansie i takiej samej neutralności do każdego z członków rodziny. Czasem cała rodzina potrzebuje pomocy. Wolę więc rozmawiać w domu. Już jeżdżący z nami stażyści zauważają, że w domu szybciej dociera się do sedna sprawy, o mniej trzeba pytać.

Dziś powraca spór: czy dzieci chorujące psychicznie leczyć w domu, czy w szpitalu?

Historia tego sporu jest długa. W 1978 r. w Krakowie i czterech innych polskich miastach powstały Oddziały Kliniczne Psychiatrii Dzieci i Młodzieży. W klinice krakowskiej do psychoterapii był nabożny stosunek. Oddział młodzieżowy był przy ul. Kopernika, oddział dziecięcy – w Kobierzynie. Nie chcę mówić źle o własnym gnieździe, ale to był straszny oddział – ten kobierzyński.

Dlaczego?

Siedemdziesięcioro bardzo chorych dzieci. Jak z „Lotu nad kukułczym gniazdem".

To złe, co działo się w szpitalach psychiatrycznych dla dzieci, m.in. w Starogardzie Gdańskim czy Józefowie, opisywali reporterzy. Jakie to rozwiązanie ma mocne strony?

Do tej pory uważam, że dla dziecka nie ma gorszego miejsca niż oddział psychiatryczny. Dziecko śpi w obcym miejscu, z obcymi ludźmi, którzy mają czasem bardzo poważne problemy. Musiałoby się coś strasznego dziać, żebym uznał, że dla mojego dziecka niezbędny jest szpital psychiatryczny. Przecież dzieci mają swoje łóżka w swoich domach, leki mogą podawać rodzice, a terapia rodziny może zachodzić w domu. W szpitalu widziałem dużo złych rzeczy.

Wielu rodziców zabiega o miejsce w szpitalu psychiatrycznym dla swojego dziecka.

Wiem, że mojego zdania część lekarzy, także psychiatrów, nie podzieli. Prof. Maria Orwid mówiła o dzieciach, które wychodziły ze szpitali psychiatrycznych: „Kochani, proszę zdjąć wszystkie ↦

↦ leki z tego pacjenta, musimy go odtruć, zobaczyć od nowa, co jest grane". Ale ja nie jestem lekarzem.

Cieszyłem się, gdy po przeprowadzce z Kobierzyna do centrum Krakowa oddział dziecięcy nie powstał. Kupiliśmy nawet piętrowe łóżka dla dzieci, których nigdy nie zmontowaliśmy.

Co było w zamian?

Powstał zespół ds. domowej hospitalizacji psychiatrycznej dla dzieci i młodzieży, który zapewniał terapię rodzinie w domu pacjenta. Nazwa hospitalizacja była na wyrost, bo zajmowaliśmy się raczej „dehospitalizacją".

Dzisiaj znowu powstał oddział w Kobierzynie, wielołóżkowy. Przy ul. Kopernika i Strzeleckiej są oddziały stacjonarne. Natomiast zespół leczenia domowego, o ile wiem, bardzo się zredukował, właściwie już go nie ma. W sumie się nie dziwię, bo jak długo można jeździć własnymi samochodami, na własnej benzynie do pacjenta, który jest przecież ubezpieczony. Wtedy uważaliśmy, że tak trzeba, dzisiaj rozumiem, że tak dalej nie musi być.

Doszło do odwrócenia koła historii. Wrócił trend hospitalizowania dzieci i nastolatków. Dla mnie to smutne. Sytuacja dzieci jest trudna – dzieci są słabsze, nie mają władzy, pieniędzy ani własnych domów, są zależne od rodzin, które czasami bywają fatalne. Przezwyciężenie oporu do leczenia ludzi w domach, w ich środowisku, wymagało wysiłku. Z kolei pójście w stronę leczenia szpitalnego oznaczało, że dla nas, terapeutów systemowych, raczej nie ma miejsca. Najpierw współpracowaliśmy ze stowarzyszeniem Siemacha, gdzie prowadziliśmy Krakowski Instytut Psychoterapii, potem uruchomiliśmy Krakowską Fundację Psychoterapii i Rozwoju „Dom Terapii" i weszliśmy we współpracę z fundacją Leonardo.

Dziś prowadzicie terapie środowiskowe w małych miastach i wsiach. Jak działają te ośrodki?

W każdym miejscu staramy się zbudować ośrodek psychoterapii, który działa jak centrala, do której ludzie mogą zgłosić się z problemem. Do zgłoszeń odnoszą się psychoterapeuci. Jeśli mogą, zbierają najpierw wstępny wywiad, robią rozeznanie. A jeśli nie mają takiej możliwości, rozmawiają już na miejscu, w środowisku. I ustalają strategię.

Bywa, że miejsca, do których docieramy, są izolowane społecznie – wsie są rozciągnięte na kilku kilometrach, dzieci nie mają łatwego dojazdu do szkoły. Z drugiej strony jest satysfakcja, gdy można pokazać sprawozdanie z takich miejsc jak Dzianisz, Kościelisko, Miechów, Zakopane czy Sucha Beskidzka. Od ponad trzydziestu lat jeździmy z psychoterapią do domów. Ciągle mnie to kręci, że jedzie się dosłownie w takie miejsce, gdzie autobus nie dojeżdża, a zimą, gdy spadnie więcej śniegu, terapeuci muszą dojść na piechotę. Psychiatrka Harlene Anderson uruchomiła autobus terapeutyczny, którym jeździła po USA. Robimy coś podobnego, tylko na mniejszym obszarze.

Co musi się stać, żebyście weszli do domu?

Dziecko na ogół jest w rodzinie. Rodzina – czyli rodzice lub jego opiekunowie prawni – musi nas zaprosić, a przynajmniej zgodzić się na to, że przyjedziemy. Potem próbujemy zbudować przymierze terapeutyczne z rodziną. Terapeuci też współpracują ze sobą – zarówno dosłownie w diadzie terapeutycznej, a przy trudnych przypadkach spotykamy się w zespołach, dzielimy informacjami w ramach tzw. superwizji.

Czy widzicie różnicę między podejściem do psychoterapii w małych miastach i wsiach a dużymi miastami?

Ułudą jest myślenie, że korzystanie z psychoterapii to przede wszystkim specyfika miasta. Okazuje się, że wszędzie tam, gdzie jest psychoterapia, ludzie dość szybko orientują się, co to takiego, i zaczynają z niej korzystać. Doskonale wiedzą, że dziecko potrzebuje wsparcia. Nie widzę istotnej różnicy, być może poza językową – we wsiach więcej osób mówi gwarą albo używa innych kluczowych słów.

Na wsi nie jesteśmy tak anonimowi, jak w mieście. Dość dokładnie wiadomo, kto i po co przyjechał do sąsiadów. I choć jeździmy własnymi samochodami, to i tak wszyscy widzą, że przyjechał ktoś z zewnątrz, a potem – że regularnie wraca. Sąsiedzi szybko uczą się naszych twarzy czy samochodów – nie widzę ostracyzmu, który dotykałby terapeutów lub pacjentów.

Minął czas stygmatyzacji dzieci przez rówieśników z powodu psychoterapii?

Wciąż istnieje etykietka „wariata". Ktoś, kto chodzi do psychiatry lub psychoterapeuty, łatwo ją dostaje. Wydaje się, że to, czy coś naznacza, czy nie, wynika także z relacji, która powstaje między terapeutą i pacjentem. Pacjent sam wie, czy terapia to dla niego coś okropnego, czy raczej coś, czym mógłby się pochwalić. Zdarza się, że mój były pacjent młodzieżowy spotyka mnie na ulicy i przedstawia swojej dziewczynie albo żonie, mówi: „to jest mój terapeuta, pan Rysiek". Nie wstydzi się.

W jaki sposób dzieci rozumieją psychoterapię?

Raczej nie zastanawiają się nad procedurą. Wiedzą, że będziemy rozmawiać o czymś, co jest dla nich istotne, i dość szybko się orientują, czy rozmowa ma dla nich wartość. Diagnoza, którą dzieci dostają w poradniach psychologiczno-pedagogicznych, jest selekcyjna. Dzięki niej pacjent otrzymuje jakąś ulgę od systemu – ma dysleksję, dysortografię lub dyskalkulię, więc w pewnych sytuacjach jest łagodniej traktowany.

Diagnoza kliniczna do psychoterapii ma inny wymiar – jest wstępem do wspólnej pracy. Psychoterapeuta nie jest tylko kimś, z kim możemy porozmawiać, gdy nam ciężko. Jeśli odbywa się to w domu rodzinnym, terapeuta jest osobą, która dobrze potrafi rozpoznać zło dziejące się w rodzinie i jest w stanie interweniować, na przykład prosząc sąd rodzinny o wgląd w sytuację dziecka.

Zdarza się, że ktoś Was wprowadza do rodziny?

Czasami pracownik socjalny, który pracuje z rodziną, wtedy jedziemy na pierwsze spotkanie razem. Głównie po to, żeby ustalić zakresy naszych powinności. Możemy wtedy zapytać: czego oczekuje rodzina, czego oczekuje pracownik socjalny, no i potem się już rozdzielamy.

Jak wygląda wejście w rodzinę?

Terapeuta musi mieć spore kompetencje, żeby zaistnieć. Nie jako komiwojażer, który coś sprzedaje, tylko jako ktoś, kto musi sobie zdobyć szacunek. Tylko szacunek może wymusić zmianę w tak hermetycznym środowisku jak rodzina.

Na terenie domu rządzi rodzina. Nagle wchodzimy i przez półtorej godziny to my zaczynamy się rządzić. Zadajemy pytania, słuchamy i pilnujemy porządku rozmowy. „A może by pani odpowiedziała na to samo pytanie, które zadaliśmy mężowi?”. Zadajemy tzw. pytania cyrkularne, czyli takie, które są hipotezami, a nie pytania, które są przyczyno-skutkowe, np. „Dlaczego pan bije dziecko?” albo „Dlaczego ty się chłopczyku nie uczysz?”. My pytamy: „Co musiałoby się zmienić w państwa rodzinie, żeby więcej nie pojawiała się tutaj policja?”.

W półtorej godziny nie załatwi się wszystkiego. Postawi się członkom rodziny cztery, pięć pytań. Ale to jest czas na zbudowanie przymierza, czas na zaistnienie w świadomości rodziny, każdego z osobna. A z drugiej strony – na uświadomienie sobie, że psychoterapia może być czymś ważnym, szansą rozwojową. I że ona może się nie powtórzyć, jeśli pochopnie wypędzimy tego kogoś.

Czy rodziny, w których jest problem przemocy, też Was zapraszają?

Tak. Przyjeżdżamy, ale nie po to, żeby akompaniować przy dalej trwającej przemocy. Nasze spotkania muszą zakończyć pewne zjawiska: musi powstać szczera motywacja do zmiany. Właśnie realizujemy taki projekt. Toczą się rozmowy z rodzinami, które uważają, że mają taki problem, i chciałyby coś z tym zrobić. Wydaje się, że wiele kwestii, które dawniej nie były brane pod uwagę, ludzie teraz chcą rozwikłać.

W tych krótkich spotkaniach z rodziną musimy zapewnić sobie też wiarygodne warunki weryfikacji odpowiedzi. Mężczyzna mówi, że już nie bije żony. Czy to jest prawda? Czy naprawdę nie bije, czy tylko tak powiedział, a rodzina ze strachu to potwierdza. Szukamy sposobu, żeby uwiarygodnić wypowiedzi.

Znamy takie układy, gdy ojciec krzywdzi dziecko, a matka w tym uczestniczy.

Tak, albo sama je krzywdzi. Albo pozwala, żeby dziecko było narażone na taką scenę, że ona jest bita przez męża czy partnera.

Jako terapeuci mamy korzystny układ, bo z reguły ktoś nas kieruje do rodziny i my już nie musimy się tłumaczyć, dlaczego tu jesteśmy, tylko możemy powiedzieć: „Niech pan albo pani się wytłumaczy, dlaczego my zostaliśmy tu zaproszeni”. Nie chodzimy po ulicy, wykrzykując: „Komu psychoterapia?”. Nie jesteśmy z ekipy, która lutuje garnki, tylko jesteśmy w jakimś sensie dobrem limitowanym. Ktoś może dalej żyć źle, trudno – jego wybór. Ale gdyby zdecydował się na zmianę, to my jesteśmy gotowi ten wybór z całych sił wesprzeć.

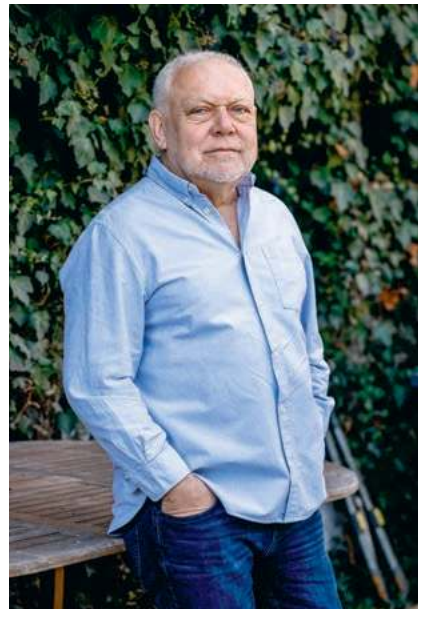

KAJA ŻURAWIECKA / ARCHIWUM PRYWATNE

RYSZARD IZDEBSKI jest psychologiem klinicznym, psychoterapeutą i superwizorem psychoterapii Sekcji Naukowej Psychoterapii i Terapii Rodzin Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

To jest też nasza biegłość, albo interes: że my nie jesteśmy rodziną, policją ani „zwykłą” ochroną zdrowia – tylko taką ochroną na użytek problemu. „Do czego możemy się przydać?” – pytamy. To jest wyzwanie pod adresem całej rodziny: przecież dzieci nie rodzą się po to, żeby np. przeszkadzały nauczycielom.

W małych miejscowościach dzieci często popełniają samobójstwa. Czy widzicie, że ich sytuacja jest trudniejsza niż dzieci w miastach?

Jeśli chodzi o dostępność środków psychoaktywnych – nie ma różnicy, nie wydaje mi się, żeby na wsi było trudniej o cokolwiek. Podobnie jest z pornografią online. Pandemia popsuła sieci społeczne. Covid doprowadził do izolacji ludzi w bardzo różnym położeniu. Mogło to dotknąć dzieciaka ze szkoły podstawowej, licealistę czy studenta, że nagle był wyautowany ze swojego internatu, bursy czy akademika i musiał wracać na wieś. Mógł się połączyć ze swoją szkołą czy kolegami pod warunkiem, że miał dobry internet.

Przychodzi mi do głowy chłopiec, który chciał się zabić, bo dostał się do bardzo dobrej szkoły w mieście, zamieszkał w bursie, w której czuł się świetnie. I nagle musiał mieć przerwę w nauce, bo bursa została zamknięta z powodu pandemii.

Dużo ludzi było pokiereszowanych w stopniu bardzo podstawowym. Dobrze mieli ci pacjenci, którzy znali terapeutów wcześniej i przeszli na leczenie online, ale już ze znanymi osobami. Gorzej ci, którzy online musieli terapię rozpocząć.

Jednym z zarzutów do psychoterapii dziś jest to, że działa od projektu do projektu.

Lekarzy psychiatrów jest mało, a lekarzy psychiatrów dziecięcych – jeszcze mniej. Dzieci zaś nie mają swojego osobnego głośnika, którym mogą nadać wołanie o pomoc.

Zmienia się też podejście do zespołowości w środowisku. Zespołowość przestała się tak bardzo liczyć, choć zespół to ogromna moc. To jest też bezpieczeństwo dla pacjenta, bo jeśli zespół pracuje, to po mojej śmierci ktoś przejmie karty pacjentów i dalszą nad nimi opiekę. Zespół to jest grupowa odpowiedzialność za pacjenta.

Nasza obecność w różnych miejscach – małomiasteczkowych i wiejskich – pokazuje, że ludzie chcą korzystać z psychoterapii. Dość szybko orientują się, czym psychoterapia jest, i jeśli czują, że ich dziecku może pomóc, godzą się na nią. Przeszliśmy długą drogę: od pobojowiska psychiatrycznego po bardzo wyszukane formy – ambulatorium terapii rodzin, zespół leczenia domowego, oddział dzienny, oddział sanatoryjno-rehabilitacyjny z psychoterapią. Zadowolony jestem z tego, że choć ciągłymi szarpaniami, choć ciągle od projektu do projektu, udało nam się uruchomić ośrodki psychoterapii we wsiach i małych miastach.

Czasem irytujemy się, gdy mamy jechać gdzieś daleko, ale jak już wyjedziemy, pogadamy, to na ogół się okazuje, że ten trud był dużo wart.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

TOMASZ

Stawiszyński: *Ostatni bastion*

Niezależnie od tego, co się faktycznie wydarzyło 28 lutego 2023 roku w Dharamsali – czy to było realne nadużycie i molestowanie, czy fatalne *faux pas* wynikające ze słabnących zdolności poznawczych, czy też może raczej konwencjonalna dla tamtego kręgu kulturowego przekomarzanka, która wyłącznie w zachodnich oczach wygląda gorsząco (takie są w tej kwestii trzy główne stanowiska) – jedno, niestety, nie ulega wątpliwości. Wizerunek Dalajlamy, duchowego i politycznego przywódcy Tybetańczyków, został nieodwracalnie rozmontowany. Najbardziej zaś tragicznym tego aspektem – niektórzy twierdzą, że celowo zadziałały tu chińskie służby specjalne – jest zaprzepaszczenie wieloletnich wysiłków na rzecz ocalenia tybetańskiej autonomii: kulturowej, narodowej i moralnej.

Tenzin Gyatso – jak wierzą Tybetańczycy, czternasta inkarnacja *bodhisattwy* Awalokiteśwary, czyli oświeconego, który wciąż na nowo odradza się w ludzkim ciele, żeby nieść pomoc czującym istotom – od czasu swojej ucieczki z Tybetu w 1959 r. był i wciąż pozostaje ambasadorem tego niezwykłego kraju, systematycznie niszczonego przez Chińską Republikę Ludową. Pomyślmy tylko. Niemal 70 lat pracy na rzecz przechowania skarbów tamtejszej religijności i historii, a potem jedna sytuacja, która to wszystko nagle w oczach świata dewaluuje, a w każdym razie stawia pod ogromnym znakiem zapytania... Jeśli nie wierzymy w buddyjską koncepcję karmy – zgodnie z którą w nawet najbardziej z pozoru chaotycznych i przypadkowych zdarzeniach ukrywa się jakaś logika – przyglądając się tej sprawie nie sposób nie uświadomić sobie, jak nieprzewidywalny i kapryśny bywa los jednostek i społeczeństw.

Ale jest w tej historii jeszcze coś więcej niż tylko kolejne nieszczęście, jakie spotkało mieszkańców Dachu Świata. A mianowicie: upadek jednego z ostatnich globalnych symboli wolności i bezinteresowności. Upadek symbolu, który – w swoich własnych deklaracjach i w powszechnych wyobrażeniach – zdawał się demonstrować, że możliwa jest autonomia wobec największych współczesnych (i odwiecznych) pożądań, zniewoleń i uwiedzeń, wobec wielkich sił kształtujących niemal bez reszty sferę naszego zbiorowego doświadczenia: pieniędzy i władzy. Symbolu życia bez reszty poświęconego – jak to kiedyś pięknie nazwał Paul Tillich – „trosce ostatecznej", a zatem takiej, która za swój przedmiot ma kwestie fundamentalne: życie, śmierć, czas, sens.

Poza wieloma wyczerpująco już opisanymi hipotezami dotyczącymi źródeł istnienia religii, to właśnie źródło nieodmiennie wydaje się jednym z najbardziej żywotnych. Troska ostateczna, pytanie o większy sens – w cierpieniu, stracie, rozpaczy – wiara, że, finalnie, dobro ma jednak szansę zatriumfować nad złem. Czy da się coś takiego wyprowadzić z czysto naukowego obrazu świata? Czy da się coś takiego uzasadnić ewolucyjnie? Czy istnieje jakakolwiek ściśle naturalna – w znaczeniu: naturalistyczna – racja, żeby budować wspólnotę opartą nie na pieniądzach i władzy, ale na trosce, współczuciu i wzajemnym szacunku? Bez względu na to, jakie mamy w tej kwestii zdanie, samo istnienie takich postaci jak Dalajlama, nie tylko u praktykujących buddystów rezonowało z jakąś głęboką potrzebą i tęsknotą, dawało jakąś nadzieję.

Oczywiście, równie dobrze można by powiedzieć, że żadna instytucjonalna religia od dawna z niczym takim nikomu się nie kojarzy, a w każdym razie kojarzy się coraz mniej. Zwłaszcza że do nieuchronnego – z uwagi choćby na zmiany cywilizacyjne, m.in. rozwój nauki i technologii – procesu sekularyzacji doszła w ostatnich dekadach masywna moralna kompromitacja wielkich religijnych narracji i wielkich religijnych instytucji. Nie da się ukryć – w wielu przypadkach okazały się one (i wciąż na nowo okazują) nieledwie przykrywką dla tych właśnie jakości, które teoretycznie miały przezwyciężać, transformować i przekraczać, dla pożądania, władzy i pieniędzy. Wizerunkowa katastrofa Kościoła katolickiego to bodaj najbardziej spektakularne zjawisko z tego porządku, ale podobnych jest przecież więcej. Także wewnątrz buddyzmu, który jeszcze w latach 60. i 70. witany był na Zachodzie z entuzjazmem jako alternatywa dla skostniałego i represyjnego chrześcijaństwa. Tymczasem afer z udziałem (nie tylko tybetańskich) nauczycieli buddyjskich mieliśmy w ostatnich dziesięcioleciach pod dostatkiem, by wymienić choćby głośną sprawę Sogyala Rinpoche (autora bestsellerowej „Tybetańskiej księgi życia i umierania"), który okazał się seksualnym i finansowym drapieżcą.

A teraz skandal wokół Dalajlamy... Czy zatem naprawdę – jak przeczytać można w tysiącach postów na Facebooku wyrażających przerażenie, obrzydzenie i rozczarowanie zachowaniem Tenzina Gyatso – „oni wszyscy są tacy sami"? „Oni wszyscy", czyli ludzie poświęcający swoje życie czemuś, co zgodnie z deklarowanymi przez nich przekonaniami radykalnie przekracza wszelkie tu i teraz? Co jest czymś więcej niż pieniądze i władza?

Nie mam odpowiedzi na to pytanie poza oczywistym przekonaniem, że z całą pewnością nie „wszyscy". Oraz ogólną nieufnością wobec wielkich kwantyfikatorów i ekstremalnych emocji ogarniających wirtualny i realny tłum, który zawsze łaknie wzmożenia, jednoznaczności, czerni i bieli. Z całą pewnością jednak – niezależnie od wszystkiego – czas wreszcie przestać pokładać wiarę w tych czy innych „świętych" i samemu poszukać w sobie tego, co wobec pieniędzy i władzy niepodległe. Skądinąd – czy nie do tego właśnie od samego początku wzywały i wzywają nas wielkie (i małe) religie? ©

Prawda nie obroni się sama. Przekaż wsparcie naprawdę

1,5%

Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

TYGODNIK POWSZECHNY

Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o suwerenność i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

» KRS 0000 125 605

OGŁOSZENIE OPP

„TP" 15/2023

Ochrona zdrowia czy oligarchów?

Znów docierają do opinii publicznej informacje o ogromnym zadłużeniu polskich szpitali, pisała też o tym niedawno w „Tygodniku" Małgorzata Solecka. Z wielu stron słychać wołanie o kolejne pieniądze, które ponoć mają uzdrowić sytuację. Takich działań było już wiele w ostatnich 30 latach. Wszystkie kończyły się tak samo. Po pewnym czasie długi pojawiały się ponownie. O poziomie świadczonych usług nie będę tu wspominał.

Moim zdaniem problemów należy szukać gdzie indziej. Polska ochrona zdrowia opanowana została przez system oligarchiczny. Pewna grupa objęła kluczowe pozycje w systemie i, korzystając ze słabości właścicieli, przejęła ich uprawnienia. Dzięki temu ukształtowała sposób działania systemu i podporządkowała go swoim interesom. Nie zwracając uwagi na realne możliwości, eksploatuje go bezlitośnie. To nie jest przypadek, że 90 proc. wydatków placówek medycznych stanowią koszty personalne. Pozostałe 10 proc. musi zaś wystarczyć na utrzymanie budynków, sprzęt, na zakup materiałów i lekarstw, media itd. Nic dziwnego, że pieniędzy nie wystarcza.

Bez postawienia systemu na zdrowych fundamentach czeka nas nieustanne powtarzanie tych samych błędów. Jak w każdej organizacji, właściciel, zwany niekiedy organem założycielskim, musi odpowiadać za skutki decyzji jego kadry zarządzającej. Kto jest właścicielem placówek medycznych? Kto dziś odpowiada za ich kondycję finansową? Odpowiedź jest stosunkowo prosta. Nikt. Dopóki właściciel nie ponosi żadnej odpowiedzialności, a placówkami zarządzają na ogół ludzie nieprzygotowani do pełnienia funkcji menadżerskich, trudno oczekiwać poprawy sytuacji.

Mam wrażenie, że controlling jako narzędzie zarządzania jest dla większości osób zarządzających w systemie ochrony zdrowia pojęciem nieznanym, a decyzje podejmowane są bez względu na możliwości finansowe organizacji. Dopóki nie uregulujemy relacji właścicielskich i nie będziemy egzekwować związanych z nimi obowiązków, dopóty będziemy mieli do czynienia z opisaną w artykule sytuacją.

ZBIGNIEW

Druga strona otyłości

Jestem kardiologiem. Otyłość to według mnie poważny problem. Często zwracam na to uwagę pacjentom. Spadek tolerancji wysiłku, nadciśnienie, problemy ze stawami, bóle kręgosłupa, insulinooporność czy cukrzyca – to tylko krótka lista schorzeń, które przychodzą mi na gorąco do głowy, a których nie można ignorować.

Przytoczona w internetowym artykule Macieja Müllera forma wypowiedzi lekarzy na temat osób otyłych jest jednoznacznie naganna (zob. **powszech.net/fatfobia**). Nie będę ich bronić. Proszę tylko zrozumieć, że dolegliwości dużej części osób wynikają właśnie z otyłości. Pacjenci ci przychodzą do mnie po poradę lekarską. „Co zrobić, żeby się lepiej czuć? Żeby stosować mniej leków?" – pytają. Opowiadam wtedy o dietetykach, aktywności fizycznej (pięć razy w tygodniu, co najmniej trzydzieści minut z tętnem sto pięćdziesiąt uderzeń na minutę), o cukrach prostych (w „TP" był o tym świetny artykuł), o poradniach bariatrycznych. Niestety, tylko pojedyncze osoby korzystają z tych porad.

Oczywiście, każdy sukces cieszy, ale kiedy czytam o fatfobii albo o ruchu *body positivity*, to widzę też drugą stronę: że te pojęcia (w swoim założeniu prawdopodobnie dobre!) bywają wymówką dla braku działań. I nie piszę tu tylko o braku ćwiczeń czy złym odżywianiu, ale też o niepodejmowaniu diagnostyki, ignorowaniu problemu. O czymś, co oddala pacjentów od skutecznego leczenia bardziej niż fatfobia lekarzy.

PAWEŁ

TYGODNIK POWSZECHNY
KSIĄŻKI W TYGODNIKU
Eseje, recenzje, felietony, podkasty
czytaj na TygodnikPowszechny.pl/ksiazki

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

LETNIE BRZMIENIA 2023

babie lato

NATALIA KUKULSKA • MARGARET
MERY SPOLSKY • BOVSKA • ZALIA

MROZU • ZALEWSKI ŚPIEWA NIEMENA • VITO BAMBINO • NOSOWSKA
KACPERCZYK • KAŚKA SOCHACKA • BRODKA • LEMON • SZCZYL
THE DUMPLINGS • NATALIA PRZYBYSZ • JUCHO • NATALIA SZROEDER
SMOLIK // KEV FOX • DARIA ZE ŚLĄSKA • BARTEK KRÓLIK • TYNSKY
FAUSTYNA MACIEJCZUK • IGNACY • PAULA ROMA • AREK KŁUSOWSKI
RUBENS • KARAŚ/ROGUCKI • ROSALIE. • ARS LATRANS ORCHESTRA
WALUŚKRAKSAKRYZYS

Jazz Around Festival

21-22.07.2023
MCK NOSPR / Katowice

CORY WONG · INCOGNITO
THE COMET IS COMING · BROOKLYN FUNK ESSENTIALS · STEPHEN DAY
DOROTA MIŚKIEWICZ FEAT. HENRYK MIŚKIEWICZ · ØLE BORUD
MAREK NAPIÓRKOWSKI OKTET STRING THEORY

TERTIA MAY · AFTER 'OURS · CANDLELIGHT FICUS · MÖRK
KASIA PIETRZKO TRIO / MACIEJ KĄDZIELA / ANDRZEJ CHYRA „NORWID"

GOOD TASTE

WWW.JAZZAROUND.PL /JAZZAROUNDFESTIVAL

SALTWAVE festival

SAM TOMPKINS
LOLA MARSH
KACPERCZYK
CROOKED COLOURS
AGAR AGAR
BOKKA
ROSALIE.

BASS ASTRAL
JANN
JACK BOTTS
MONSTER
SAFARIO
MAJLI

JASTARNIA, PÓŁWYSEP HELSKI
4-5 SIERPNIA 2023
BILETY NA FESTIWAL I POLE NAMIOTOWE: WWW.EVENTIM.PL/SALTWAVE

JAROCIN '23 festiwal
13-16 LIPCA

× AGNIESZKA CHYLIŃSKA × NOSOWSKA × TOMEK LIPIŃSKI + GOŚCIE × T.LOVE ×
× RENATA PRZEMYK × MOSKWA 40-LECIE ZESPOŁU × STRACHY NA LACHY × PROLETARYAT ×
× VOO VOO × GA-GA ZIELONE ŻABKI × LUXTORPEDA × WALUŚKRAKSAKRYZYS ×
× MYSLOVITZ × FISZ EMADE TWORZYWO × CLOSTERKELLER 35-LECIE ZESPOŁU × BIG CYC 35-LECIE ZESPOŁU × ANIELI ×
× THE BULLSEYES × MASALA SOUNDSYSTEM × MASTURBATOR × WRONA ×
× BAIKA × HAPPY PILLS × 1125 ×

BILETY DOSTĘPNE NA WWW.JAROCINFESTIWAL.PL

REKLAMA

Z ODDECHEM

ŻYCIA SZUKAJ W SUDETACH

ZBIGNIEW PIOTROWICZ, ZNAWCA GÓR:

W ciągu czterech-pięciu pokoleń po 1945 r. powiązaliśmy to, co robimy, z przeszłością. To już nie jest nieswojość, ale swojość. A jeśli to pojęcie nałożymy na konkretny obszar, to mamy sudeckość.

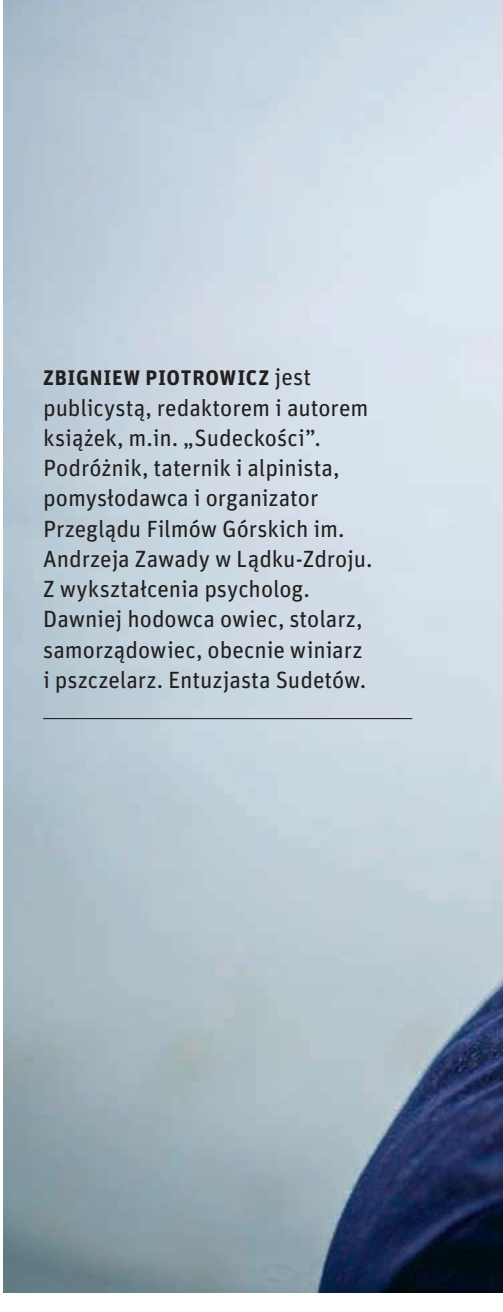

ZBIGNIEW PIOTROWICZ jest publicystą, redaktorem i autorem książek, m.in. „Sudeckości". Podróżnik, taternik i alpinista, pomysłodawca i organizator Przeglądu Filmów Górskich im. Andrzeja Zawady w Lądku-Zdroju. Z wykształcenia psycholog. Dawniej hodowca owiec, stolarz, samorządowiec, obecnie winiarz i pszczelarz. Entuzjasta Sudetów.

BARTEK DOBROCH: Trochę tu jak w Bieszczadach, a trochę jak w Alpach.

ZBIGNIEW PIOTROWICZ: Bieszczady lat 70. i 80 to był dla mnie dreszcz swobody i egzamin z samodzielności. Krajobrazowo te góry są nawet podobne. Tam, na grzbiecie Skowroniej Góry mamy połoninę. Natomiast alpejski jest Śnieżnik, ciągle jeszcze biały, gdy tu, na dole jest już zielono.

Z Alpami kojarzą mi się też te położone między lasami pola.

Ziemia Kłodzka była nawet nazywana kawałkiem Szwajcarii w Polsce, bo architekturą, czy porządkiem przestrzennym, bliżej jej do krajów alpejskich niż do reszty Polski. Międzygórze pod Śnieżnikiem zostało zbudowane w stylu szwajcarskim przez cieśli przywiezionych z Tyrolu. A jest też takie pojęcie jak architektura sudecka.

Masz taki rytuał: robisz zdjęcie z tego samego miejsca, podpisując tylko godziną i nazwą Twojej miejscowości – Radochów. To Twój widok życia?

Widok, mimo że ten sam od 13 lat, ciągle się zmienia przez barwę nieba, chmury, pogodę, oświetlenie, może też mój nastrój. Budowaliśmy z Natalią dom tak, by widok wchodził do domu. Widać Śnieżnik, Czarną Górę, pasmo Krowiarek, dużą przestrzeń doliny Białej Lądeckiej, a dalej Góry Bialskie, utożsamiane kiedyś z Bieszczadami, bo uchodziły za najbardziej dzikie w Sudetach.

O Bieszczadach napisałeś, że ich mit umarł. „Może dlatego, że stał się ikoniczny, popkulturowy, często tandetny (...) Prawdziwego życia trzeba było poszukiwać gdzie indziej". Choćby w Sudetach?

Ten mit został wyeksploatowany, skomercjalizowany, pozbawiony tajemnicy. A tu działy się podobne rzeczy w latach 70., 80.

Pojawili się osadnicy nowej fali, inni. W Bieszczady wyjeżdżano często po to, by uciec przed problemami. Czasem z przymusu, nakazu pracy, bo osadnictwo, przynajmniej na początku, sterowane było centralnie. Tu, zwłaszcza w pobliżu granicy, wręcz zniechęcano do osiedlania się, a ludzie, którzy mimo to przyjeżdżali, byli traktowani jako podejrzany element. Ta druga fala osiedleńcza trwała między 1976 a 1989 rokiem. Ludzie ci uciekali przed opresyjnością państwa, próbowali budować świat według własnego pomysłu.

Sudety stały się nowymi Bieszczadami?

To nie było to samo zjawisko. W 1945 r. w granicach Polski znalazły się góry bez górali. Teren na swój sposób dziewiczy, bo zerwano ciągłość pokoleniową i kulturową. Osiedlali się tu ludzie z nizin, ze Wschodu. Nie byli przygotowani do działalności w górach, z czasem, zrażeni trudnymi warunkami, opuszczali wysoko położone gospodarstwa. Następowała naturalna sukcesja lasów, góry dziczały. Za czasów niemieckich pola uprawne sięgały do wysokości 800 m. Gdy pierwsze pokolenie osiedleńców w Sudetach zaczęło odchodzić z tego świata, ich go-

MAŁGORZATA TELAGA

spodarstwa można było tanio odkupić od państwa. Wśród chętnych byli często ludzie wykształceni, z artystycznymi aspiracjami. Dla nich to była Ziemia Obiecana. To oni zaczęli wprowadzać Sudety w normalny obieg kulturowy w Polsce. Przedtem próbowano je wtłoczyć w schemat znajomy i oswojony.

Podhalański?

Dokładnie góralsko-podhalański. Przez wiele lat jako pamiątkę z wyjazdu sanatoryjnego czy turystycznego do Szklarskiej Poręby czy Karpacza można było przywieźć zdjęcie z białym misiem, żywcem przeniesionym z Krupówek. Niezbędnym rekwizytem był góralski kapelusz i ciupaga. Wojciech Młynarski też śpiewał o wczasach w „góralskich lasach". Większość osób jest przekonanych, że piosenka powstała w Zakopanem lub okolicach. A nie w restauracji hotelu Patria w Karpaczu.

W latach 60. istniała tu jakaś polska kultura górska?

Ona wtedy powstawała i była inna niż w Bieszczadach, Beskidach czy Tatrach. Sudeckie miejscowości i schroniska przetrwały wojnę bez szwanku. Raptem okazało się, że luksusowe pensjonaty, domki myśliwskie, hotele przeznaczono do obsługi wczasów pracowniczych. Nowi przewodnicy musieli znaleźć pomysł, jak połączyć oczekiwania tej kategorii klientów z zastanym otoczeniem, stworzyć na nowo legendę tego miejsca. W tym celu adoptowano Liczyrzepę.

Spolonizowano nawet duchy?

Rübezahl, surowy duch, który mógł przestraszyć, wymierzyć karę, został sprowadzony do leśnego dziadka, trochę św. Mikołaja, który pomagał lub udzielał przestróg. W polskiej wersji stracił swoją demoniczność. Przez wiele lat nie wypadało mówić, że to bohater nie z naszego górskiego świata. Poniemieckość tych ziem była tematem tabu przez pierwsze pokolenie dotkliwie skaleczone wojną. Druga, trzecia generacja nie miała już do poniemieckości negatywnego stosunku. To było miejsce, które pamiętali od dzieciństwa, nie traktowali go jako tymczasowego ani obcego. To były ich domy.

Zaczęli o nie dbać?

Jeszcze nie. Przełomem były lata 80., kiedy pojawili się ludzie, dla których poniemieckość była walorem. Stwarzała tajemnicę, którą można było odkryć. Tą tajemnicą była przeszłość gospodarstwa, które się obejmowało, historia ludzi, którzy w nim żyli. W tej chwili samorządy wiejskie w niektórych wsiach remontują obeliski z nazwiskami mieszkańców wsi, którzy zginęli w I wojnie światowej. Przestaliśmy się Niemców bać jako tych, którzy przyjdą, zabiorą, wykupią albo upokorzą, dając mandarynkę. Ja dostałem raz rajstopy.

Jak to?

Kiedyś przed moim dawnym domem zatrzymał się samochód na niemieckich blachach. Starsi ludzie zapytali, czy mogą przejść przez moje podwórko i z łąki zrobić zdjęcie przeciwległego zbocza, na którym stało kiedyś ich rodzinne gospodarstwo. Chcąc się odwdzięczyć zostawili mi rajstopy i czekoladę. Potraktowałem to humorystycznie, choć nie wszystkim takie zachowanie musiało się podobać. Po 1947 r. na Ziemi Kłodzkiej zostało tylko 5 proc. Niemców. Druga fala po 1956 r. wyjeżdżała głównie do NRD, nieliczni do Niemiec Zachodnich.

Wizyty były z kolei koncesjonowane?

W niektórych miejscach. Tak było w latach 50. W rejonie Śnieżnika, w Miedziance i w Kowarach znajdowały się kopalnie rud uranu. To był strategiczny surowiec i całymi enklawami rządzili Rosjanie. Do tego dochodziła tak zwana „granica przyjaźni", czyli miejsce, do którego przyjaźń jest, a potem się kończy. ↦

Czego symbolem było burzenie schronisk i wież widokowych na granicznych szczytach?

Tę na Śnieżniku zburzono oficjalnie przez kiepski stan techniczny, chociaż pierwszy ładunek wybuchowy nie był w stanie jej powalić. Na Borówkowej Górze stało piękne drewniane schronisko. W 1945 r. miało tylko 11 lat, ale zostało stopniowo rozebrane. Z podobnej motywacji zniknęło schronisko Puhu Baude na Przełęczy Puchaczówka, a może też Chatka Morgana w Karkonoszach. Paradoksalnie uboższa infrastruktura turystyczna sprawiła, że zyskały góry. Przedwojenni polscy turyści we wspomnieniach z Karkonoszy narzekali, że schronisk jest za dużo, wszędzie jest hałas, blichtr i śmieci. Przez pierwsze kilkanaście powojennych lat nie było pomysłu ani kadry ludzi mogących się tym zająć i gospodarować w surowych górach. Bo Karkonosze są grzbietem górskim wyniesionym ponad dwoma nizinami, wobec czego wiatry są silne i opady duże. Kilku schroniskom się udało, jak Samotni objętej przez małżeństwo Siemaszków. Waldemar Siemaszko, ratownik górski i przewodnik, potrafił przetłumaczyć te góry na nowe, polskie realia, zbudować ich nową legendę. To tam wykluwała się sudecka kultura górska.

Która tak w ogóle to tu powstała.

Rzeczywiście, już w XVII, XVIII wieku turystyka górska była tu dosyć intensywna. O co najmniej wiek wcześniejsza niż w Tatrach.

Nawet szybciej niż w Alpach?

Uwzględniając przypadek Franza Pabla z Karłowa, pierwszego na świecie człowieka, który miał własną górę, klucz do niej i bramę, którą otwierał, pobierając za to wynagrodzenie. Jego historia była obca polskim tradycjom turystycznym. Dopiero w 1989 r. wmurowano na Szczelińcu poświęconą mu tablicę, przywracając go sudeckiej turystyce. Sudety w ogóle nie funkcjonowały w świadomości ludzi. To się jednak zmienia. Okazało się, że to, co zastała tu Olga Tokarczuk, która na ziemię kłodzką sprowadziła się w 1989 r., jest tak atrakcyjnym tworzywem literackim, że jeśli ma się warsztat i odpowiednią wrażliwość, to można z tego stworzyć literaturę wartą Nobla. Ludzie, którzy mieszkają w tym miejscu, próbują nawiązać do przeszłości, czując się sukcesorami tego, co było wcześniej. Dlatego na lądeckim rynku działa kawiarnia artystyczna Dom Klahra. Dlatego 20 lat temu wydawca pewnie głęboko by się zastanowił, czy wydać cykl powieści kryminalnych „Glatz", której akcja dzieje się w 1920 r. w ówczesnym niemieckim Kłodzku. Sam z dużą obawą wydawałem w 2004 r. dwujęzyczną „Wieżę Babel. Der Turm zu Babel" z relacjami pierwszych ludzi, którzy przyjeżdżali, i Niemców, którzy stąd wyjechali.

W ciągu czterech-pięciu pokoleń po 1945 r. powiązaliśmy to, co robimy, z przeszłością. To już nie jest nieswojość, ale swojość, a jeśli to pojęcie nałożymy na konkretny obszar, mamy sudeckość. Czytam czasem komentarze: „Sudeckość? A czy to nie chodzi o powrót Niemców Sudeckich?". Mówienie o sudeckości wymaga więc ostrożności, aby nie mylić jej z jakimiś resentymentami.

A więc nowa tożsamość lokalna?

Polskie Sudety to tylko połowa tych gór. Nie dość, że granica polsko-czeska była drażliwym tematem – uregulowano jej kwestię dopiero w 1958 r. – to przez lata była dość szczelna. Czesi doskonale orientowali się, co się dzieje w całej Europie, ale nie wiedzieli nic o mieszkańcach z drugiej strony granicznej górki. Przejścia graniczne były bardzo rzadkie, brakowało przepływu informacji. A jeszcze do tego w 1968 r. właśnie tędy, przez Sudety, szedł najbardziej intensywny atak na Czechosłowację. To stosunkowo świeża historia, Czesi ją pamiętają.

Przełamywać bariery zaczęła dopiero Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka?

Pod pretekstem wycieczek turystycznych. Wokół granicznych spotkań powstała cała legenda, choć okazuje się, że wyprawy te czasem znajdowały się pod większą kontrolą niż opozycjoniści myśleli. Dziś wopista, który miał rozkaz legitymować i puszczać, wynajmuje się jako kierowca i swoim samochodem wozi dawnych opozycjonistów na imprezy rocznicowe na Borówkową Górę.

Szprotawa, gdzie się urodziłeś, leży już na niżu, Twoi rodzice nie żyli górami. Jak odkryłeś Sudety?

ZBIGNIEW PIOTROWICZ / ARCHIWUM PRYWATNE

Pierwsze doświadczenie – wycieczka z rodzicami pod namiot w Karkonosze, kiedy miałem 7 lat – jeszcze niczego nie determinowało. Ale potem mój wujek razem z przyjaciółmi z uczelni wydzierżawił od Karkonoskiego Parku Narodowego mocno już zdewastowaną Chatkę Słoneczną. Remontowali ją, bywali w niej, a ja pierwszy raz trafiłem tam jeszcze z nim i rodzicami. Odtąd miałem takie marzenie: mieszkać w małym przytulnym domku, gdzie jest ciepły piec, wokół las, w którym rosną jagody. Potem sam zacząłem jeździć do tej chatki, aż stwierdziłem, że osiedlę się gdzieś w górach. Sudety najlepiej znałem, lubiłem je, czułem się u siebie. W 1985 r. kupiłem gospodarstwo w Konradowie pod Czarna Górą. Mimo fatalnych warunków, braku ciepłej wody, łazienki zachwyt miejscem trwał. Miałem gumofilce, hodowałem owce, robiłem wino z porzeczek. Kolejnym etapem było założenie rodziny po raz drugi i budowa domu, w którym rozmawiamy.

Przeskoczyłeś do czasów, w których współtworzyłeś już sudecką kulturę poprzez festiwal górski, który powołałeś do życia w Lądku-Zdroju.

Z egoistycznych powodów. Brakowało mi festiwalu w Katowicach, którego kolejna edycja zapowiadana na rok 1994 nie odbyła się, więc w 1995 r. zorganizowałem go u siebie w Lądku. To miejscowość wypoczynkowa, więc są miejsca noclegowe i sala widowiskowa na 250 miejsc. Nie sądziłem, że kiedykolwiek będzie potrzebne więcej. Są tu górki, nie za duże, ale jednak. Są też skałki, też nie za duże, ale są.

W Sokolikach z kolei zaczynała się wspinać prawie cała czołówka polskiego himalaizmu lat 70. i 80.

Widok z okna, Radochów, Góry Złote, 28 października 2022 r.

Od Krzyśka Wielickiego, przez Wojtka Kurtykę, po Wandę Rutkiewicz. Nie tylko polskiego zresztą. Nazwisko Günthera Oskara Dyhrenfurtha jest w historii himalaizmu powszechnie znane. Mało kto wie, że urodził się we Wrocławiu i swoje pierwsze wspinaczki razem z Hettie, także dziewczyną z Wrocławia i wówczas narzeczoną, odbywał na Małego Sokolika.

Pół Polski w ogóle Sudetów nie zna. Mnie przyciągnął dopiero Festiwal.

Obecny jego szef, Maciek Sokołowski, mówił, że gdy pierwszy raz tu jechał, miał wrażenie, jakby wybierał się do innego kraju. Droga S8 została ukończona dopiero w 2017 r., bezpośredniej linii kolejowej do Warszawy nie ma do tej pory. Z centralnej Polski wszystkie drogi prowadziły w Beskidy, Tatry czy Bieszczady. W Sudety jeżdżono tylko z Wielkopolski.

Mimo to Śnieżka przyciąga wręcz nadmierne tłumy.

To najwyższa, święta góra Czechów, którzy mają na niej nawet pocztę. U nas Śnieżka nie funkcjonuje jako szczególna. Choć niewykluczone, że na żadną polską górę nie wchodzi tyle ludzi. Za to na Śnieżniku w gorszą pogodę są zupełne pustki, choć będzie on pewnie generował ruch ze względu na wybudowaną nową wieżę.

Tę, która przypomina blender?

Poprzednia nazywała się Bismarckturm i była zbudowana pod koniec XIX w. w stylu średniowieczno-disneyowskim. Czy naprawdę musieliśmy odtwarzać tę śmieszną estetykę? Bardziej stylowa wieża, wystająca dosłownie 4-5 metrów ponad wierzchołki drzew, stoi na Borówkowej Górze w Górach Złotych, najdłuższym paśmie górskim Sudetów. Zaprojektował ją inżynier Řezníček i wybudował obok gastronomiczny „kiosek", jak mówią Czesi. Wywiesił na nim napis: „Dopóki żyjesz, jedz i pij. Po śmierci już nie będziesz mieć żadnej radości". Czy to nie prowokacja? Dowód, że inżynier Řezníček zbłądził i na złą ścieżkę usiłuje sprowadzać innych? Zwłaszcza że kilka kroków dalej, po polskiej stronie, przekaz jest zgoła inny. Znajduje się tam krzyż upamiętniający chrześcijańskie korzenie europejskiej cywilizacji, obelisk poświęcony księdzu-opozycjoniście z pobliskiego Gierałtowa oraz tablica pamiątkowa poświęcona historycznym spotkaniom. Po kilku interwencjach z polskiej strony inżynier Řezníček skapitulował i schował napis pod bufetem z kanapkami. Mariusz Szczygieł opisał incydent w zbiorku felietonów „Láska nebeská". Napis na Borówkową jednak powrócił. A relacje polsko-czeskie obecnie zdecydowanie ożyły. Czesi zaczęli pojawiać się w Lądku-Zdroju. Przyjeżdżają nie tylko do Biedronki, ale żeby zobaczyć miasto. Przez pierwsze 10 lat po wejściu do strefy Schengen to się właściwie nie zdarzało. Dawniej przyjeżdżali do Kłodzka na targowisko, gdzie kupowali drzwi harmonijkowe oraz deski do prasowania. Do dziś mnie to dziwi.

Jak to, że jedyny czeski zakład produkcji hostii działa tuż przy polskiej granicy?

Uratował go Polak, który ożenił się z Czeszką. Wymyślił, by w padającym zakładzie, który nie mógł funkcjonować z samej produkcji komunikantów, uruchomić linię do produkcji wafelków.

Dawniej płynność między wpływami czeskimi, niemieckimi, a potem polskimi powodowała, że granice były przez pewien czas nieostre. I teraz znowu stają się nieostre, co mnie bardzo cieszy.

Pisanie o górach dotyka często intensywności, tego, co trudne, krańcowe, a w Twojej książce jest pochwała leżenia na trawie lub siedzenia na ławce przy szlaku.

Bo czasem nie wiemy, że mamy szczęście. Chwile umykają nam, ale jeśli się nad nimi pochylimy, okazują się sytuacjami wyjątkowymi.

Należy do nich czas patrzenia?

Zachwycili mnie kiedyś staruszkowie siedzący na ławce przed swoim domem w Zachełmiu. Nie tylko odpoczywali, to był właśnie ich czas patrzenia. Teraz mam dom, w którym mogę usiąść pod daszkiem i też popatrzeć.

Jakbym słuchał pustelnika. Ten prawdziwy także mieszka obok, pod Cierniakiem.

I opiekuje się małym sanktuarium.

Pustelnia w sąsiedztwie, winiarnia w piwnicy przy domu, nieodległa Jaskinia Radochowska, którą zarządza Twoja żona... Składową sudeckości jest element baśniowy?

Dla mnie tak. Chciałbym, aby inni też to zauważyli. Opiekując się odwiedzaną od 300 lat jaskinią, czujemy się kontynuatorami pracy Heinricha Peregrina, emerytowanego górnika z Nowej Rudy, który zainteresował się opuszczoną wówczas jaskinią, udrożnił ją i był samozwańczym przewodnikiem. A ówczesny pustelnik robił kompot z rabarbaru i chłodził go w kankach w jaskini, bo jest tam stałe 9 stopni Celsjusza. Obaj wyjechali stąd w 1947 r. Gdy z kolei uparliśmy się na winiarnię, ludzie pukali się w głowę: „Zbychu, no co ty, kto do lasu przyjedzie na wino? Rób frytki i gofry!". Sprzedajemy tylko wina dolnośląskie, a także morawskie, a więc te zza górki, z jednej lub drugiej strony Sudetów.

Jesteś sudeckim patriotą?

W znaczeniu lokalnego patriotyzmu tak, chociaż wolę się uważać za entuzjastę Sudetów. Tu ścierały się wpływy z południa Europy, bo na Śnieżniku była granica państwa, które na południu sięgało Adriatyku, wpływy wschodnie i zachodnioeuropejskie. Według mnie Dolny Śląsk to najbardziej europejski fragment Polski.

Nasz przyjaciel, sąsiad, były nadleśniczy, którejś wiosny wyjechał na tydzień na Kretę. Wrócił i mówi: „Zbychu, wszystko tam jest zakurzone, zieleń jakaś szarobura, ciemna, ziemista. A u nas maj jest piękny, w różnych odcieniach zieleni, przejrzyste powietrze. Nie to, co na tej greckiej wyspie: biały kurz, jakieś sukulenty, generalnie nuda...".

© Rozmawiał BARTEK DOBROCH

WIARA

ARCHANIOŁ POMOŻE

Wzrasta popularność modlitwy do św. Michała Archanioła. Czy świadczy to o pogłębieniu patrzenia na rzeczywistość jako na teatr walki dobra ze złem?

JAREMA PIEKUTOWSKI

Czy diabeł szczególnie intensywnie działał w Polsce w roku 2009? Wydaje się, że tak uważał ówczesny biskup włocławski Wiesław Mering. Zapowiedział, że zaleci księżom, by w każdej parafii po sprawowanej mszy odmawiana była modlitwa do św. Michała Archanioła. Modlitwa ta, jego zdaniem, w tym momencie potrzebna jest bardziej niż kiedykolwiek. W życie wierzących „wkrada się coraz większy zamęt, obserwuje się odejście od zasad wyznawanej wiary i sprzeniewierzenie nauce Kościoła". Potrzeba więc, twierdził biskup, modlitwy chroniącej Kościół od działania szatana.

Nie był pierwszy ani jedyny. Dziś w Polsce w wielu kościołach słychać słowa: „Wodzu niebieskich zastępów, szatana i inne duchy złe, które na zgubę dusz ludzkich po tym świecie krążą, mocą Bożą strąć do piekła". Można odnieść wrażenie, że popularność modlitwy rośnie.

Tajemnicze początki

Cofnijmy się jednak o 130 lat. Wiek XIX zbliżał się do końca. Pewnego dnia po odprawieniu mszy (mogło to być między rokiem 1884 a 1886) papież Leon XIII prowadził konferencję z kardynałami. W pewnym momencie upadł na podłogę. Kardynałowie wpadli w panikę. Wezwani przez nich lekarze nie stwierdzili znaków życia – puls ponad siedemdziesięcioletniego papieża ustał. Wydawało się, że to już koniec, jednak papież nagle otworzył oczy w jak najlepszym zdrowiu z okrzykiem: „Jakże straszliwą wizję mi ukazano!".

Według tej wizji najbliższa przyszłość – w której zapewne mieści się moment, gdy czytają Państwo ten artykuł – będzie czasem strasznym. Demony będą atakować Kościół na całym świecie. Jednak w najgorszym momencie pojawi się święty Michał, strącając szatana i jego zastępy z powrotem do piekła. „Taka właśnie okazja sprawiła, że papież Leon XIII zalecił tę modlitwę dla Kościoła powszechnego" – konkluduje niemiecki ksiądz Carl Vogl, opowiadając w swojej książce „Weiche Satan" („Słaby szatan") z 1931 r. o początkach modlitwy do św. Michała Archanioła.

A może było zupełnie inaczej? Inną wersję tej historii, którą powtarzają dziś także polskie źródła, przytaczał kilkanaście lat później o. Domenico Pechenino ze zgromadzenia oblatów Dziewicy Maryi. Według niego wszystko rozegrało się podczas porannej mszy. W pewnym momencie, pisze Pechenino, Leon XIII „energicznie wyprostował głowę, wbijając intensywnie wzrok w coś, co znajdowało się nad jego głową. Patrzył na to intensywnie, bez mrugnięcia powieką, ale z poczuciem zgrozy i zdziwienia. Zbladł, a jego twarz wyrażała lęk. Działo się z nim coś dziwnego, coś znaczącego... W końcu, jakby zachowując to dla siebie, wstał i skierował się w stronę swojego prywatnego gabinetu. (...) Po pół godzinie zawołał sekretarza Kongregacji do spraw Świętych Obrzędów i podał mu kartkę papieru, nakazując zrobienie kopii i rozesłanie jej do wszystkich ordynariatów świata". Na kartce znajdowała się modlitwa.

Wersji zdarzeń mamy co najmniej kilka. Jedno jest pewne – druga połowa XIX wieku, czas Marksa, Darwina i Nietzschego, czas wielkich przemian społecznych, to okres, w którym drogi Kościoła katolickiego i świata zaczęły się rozchodzić. Nowe nurty, pojawiające się w myśli współczesnej, spędzały sen z powiek decydentów Kościoła. Symbolem tych tarć był „Syllabus errorum", ogłoszony przez Piusa IX wykaz błędnych opinii upowszechnianych w tamtej epoce. Pius IX zaliczył do nich m.in. socjalizm, komunizm, panteizm i umiarkowany racjonalizm, a także m.in. pogląd, że Kościół ma być oddzielony od państwa.

Ten sam Pius IX nakazał odmawianie serii modlitw po „cichej" mszy. Najpierw była wśród nich np. modlitwa „Zdrowaś Mario" i antyfona „Salve regina". Leon XIII kilkakrotnie modyfikował listę tych modlitw – ostatecznie nazwane one zostały „modlitwami Leonowymi". W drugiej połowie 1886 r. dodał do nich m.in. właśnie modlitwę do św. Michała Archanioła.

Statua Archanioła Michała na placu Niepodległości w Kijowie, 2017 r.

ADOBE STOCK

Kevin J. Symonds, który w swojej książce „Pope Leo XIII and the Prayer to St. Michael" bardzo skrupulatnie dochodzi jej źródeł, twierdzi, że pochodzenie tej modyfikacji było „nieco tajemnicze". Brakuje formalnego dekretu w „Acta Sanctae Sedis", ówczesnym oficjalnym dzienniku Stolicy Apostolskiej z tego okresu, zalecenie więc – konkluduje Symonds – było „dyskretne". Z drugiej strony, jak wskazuje, nigdy nie kwestionowano autentyczności tej zmiany – przyjęto ją w całym zachodnim świecie katolickim.

Renesans Michała Archanioła

Po niemal 80 latach Sobór Watykański II wraz z reformą liturgii skoncentrował uwagę Kościoła na samej Eucharystii, która – jak głosi konstytucja o liturgii „Sacrosanctum concilium" – jest źródłem i szczytem życia chrześcijańskiego. Nowe zasady (w tym instrukcja „Inter oecumenici" z 1964 r.) zniosły praktykę odmawiania tej i innych modlitw Leonowych po mszy. Renesans przyjdzie po latach. Dlaczego?

Biskup Mering nie był pierwszym ani jedynym kapłanem, który przyczynił się do polskiego powrotu tej modlitwy. Rozmowy z osobami aktywnymi w Kościele i analiza źródeł wskazują, że była ona rzadko odmawiana zbiorowo, a nader rzadko, jeśli w ogóle, odmawiana w trakcie czy po liturgii do 1989 r. Zmieniło się to po transformacji ustrojowej, wraz z rozwojem wspólnot i ruchów na fali „nowej wiosny Kościoła". – W latach 90. odmawianie tej modlitwy było powszechne w niektórych środowiskach charyzmatycznych – mówi mi dr Sebastian Duda, teolog i filozof, członek redakcji „Więzi".

– Przez pierwsze 20 lat życia w ogóle jej nie znałem – zauważa Tomasz Rowiński, historyk idei, redaktor „Christianitas", rocznik 1981. – Usłyszałem ją po mszy gdzieś na przełomie tysiącleci.

O modlitwie przypomniał też Jan Paweł II w kwietniu 1994 r. w rozważaniu po „Regina coeli": „Zapraszam was wszystkich, abyście jej nie zapomnieli, abyście ją odmawiali, aby otrzymać pomoc w walce przeciw siłom ciemności i przeciw duchowi tego świata".

Od tego czasu popularność modlitwy wzrosła, i to nie tylko w Polsce. Biskupi amerykańscy – np. Frank Caggiano z Bridgeport czy Leonard Blair z Hartford – zalecili jej odmawianie po mszy w 2018 r. Mamy do czynienia z różnymi motywami – o ile Blair twierdził, iż „w dzisiejszych czasach być może daliśmy się uśpić samozadowoleniu wobec potęgi zła", o tyle dla Caggiano miała ona pomagać Kościołowi w wyjściu z kryzysu po ujawnieniu skandali seksualnych. Kryzys ten, mówi biskup, „wymaga od biskupów uczciwości i skruchy oraz zdecydowanych działań, aby te uchybienia nigdy się nie powtórzyły".

Często jednak szczególne przywiązanie do tej modlitwy wiąże się ze specyficznym postrzeganiem świata duchowego. Nie tylko biskup Mering głosił tezy o szczególnie silnym działaniu szatana we współczesnym świecie. Ks. Edward Data, michalita, stwierdza w swoim tekście dla pisma „Któż jak Bóg", że modlitwę zniesiono „nieco pochopnie", gdyż szczególnie potrzebna jest w czasach posoborowych. Wymienia tu, niczym w „Syllabusie błędów", przemiany po latach 60. XX wieku, wskazujące jego zdaniem na szczególne działanie zła. „Powstał ruch hippisowski, feministyczny, New Age, ideologia gender, zapoczątkowano rewolucję seksualną, głoszono wolną miłość, ↦

związki partnerskie i jednopłciowe, domagano się legalizacji rozwodów i aborcji, propagowano antykoncepcję i pornografię, zaczęto nosić powszechnie dżinsy, kobiety minispódniczki lub spodnie, powstawały organizacje terrorystyczne".

W takim postrzeganiu spektrum zagrożeń nie jest odosobniony. Bp Athanasius Schneider we wstępie do cytowanej książki Symondsa poświęconej modlitwie św. Michała Archanioła tak pisze o drugiej połowie XX wieku: „Kłamstwa i zabójstwa rozpleniły się na świecie w ogromnych rozmiarach: tyrania komunistyczna była pełna kłamstw i posiadała ogromne obozy koncentracyjne, reżim nazistowski kontynuował masowe zabójstwa i ludobójstwo. (...) Kulminacją kłamstw i cynizmu jest obecnie tzw. teoria gender, która stała się już dyktaturą polityczną". Biskup Schneider konkluduje: „Taka teoria i dyktatura polityczna nie mogłaby być bardziej satanistyczna". Z kolei o. Maciej Biskup, dominikanin, w rozmowie ze mną wspomniał czasy swojego nowicjatu, kiedy to jeden z ojców mawiał, że modlitwę wprowadzono „w obronie przed »Gazetą Wyborczą«".

Demon na wojnie kulturowej

Przynajmniej część zwolenników renesansu modlitwy do św. Michała Archanioła kultywuje więc wizję, w której naszemu życiu na ziemi towarzyszy prowadzona w świecie duchowym walka między siłami zła a siłami dobra, wyrażająca się przede wszystkim w wojnie kulturowej. Tu należy wprowadzić kilka podstawowych rozróżnień.

Co do zasady, wizja walki duchowej jest zgodna z chrześcijańską antropologią i nauką Kościoła. Chrześcijanin jest poddawany pokusie zła i egoizmu, której musi się przeciwstawić, włożywszy, jak mówi św. Paweł w liście do Efezjan, „pełną zbroję Bożą". Metaforyczna zbroja to zestaw cech, cnót i dyspozycji: pancerzem jest sprawiedliwość, butami gotowość głoszenia Ewangelii, tarczą wiara, hełmem zbawienie, a mieczem – Słowo Boże.

– Tak, walka duchowa toczy się już dzisiaj – mówi Sebastian Duda – ale nie jest to społeczno-kulturowa walka z gender czy innymi nurtami kulturowymi, a zmaganie toczące się wewnątrz człowieka, na najwyższym poziomie duszy. Na tym poziomie, który ojcowie pustyni nazywali „sercem". To nie oznaczało oczywiście mięśnia sercowego, ale centralny ośrodek duchowy, w którym mieści się intelekt i pewne uczuciowe poruszenia, do którego dostęp ma Bóg.

> Wielu wojnę kulturową postrzega jako ostateczną walkę szatana z Michałem Archaniołem. Tymczasem **prawdziwa walka duchowa rozgrywa się w naszym wnętrzu.**

Problematyczne nie jest więc samo wspominanie o walce duchowej, ale sposób, w jaki się to pojęcie interpretuje. Zarówno z wypowiedzi bp. Meringa, jak i cytowanych ks. Daty czy bp. Schneidera przebija przekonanie, że walka duchowa ma swoje przejawy przede wszystkim w sferze kulturowej, a co gorsza, Bóg i siły dobra obecnie zdają się przegrywać. Można odnieść wrażenie, jakby ostateczny wynik tej walki nie był rozstrzygnięty, a przeciwnicy mieli równe siły – co może przywodzić na myśl także okładka cytowanej książki Symondsa, na której archanioł Michał i diabeł, przedstawiony w postaci płonącego smoka, wyglądają jak bohaterowie komiksów Marvela.

Pokusy

Zarówno o. Biskup, jak i Duda, Rowiński oraz ks. Tomasz Sękowski, proboszcz parafii św. Jadwigi w Zabrzu, choć pochodzą z różnych środowisk kościelnych, zgodni są co do tego, że ta wizja jest błędna. – Mam wrażenie, że zło, przynajmniej jako pokusa, jest w świecie rozłożone równomiernie. To, czy my je równomiernie czynimy, to już inna sprawa – mówi Rowiński.

Problemem w tej perspektywie jest więc umiejscawianie działania zła w konkretnym miejscu czy czasie, co widać już w wersji wizji Leona XIII, przytaczanej przez Domenica Pechenina: „Szatan rzucił Bogu wyzwanie. – Gdybyś dał mi trochę więcej wolności, mógłbyś zobaczyć, co bym zrobił z Twoim Kościołem! – Co byś zrobił? – Zniszczyłbym go. – Och, to byłoby coś spektakularnego. Ile ci to zajmie? – Pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat. – Daję ci więcej wolności i czas, którego potrzebujesz. Wtedy zobaczymy, co się stanie".

Rację mają oczywiście ci, którzy powiedzą, że podobne rozmowy prowadził Bóg z szatanem w Księdze Hioba, jednak należy odczytywać je w sposób metaforyczny. Jak mówi mi ks. Tomasz Sękowski: – Diabeł kusił dwa tysiące lat temu, tysiąc lat temu i 500 lat temu – i tak samo kusi dzisiaj. Trudno przecież stwierdzić, że zły dwieście lat temu odpoczywał.

O. Maciej Biskup jest sceptyczny wobec odmawiania modlitwy do św. Michała Archanioła po mszy: – Mam wrażenie, jakby za postulatem odmawiania tej modlitwy kryła się niewiara w moc Eucharystii, jakby była ona niewystarczająca. Jakby Chrystus nie pokonał Złego. Tymczasem „oskarżyciel braci naszych został strącony" (Ap 12, 10) – strąciła go pascha Chrystusa. Każdy, kto przyjmuje Eucharystię, ma największą możliwą ochronę przed złem.

Tomasz Rowiński uzupełnia tę perspektywę: – Owszem, toczymy bitwy w wygranej wojnie, ale te bitwy, które toczą się o nasze poszczególne, osobiste dusze, mogą jeszcze mieć różne efekty. Jak mówił Jacques Maritain, jesteśmy tajnymi agentami Króla królów na obszarach Księcia tego świata, i zmagamy się o własne dusze.

Walka z demonami – mówi Duda – jest przede wszystkim walką z tym, co Ewagriusz z Pontu nazywa *logismoi* – namiętnymi myślami, pokusami, do których należy m.in. chciwość, obżarstwo i smutek. Ich zwornikiem jest acedia – stan duchowego zniechęcenia, przygnębienia i oschłości. Sposobem działania demona jest oddziaływanie na myśl – i kuszenie.

Jaka jest w tym wszystkim rola św. Michała Archanioła? Jego postać obecna jest nie tylko w chrześcijaństwie, ale także w tradycji judaistycznej oraz w islamie. Jego hebrajskie imię oznacza „któż jak Bóg". „W owych czasach wystąpi Michał, wielki książę, który jest opiekunem dzieci twojego narodu" (Dn 12, 1) – pisał o nim prorok Daniel, a proroctwo to ma swoje odzwierciedlenie w Apokalipsie św. Jana, gdzie „nastąpiła walka na niebie: Michał i Jego aniołowie mieli walczyć ze Smokiem".

Jak w dzisiejszych, racjonalnych czasach wierzyć w aniołów? Pytam o to Sebastiana Dudę. – Anioł, używając języka Jerzego Nowosielskiego, jest bytem subtelnym, posłanym do człowieka po to, żeby mu pomagać w tej wewnętrznej walce ze złem i z po-

kusami – mówi Duda. – To jednocześnie symbol walki, którą w wymiarze ostatecznym Bóg toczy z szatanem – i ją zwycięża.

– Nie należy zapominać, że to Bóg zwycięża. Aniołowie działają tylko Jego mocą – dodaje ks. Sękowski.

Msza wystarczy

Powrotowi modlitwy do św. Michała Archanioła towarzyszy niezrozumienie, jakie jest jej miejsce względem struktury mszy. W niektórych kościołach była ona odmawiana w trakcie mszy. Kursowały też różne wersje tłumaczenia.

Sprawa stała się na tyle istotna, że zajęła się nią Diecezjalna Komisja Liturgiczna diecezji warszawsko-praskiej i wydała na jej temat 29 listopada ubiegłego roku komunikat liturgiczny. Komisja przytacza pokrótce historię modlitwy i wskazuje na jej rosnącą popularność. Ostrzega też przed kilkoma pułapkami i możliwymi błędami. Przede wszystkim podkreśla, że nie wolno dodawać kolejnych elementów do samej struktury mszy.

Autorzy komunikatu wydają się jednak nieco sceptyczni wobec dodawania modlitw skierowanych do świętych również po mszy. Cytują liturgistę, ks. Michała Zacharę: „Rzecz nie w tym, by negować szczególną misję Archanioła Michała w opiece nad Kościołem (...), ale w tym, by nie tworzyć wrażenia, że Eucharystia bez modlitwy do św. Michała ma niepełną wartość". Proszą też o ujednolicenie samego tekstu modlitwy.

Wstawiennicy

Zdania na temat renesansu modlitwy do św. Michała Archanioła są podzielone. Jezuita o. Dariusz Piórkowski krytykuje ją jako reakcję „na rozpadający się stary model obecności Kościoła w świecie, tracenie wpływów, poczucie zagrożenia, atak laickich mediów na księży". Jak wielu innych krytyków, wskazuje też na położenie nadmiernego nacisku na działanie demona. Modlitwy broni m.in. Krystian Kratiuk z „Polonia Christiana". Zwolennicy modlitwy podkreślają jej osadzenie w tradycji. Kratiuk podnosi też argument częsty po stronie tradycjonalistów – jego zdaniem grozi nam raczej niewiara w demona niż zbyt silna wiara w jego moc. Co ciekawe, z powodów teologicznych jej sensu bronił na tych łamach także Artur Sporniak w artykule „Po co nam diabeł?" (powszech.net/archaniol).

Przekonanie, że żyjemy w czasie burzliwych przemian, nie jest niczym nowym. Chrześcijanie, jako wierzący w rzeczywistość duchową, poszukują metafizycznego wymiaru zmian społecznych. Nierzadko widzą w nich zagrożenie – czasem bardziej, czasem mniej słusznie. Pojawia się wtedy pragnienie duchowej odpowiedzi na trudną, niezrozumiałą rzeczywistość wokół. Powrót modlitwy do św. Michała Archanioła z jednej strony jest odpowiedzią na odczucie zmian i niestabilności, jakie przyniosły ostatnie lata. To zrozumiałe, że chrześcijanin szuka duchowego wyrazu swoich wątpliwości i pocieszenia, jakie może przynieść obraz zwycięstwa Michała nad piekielnymi wojskami. Zwycięstwa, które – jak głosi Kościół – już się dokonało.

Z drugiej strony jednak powodzenie tej modlitwy może być faktycznie wyrazem nurtu podkreślającego zagrożenia i niebezpieczeństwa duchowe oraz ich obecność w kulturze. Po 1989 r. w Polsce mamy do czynienia z kolejnymi falami popularności tego niezorganizowanego ruchu. Już w latach 90. rozpowszechniane były osławione broszury na temat demonicznych zagrożeń płynących z muzyki rockowej (pełne zresztą błędów merytorycznych i językowych), jogi czy feng shui. Mieliśmy do czynienia z falami zainteresowania egzorcyzmami, sprowadzonymi do formuły popkulturowej, czego zwieńczeniem był wzrost poczytności miesięcznika „Egzorcysta" w latach 2012-14 (na łamach „TP" wypowiadał się o nim krytycznie ks. Adam Boniecki). Pułapką w tym nurcie jest przypisywanie złu większego znaczenia, niż ma ono w rzeczywistości, a także pokusa myślenia magicznego czy traktowania modlitw jako formuł działających automatycznie.

Sama modlitwa do św. Michała Archanioła nie jest problemem – ważne, kiedy i w jakiej intencji te słowa są wypowiadane (papież Franciszek zaleca jej odmawianie na koniec różańca). Walka duchowa to nie wojna z legalizacją rozwodów czy z minispódniczkami, lecz proces, który dzieje się wewnątrz każdego z nas, kiedy przychodzi pokusa kłamstwa, oszustwa, pychy czy przemocy. Według nauki Kościoła istnieją wstawiennicy, którzy mogą nam w tej walce pomóc. Zwracanie się do nich jednak nie jest magią. A diabeł nie zaczął mocniej działać w 2009 r. – jest niestety z nami zawsze. Dobra wiadomość jest taka, że został już pokonany.

© JAREMA PIEKUTOWSKI

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **TRÓJMIASTO,** czwartek 27 kwietnia, czwartek, spotkanie z Józefem Majewskim, „Co wstanie z martwych? Kilka (być może) zaskakujących myśli o książce ks. E. Piotrowskiego" / stacjonarne /
- **ZIELONA GÓRA,** czwartek 4 maja, spotkanie z o. Stanisławem Jaromim i ks. Andrzejem Dragułą, „Kościół i świat w dobie antropocenu" / stacjonarne /
- **WARSZAWA,** sobota 6 maja, Kawiarenka: Jądro nadziei, dyskusja wokół tekstów Tomasza Polaka i ks. Adama Bonieckiego („TP" nr 17) / stacjonarne /
- **OGÓLNOKLUBOWE,** poniedziałek 8 maja, spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa" – rozdział „Duchowość jako namiętność wiary", cykl „Wspólne czytanie"/ online /

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

Knebel na księży

MONIKA BIAŁKOWSKA

Biskupi i przełożeni jezuitów wprowadzają dla księży zakazy, które w pierwszych wiekach chrześcijaństwa zabiłyby każdą teologię – i zabiłyby Kościół.

Księża w mediach powinni być kompetentni i wierni Ewangelii, powinni przestrzegać prawa autorskiego i chronić małoletnich przed nadużyciami. Na współpracę z redakcjami powinni mieć zgodę przełożonych. Nie wolno im się angażować w działalność sprzeczną z misją Kościoła. To wydaje się oczywiste. Oprócz tego na portalach społecznościowych mają mieć zdjęcia w koloratce lub w habicie albo podpisać się wyraźnie jako duchowni. Tak w skrócie brzmią wchodzące właśnie w życie wytyczne dotyczące obecności księży w mediach.

Wytyczne – w czym problem?

Z całą treścią dokumentu KEP zapoznać się można w internecie. Jednym z jego uszczegółowień jest wydany z datą 20 kwietnia dokument prowincji Polski południowej jezuitów. Napisano w nim, że jezuici powołani są do głoszenia nauki Chrystusa, a nie własnych poglądów, i że ich wypowiedzi nie powinny wywoływać negatywnych emocji. Jezuitom nie wolno zakładać stron ani kont anonimowych bądź prowadzonych pod pseudonimem. Powinni szanować prywatność swoich współbraci i nie wchodzić między sobą w polemiki. Pod żadnym pozorem nie wolno im kwestionować swoich przełożonych ani pouczać hierarchów. Dodatkowo na każde wystąpienie w mediach jezuita musi uzyskać pozwolenie przełożonego. Przełożony musi również wyrazić zgodę na założenie konta na portalu społecznościowym i mieć wgląd do tegoż konta. Każdy napisany przez jezuitę tekst przed publikacją trzeba przedstawić do recenzji kompetentnemu współbratu, a później również przełożonemu, który daje pozwolenie na publikację.

Trudno uwierzyć, że są to ograniczenia dla dorosłych ludzi, bo zgodnie z prawem konta na FB mogą zakładać bez zgody rodziców już trzynastoletnie dzieci. Trudno nie zauważyć, że przymus wewnętrznej cenzury przed publikacją oznacza w świecie mediów społecznościowych *de facto* zablokowanie jakiejkolwiek publikacji. Spowalnia ją i sprawia, że jest nieskuteczna. Niejasne jest też, na ile kontroli podlegają komentarze pod własnymi i cudzymi postami.

Nadal jednak, jeśli ktoś czytać będzie te dokumenty pobieżnie, pomyśleć może – w czym problem? Wystarczy ustawić zdjęcie w koloratce, żaden ksiądz nie powinien się tego wstydzić. Jeśli nie opowiada herezji i zachowuje się z kulturą, też nie ma się czego bać. Ślubował posłuszeństwo, trzeba być konsekwentnym. Całe oburzenie wokół wytycznych to w takim razie zwykły foch.

Niestety, problem tkwi głębiej – w wizji Kościoła i wizji człowieka, jaka się za tymi dokumentami kryje.

Wolność i zaufanie

Pierwsza rzecz, o którą trzeba zapytać, to wolność. Bóg przy stworzeniu dał człowiekowi prawo do grzechu. Dał mu prawo do błędów i do pomyłek. Nie nałożył ograniczeń sprawiających, że wolny wybór i popełnienie błędu będzie niemożliwe. Na tym polegała jego miłość. Wiedział, że możemy wybrać źle, ale chciał być przez człowieka wybrany – a nie przyjęty z braku innego wyjścia.

Wchodzące w życie dokumenty, zwłaszcza w wersji jezuickiej, są próbą odebrania możliwości popełnienia jakiegokolwiek błędu. Są nałożeniem takich ram, w których osobista decyzja i popełnienie błędu są już niemalże niemożliwe.

Drugie pytanie, które powinno tu paść, dotyczy zaufania. Jeśli sam fakt długoletniej formacji, przyjętych święceń, wspólnych doświadczeń, zdobywanych kompetencji i przyjaźni nie jest powodem do tego, żeby zaufać współbratu – to co nim jest? Jeśli przełożony musi kontrolować każde wypowiadane w przestrzeni publicznej słowo swojego podwładnego – to czy na pewno ma współpracownika, czy bezwładnego i ograniczonego niewolnika?

Dokumenty, które się właśnie ukazują, są bardzo wyraźną deklaracją biskupów i przełożonych: drodzy księża, nie ufamy wam za grosz. To nie jest drobiazg. Brak zaufania zabija człowieka i niszczy relację. Podcina skrzydła, odbiera siły i poczucie sensu. Jest zdradą.

W małżeństwie paranoiczne reagowanie na uśmiech nieznajomej osoby, regularne obwąchiwanie ubrań partnerki czy partnera, sprawdzanie wydatków na koncie i przeglądanie telefonu – choć to drugie nigdy nawet nie pomyślało o zdradzie – zniszczy każdą relację. Ten, kto kocha, potrzebuje zaufania. Przyjęcia jego miłości, czyli uwierzenia, że ona jest.

Czy biskupi wierzą, że święcą ludzi kochających?

Posłuszeństwo

Powracającą tu oczywiście kwestią będzie posłuszeństwo, którym próbuje tłumaczyć się w Kościele niemal wszystko. Posłuszeństwo nie oznacza jednak poddaństwa. Nie zawiesza ludzkiej wolności ani prymatu sumienia. Dotyczy tylko kwestii, w których przełożony ma prawną jurysdykcję, a nie wszystkich obszarów życia człowieka.

Można powiedzieć jeszcze więcej. Posłuszeństwo jak Bogu samemu człowiek jest winien tylko temu, kto traktuje go tak, jak sam Bóg chce go traktować – jeśli posłuszeństwo służy miłości, wolności i wzrastaniu człowieka. Tylko wtedy jest ono moralne, jest cnotą. Bez miary „jak Bóg", posłuszeństwo staje się prostackim ćwiczeniem wzajemnych toksycznych zależności, opartych na sile. Staje się przemocą.

W jednym z wcześniejszych dokumentów, które również ukazały się u jezuitów, zapisano wprost: „Reprezentujesz Kościół i jezuitów. Nie istnieje coś takiego jak »twoja prywatna opinia«". Stwierdzenie to jest dość karkołomne. Prawa człowieka, do których należy prawo do wolności myśli i do głoszenia swoich opinii i poglądów, mają charakter powszechny, przyrodzony, niezbywalny i nienaruszalny. Oznacza to, że przysługują każ-

MAREK MALISZEWSKI / REPORTER

Kard. Stanisław Dziwisz, abp Stanisław Budzik i ks. Józef Kloch podczas Plenarnego Zebrania Konferencji Episkopatu Polski w Łomży, 2009 r.

demu człowiekowi przez sam fakt bycia człowiekiem. Nie można się ich zrzec. Żadna władza nie może ich odbierać, regulować ani potwierdzać.

Również posłuszeństwo kapłańskie czy zakonne praw człowieka nikomu nie odbiera ani nie zawiesza. Ślubujący posłuszeństwo człowiek, choćby chciał, z tych praw nie ma mocy zrezygnować. Zapis „nie istnieje twoja prywatna opinia" stoi więc w sprzeczności z najbardziej podstawowymi prawami człowieka.

Owszem: Kościół jako wspólnota i organizacja może uznać, że ktoś przestaje się mieścić w jego ramach. Może publicznie się od takich poglądów odciąć, w skrajnych przypadkach księdza „sekularyzować". Nie może jednak prewencyjnie odebrać nikomu – nawet posłusznemu księdzu – prawa do myślenia i wyrażania prywatnych opinii. Jeśli tego próbuje, łamie podstawowe prawa człowieka i wprowadza totalną (żeby nie powiedzieć: totalitarną) wizję posłuszeństwa, bliższą nie Kościołowi, ale sekcie. I nie jest to droga, jaką powinien iść Kościół – wspólnota wolnych ludzi, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa.

Gdzie byliście?

Nasuwa się pytanie: jak wyglądać będzie egzekwowanie nałożonych zakazów?

Opinia teologiczna na temat błędów doktrynalnych w nauczaniu ks. Dominika Chmielewskiego leżała w episkopacie prawie rok, zanim Tomasz Terlikowski napisał o niej na tych łamach, a jej treść ujawniła „Więź". Dopiero to zmusiło biskupów do przynajmniej połowicznego działania. Pytania o dotychczasową skuteczność biskupów w walce o zdrowe nauczanie Kościoła można mnożyć, wymieniając kolejno ks. Natanka, ks. Prausę, ks. Woźnickiego, ks. Galusa, Wspólnotę Mamre, promowanie objawień w Trevignano Romano czy paru innych księży, wobec których działalności są poważne wątpliwości, ale ich sprawy dopiero czekają na ujawnienie (w mediach, jako że reakcji biskupów znów nie sposób się doczekać). Każda z tych spraw została zaniedbana i przyniosła dramatyczne owoce nie dlatego, że księża występowali bez koloratki – ale dlatego, że treść ich przepowiadania nie była i nadal dla biskupów nie jest istotna. Liczyła się forma: była koloratka, były tłumy, więc wszystko było OK. Czy znów skupimy się na koloratkach?

Ale pytać można dalej. Czy mają prawo ograniczać wystąpienia swoich podwładnych ci, którym nie przeszkadza łamanie zakazu wystąpień? Bez cienia wstydu stający przy ołtarzu z człowiekiem, któremu nie wolno występować publicznie za zaniedbania wobec ofiar pedofilii? Spotykający się z nim w jednej zakrystii i niemający odwagi powiedzieć „veto!"?

Urzędowe prawo oczywiście mają. Moralne prawo stracili – przynajmniej ci wszyscy, którzy wzięli udział w ingresie bp. Sławomira Odera i stanęli obok abp. Mariana Gołębiewskiego. Stracili moralne prawo nie dlatego, że jacyś świeccy patrzą im na ręce. Stracili je, bo te działania widzą ich podwładni, widzą księża. I widzą niekonsekwencję. A niekonsekwentny przełożony sam pozbawia się swojego autorytetu.

Magia koloratki

„Często odbiorcy mediów społecznościowych mają problem we właściwym rozróżnieniu, kto z wypowiadających się tam jest kapłanem" – tłumaczyła prof. Monika Przybysz na początku 2021 r., kiedy KEP zapowiedziała wprowadzenie nowych wytycznych. Prof. Przybysz przekonywała również, że dzięki koloratce odbiorcy będą mieli pewność, że otrzymują zdrową naukę Kościoła.

Dziś jednak większym problemem są ci księża, którzy dopuszczają się nadużyć i budują swoją władzę nad ludźmi, wyraźnie manifestując swoją przynależność duchowną. Koloratka czy habit ich uwiarygadniają. Sprawiają, że łatwiej pozyskują zaufanie. Żaden z księży, wokół których zostały ujawnione skandale, nie ukrywał ↦

koloratki ani habitu. Wręcz przeciwnie. Wiedzieli, że w tym właśnie jest ich siła, że to uśpi czujność ludzi.

Twierdzenie, że manifestacja przynależności do duchowieństwa będzie dawała pewność otrzymywanych treści, daje odbiorcom złudne poczucie bezpieczeństwa. Nie wolno dziś nigdzie i nikomu twierdzić, że tam, gdzie mamy do czynienia z człowiekiem w koloratce, tam wyłączyć możemy myślenie i bezkrytycznie zaufać. To z jednej strony naraża ludzi na nadużycia, z drugiej strony umacnia klerykalizm. Odbiera możliwość dyskusji, krytyki i kontroli.

Dyskusja

W dokumencie jezuitów zapisano: „Niedopuszczalne jest, aby dwaj jezuici nawzajem komentując własne wypowiedzi, prowadzili na forum publicznym polemikę – tego typu praktyki nie służą ani nam, ani tym bardziej tym, którzy stają się świadkami naszych sporów".

Ludzie, którzy są świadkami sporów, mają okazję poznać argumenty. Są motywowani do poszukiwań. Odkrywają, że żadna doktryna ani żaden dogmat nie spłynęły z nieba w gotowej formule, ale odkrywane były właśnie poprzez spór. Zakaz wchodzenia w publiczną polemikę jest skutkiem fałszywej i obłudnej wizji jedności, która nie istnieje. I nie wolno ludzi karmić dziś obrazem Kościoła, w którym wszyscy się zgadzamy i trzymamy w kółku za ręce, bo ludzie szybko odkryją, że taki Kościół nie istnieje.

Człowiek ma prawo szukać i ma prawo błądzić – a każda jego samodzielna myśl jest Boża, bo jest twórcza. Zamiast zakazywać polemiki, dużo roztropniej byłoby zaproponować zasady kulturalnej i rzeczowej dyskusji. Polecić odwoływanie się do źródeł. Zalecić racjonalność zamiast emocji. Przypomnieć, na czym polega traktowanie adwersarza z szacunkiem. To byłaby klasa i poziom, które wychodzić powinny od jezuitów. Tymczasem mamy zakazy, które wprowadzone w pierwszych wiekach chrześcijaństwa zabiłyby każdą teologię – i zabiłyby Kościół.

Reagować na błędy

Kościół bez wątpienia powinien reagować na błędy głoszone w jego imieniu. To jest ważne, jeśli chce pozostać wierny nauce Apostołów – ale nie jest to tożsame z prewencyjnym ograniczaniem wolności wypowiedzi wszystkim księżom i na wszelki wypadek.

Jeśli ktoś mówi źle, trzeba wykazać jego błędy. Zrobić to publicznie, rzeczowo, odwołując się do teologii tak, żeby również pouczyć odbiorców. Jeśli odsuwa się kogoś za błędy, trzeba mieć odwagę o tym powiedzieć, bez udawania, że przeniesienie jest zwykłą „potrzebą duszpasterską".

Ograniczenia prewencyjne, skupiające się głównie na formie, nie świadczą o prawdziwej trosce o Kościół. Są raczej efektem lękowego podejścia do mediów i własnej nieporadności.

Czytając te dokumenty widzę zagubionych i wystraszonych liderów kościelnych. Ludzie, którzy je napisali, nie żyją w świecie mediów społecznościowych. Nie nauczyli się nigdy żeglować na tych falach. Patrzą z boku i wydaje im się to dramatycznie niebezpieczne – wprowadzają więc ograniczenia, dyktowane przez lęk amatora. Nie zdają sobie sprawy, że w ten sposób uniemożliwiają żeglowanie. Problem w tym, że tam, na tym morzu, są ludzie, którzy bardzo potrzebują żeglarzy-sterników. I ci ludzie właśnie zostają sami. Sternicy zostali uziemieni.

Jaka będzie przyszłość? W optymistycznym scenariuszu hierarchia się jednak zorientuje, że dokumenty z wytycznymi są strzałem w kolano. Z tego co wiem, niektórzy biskupi nadal nie mają o dokumencie KEP pojęcia i niespecjalnie ich on obchodzi. Oczywiście, nikt się z tego oficjalnie nie wycofa, ale też nikt nie będzie tego egzekwował. Nie powstaną w kuriach żadne wydziały, a uprzejme donosy lądować będą w koszach. Sprawa się rozmyje, będziemy udawać, że nic się nie stało. Ostatecznie tylko jeszcze bardziej ucierpi wizerunek i autorytet biskupów, którzy znów mówią rzeczy bez mocy i ducha.

Wersja pesymistyczna jest taka, że jednak ktoś się tym przejmie i potraktuje serio. Co się stanie z Kościołem, w którym przestaniemy rozmawiać, a zaczniemy się bać?

© MONIKA BIAŁKOWSKA

Autorka jest dziennikarką, doktorem teologii fundamentalnej, laureatką Nagrody Dziennikarskiej „Ślad" im. bp. Jana Chrapka w 2022 r.

Papieskie alibi

KAROL TARNOWSKI

Dramatem polskiego Kościoła jest fakt, że podsuwani przez otoczenie papieża kandydaci na biskupów okazywali się często ludźmi przeciętnymi, niemądrymi i tchórzliwymi.

W czasach komunizmu Kościół w Polsce wyrósł na potęgę duchową, a przy okazji materialną. Był znakiem oporu wobec roszczeń z założenia totalitarnej władzy – nawet jeśli wśród jego członków znalazło się sporo „tajnych współpracowników". Nazwiska takie, jak Wyszyński, Wojtyła, Tokarczuk i wielu innych, w tym męczenników, jak ks. Popiełuszko, mówią same za siebie. Niemałą rolę odgrywały imponujące zewnętrzne znaki religijności – pielgrzymki, procesje, budowa kościołów. Nie było to bez wpływu na samopoczucie ludzi Kościoła: ich pewność siebie, poczucie racji czy wręcz nieomylności.

Obecnie pod rządami PiS Kościół dostał dodatkowy parasol ochronny, co go jeszcze bardziej demotywuje i demoralizuje. Można odnieść wrażenie, że stracił z oczu zwykłego człowieka i jego bolączki.

Ale Kościół w Polsce to przecież tylko część Kościoła powszechnego, który znalazł się w głębokim kryzysie przede wszystkim za sprawą skandali pedofilskich i obojętności hierarchii. Wiedza o tych skandalach rosła powoli, aż przekroczyła masę krytyczną: to, co w latach 90. XX wieku zostało odkryte w Stanach Zjednoczonych czy Irlandii, spowodowało wstrząs, przyspieszając dechrystianizację w tych krajach.

To tąpnięcie powinno było dać do myślenia także decydentom Kościoła w Polsce, ale my długo czuliśmy się im-

MARZENA WYSTRACH / REPORTER

Narodowy Marsz Papieski w Warszawie, 2 kwietnia 2023 r.

munizowani na ten kryzys – w pewnym sensie alibi stanowiła osoba papieża Polaka. Dopóki żył.

Sanktyfikacja

Niewątpliwie Jan Paweł II był najwybitniejszym z papieży ubiegłego wieku. Wielki mąż stanu, inicjator pogodzenia Kościoła i Synagogi (pierwszy, który przekroczył mury synagogi w Rzymie). Pierwszy też papież tak otwarcie ekumeniczny (moderator modlitewnego spotkania przedstawicieli innych wyznań w Asyżu). Pierwszy, który przeprosił za winy Kościoła w przeszłości. Dla Polski i świata był mężem opatrznościowym, bez którego trudno wyobrazić sobie upadek komunizmu, obrońcą ruchu Solidarność, człowiekiem, który wlewał nadzieje w serca Polaków, autorem wielu mądrych przemówień, charyzmatycznym duszpasterzem, a przy tym człowiekiem wielkiej osobistej dobroci.

Po jego śmierci szybko ulegliśmy jednak „papolatrii", stawiając papieżowi dziesiątki pomników, nazywając jego imieniem mnóstwo ulic, placów i uczelni. Sytuację tę pogłębiło jego pośmiertne wyniesienie na ołtarze, „sanktyfikacja", która spowodowała, że nowy święty został wyjęty z dziejowych ram życia i pozbawiony swego człowieczeństwa, które nigdy u nikogo nie jest przecież do końca doskonałe – obciążają go błędy i grzechy. Wobec Jana Pawła II Polacy zachowali się tak, jakby nie do końca podlegał on ludzkiej kondycji. A skoro jednak podlega, to mamy prawo stawiać pytania na temat jego stosunku do pedofilii oraz praktyk Kościoła i osądzać je, biorąc pod uwagę stan świadomości Kościoła w tamtych czasach.

Ślepota

Otóż stosunek ten polegał – jak teraz coraz lepiej wiadomo – z reguły na usuwaniu księdza-pedofila z miejsca przestępstwa i przenoszeniu go (po ewentualnej pokucie) do innej parafii, gdzie ksiądz mógł rozpocząć proceder od nowa, bo nie miał wystarczająco skutecznego nadzoru. W praktyce tej uderza nie tylko niechęć do karania księży, ale przede wszystkim całkowite *désinteressement* w stosunku do samych ofiar, brak empatii i wiedzy psychologicznej.

Jan Paweł II zasadniczo nie postępował inaczej, bo był dzieckiem tego czasu, a co najważniejsze – sam był „elementem" struktury Kościoła instytucjonalnego. Wszystko to spajała swoista teologiczna wizja Kościoła jako takiego. Otóż dla Jana Pawła II – jak dla wielu innych – Kościół był święty, ponieważ był założony przez Jezusa, bywał Kościołem męczenników i ukonstytuował niezwykle trwałą i imponującą tradycję, która wcieliła się w quasi-ponadczasową strukturę hierarchiczną, opartą na modelu monarchicznym. Strukturze takiej grozi autorytaryzm i lekceważenie rozwiązań demokratycznych. Niestety dla Jana Pawła II Kościół był święty razem ze swoją klerykalną strukturą monarchiczną, co stępiło jego krytycyzm także w stosunku do jej złych przejawów.

Powrót do Ewangelii

Tymczasem Kościół taki nie jest z ducha Ewangelii, bowiem staje się strukturą autorytarnej władzy. Wyciągnijmy z tego kilka prostych, ale i zasadniczych wniosków.

1 Kościół jest przede wszystkim *instytucją ludzką*, a więc niedoskonałą i zmienną, która w skrajnych przypadkach może się zwracać przeciwko ↦

↦ obecnemu w niej Duchowi Świętemu. Należy pamiętać, że boski Duch nie jest bynajmniej obecny tylko w Kościele, ale działa także poza nim. Świadomość tego jest żywa w Biblii i w autentycznych świadkach Ewangelii. Jak pisał Kochanowski: „Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie, i w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie". Kościoła więc nie wolno idolatryzować – jak czynił to do pewnego stopnia Jan Paweł II.

2 Zasadniczym odkryciem-przypomnieniem wynikającym z obecnej sytuacji, którą by można określić Tischnerowskim terminem „koniec chrześcijaństwa tomistycznego", jest *dziejowość*, historyczność, skończoność. Zwracał na to uwagę np. kard. John Henry Newman. Wynika z tego, że nie można bezkrytycznie przymierzać stanu świadomości wolnej Polski w XXI wieku do czasów komunizmu. Inne dziś mamy priorytety. Wtedy Kościół jawił się jako ostoja wolności indywidualnej i narodowej. Dlatego chwaliliśmy ks. Jankowskiego za jego wsparcie Solidarności, nie zwracając uwagi na jego „dziwne" prywatne zachowania względem dzieci. Teraz miary mamy inne, gdyż znowu na jaw wyszła mroczna strona Kościoła. Lecz wtedy trzeba było nade wszystko bronić Kościoła przed komunizmem.

Oto dlaczego Wojtyła „stawiał" na Kościół jako instytucję, która w jego oczach utożsamiała się po prostu z chrześcijaństwem jako polem działania Ducha Świętego. Dziś rozumiemy lepiej, że Duch wieje kędy chce, a instytucja Kościoła jest do gruntu ludzka i grzeszna (chociaż chciana przez Boga-człowieka). A skoro tak, to może (i *de facto* musi) popełniać błędy (nawet zbrodnie), cofać się i potykać. Ale błędy te i zbrodnie muszą być piętnowane i – zarówno w porządku kościelnym, jak świeckim – karane. I musi być możliwe dochodzenie prawdy w tych sprawach, nie tylko przez naukowców, ale także uczciwych dziennikarzy.

Z drugiej jednak strony, nie wolno zapominać o dwu zasadach. Po pierwsze, że prawda w sprawach historycznych nigdy nie jest definitywna na sposób matematyczny – chyba że „łapie" fakty i uczynki na „gorąco". Po drugie, warto pamiętać o ewangelicznej zasadzie: „Nie sądźcie a nie będziecie sądzeni"; oznacza to zawieszenie pretensji do wydawania definitywnych wyroków osądzających człowieka – a więc i jego „duszę" oraz sumienie.

Jan Paweł II współtworzył instytucję Kościoła, mając świadomość swojego czasu. Kiedy jednak skandale pedofilskie zaczęły wychodzić na jaw, zaczął też na nie reagować instytucjonalnie. To był proces powolny i często mało skuteczny. Dramatem polskiego Kościoła jest także fakt, że podsuwani przez otoczenie papieża kandydaci na biskupów okazywali się często ludźmi przeciętnymi, niemądrymi i tchórzliwymi.

3 Skoro Kościół jest instytucją ludzką, to *a priori* musi się mu przyznać prawo do zmian tego, co ludzkie, bowiem żaden przepis, choćby uważany był za „odwieczny", nie jest wolny od *ewolucji*, czasem skutkującej nawet jego likwidacją. Dotyczy to np. przepisu o obowiązkowym celibacie dla „duchownych", który z powodów zasadniczych w skali masowej nie sprawdza się – jest to zresztą dramat nie tylko polskiego Kościoła. Oczywistym argumentem za jego likwidacją jest rażący nieporządek w sprawach seksualnych, który ujawnił się w Kościele. Dlatego papież stanowczo powinien się okazać odważny i zlikwidować dotychczasowy obowiązek celibatu. Podobnie powinien zainicjować radykalniejsze od Wojtyły przepracowanie teologii seksualności.

4 Główną, endemiczną pokusą Kościoła jest *władza*, o czym wiadomo było od dawna. Władza będąca naturalnym składnikiem społeczeństwa jest niezbędna w każdej instytucji. Ale Kościół wypracował model władzy feudalnej, to znaczy hierarchicznej i *de facto* absolutnej, pozostającej poza wspólnotową kontrolą. Ten model władzy grozi nieuchronnie nadużyciami i jest całkowicie anachroniczny w naszych czasach – od dawna wiedzieli o tym oświeceni katolicy, nawet tak konserwatywni jak Jacques Maritain.

Nie można pomyśleć dzisiaj o żadnej instytucji bez jakiejś formy rzeczywistej demokracji. Nie może być tak, żeby „lud boży" – świeccy, kobiety, młodzież – nie miał żadnego realnego wpływu na działania Kościoła, to znaczy także możliwości podejmowania wspólnotowych decyzji. To z kolei jest możliwe wtedy, gdy świeccy są dobrze kształceni, słuchani, biorą udział w dyskusjach i ponoszą odpowiedzialność w pewnych ważnych kwestiach. Miarą dla wypracowania nowego modelu władzy w Kościele powinna być Ewangelia.

Pokusa władzy oznacza także korzystanie przez Kościół z uzależniającego wsparcia ze strony władzy świeckiej i czerpanie z tego przywilejów. To, co obserwujemy obecnie w Polsce – związek „ołtarza z tronem" w wydaniu PiS i ojca Rydzyka (jako *pars pro toto*) – jest najkrótszą drogą do pozbawienia Kościoła jakiegokolwiek rzeczywistego moralnego autorytetu.

5 Cokolwiek byśmy powiedzieli o dziejowości człowieka i instytucji, chrześcijaństwo ma jedną miarę (choć jest ona z konieczności dziejowo interpretowana) – jest nią Ewangelia i osoba Chrystusa. W tym miejscu musimy powrócić do zagadnienia pedofilii i do wymownych cytatów. „Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, temu lepiej byłoby kamień młyński uwiązać u szyi i wrzucić go w morze" (Mk, 9, 42-43). „Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie (...) do takich bowiem należy królestwo Boże" (Mk 10, 14). „Zaprawdę powiadam wam: wszystko co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili" (Mt 25, 40). Wprawdzie szacunek i ochrona dziecka należą *de iure* do podstawowych praw człowieka, ale dla chrześcijanina Ewangelia jest jednoznaczna: „lepiej uwiązać u szyi kamień...". Dlaczego o tej prawdzie – jak o wielu innych – zapomniano?

Smutno pomyśleć, że Jan Paweł II, który często spotykał się z dziećmi, nie zdobył się na szczerą rozmowę z którąś z ofiar i na prawdziwie empatyczny gest względem niej. Być może nie był jeszcze po temu czas, ale to pokazuje, że nie sposób nawet najwybitniejszemu człowiekowi przeskoczyć horyzontu „ducha czasu". I nie sposób mu tego wybaczyć.

© KAROL TARNOWSKI

Autor jest filozofem, wykłada filozofię w UPJPII w Krakowie i UJ. Jest wychowankiem duszpasterstwa prowadzonego przez ks. Karola Wojtyłę.

DISNEY+ / ZRZUT EKRANU

Juan Cuatrecasas. Kadr z filmu „Papież Franciszek: pytania i odpowiedzi", Disney+ 2023

Poprawka ze sprawiedliwości

DOMA MATEJKO

Czy papież może ukarać świeckiego pedofila? Jest ciąg dalszy sprawy Juana – jednego z bohaterów filmu dokumentalnego rozmów z Franciszkiem, wykorzystanego seksualnie przez członka Opus Dei.

Co z pedofilią w Kościele?" – pyta Juan. Papież Franciszek, słysząc to pytanie, robi głośny wydech. Juan stara się być profesjonalny, choć widać, że jest bardzo zestresowany. Tworzy niezgrabne zdania i zanim przejdzie do konkretów, ratuje się ogólnikami. „Jestem Juan Cuatrecasas i chodziłem do szkoły Opus Dei w Bilbão – przedstawia się, ociera twarz, drapie się po szyi, starając utrzymać miarowy oddech. – W latach 2008-2009, kiedy miałem 11-12 lat, byłem molestowany przez numerariusza" – kontynuuje z trudem, do oczu napływają mu łzy, za co przeprasza. Papież spuszcza wzrok, by zaraz znowu popatrzeć na chłopaka. Mówi mu, żeby płakał, jeżeli tylko tego potrzebuje.

Skazany na wolności

To jedna ze scen głośnego dokumentu „Papież Franciszek: pytania i odpowiedzi". Po wysłuchaniu Juana Franciszek zapewnił, że zajmie się jego sprawą. I jak obiecał, tak zrobił. Nie przewidział jednak, że jego decyzja o otwarciu procesu kanonicznego i o wznowieniu postępowania w sprawie przedstawionej przez Juana wywoła m.in. ostry sprzeciw obrońców praw człowieka, którzy będą bronić sprawcy, nie ofiary. Sprawa jest bowiem złożona.

Za molestowanie seksualne Juana nauczyciel José María Martínez Sanz został początkowo skazany przez Sąd Rejonowy na 11 lat więzienia. Nie przyznał się jednak do zarzucanego mu czynu. Również ówczesny dyrektor szkoły Opus Dei, Imanol Goyarrola, stanął w obronie swojego pracownika, twierdząc, że „opowieść nieletniego nie była wiarygodna". We wrześniu 2020 r., po apelacji, Sąd Najwyższy zmniejszył karę do dwóch lat, co w świetle hiszpańskiego prawa oznacza, że skazany, nieobciążony wcześniej żadnym wyrokiem, dostał wyrok w zawieszeniu.

Martínez Sanz nie poszedł więc do więzienia. Rozgoryczenie rodziny Cuatrecasas wyrokiem sądu potęgował fakt, że w przeszłości darzyli nauczyciela ogromnym zaufaniem. Początkowo nauczyciel był w stosunku do Juana bardzo życzliwy. Gdy Juan trafił do szpitala z zapaleniem wyrostka robaczkowego, nauczyciel odwiedzał go wraz z uczniami. W podzięce rodzice Juana zapraszali go do domu na kolacje.

Martínez Sanz był numerariuszem; zgodnie z regułami organizacji Opus Dei osoba żyje w celibacie i zazwyczaj mieszka w ośrodkach Prałatury. Dlatego kiedy sprawa molestowania wyszła na jaw, rodzina Juana próbowała szukać pomocy u samego papieża. W 2014 r. – jeszcze w trakcie procesu – ojciec Juana napisał do Franciszka list, prosząc o wsparcie. Ten w krótkiej, odręcznie napisanej wiadomości poinformował, że sprawą zajmie się Kuria Rzymska. W trakcie kręcenia filmu Franciszek, wyraźnie przejęty historią, zapytał o decyzję Kurii. Jak wyjaśnił Juan, jego rodzina otrzymała odpowiedź, że akta tej sprawy trafiły do archiwum i że konieczne jest przywrócenie dobrego imienia nauczycielowi.

Reakcja Franciszka

„Sprawy molestowania nieletnich się nie przedawniają. Przynajmniej nie w Kościele" – zapewnia w rozmowie z Juanem Franciszek. Rok temu papież zarządził nowy proces kanoniczny w sprawie nadużycia w szkole prowadzonej przez Opus Dei. Biskup Bilbão poinformował, że „proces ten ma na celu określenie odpowiedzialności oraz pomoc w leczeniu ran". Jednak dobre chęci zarówno papieża, jak i biskupa badającego sprawę napotkały na szereg przeszkód.

Jeszcze do niedawna kodeks prawa kanonicznego przewidywał kary za nadużycia seksualne wobec nieletnich tylko dla osób duchownych. Nowelizacja kodeksu z maja 2021 r. rozszerza ↦

↦ odpowiedzialność także na świeckich (kanon 1398 paragraf 2) i pozwala ich ukarać np. pozbawieniem urzędu czy funkcji kościelnej (kanon 1336). To teoretycznie mogłoby ułatwić postępowanie przeciwko Martínezowi. Jednak prawo nie działa wstecz. A Franciszek, najwyższy prawodawca prawa kanonicznego w Kościele, zadeklarował w tym konkretnym przypadku takie właśnie działanie.

Martínez Sanz nie uznał prawomocności procesu sądu kościelnego, nazywając go „najdziwniejszym procesem, o jakim kiedykolwiek słyszał". Dwa tygodnie temu nie stawił się do złożenia zeznań – na rozprawie był reprezentowany przez adwokata.

Oprawca czy ofiara

„Od 2008 r. powtarzam, że jestem niewinny" – pisze na blogu zatytułowanym „Moja prawdziwa historia" Martínez. W długim wpisie zamieszczonym 3 kwietnia opisuje swoją wersję wydarzeń. Jako pierwszy argument na swoją obronę wskazuje słabe zdrowie Juana, który już w podstawówce opuszczał lekcje, skarżył się na bóle głowy i mięśni oraz często wymiotował. Pediatra Juana przepisał mu leki przeciwlękowe, kiedy ten miał 10 lat. „Wtedy go jeszcze nie znałem" – tłumaczy nauczyciel i dodaje, że informacja o dolegliwościach Juana znalazła się w dokumentacji świeckiego postępowania sądowego.

Oczywiście, tendencje do stanów lękowych u dziecka nie wykluczają, że kilka lat później chłopiec mówi prawdę o popełnionych wobec niego nadużyciach seksualnych. Ale Martínez używa tego jako argumentu, który ma dowieść, że wersja wydarzeń prezentowana przez Juana jest tworem dziecięcej wyobraźni: „To, co opisuje, zdarzyło się tylko w jego głowie". Dodaje, że problemy zdrowotne Juana nie są jedynym wytłumaczeniem oskarżeń kierowanych w stronę nauczyciela – chłopak doświadczał bullyingu, czyli był obiektem szykan ze strony kolegów z klasy.

Argumentacja nauczyciela – momentami dość abstrakcyjna – na tym się nie kończy. Podkreśla, że psychiatra, który badał Juana i który brał udział w procesie sądowym, to Iñaki Viar, który w 1970 r. został skazany na 20 lat pozbawienia wolności za przynależność do baskijskiej grupy terrorystycznej ETA i za organizację zamachu bombowego (bez ofiar śmiertelnych). Martínez wspomina również, że szkolna salka, w której miało dochodzić do nadużyć, nie była zamykana. „Było to bardzo ruchliwe miejsce, w którym przechowywano piłki, apteczkę i typowe przedmioty do nauczania. Zamknęliśmy drzwi, ponieważ hałas [w czasie zajęć] mógł być denerwujący, ale nigdy nie na klucz czy zatrzask" – tłumaczy.

Lista skandali, do których dopuścili się członkowie Opus Dei, jest długa. Dotychczas zwykle uchodziło im to na sucho. Dlatego Franciszek zareagował.

Papież w Hadze

Członek Opus Dei przedstawia siebie jako ofiarę wymyślonych przez dziecko oskarżeń i procesu sądowego, który według niego pozbawiony jest podstaw prawnych. Choć hiszpańska opinia publiczna już dawno uznała nauczyciela za winnego, grupa prawników stanęła w jego obronie w momencie, kiedy papież ogłosił otwarcie nowego procesu kanonicznego. Fernando Simón Yarza, profesor prawa konstytucyjnego, przygotował pismo, jak sam mówi – *pro bono*, w którym twierdzi, że trybunał kanoniczny nie ma żadnej jurysdykcji ani kompetencji, i że został utworzony specjalnie dla tej sprawy, oraz że dochodzi do łamania zasady domniemania niewinności.

Co więcej, Yarza zaznacza, że finalnie to osoby zaangażowane w proces kanoniczny, w tym jego przewodniczący, bp José Antonio Satué, mogą zostać postawione przed hiszpańskim świeckim wymiarem sprawiedliwości, gdyż została naruszona zasada *non bis in idem*, będąca jedną z podstaw praworządności karnej, stanowiąca o tym, że osoba nie może być dwukrotnie ukarana za ten sam czyn.

Jak podają hiszpańskie media, dokument ten Yarza już wysłał do kilku biskupów. Ale nie tylko biskupi mogą się czuć zagrożeni. Martínez jeszcze na początku kwietnia zadeklarował, że jeżeli zostanie skazany przez trybunał kanoniczny, postawi papieża Franciszka przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze.

Bezkarni

Kara, jaka może spotkać Martíneza w wyniku procesu kanonicznego – o ile ten będzie kontynuowany – dla wielu okaże się niesatysfakcjonująca. Papież może wykluczyć Martíneza oraz jego przełożonych z Opus Dei.

Historia Juana nie jest odosobnionym przypadkiem molestowania seksualnego w kręgu tej organizacji i za każdym razem wymiar kary był, przynajmniej w oczach osób świeckich i ofiar, niewspółmierny do popełnionego czynu. Znana była sprawa Manuela Cociña – pierwszego księdza z Opus Dei skazanego za molestowanie seksualne nieletnich przez Watykan. Duchowny dostał zakaz głoszenia kazań, słuchania spowiedzi oraz udzielania sakramentów i sakramentaliów, z wyjątkiem mszy w prywatnej kaplicy, przez okres pięciu lat.

Tymczasem lista skandali, do których dopuścili się członkowie Opus Dei, jest długa. Do licznych nadużyć seksualnych ze strony nauczyciela dochodziło w kierowanej przez tę organizację szkole „Planalto" w Portugalii. Wiadomo o podobnych nadużyciach w wielu krajach Ameryki Łacińskiej oraz m.in. o 42 kobietach, które zgłosiły do Watykanu, że przez lata były wykorzystywane do pracy jako służące w ośrodkach i domach Opus Dei.

W zeszłym roku, miesiąc po nagraniu filmu dokumentalnego, w którym Franciszek spotkał się z Juanem, papież opublikował list „Ad charisma tuendum", który prałata Opus Dei pozbawił możliwości otrzymania święceń biskupich, a samą Prałaturę podporządkował Dykasterii ds. Duchowieństwa, choć do tej pory podlegała Dykasterii ds. Biskupów. Uznano to za degradację formalnych struktur organizacji. Franciszek zarządził również jej gruntowną reformę, czego punktem kulminacyjnym był odbywający się w dniach 12-17 kwietnia w Rzymie nadzwyczajny kongres generalny Opus Dei, na którym miano też omawiać wspomniane przypadki nadużyć.

Nie wiadomo jednak, czy dobre chęci Franciszka oraz kolejne reformy zmienią sytuację ofiar w Kościele. A pod jeszcze większym znakiem zapytania stoi zakończenie sprawy Juana Cuatrecasasa.

© DOMA MATEJKO

ZUZANNA

Radzik:

Ja im dam strategiczny networking!

Powinny grać więcej w golfa – ustalili amerykańscy naukowcy. Mowa o kobietach w biznesie (zwłaszcza sprzedaży i marketingu) oraz o wpływie gry w golfa na ich kariery. Rację przyznają im prezeski firm z listy Fortune 500, które mówią o tym, że golf pomógł im w karierze. Połowa z nich tłumaczy, że nawet sama umiejętność rozmowy o golfie była pomocna. Podbijają to wszyscy inni prezesi, z których 80 proc. twierdzi, że golf pomógł im w karierze, a 70 proc., że robią interesy z kimś poznanym w czasie gry. Jak to działa? „Częściowo przez to, co wiesz, częściowo przez to, kogo znasz, a częściowo przez to, kto wie, co ty wiesz" – tłumaczyła badaczom któraś z kobiet. Dlaczego golf ma taką siłę? Bo ponoć sieci budowane na wspólnej aktywności są silniejsze niż inne, ale też czasem golf to po prostu biznesowe spotkanie przebrane za sport. A chyba przede wszystkim dlatego, że klasyczna gra na 18 dołków pochłania zwykle około czterech godzin. Golf zmusza do spędzania ze sobą całych dni i wyjścia poza powierzchowne pytania. Pozwala dobrze się poznać. Tylko skąd kobiety mające dzieci i powszechnie narzekające na brak wolnego czasu (patrz podział obowiązków) miałyby wykroić te cztery, pięć godzin skupienia na trafianiu piłeczką do celu?

Ostatecznie kobiety w pracy często po prostu czują się – i są – wykluczane z nieformalnych sieci towarzyskich opartych o rzekomo męskie zainteresowania i sporty. No to czekam na naukowe opracowanie wpływu zainteresowania piłką nożną na obecność kobiet i mężczyzn w polskiej polityce. A w Kościele? Jest jakiś sport, do którego można dołączyć, żeby zagadać niezobowiązująco z kim trzeba?

Nie śmieję się wcale ze zdominowanego przez mężczyzn golfa i jego wpływu na kobiece kariery. Zresztą, czytam ten artykuł, bo już wcześniej słyszałam od koleżanek, że to jest problem, z którym mierzą się one i mentorujące im szefowe. Zwłaszcza w USA. I myślę, ile jest takich barier w naszym świecie, osadzonych strukturalnie i kulturowo? Ile siły trzeba, żeby będąc kobietą w biznesie, oprócz wszystkiego, co musisz umieć i zrobić, dla dobra kariery zostawić jeszcze partnera z dziećmi w domu i udać się na pole golfowe, przełamując lęk przed wyróżnianiem się, śmiesznością, niekompetencją (powszechne jest przekonanie, że kobiety są słabe w golfie), niechcianym podrywem (ciekawe, że o tym w badaniach nic nie ma). Iść, grać pięć godzin i nawiązywać biznesowe relacje jak gdyby nigdy nic. Mała rzecz, a duża.

Jedno tylko dziwi. Autorzy artykułu upierają się, że mężczyźni budują lepsze sieci społeczne od kobiet. Rozglądam się wokół – i to kobiety są tkaczkami relacji: pamiętają o prezentach, zagadują, co słychać, umawiają weekendowe lunche w kilka rodzin, wpadają na kawę. Sama czuję się królową networkingu, a tu taki cios i potwarz! Aha, już widzę. Rzecz w tym, że według badaczy mężczyźni budują bardziej efektywne sieci, większe i mające ważniejszych członków, oparte na strategii i użyteczności. Kobiety zaś sieciują z tym, z kim szczerze lubią spędzać czas. Tak twierdzą amerykańscy naukowcy, na podstawie badań innych amerykańskich naukowców z lat 60. i połowy 90. Ręka im nie drgnie, gdy puentują, że nie jest naturalną skłonnością kobiet myśleć o sieciach relacji strategicznie, choć nie ma badań mówiących, że kobiety nie są zdolne tworzyć relacji w oparciu o strategie.

Ja im dam strategiczny networking! Zirytowana zostawiam to i wychodzę na herstoryczny spacer organizowany za darmo przez feministyczny kolektyw. Poznać trochę miejscowych działaczek, posłuchać o historii swojego nowego miasta i kobiet w nim żyjących, pobyć z koleżankami, które nie pomogą mi w karierze, ale w życiu są jednak niezbędne. W bonusie dostaję słońce, bo to jeden z pierwszych pięknych wiosennych dni. A potem jakoś tak wychodzi, że odprowadzam jedną z nich do teatru, żeby jeszcze pogadać. A jak już przyszłam, to kupuję bilet na – a jakże – feministyczną sztukę nigeryjskiej reżyserki, która pracowała z belgijskimi aktorkami na kobiecych świadectwach o doświadczonej przez nie przemocy. Zaczyna się od zaproszenia na scenę wszystkich osób z widowni, które... doświadczały kolejno wyliczanych form przemocy, znanej kobietom dość powszechnie. Schodzi nas z widowni połowa, przesuwamy się po scenie za aktorkami, mówiącymi: niech koło mnie staną te, które doświadczyły molestowania seksualnego w komunikacji publicznej. Odpowiada im śmiech, przesuwamy się wszystkie. Ale są też momenty, w których dziewczyny tulą się do siebie, gdy, stając w konkretnym miejscu sceny, dają świadectwo, że doświadczyły gwałtu, molestowania przed 14. rokiem życia.

Że nie umiemy w strategiczny networking, mówią naukowcy? Może mamy po prostu inne cele i inne strategie. Dzięki, Ania, za to strategicznie niestrategiczne pięć godzin. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ROZMOWA

PRZYSZŁA PRZYSZŁOŚĆ

ZUZANNA SKALSKA, ANALITYCZKA TRENDÓW:
Nie mamy dziś prototypów jutra. Potrzebujemy Ewy. Adam pilnował, czego nie można, a Ewa zaryzykowała.

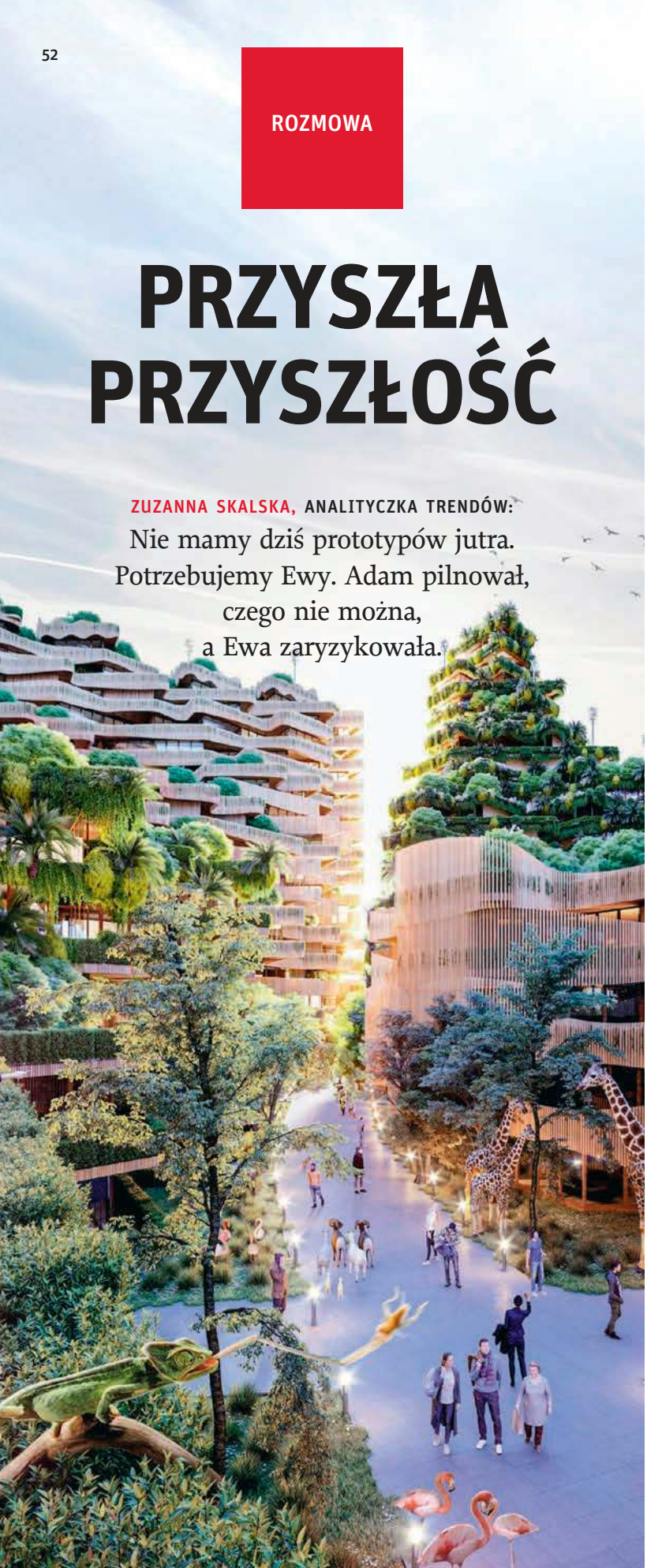

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Zrobiłem sobie pobieżną listę rzeczy, które się zmieniły, odkąd po raz pierwszy rozmawialiśmy na łamach „Tygodnika" o przyszłości – dekadę temu.
ZUZANNA SKALSKA: To już dekada? O jejku. I co?

Elektryczne auta, hulajnogi i jednokołowce. Fotowoltaika na wiejskich dachach. Oczyszczacze powietrza, ale też mniej smogu w miastach. Robo-odkurzacze i początki internetu rzeczy, często chińskich, co już nie jest synonimem podróbki, lecz konkurencyjnej technologii. Paczkomaty! Dostawy na aplikację, coworking, smartwatche. Sztuczna inteligencja. Przyszłość przyszła?
Przyszła przyszłość, którą przewidywaliśmy w latach 60. i 70., ta z amerykańskiej *science fiction* inspirowanej programem kosmicznym. Przyszłość z „Jetsonów" czy „Star Treka". Wówczas powstały prototypy tego, co mamy teraz, wystarczyło poczekać, aż pojawi się technologia – przy czym prototyp jest jakby przybliżeniem z kartonu i taśmy klejącej. Jego ostateczny kształt może się okazać nieco inny. Jednak to były czasy nie tylko programów kosmicznych, ale też ogromnej polaryzacji świata, która pomogła wywołać iskrę tworzenia. W błogich latach 2000-2020 takiej iskry nie było. W efekcie nie mamy dziś prototypów przyszłości.

Teraz wróciła silna polaryzacja i w dodatku spotkało nas coś, co skomplikowało wyobrażenie o przyszłości jako wiecznym postępie: pandemia, wojna w Ukrainie, recesja.
To było hamowanie przy pełnej prędkości. Zahamowaliśmy do zera, poczuliśmy pasy bezpieczeństwa.

Zatrzymaliśmy się w myśleniu o przyszłości?
Niemcy właśnie zamykają ostatnie elektrownie atomowe, zgodnie z decyzją podjętą po tsunami w Fukushimie. Tak jakby po drodze nie było pandemii, a zwłaszcza wojny w Ukrainie. Z kolei Holandia czy Polska planują budowę takich elektrowni. Jesteśmy w jednej Unii Europejskiej, ale każdy skrobie tylko swoją rzepkę. Tymczasem europejski system energetyczny – i Europa w ogóle – to sieć powiązań. Jeśli węzły tej sieci zaczną żyć własnym życiem, dojdzie do jej rozerwania.

Ale czy wojna i kryzys z dostępem do paliw z Rosji nie jest takim momentem napięcia, z którego wykrzeszemy iskrę zmian? Nawet w Polsce zaczęto poważniej myśleć o alterna-

MATERIAŁY PRASOWE GG-LOOP

„Mitosis" – projekt pracowni architektonicznej GG-loop z Amsterdamu, przykład projektowania biofilnego: równowagi między technologią a naturą.

Po prawej: hotel Pencil Tower, projekt studia Durbach Block Jaggers, to stumetrowa wieża o szerokości zaledwie 6,4 m, efekt ciasnoty miast.

tywnych źródłach energii, w tym odnawialnych – przyszłościowych.

Tyle że problemy z rosyjską ropą, węglem i gazem to żadna nowość, prawda? Ile już razy Zachodowi zakręcano kurki? Od dawna było pewne, że przyjdą problemy, tak jak od dawna wiadomo, kiedy na Ziemi skończą się paliwa kopalne. Od dawna wiemy też, że musimy całkiem zmienić źródła energii. Owszem, wojna w Ukrainie dała nam tu gigantyczne przyśpieszenie.

Rozumiem, że wobec braku prototypów przyszłości postanowiliście ze strategiem biznesu Rafałem Kołodziejem wziąć sprawy we własne ręce. Zaprojektowaliście aż cztery jej scenariusze, w opublikowanej w zeszłym roku książce „Prototyping 2040".

Z zawodowego doświadczenia wiemy, że nie istnieje coś takiego jak jedna przyszłość, tak samo jak w jednym mieście są zarówno reprezentacyjne ulice, jak też dzielnice, w które strach się zapuszczać. A na to, w jakich rzeczywistościach będziemy żyć, wpłyną wybory firm i decydentów podejmowane dziś.

Rozpisaliście te scenariusze między dwiema przecinającymi się osiami: pozioma rozpina się między „ja" a „my", druga między „dobrobytem" a „niedoborem". Po stronie dobrobytu jest wersja przyszłości nastawionej na „ja" – czyli życzliwy kapitalizm, i na „my" – aktywna regeneracja świata. W scenariuszu niedoboru mamy nastawioną na „my" przyszłość samoograniczenia oraz nastawioną na „ja" wizję zakonsumowania się na śmierć...

Wybór między postawieniem na dobro jednostki a dobrem społeczności ponad interesami jednostek jest dziś zasadniczy. Zwłaszcza że mamy właśnie do czynienia z cywilizacyjnym przebiegunowaniem między Wschodem a Zachodem (do Wschodu nie zaliczam Rosji, która nie jest ani kulturą zachodnią, ani azjatycką). Dotąd to Europa Zachodnia budowała cywilizację na indywidualizmie i prawach jednostki. Azja przeciwnie: tu liczyła się zbiorowość, wszyscy byli poddanymi cesarza (dziś jest nim np. Xi Jinping). A teraz ktoś przestawił wajchę – Zachód przeorientowuje się na prymat społeczności, choć w zupełnie innym modelu niż azjatycki, autokratyczny: dostrzegamy bogactwo w lokalnych społecznościach i oczekujemy, że jednostki dostosują się do ich dobra.

MATERIAŁY PRASOWE DURBACH BLOCKS JAGGER

A w Azji?

Tam zaczyna rosnąć silna klasa średnia, która buduje pozycję jednostki, choć – inaczej, niż to było na Zachodzie – w otoczeniu autorytarnym. Już dziś mnóstwo luksusowych marek modowych czy motoryzacyjnych, dotąd kojarzonych z europejskimi stolicami, przerzuca kwatery główne do Azji, bo jest tam klient, który chce na nich budować tożsamość.

Co to dla nas oznacza?

Zmienia się paradygmat i definicje pojęć „ja" i „my". Zaczniemy się wstydzić słowa „ja". Wypowiedź „mi jest zimno, więc ja będę palić w piecu i nie skręcę kaloryfera" będzie wstydliwa. Cóż to ma znaczyć? Kup sobie skarpety i sweter, bo my tu dbamy o nasze środowisko i przyszłość naszych dzieci. Czyli – ubieraj się dla wspólnego dobra.

...a nie, jak dotąd, dla wyrażania siebie. Ale w Polsce, wśród młodych ludzi, po których można by się spodziewać progresywnych postaw, zdobywają poparcie politycy mówiący: ja, moje prawo do jedzenia mięsa i nieszczepienia się, moje pieniądze i nie oddam ich na podatki...

Pandemia wtrąciła nas w chaos, chaos idei jest dziś nowym porządkiem. Mamy nawarstwienie kryzysów: rosyjsko-ukraiński, polityczny, finansowy, klimatyczny, energetyczny, farmaceutyczny, kryzys zaufania do nauki i do siebie nawzajem. Uporządkowanie tego chaosu potrwa około dwóch do trzech dekad.

Kto ma go porządkować? Rządy? Korporacje? Samorządy? Wspólnoty?

Oby ktokolwiek – bo jeśli nic nami mocno nie wstrząśnie, to zmian nie będzie. Nadal zarabiamy, z kranu leci woda, działa internet, nie spodziewam się więc zmian jeszcze przez kilka lat. Gdyby ta zima nie była tak lekka, gdybyśmy mieli przez dwa miesiące minus 20 stopni, to może byśmy z niej wyszli z inną mentalnością. Ale nie przeszliśmy jeszcze czegoś, co pozwoliłoby nam zrozumieć, że nie potrzebujemy tak dużo.

↦ **Taki wstrząs prowadziłby do jednego z Waszych scenariuszy – przyszłości samoograniczenia...**

Mam nadzieję, że wstrząs nie będzie potrzebny i dojdziemy do tego dzięki naszej inteligencji. Na razie żyjemy w świecie nadprodukcji. Mamy tyle żywności, że nie wyobrażamy sobie jej braku. Po co cerować skarpetki, gdy można kupić nowe? A przecież nadprodukcja to doświadczenie dopiero ostatnich dekad, zwłaszcza w Polsce. Przedtem się reperowało, teraz lubimy, jak nas stać na nowe. Dlatego uważam, że żeby doszło do zmiany, musi nas przycisnąć. Tymczasem nawet pandemia nam nie wystarczyła.

Wierzę, że gdy konflikt rosyjsko-ukraiński się skończy, najbardziej zaawansowanym społeczeństwem będą Ukraińcy. Bo wiedzą, co to znaczy nie mieć, stracić, doceniać, prosić. Wydaje mi się, że pokażą zupełnie nową drogę, nową przyszłość. Również dlatego, że to bardzo młode społeczeństwo, które właśnie znalazło swoją tożsamość i musiało się o nią bić.

Widzisz na Zachodzie kogoś, kto potrafiłby zawczasu skutecznie zakrzyknąć: „Brace yourselves, winter is coming?"

Greta Thunberg próbowała...

...i została wyśmiana.

Ale tak naprawdę mówią nam to już teraz uchodźcy. Ludzie, którzy muszą uciekać z rejonów, gdzie dziś brakuje wody i żywności, a które kiedyś zostały ogołocone przez zachodnią kolonizację. Tamta kolonizacja właśnie do nas wraca, a mamy do rozliczenia 400 lat. Tego się też nie załatwi w rok.

Jeśli zmian nie będzie, czeka nas najbardziej ponury scenariusz przyszłości?

Tak, czyli – kontynuacja *status quo*. Skupienie na sobie przy rosnącym niedostatku. Zjadanie własnego ogona. Świat, w którym kupczysz własnymi danymi po to, by opracowano oferty jeszcze bardziej pasujące do ciebie, żebyś pragnął jeszcze więcej.

Z książki zapadło mi w pamięć zdanie, że jest to „świat, w którym głównym celem wszystkich jest imponowanie innym". A to się przecież już dzieje: heroldem tej przyszłości są media społecznościowe.

Tak – przyczyniły się one ogromnie do konglomeratu kryzysów, o którym mówiłam, bo wywołały kryzys autorytetu, co było bardzo dobrze widać w pandemii. Brednie, manipulacje i fake newsy stają się w nich wiralową prawdą objawioną.

Ale sukcesu social mediów upatruję w jeszcze innym kryzysie: wiary. Ona jest dla społeczeństw jak reguły ruchu drogowego. Tymczasem stara religia się sypie, nowej jeszcze nie mamy, za to mamy już nowe prawdy objawione. Budujemy sobie więc bożki – influencerów. Szukamy nowych cudów. Media społecznościowe to taki nowy etap próżnej magii, w którym nie wiesz, co jest prawdziwe, a co nie.

Gdyby się zmieniły, mogłyby stać się narzędziem zmiany społecznej?

Nie, bo są ślepym zaułkiem. Albo one padną, albo my padniemy przez nie. Bo w social mediach każdy dostaje taki *content*, na jaki zasłużył, wedle tego, w jakiej bańce żyje; za ich sprawą żyjemy w zamknięciu.

Czasem pytam studentów, ludzi 20-letnich, czyje zdjęcia lub plakaty mieli na ścianie w pokoju. I wiesz, że 90 procent z nich nie miało żadnych? Żadnych idoli, autorytetów. Zespoły nie istnieją, piosenka jest produktem.

To mocna metafora: czy wartością jest zespół, czy produkt...

Dziś cały system jest zorientowany na produkt. Zarządzający muszą zamknąć rok lepiej niż poprzedni, myślą krótkoterminowo, bo od tego zależy ich bonus. Gdyby system się zmienił i nagradzał liderów za to, że np. ich firma przetrwa dziesięć lat, zaczęliby myśleć długofalowo. Teraz żadnego managera nie interesuje, co będzie za dekadę. Do tego nagradzani są za maksymalizację zysku, a nie za dowiezienie innych wartości, jak choćby etyczność czy ekologia.

> Błędem będzie powtarzanie nowym pokoleniom: „jak się nie będziesz uczyć, to pójdziesz do zawodówki". Trzeba mówić: **„jak nie masz przydatnych talentów, zostają ci studia".**

Przyszłość, w której korporacje zmieniają się na lepsze, to Wasz „życzliwy kapitalizm". Jak miałby działać?

Jeśli firmy się przebudzą i zobaczą, że świat dzisiejszych korporacji nie ma przyszłości, wtedy to ich zarządzający staną się siłą napędową zmian. Bo państwa nie są na to dość silne, nie mają takich pieniędzy i wpływów. Konsumenci zaś kupują to, co się im oferuje – jeśli oferuje się im g..., będą w nim siedzieć po pachy. A wyobraźmy sobie, że korporacje oferują produkty np. możliwe do reperowania. Już tak prosta zmiana nadawałaby ton temu, jakim jesteśmy społeczeństwem.

Jaki interes musiałyby mieć, żeby tak zmienić swoją ofertę?

Na takie pytanie zawsze odpowiadam firmom jednym zdaniem: że przetrwanie nie jest obligatoryjne. Firma ma prawo się nie zmieniać, wtedy odpadnie z biznesu. Bo ktoś inny za taką samą cenę zaoferuje lepsze, etyczne produkty. Konkurencja zawsze przychodzi w momencie, w którym się tego kompletnie nie spodziewasz, i z miejsca, którego się nie spodziewasz. Może nawet zdrowiej jest, gdy firmy umierają?

My lgniemy ku dobremu? Mój wybór konsumencki może wpłynąć na przyszłość? Jeśli dostanę do wyboru dobre i tanie, wybiorę...

Tanie. Dlatego wybór konsumencki może zmienić przyszłość, ale pod warunkiem, że jest osadzony w systemie. A system musi się zmienić. Może – trzymając się wcześniejszego przykładu – produkty jednorazowe powinny być droższe, opodatkowane albo trzeba refundować naprawy? Póki system toczy konsumpcyjna gangrena, sami nie zmienimy nic.

Gdy dekadę temu rozmawialiśmy o pracy przyszłości, prognozowałaś, że czeka nas oderwanie od podziału na czas pracy i czas po pracy, że zmieni się nam definicja miejsca pracy i niej samej – będziemy się angażować w konkretne projekty w ramach sieci kontaktów. Dziś jesteśmy po wielkim eksperymencie z pracą zdalną, zmierzyliśmy się z jej

wadami – np. rozlewaniem się pracy na czas wolny i przestrzeń domu. Jak dziś widzisz przyszłość pracy?

Po pierwsze, sprawdziło się, że coraz więcej ludzi chce pracować jako freelancerzy, w projektach, a nie od 9 do 17. Po drugie, naszą motywacją do wszelkiej innowacji jest lenistwo lub ciekawość. Wymyślamy robo-odkurzacze, bo nam się nie chce sprzątać, opracowujemy program kosmiczny, żeby sprawdzić, co jest na Marsie (chyba że jest w tym cel komercyjny, ale tego wolę nie wiedzieć). Tak samo jest z pracą: praca marzeń to taka, która nas ciekawi, fascynuje, ale też pozwala więcej zarabiać mniej się wysilając. I dokładnie do tego teraz dochodzimy: np. nowym trendem jest dziś zmniejszanie czasu pracy do czterech dni.

Ale, po trzecie, gdy mówimy o pracy zdalnej i biurowej, nie możemy zapominać, że za biurkiem pracuje 14-15 procent społeczeństwa. Nie da się z domu prowadzić autobusu, zmienić pieluchy pensjonariuszowi domu opieki, obcinać włosów, upiec bochnów chleba.

Pamiętam z początków pandemii, jak gwiazda kanapowej lewicy pisała, że w lockdownie „w Polsce nikt nie pracuje", gdy pracownicy ochrony zdrowia, dostawcy, policja czy służby oczyszczania urabiali sobie ręce.

I właśnie to będzie się coraz bardziej doceniać: że nie ma co się zabijać o status 15-procentowej elity, tytuły MBA i stanowiska, na których pracuje się tak dużo, że nie ma się czasu z tego korzystać. W krajach zachodnich czuć już nacisk na dowartościowanie niebiurowej pracy. W Holandii nie wolno już mówić o wykształceniu wyższym i niższym, lecz o funkcjonalnym i humanistycznym. Błędem będzie powtarzanie nowym pokoleniom: „jak się nie będziesz uczyć, to pójdziesz do zawodówki". Teraz trzeba mówić: „jak nie masz żadnych talentów przydatnych w społeczeństwie, to, niestety, pozostają ci tylko studia". Oczywiście generalizuję, bo np. lekarze muszą się uczyć całe życie.

Co będzie wtedy elitarne?

Użyteczność. Do tej pory wyznacznikiem statusu było posiadanie. Nowy model będzie oparty o świadomość twojej roli w społeczeństwie. Znowu odwołam się do przykładu wiary: w etosie protestanckim nieważne, kim jesteś z zawodu, musisz wypełniać swoją rolę we wspólnocie, bo musimy w niej sobie pomagać. Życia wiecznego nie zbudujesz samym pokazywaniem się co niedzielę w kościele.

PAWEŁ NOWICKI / MATERIAŁY PRASOWE SWPS

ZUZANNA SKALSKA doradza biznesowi, badając sygnały zmian i scenariuszy rozwoju. Właścicielka 360Inspiration, partnerka FutureS Thinking Group, współtwórczyni School of Form w Warszawie. Od 1992 r. mieszka w Holandii, gdzie studiowała w Design Academy w Eindhoven oraz Królewskiej Akademii Sztuki i Projektowania w Den Bosch. Pracowała m.in. w Philips Design i studiu projektowym VanBerlo. Zdobywczyni prestiżowych nagród, m.in. iF Product Design Award oraz Red Dot Design Award.

A gdy wyższe wykształcenie nie będzie wartością, kto będzie projektował, rozwijał i budował wszystkie te technologiczne cuda przyszłości?

Dalej te 15 procent ludzi będzie pracować w sektorze nauki czy technologii – to dużo. Tylko nie będzie to już taka nauka i technologia jak dzisiaj.

Co masz na myśli?

Przechodzimy tu do modelu przyszłości aktywnej regeneracji, z dobrobytem i nastawieniem na wspólnotę – to jeden z czterech scenariuszy z naszej książki. W tym modelu wszelkie innowacje nie będą już służyć naszemu lenistwu i ciekawości, lecz odbudowie i wspomaganiu życia w równowadze z naturą. Jak w filmie „Avatar": tamtemu społeczeństwu niczego nie brakuje, bo jest ściśle połączone z naturą, rozumie ją, rozwinęło umiejętności, których my nie mamy. My przecież dziś nawet nie rozumiemy ryczącego dziecka. Dopiero zaczynamy pojmować złożoność i bogactwo królestwa grzybów – właśnie czytam w BBC o odkryciu, że komunikują się one przy użyciu do 50 „słów"! Odkrywamy dalekie galaktyki, a dopiero uczymy się tego, co mamy pod stopami. Zmieni się nasza relacja z Ziemią.

W 2050 roku większość ludzkości będzie mieszkać w miastach, wieś już dziś traci swoje tradycyjne funkcje. Żywność ma się wytwarzać w zrównoważonych, opartych o zdobycze nauki farmach. Gdzie będzie miejsce natury?

Wszędzie wokół. Miasto będzie parkiem. Natura będzie się z nami przenikać. Musimy ją z powrotem zaprosić do siebie, żeby łoś, lis lub dzik nie był w mieście intruzem czy czymś dziwnym. Czymś naprawdę dziwnym jest człowiek w mieście.

Wierzę, że to możliwe, gdy patrzę na decyzje świadomych włodarzy dużych miast. Widzą oni, że największym wrogiem miasta jest samochód. Wszystkie Barcelony, Paryże, Amsterdamy czy Londyny odwracają się od samochodu na rzecz roweru, autobusu, metra, tramwaju. Zwężają ulice, redukują parkingi, wprowadzają opłaty środowiskowe. Przestrzenią dla samochodów są autostrady i prowincja, nie miasto.

Bez samochodu nie wyobrażamy sobie dziś życia.

Gdy tymczasem pierwszy samochód powstał dopiero w 1886 roku. Nasza cywilizacja zbudowana została bez niego. W Europie Zachodniej już chyba od dekady samochód to coraz częściej problem niż luksus, bo szybciej dojedziesz wszędzie rowerem, autobusem czy pociągiem.

W rozdziale Waszej książki o najoptymistyczniejszym scenariuszu przyszłości pada słowo „utopia" i wcale nie brzmi ono jak „mrzonka". Czym dla Ciebie jest utopia?

Po prostu marzeniem. Gdy masz marzenia, jesteś optymistą. Gdy je tracisz, przestajesz wierzyć w zmianę. W książce posługiwaliśmy się terminem „scenariusz" przyszłości, ale tak naprawdę mieliśmy na myśli *mindset*. Nastawienie. To, jak ustawimy swój sposób myślenia, świadomość. Jak sobie wytyczymy drogę.

Holenderski architekt i urbanista Floris Alkemade powiedział, że potrzebujemy dziś Ewy. Jak w biblijnym raju, gdzie Adam bardzo pilnował *status quo* i tego, czego nie można, a Ewa była ciekawa i zaryzykowała. Musieli opuścić swój raj. Ale czy my naprawdę żyjemy dziś w raju?

©℗ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

CRASH TEST DLA NIEMIEC

Kryzys tradycyjnej branży motoryzacyjnej może sprawić, że największej unijnej gospodarce zagrozi fala bankructw i bezrobocia. Rykoszetem może oberwać także Polska.

ŁUKASZ GRAJEWSKI

Kurs na prawo jazdy robiłem w Niemczech. Szczególnie jeden moment zapadł mi w pamięć, bo też dobrze ilustruje on szczególny – rzec można: intymny – stosunek Niemców do czterokołowców.

Akurat ćwiczyliśmy wjazd na autostradę. To obowiązkowa część kursu. Widocznie zbyt ślamazarnie włączałem się do ruchu, bo Enrico, mój instruktor, chwycił za kierownicę, dał gaz do dechy i sprawnie przejechał na skrajny lewy pas, tak abym następnie mógł wyprzedzić jadące prawym pasem ciężarówki. „*Junge, Autobahn ist Krieg!*" (Chłopcze, autostrada to wojna!) – wykrzyczał z radością małego chłopca.

Niemcy to jedyny kraj w Europie, w którym na autostradach można pruć do woli. Nie ma ograniczeń prędkości. Nie ma żadnych opłat. Jest natomiast ponad 13 tys. kilometrów autostrad (w Polsce to trochę ponad 1,2 tys. km). Dzięki nim można szybko przemieszczać się pomiędzy szesnastoma landami Republiki Federalnej.

Zwykły Niemiec, w codziennym życiu splątany ogromem przepisów i reguł, chociaż na autostradzie może poczuć się przez chwilę wolny. Może wrzucić najwyższy bieg i rozpędzić swoje audi lub porsche do 200 km na godzinę.

Kierowcy, którzy nie potrzebują takich wrażeń, ze zrozumieniem sprawnie zjeżdżają wtedy na prawy pas, jakby chcieli powiedzieć: „A niech się wyszaleje". Pomimo powracających co jakiś czas debat na temat wprowadzenia limitu prędkości na autostradach, za Odrą wciąż wygrywa ukuty w latach 70. XX stulecia slogan „*Freie Fahrt für freie Bürger*", co w wiernym przekładzie znaczy: „Swobodna jazda dla wolnych obywateli", a w bardziej dowolnym, lecz dobitniejszym: „Wolni obywatele mają prawo jeździć, jak im się podoba".

Duma i tożsamość

Poszaleć na autostradzie – to jedno. Dla bardzo wielu Niemców auto jest natomiast niezbędnym na co dzień narzędziem.

Pomimo wielkiej i stale rosnącej popularności rowerów i miliardowych nakładów państwa na wzmacnianie komunikacji zbiorowej wciąż 65 proc. z tych kilkunastu milionów Niemców, którzy codziennie muszą dojeżdżać do pracy nieco dalej niż kilka przystanków tramwajem, wybiera swój własny samochód. Także w czasie wolnym Niemcy chętnie pakują rodziny i niezbędne manatki do różnej maści busów oraz kamperów i jadą spędzić urlop na polu kempingowym gdzieś w urokliwym zakątku naszego kontynentu.

Krajowe marki cieszą się między Odrą a Renem niezmierną popularnością. W państwie, w którym tradycyjne formy patriotyzmu są przez wielu niemile widziane z powodu mrocznej XX-wiecznej

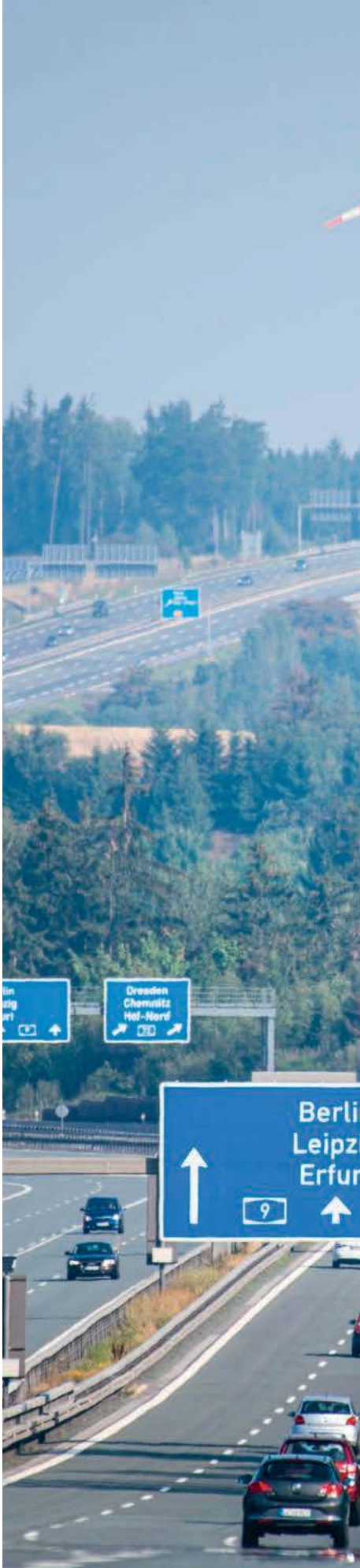

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Niemiecka autostrada A9. 25 sierpnia 2019 r.

historii, obywatelom pozostaje nieskrępowany patriotyzm konsumencki – wybieranie własnych firm i duma z jakości ich produktów.

A to przecież właśnie samochód jest najważniejszym z wszystkich produktów eksportowych „Made in Germany". Auta montowane w niemieckich fabrykach rozsławiły po wojnie przemysł Niemiec Zachodnich.

Dlatego niedawna decyzja Komisji Europejskiej o zakazie rejestracji nowych aut z silnikiem spalinowym począwszy od roku 2035 nie spotkała się z przychylnością niemieckiego społeczeństwa (podobnie zresztą jak polskiego). Sondaże mówią, że przeciwnych temu zakazowi jest 67 proc. Niemców. Samochody z napędem spalinowym to część tożsamości, ale i dobrobytu Niemiec. Ich pogrzeb będzie bolesny dla całego kraju.

Potrzeba matką wynalazków

Dziennik „Handelsblatt", niemiecka wyrocznia w sprawach ekonomii, przypomniał ostatnio jeden z aspektów stojących za „Wirtschaftswunder", „cudem gospodarczym", który miał miejsce w Niemczech Zachodnich po II wojnie światowej.

Otóż dynamiczny rozwój zachodnioniemieckiej gospodarki – i w ślad za tym dobrobyt – umożliwić mieli po części sami alianci. Po wygraniu wojny oczyścili fabryki III Rzeszy z maszyn, które rozmontowali, wsadzili na ciężarówki i zabrali. Niemcy miały na dekady zostać przemysłowo w tyle, aby nie stały się znów zagrożeniem dla świata (praktykę taką stosowali nie tylko Sowieci w swojej strefie okupacyjnej i na ziemiach mających przypaść Polsce, choć oni rabowali najbardziej). Tyle tylko, że zdyscyplinowani i mający smykałkę do techniki Niemcy szybko wypełnili puste hale maszynami nowymi i lepszymi. Wbrew intencji aliantów, kraj i jego koncerny motoryzacyjne szybko zdobyły przewagę technologiczną.

Ta barwna anegdota to jednak tylko część prawdy. Odbudowa parków maszynowych nie byłaby możliwa, gdyby nie przedwojenne doświadczenie. To dzięki wysiłkom wielkich niemieckich pionierów motoryzacji – Rudolfa Diesela, Carla Benza czy Gottlieba Daimlera – świat ↦

↦ ujrzał pierwsze silniki spalinowe. Motoryzacja przeżywała też rozkwit w ciągu 12 lat istnienia III Rzeszy. Koncerny bez wahania splotły swoje biznesowe interesy z chorą ideologią Adolfa Hitlera: nie tylko produkowały dla armii, ale chętnie sięgały po robotników przymusowych z krajów okupowanych, w tym z Polski.

Za panowania Hitlera mapę kraju zaczęły przecinać też linie autostrad: do 1945 r. powstało ich aż 3,8 tys. kilometrów. To również w tym czasie, na wyraźne życzenie wodza, Ferdinand Porsche zaprojektował pierwszą wersję volkswagena „garbusa", pomyślanego jako tanie auto dla mas. Do roku 1945 nie zrealizowano tej wizji – priorytet miały zbrojenia. Za to po wojnie to ten właśnie model (w Niemczech nazwany „*Käfer*", „Chrząszcz") stał się światowym hitem – i utorował koncernowi Volkswagena drogę na światowy szczyt.

Zrobieni w diesla

Pod adresem niemieckiego przemysłu na przestrzeni ostatnich dekadach można by prawić wiele komplementów. To w końcu potężna siła eksportowa, zbudowana wokół tradycyjnie najwyższej jakości. Jednak ostatnio, w wieku XXI, zabrakło odwagi do rewolucyjnych zmian i umiejętności wyjścia poza strefę komfortu – jak miało to miejsce po II wojnie światowej.

Niemieckie koncerny motoryzacyjne wyspecjalizowały się więc w ewolucyjnym dopieszczaniu swoich pojazdów, wypuszczając każdy model lepszy od poprzedniego i doprowadzając do perfekcji nawet najmniejsze elementy. W tym czasie konkurencja za oceanami – Atlantyckim i Spokojnym – planowała, jak zrewolucjonizować motoryzację.

Założony przez Elona Muska koncern Tesla w 2012 r. zaczął seryjną produkcję swojego klasycznego dziś elektryka „Model S". Tesla opracowała zaawansowane technologicznie akumulatory i stworzyła oprogramowanie, którym naszpikowała swoje auta, uruchomiła sprawną sprzedaż online, a na brak infrastruktury do ładowania baterii odpowiedziała stawianiem własnych stacji.

Jak zareagowała branża w Niemczech? – Tesla to była dla nich jakaś śmieszna firma z Doliny Krzemowej – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" dr Konrad Popławski, który w warszawskim Ośrodku Studiów Wschodnich od lat zajmuje się Niemcami i powiązaniami gospodarczymi w naszej części Europy. Popławski zwraca uwagę, że bossowie z Wolfsburga i Stuttgartu uważali auta Tesli za jakąś fanaberię dla bogaczy. I patrzyli głównie na Chiny, gdzie ich auta spalinowe sprzedawały się wówczas doskonale.

Niemieckie firmy dalej stawiały zatem na sprawdzone rozwiązania. Co gorsza, zakochane w swoim złotym dziecku – silniku diesla – chciały wmówić światu, a przede wszystkim klientom z USA, że ta technologia zdominuje ekologiczną przyszłość. Jednak gdy kolejne poprawki nie zapewniały już dalszych spadków szkodliwych emisji, Volkswagen zdecydował się na montaż oprogramowania, które zaniżało emisję szkodliwych substancji w czasie testów. Sprawa wyszła na jaw w 2015 r., podobnie jak później odkryta zmowa niemieckich potentatów, która miała na celu stawiać silniki diesla w jak najlepszym świetle.

Presja na eko

W konsekwencji „afery dieslowej" na wizerunku niemieckich firm motoryzacyjnych pojawiła się poważna rysa. Reagując na to – oraz na zmieniającą się atmosferę społeczną wokół tematyki klimatu – na przestrzeni ostatnich lat wszystkie jak jeden mąż ogłosiły więc, że przyszłość motoryzacji należy do aut elektrycznych.

Z początkiem 2020 r. Herbert Diess, ówczesny szef Volkswagena, przestrzegał na firmowej imprezie, że koncern może podzieli los fińskiej Nokii: ten prosperujący kiedyś producent telefonów komórkowych przegapił moment, w którym konkurencja zaczęła rozwijać produkcję urządzeń będących czymś więcej niż tylko telefonami – smartfonów.

Dziś Niemcy coraz chętniej zaczynają się przesiadać do elektryków. W 2022 r. na 2,7 mln kupionych nowych samochodów ponad 470 tys. stanowiły elektryki (w Polsce w tym okresie sprzedano ponad 11 tys. takich pojazdów). Dodając do tego hybrydy, blisko połowa nowo zarejestrowanych pojazdów mogła pochwalić się co najmniej częściowym napędem elektrycznym.

Sprzedaż nakręcają sowite rządowe subwencje, rosnące ceny benzyny i oleju napędowego oraz społeczna i medialna presja na „bycie eko".

W Chinach jest taniej

Powolne wypieranie silników spalinowych oznacza dla koncernów walkę na terenie, na którym nie są już faworytami. – Trzeba jednak przyznać, że traktują one wyzwanie poważnie i wzięły się do roboty – tak starania niemieckich firm ocenia Konrad Popławski.

Tylko czy rzucenie nawet wszystkich sił na „front" rozwoju oferty elektrycznej dzisiaj wystarczy?

HANNES ALBERT / AFP / EAST NEWS

Od miłości (wielu) do nienawiści (niektórych)

WRAZ Z ROSNĄCĄ świadomością zmian klimatycznych samochody stały się ostatnio w Niemczech przedmiotem ostrej walki kulturowej. Większość argumentów znamy także z polskiego podwórka. Najbardziej znienawidzone przez frakcję „rowerzystów i wegetarian" są auta typu SUV. Krytycy wskazują na ich przesadne rozmiary, wagę i emisje.
Miejscy aktywiści (na zdjęciu w Berlinie, kwiecień 2023 r.) domagają się zamykania głównych arterii miejskich i stawiania na infrastrukturę rowerową. Co zresztą po części już się dzieje. Limit prędkości 30 km/h oraz zabieranie pasów czterokołowcom na rzecz rowerów to już standard. Symboliczne znaczenie miało niedawne zamknięcie dla aut Friedrichstraße, jednej z głównych ulic Berlina.
Ponadto samochód przestaje być pewnym środkiem dojazdu do pracy. W proteście przeciwko zmianom klimatu drogi systematycznie blokują aktywiści z grupy „Ostatnie Pokolenie", którzy przyklejają sobie ręce do jezdni klejem „kropelką" i tym samym blokują ruch na wiele godzin. © ŁG

Tak jak wśród aut spalinowych na rynku chińskim dominowały dotąd pojazdy niemieckich marek, tak w segmencie aut elektrycznych zapotrzebowanie Chińczyków pokrywają dziś już rodzime koncerny. W przypadku elektryków chińskie firmy mają dostęp do surowców i same produkują baterie, które stanowią największą część wartości pojazdów elektrycznych.

Jeszcze na początku poprzedniej dekady na europejskim rynku prawie w ogóle nie było chińskich smartfonów. Teraz te urządzenia w ręku Polaka nikogo nie dziwią. Tak samo może być wkrótce z chińskimi markami aut elektrycznych. – Istnieją wyliczenia, że produkcja małego samochodu elektrycznego w Chinach jest tańsza nawet o 10 tys. euro niż w Europie. To bardzo mocny argument kosztowy – zwraca uwagę Konrad Popławski.

Branża prawdziwie narodowa

Dla Niemiec, które są dziś jednym z ostatnich krajów zachodnich mogących pochwalić się prężnym przemysłem oraz dużą i dobrze prosperującą klasą robotniczą, to wyzwanie. Nie tylko dlatego, że dochody kilku koncernów mogą być mniejsze. Zapaść krajowej motoryzacji może skutkować kryzysem gospodarczym w całym kraju.

Branża motoryzacyjna zatrudnia w Niemczech blisko 800 tys. pracowników. Do tego trzeba doliczyć kolejne pół miliona pracowników związanych z tą branżą, np. zatrudnionych w zakładach naprawczych, na stacjach benzynowych czy w handlu częściami zamiennymi. Tylko w głównym zakładzie Volkswagena w Wolfsburgu pracuje ok. 60 tys. osób. Nie trzeba zajmować tam wysokiego stanowiska, aby dobrze zarabiać. Za sprawą silnych rad pracowniczych i związków zawodowych nawet pracownik na linii produkcyjnej może liczyć miesięcznie na kilka tysięcy euro wypłaty i atrakcyjne bonusy.

A przecież niemiecka branża automoto to nie tylko najbardziej znane marki producentów aut. Po całym kraju rozsiane są zakłady poddostawców. Ich nazwy rozpoznają zapewne już tylko czytelnicy bardziej zorientowani w motoryzacji. Jednak to one mają wielkie znaczenie dla niemieckiej gospodarki. I tak Marquardt, firma produkująca wszelkiego rodzaju przełączniki czy np. kluczyki do samochodów, zatrudnia ponad 10 tys. osób. Produkujące m.in. części silnika firmy Mahle oraz Schaeffler mają już po kilkadziesiąt tysięcy pracowników. Dodajmy do tego setki firm, które zatrudniają mniejszą liczbę ludzi.

Naczynia połączone

Jako cała branża motoryzacyjna i okołomotoryzacyjna, firmy te były przez ostatnie dekady gwarantem i stałego zatrudnienia, i dobrej płacy.

Widać to szczególnie w takich regionach jak land Badenia-Wirtembergia, gdzie swoje siedziby i zakłady ma wiele firm motoryzacyjnych. Tam często całe rodziny pracują w branży: ojciec w Mercedesie, matka przy częściach w Boschu, a synowie w salonie sprzedaży.

Takiego stanu nie będzie się jednak dało długo utrzymać. Napęd spalinowy to bez mała ok. 1400 części. Napęd elektryczny składa się z ok. 240 części. Do składania elektryków nie potrzeba już tylu ludzi co wcześniej. Dodatkowo do montażu aut elektrycznych powstały zaawansowane fabryki pełne robotów, które większość czynności wzięły na swoje stalowe barki. Już teraz, gdy przyjrzeć się procesowi powstawania pojazdu w najnowszych fabrykach Mercedesa czy Volkswagena, ludzie-pracownicy pojawiają się tam dopiero, gdy trzeba wkręcić śrubki w trudno dostępne miejsca.

Równie dużym problemem społecznym może okazać się niezawodność akumulatorów. Żadnych wycieków oleju, problemów z wtryskiem czy pasków rozrządu do wymiany. W przyszłości wielu mechaników samochodowych – a jest to profesja w Niemczech popularna – będzie musiało szukać innego zajęcia.

Problem także polski

Wszystkie te niemieckie zgryzoty w dużej mierze dotyczą też Polski. Również tutaj niemieckie auta spalinowe zdobyły ogromną popularność. Większość używanych aut – tylko w 2022 r. aż 415 tys. egzemplarzy – sprowadzamy zza Odry i są to głównie niemieckie marki. Czołówkę ↦

Jedenaste: o auto własne dbać będziesz

POZORNIE RÓŻNICA jest niewielka. Przeciętny wiek samochodu w Niemczech wynosi 10 lat, podczas gdy w Polsce jest to 14 lat. Jednak statystyki za Odrą mocno zawyża grubo ponad półmilionowa armia oldtimerów, tj. ponad 30-letnich pojazdów-klasyków, o które właściciele najczęściej dbają niczym o członka rodziny.

KRZYSZTOF WÓJCIK / FORUM

Mercedes na lawecie, okolice przejścia granicznego Kołbaskowo

Zresztą Niemiec troszczy się o swój samochód bez względu na wiek. Pomaga w tym dobry, o wiele lepszy niż w Polsce stan dróg, a także profilaktyka. Samochód jest regularnie oddawany do autoryzowanych mechaników, a każda wymiana oleju czy opon trafia wraz z pieczątką do książeczki serwisowej. Dzięki temu również na rynku wtórnym można natrafić na auta w bardzo dobrym stanie. A pojazdy „zajechane" przez właścicieli? Oczywiście takie też się zdarzają. Autor niniejszego artykułu usłyszał od pewnego niemieckiego sprzedawcy używanych aut szczere wyznanie: „Tego auta panu nie sprzedam. Ma problemy z silnikiem. Jeszcze nad nim popracujemy i pójdzie na eksport, na wschód". © ŁG

↦ otwiera Volkswagen, a za nim plasują się Opel, Audi i BMW.

Ale nie tylko o polskich klientów na rynku wtórnym chodzi. Inwestycje niemieckich firm motoryzacyjnych z ostatnich trzech dekad miały niebagatelny wpływ na rozwój polskiej gospodarki. Polska jest dziś jednym z głównych partnerów handlowych Niemiec także dzięki podzespołom produkowanym w naszym kraju, a wykorzystywanym do produkcji aut marek niemieckich. Politycznie relacje obu państw mogą być napięte, ale nie przeszkadza to ogłaszać rok w rok kolejnych rekordów w obrotach handlowych.

Co się stanie, gdy przemysł motoryzacyjny w Niemczech osłabnie przy przechodzeniu na elektromobilność? – Planując inwestycje w Polsce, Niemcy kierowali się w dużej mierze bliską lokalizacją. W przypadku chińskich inwestorów ten argument nie będzie miał już żadnego znaczenia – przestrzega Konrad Popławski, który uważa, że trudno spodziewać się w Polsce chińskich inwestycji, które zastąpiłyby te niemieckie.

– Potrzebne są zręby unijnej polityki przemysłowej, która będzie bronić interesów krajów Europy Środkowej. Inaczej Chińczycy mogą nas zaorać – Popławski puentuje dosadnie i jako przykład wskazuje na działania rządu USA, który ogromnym pakietem subsydiów oraz ulg podatkowych zaczął wspierać rodzimą produkcję.

Amerykanie zadbali przy tym o dodatkowe premie dla tych koncernów, które przy produkcji elektryków nie korzystają z części produkowanych w Chinach.

Jeśli tak się nie stanie, jeśli Unia nie przyjmie asertywnej strategii wobec Chin, coraz szybciej może postępować – i tak już zauważalny – proces wchodzenia przez niemieckie koncerny w coraz głębszą kooperację z partnerami z Państwa Środka, na niekorzyść dotychczasowych podwykonawców. A wtedy fala zwolnień i przenoszenia zakładów na kontynent azjatycki, która w końcu dotrze do Niemiec, najpierw może przetoczyć się przez Polskę.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Biały jeleń, czarna lalka

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

Golliwog – szmaciana laleczka, popularna w Wielkiej Brytanii w wieku XX – po raz kolejny stała się powodem dyskusji o tym, czym jest rasizm.

Stali goście pubu „Pod Białym Jeleniem" w miasteczku Grays, w hrabstwie Essex, zapewne w ogóle nie zwracali na nie uwagi – na grupkę golliwogów, lalek o czarnych twarzach, wydatnych ustach i z kręconymi włosami, które od lat siedziały sobie na półce nad barem.

Pewnego dnia ktoś jednak zwrócił na nie uwagę. Na tyle bacznie, że zawiadomił policję. Ta na początku kwietnia zawitała do pubu, skonfiskowała golliwogi i rozpoczęła dochodzenie w sprawie o *hate crime*, domniemane przestępstwo z nienawiści.

Prowadząca pub Benice Ryley zaprzecza, aby jej lalki były wyrazem rasizmu. W odpowiedzi na akcję policji zapowiedziała wystawienie w pubie nowych lalek – ma ich bowiem całą kolekcję. „Przygotowuję tabliczkę: Mamy tu *gollies*. Jeśli to dla kogoś obraźliwe, niech tu nie przychodzi" – zapowiedziała Ryley.

Wielu Brytyjczyków może rzeczywiście ominie ten pub. Innych być może skandal tutaj przyciągnie. Pewne jest, że „Pod Białym Jeleniem" zostanie teraz pominięty w przewodniku dla amatorów lokalnych rodzajów piwa „Good Beer Guide" – zapowiedziała to przygotowująca ów przewodnik Campaign for Real Ale, zrzeszenie zwolenników tradycyjnego brytyjskiego ale, zajmujące się też promocją pubów jako równie tradycyjnego miejsca jego konsumpcji.

Nie jest to pierwszy raz, gdy golliwogi – zabawki dla dzieci o ponadwiekowym rodowodzie – stają się tematem publicznej dyskusji, równie emocjonalnej, co bez wątpienia ważnej.

GOLLIWOG NARODZIŁ SIĘ za sprawą Florence Kate Upton, brytyjskiej ilustratorki książek dla dzieci. Był rok 1895, gdy ukazały się „Przygody dwóch drewnianych lalek i »Golliwogga«" („*Adventures of Two Dutch Dolls and a »Golliwogg«*"). Książka okazała się sukcesem i potem powstały kolejne tomy. A sam golliwog zaczął pojawiać się także u innych autorów, np. Enid Byton, autorki książek dla dzieci o Noddym – sympatycznej postaci, w Polsce znanej z serialu animowanego dla dzieci (stylizowanego na film lalkowy).

Florence Upton nie zadbała o swoje prawa autorskie i o ile postać stworzona przez nią była miła i przyjazna, to już inne golliwogi zaczęły być przedstawiane jako złośliwe i niemiłe. Nie przeszkadzało to jednak przemysłowi zabawkarskiemu – szmaciana lalka z czarnymi kręconymi włosami stała się bardzo popularna w Wielkiej Brytanii oraz w innych krajach. Od roku 1910 aż do 2002 wizerunek golliwoga widniał też na słoikach z dżemem brytyjskiej firmy Robertson's, która wykorzystywała go jako maskotkę do promocji swoich produktów.

GDY FLORENCE UPTON rysowała swojego pierwszego golliwoga, zapewne nie kierowała się intencjami rasistowskimi. Gdyby jednak wziąć pod lupę jej możliwe inspiracje, sprawa staje się bardziej skomplikowana.

Jej golliwog miał być odwzorowaniem lalki, którą Florence – urodzona w 1873 r. w USA, w Nowym Jorku – miała w dzieciństwie. Ta z kolei wzorowana była na postaciach z popularnych w XIX wieku w Stanach przedstawień, zwanych *minstrel shows*, podczas których karykaturalne postaci czarnoskórych grali, nierzadko parodiując ich, biali aktorzy z pomalowanymi na czarno twarzami (tzw. *blackface*).

Minstrel shows odwoływały się do negatywnych stereotypów rasowych publiczności i je wzmacniały, ale przez długi czas uchodziły za rozrywkę akcep-

RON BELL / EAST NEWS

Support the Guardian
Fearless, independent, reader-funded
Support us
The Guardian
Print subscriptions | Sign in | Search jobs | Search | International edition
News | Opinion | Sport | Culture | Lifestyle | More
World ▸ Europe US Americas Asia Australia Middle East Africa Inequality Global development
Race
Essex pub landlady replaces golliwog doll collection that was seized by police
Benice Ryley plans to display new dolls despite police investigation into an alleged hate crime
Matthew Weaver
Most viewed
The patients who regret laser eye surgery: My life's stood still since then
Severe heatwave engulfs Asia causing deaths and forcing schools to close
Ron DeSantis ally backs Trump for president in latest Florida defection
A moment that changed me: my fiance left me on our wedding day – and it led to my dream job and true love
Scottish ultra-marathon runner disqualified after using car in race

Wielki dmuchany golliwog nad tłumem witającym królową Elżbietę II podczas jej podróży po kraju w 25-lecie koronacji. Bristol, sierpień 1977 r.

Powyżej: artykuł w dzienniku „Guardian" o Benice Ryley z Essex, 11 kwietnia 2023 r.

towalną – również w Wielkiej Brytanii, gdzie w latach 1958-78 w ramówce telewizji BBC znajdował się program rozrywkowy „The Black and White Minstrel Show". Także w nim występowali biali aktorzy z *blackface*. Pierwszy czarnoskóry aktor pojawił się w programie dopiero w 1975 r. (po latach powiedział, że żałuje, iż tam występował).

OD TEGO CZASU sporo się zmieniło w brytyjskim społeczeństwie. Czemu więc znowu wybucha dyskusja o golliwogu?

– To oczywiste, że golliwogi są obraźliwe. Jednak ludzie, którzy wychowywali się nieświadomi natury i pochodzenia tych przedmiotów, mylą przyznanie, że są one rasistowskie, z byciem samemu oskarżonym o rasizm. To reakcja zrozumiała, ale błędna – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" prof. Tim Bale, politolog z Queen Mary University w Londynie.

– Sam dorastałem z tymi lalkami, myśląc, że nie ma w tym niczego złego – wspomina Bale. – Ale kiedy przestałem być dzieckiem, dość szybko zrozumiałem, czym są golliwogi. A zrozumienie tego z opóźnieniem nie oznacza, że jako dziecko byłem rasistą, albo że ktokolwiek myśli tak o mnie teraz.

W 2017 r. z inicjatywy prof. Bale'a przeprowadzono badanie opinii publicznej, w którym większość, bo aż 53 proc. deklarowała, że akceptuje sprzedawanie lub pokazywanie golliwogów w przestrzeni publicznej. Jeszcze więcej, bo 63 proc., uważało, że nie jest to przejaw rasizmu. Gdy te głosy przeanalizowano pod względem wieku i pochodzenia etnicznego, okazało się, że im starsi Brytyjczycy, tym mniejszy mają problem z lalką: aż 80 proc. osób powyżej 65. roku życia (i tylko 34 proc. najmłodszych respondentów) nie widziało w nich nic rasistowskiego. Nie jest też zaskakujące, że najbardziej akceptujący golliwogi byli biali Brytyjczycy. Za ciekawostkę można zaś uznać fakt, że przeważali wśród nich także zwolennicy brexitu.

TAK BYŁO SZEŚĆ LAT TEMU. – Od tamtego czasu odnotowaliśmy znaczącą zmianę – mówi prof. Bale. – Dziś tylko mniejszość uważa, że golliwogi nie są rasistowskie. To głównie ludzie starsi.

W najnowszym sondażu YouGov 39 proc. ankietowanych akceptuje golliwogi w przestrzeni publicznej. Odsetek tych, którzy uważają, że nie są one rasistowskie, też się zmniejszył: dziś to 48 proc. Rzeczywiście to mniejszość, choć nadal całkiem spora.

Takie sytuacje jak w pubie „Pod Białym Jeleniem" powtarzają się co jakiś czas. Przykładowo w 2015 r. golliwogi pojawiły się w sklepie z zabawkami w Glasgow. W 2021 r. do awantury z tego samego powodu doszło w kawiarni w Kornwalii.

– Do takich incydentów będzie nadal dochodzić, bo jest mnóstwo ludzi w Wielkiej Brytanii, którzy albo nie widzą, jak problematyczne jest takie przedstawienie osób pochodzenia afro-karaibskiego, albo, jeśli już widzą, to ich to nie obchodzi. A nawet w niektórych przypadkach chcą wywołać reakcję. Wręcz bawi ich drażnienie antyrasistowskich działaczy i mniejszości – mówi prof. Bale.

SZEFOWA PUBU „Pod Białym Jeleniem" odżegnuje się od rasizmu, a w rozmowie z dziennikiem „The Independent" podkreślała, że jej golliwogi to „lalki, nic innego jak tylko lalki z dzieciństwa". Jednak skargi na tę specyficzną dekorację jej baru były już wcześniej, poprzednio w 2018 r. A w roku 2016 jej mąż Chris Ryley opublikował w mediach społecznościowych zdjęcia lalek wiszących nad barem z komentarzem nawiązującym do linczów: „W Missisipi wieszali ich już wiele lat temu".

W połowie kwietnia w pubie ktoś wybił szyby. Policja stara się ustalić, czy te dwie sprawy się ze sobą wiążą. ©℗

Gdy jest ostrzał, 60-letnia Alina (z prawej) chroni się często u sąsiadki, 52-letniej Ołeny. Wowczańsk, kwiecień 2023 r.

Tutaj armii nie miał kto witać

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z OBWODU CHARKOWSKIEGO (UKRAINA)

Choć od odzyskania tego miasta przez ukraińskie wojsko minęło ponad pół roku, mieszkańcy Wowczańska wciąż boją się opowiadać, co działo się w trakcie okupacji.

Uzbrojeni ludzie po raz kolejny nawiedzili dom Tetiany Bondarewej. Pierwszy raz do 36-letniej metodolożki z koledżu w Wowczańsku – przed inwazją 15-tysięcznym mieście w obwodzie charkowskim, blisko granicy z Rosją – przyszli w przededniu ubiegłorocznej Wielkanocy. Rosyjscy oficerowie szukali rzeczy jej męża, który służy w ukraińskiej armii. W szczególności interesowały ich naszywki: chcieli się przekonać, czy może należy do nacjonalistycznego pułku Azow, przez Rosjan szczególnie znienawidzonego. Wszystko, co powiązane z armią, Bondarewa ukryła i nie udało się im nic znaleźć.

Po przeszukaniu wszedł agent Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Próbował namówić Bondarewą do nawiązania kontaktu z mężem. Miała przekazać mu propozycję Rosjan: jeśli złoży broń, nic mu się nie stanie. Gdy Tetiana się wykręcała, powiedział jej, że przyjdzie później dowiedzieć się, czy rozmawiała z mężem, i czy rozmowa odniosła skutek.

Kilka godzin później znowu pojawili się rosyjscy żołnierze. Tym razem ściągnęła ich wywrotowa, z ich perspektywy, działalność Bondarewej. Namawiała sąsiadów, by nie składali podpisów na listach w zamian za otrzymaną od Rosjan pomoc humanitarną. Stojąc w obliczu głodu, ludzie nie zwracali jednak na to uwagi.

– Nikt nie rozdaje pomocy, wymagając przy tym danych z dokumentu tożsamości. Przecież to nie kredyt. To mogło zostać wykorzystane do jakichś machinacji – stwierdza Bondarewa.

Ktoś musiał donieść o tym rosyjskim wojskowym. Żołnierz surowym tonem zakazał jej tego; powiedział, że ma się zamknąć. Miał przy sobie broń, więc Bondarewa posłusznie wykonała polecenie.

PRZEZ KILKA TYGODNI miała spokój. Potem, na początku czerwca, poszła do pracy i zaproponowała kolegom, by zamówić ukraińskie dyplomy dla absolwentów, zamiast wydawać im dyplomy rosyjskie. Ktoś z pracowników koledżu musiał o tym poinformować władze okupacyjne. Mniej więcej godzinę po tym, jak wróciła do domu, przed budynkiem zatrzymał się samochód z literą „Z", symbolem rosyjskiej ofensywy z 24 lutego 2022 r.

Z auta wysiadło czterech uzbrojonych ludzi. Jak potem zobaczyła Bondarewa, mieli naszywki jednej z nieuznawanych republik w Donbasie, które Rosja anektowała w ubiegłym roku. Zły znak. To właśnie jej przedstawiciele, zazwyczaj obywatele Ukrainy, odznaczają się szczególną brutalnością. Zabrali jej komputer, telefony, pendrive'y i resztę sprzętu elektronicznego. Nie zważając na jej 14-letniego syna i 10-letnią córkę, wyprowadzili Bondarewą, wsadzili do samochodu

Centrum Wowczańska, kwiecień 2023 r.

i wywieźli do budynku, gdzie dawniej znajdował się sąd.

Wowczańsk, leżący tylko sześć kilometrów od granicy z Rosją, został zajęty już w pierwszych godzinach inwazji. Nie toczyły się o miasto walki, znajdowało się daleko od linii frontu. Dlatego władze okupacyjne miały dość czasu, by zaprowadzić tutaj swoje porządki. Teraz pierwsze piętro dawnego sądu służyło jako posterunek okupacyjnej policji. Tam wojskowi zaprowadzili Bondarewę.

JUŻ NIE BYŁO TAK SPOKOJNIE, jak poprzednim razem. Wrzeszczeli na nią, grozili, czym tylko mogli. Razili ją paralizatorem. Znowu pytali o męża, a także o to, kto przekazywał Ukraińcom informacje, że przewożą tędy pociągami sprzęt wojskowy i amunicję. W tym celu Rosjanie specjalnie wyremontowali od dawna nieczynną linię kolejową. Tory ciągnęły się kilometr od domu Bondarewej – i to rzeczywiście ona przekazała informację mężowi. Ale teraz nie puściła pary z ust. W końcu, gdy ciągnęły się eszelony, słyszało je pół Wowczańska, więc mógł to zrobić każdy.

Kazali jej zadzwonić do męża i wywiedzieć się, gdzie bazują najbliższe oddziały armii ukraińskiej. Bondarewa przystała na to, ale powiedziała, że aby złapać zasięg, musi iść na pobliskie wzgórze. W mieście nie działały ani telefony, ani internet. Tylko na wyżej położonych miejscach, bliżej granicy z Rosją, pojawiała się sieć – rosyjska. Przesłuchujący zgodzili się, ale pod warunkiem, że wkrótce wróci i przekaże informacje jednemu z pracowników. Podali jego nazwisko.

Bondarewa od razu pojechała do domu, zabrała dzieci i trochę niezbędnych rzeczy – po czym teść wywiózł ich wszystkich za granicę. Nie minęła nawet godzina, odkąd opuściła salę przesłuchań. Rosja była jedynym możliwym kierunkiem ucieczki. Wprawdzie pojedynczym osobom udawało się przedrzeć przez linię frontu – przebiegającą wtedy przez obwód charkowski – ale wiązało się to z ogromnym ryzykiem: można było wylecieć w powietrze na minie albo dostać się pod ostrzał. No i trzeba było przeprawić się jakoś przez rzekę Doniec.

Wyjechała szybko, zanim Rosjanie się zorientowali, więc na granicy nie było problemów. Już po drodze poprosiła krewnych mieszkających w Rosji, żeby znaleźli im autobus, który zawiezie ich do Estonii. Następnego dnia wieczorem przekroczyli granicę rosyjsko-estońską.

Większość mieszkańców Wowczańska też wyjechała do Rosji. Tylko w przeciwieństwie do Tetiany Bondarewej nie zrobili tego z obawy przed okupantami – uciekli we wrześniu 2022 r., gdy ukraińska armia przeprowadziła skuteczną kontrofensywę w obwodzie charkowskim i wiadomo już było, że wkrótce odzyska także i to miasto.

DZIŚ W WOWCZAŃSKU mieszka tylko około tysiąca ludzi, przeważnie starszych. To jedna piętnasta populacji sprzed inwazji. Wiele okolicznych wsi niemal wymarło.

– Jak weszła ukraińska armia, to nawet nie miał ich kto witać – przyznaje Bondarewa.

O gigantycznych kolejkach, jakie tworzyły się we wrześniu na drogach prowadzących w stronę granicy, mówią też inni mieszkańcy Wowczańska, którzy przez cały czas przebywali w mieście. Część z uciekających to były osoby kolaborujące z okupacyjnymi władzami, po prostu sympatyzujące z Rosją czy też – po ponad pół roku bez dostępu do innych kanałów informacji niż rosyjskie – zupełnie nierozumiejące, co się dzieje. Wiele osób obawiało się również, że miasto stanie się polem bitwy, na którym nie chcieli się nagle znaleźć.

– Kolaborantów już w zasadzie nie ma. Wszyscy wyjechali, zanim ukraińska armia przyszła do Wowczańska. Może jakieś jednostki zostały – mówi 42-letni Serhij, który rozwozi pomoc humanitarną.

Hala sportowa została przerobiona na centrum, w którym wydawane są paczki dla mieszkańców. Takie osoby jak Serhij umieszczają kartony na przyczepach samochodowych i rozwożą po okolicy. Czasami przywożą pomoc humanitarną do konkretnych punktów, np. do sklepu osiedlowego. Jeśli ktoś nie może osobiście stawić się, by odebrać paczkę, przywożą mu ją bezpośrednio do domu. To daje dziś zajęcie kilkudziesięciu mieszkańcom Wowczańska.

NA POMOC HUMANITARNĄ zdani są niemal wszyscy, którzy pozostali w mieście oraz w jego okolicy. Przez kilka tygodni nie było prądu ani zasięgu. Wcześniej miasto było odcięte od terytoriów kontrolowanych przez Ukrainę przez 200 dni. Nie docierało stamtąd nic, co spowodowało, że wielu mieszkańców straciło dochód, jaki wcześniej czerpali z przemytu towarów do Rosji. Inni utracili miejsca pracy, bo tutejsze przedsiębiorstwa zostały zamknięte, zniszczyły je pociski lub rozkradziono je w trakcie okupacji.

60-letni Mykoła twierdzi, że z przedsiębiorstwa jego syna, który zajmował się wycinką drzew, rosyjscy wojskowi zabrali niemal wszystko, co tylko się dało.

– Kompresory, spawalnice, topory, opony, części zapasowe... – wylicza.

Przyjeżdżali kilkukrotnie i zabierali to, czego nie zdążyli ukraść poprzednim razem.

↦

↦ Wcześniej okolica opierała się na rolnictwie. Ono jednak także działało na pół gwizdka. Po odzyskaniu terenów przez ukraińską armię prace rolne nie ruszyły praktycznie wcale, bo po wycofaniu się Rosjanie zaczęli ostrzeliwać tereny przygraniczne, a do tego zostały one zaminowane.

60-letnia Alina siedzi na ławce przed domem sąsiadki, do którego przybiegła, gdy usłyszała świst, a następnie wybuch. Ołena, o osiem lat młodsza właścicielka domu na obrzeżach Wowczańska, wygląda zza ogrodzenia. Przygląda się wzgórzu, nad którym wznosi się dym zmieszany z kurzem. Jakby miała nadzieję, że w razie czego uchroni ją drewniany płot. Zazwyczaj ostrzeliwana jest sąsiednia wieś, ale tutaj też spadają pociski. Jeden spadł zaraz za domem Ołeny.

Wcześniej Alina pracowała w stołówce na farmie, położonej kilkaset metrów od jej domu. Szykowała posiłki dla pracowników. W trakcie okupacji gospodarstwo rolne jeszcze działało, choć na dużo mniejszą skalę. Do pracy przychodziła mniej niż połowa pracowników. Uprawiali słoneczniki, jęczmień i pszenicę. Teraz nawet nie mieliby gdzie składować plonów, bo przeznaczony do tego budynek został ostrzelany – nie ma dachu i jednej ściany. Pola leżą odłogiem.

Alina pracowała do początku roku. Teraz jest bezrobotna. – Ale kogo miałabym dziś karmić? Wszyscy wyjechali, więc nie mam pracy. Zostały tylko durnie – mówi i pokazuje na siebie.

– Została tylko emerytura – wtóruje jej Ołena.

Kobiety żyją z pomocy humanitarnej oraz z przydomowych ogródków. Alina już nie może się doczekać, kiedy posadzi znowu ziemniaki.

NAJWIĘKSZYM PRZEGRANYM w Wowczańsku okazał się prawdopodobnie znany miejscowy bandyta, 45-letni Dmytro „Czyż" Czyhrynow. Jak w nieoficjalnej rozmowie przyznają ukraińscy śledczy, „Czyż" wyczuł okazję do zarobku i stanął po rosyjskiej stronie. Teraz przynajmniej trzy różne instytucje ukraińskich organów ściągania prowadzą swoje oddzielne postępowania w jego sprawie. Jest oskarżony m.in. o zdradę państwa, za co w warunkach stanu wojennego grozi dożywocie.

36-letnia Tetiana Bondarewa nie chce na razie wracać do Wowczańska, boi się częstych ostrzałów terenów przygranicznych. Kwiecień 2023 r.

„Czyż" miał swój kantor, parał się też przemytem. Przed rokiem 2022 bywał oskarżony o różne przestępstwa. Gdy Rosja rozpoczęła inwazję i zajęła miasteczko, jego mer nie poszedł na współpracę z władzami okupacyjnymi, potrzebny był więc im ktoś lojalny, kto sprawowałby władzę nad terenem. Kwestia głosowania została rozwiązana szybko: to w tym celu zbierano dane i podpisy podczas wydawania pomocy humanitarnej (Bondarewa miała dobrą intuicję, że przestrzegała przed tym sąsiadów). Miały zostać wykorzystane jako taka – niby pisemna – formuła wyboru pełniącego obowiązki kierownika administracji Wowczańska.

Został nim „Czyż", który wywiesił rosyjską flagę na centralnym placu miasta.

Gdy jeden z mieszkańców ją zerwał, samozwańczy mer miał zawieźć go do aresztu, gdzie zatrzymany został pobity. Po dobie go wypuścili. To był jeden z wielu czynów, których miał się dopuścić przewodniczący okupacyjnej administracji. W rezultacie śledztwa prowadzonego później przez ukraińską policję „Czyżowi" postawiono zarzuty z ośmiu paragrafów, m.in. o bezprawne pozbawienie wolności, zbrojny napad czy kradzież broni.

„CZYŻ" ZE SWOJĄ GRUPĄ zaprowadzili własne porządki w mieście. Z relacji śledczych i mieszkańców wynika dziś, że nie interesowały go jednak sprawy administracyjne. Miał wykorzystać sytuację do powiększania swojego majątku. Z zakładu mięsnego miał zabrać produkty i sprzedawać je potem na bazarze. Miał też wywozić sprzęt z fabryk, kraść samochody. Od rolników miał ściągać haracz – od 20 tys. do 60 tys. dolarów – w zamian za wydanie im zgody na zasiewanie pól.

W którymś momencie dobra passa „Czyża" się skończyła. Nieopatrznie trafił do fabryki, gdzie Rosjanie urządzili swoją bazę. Tam miano go brutalnie katować, bić i razić prądem. To prawdopodobnie podczas pobytu w niewoli stracił 20 kilogramów. Według śledczych to dlatego, że złamał umowę – nie dzielił się pieniędzmi z Rosjanami.

Gdy do Wowczańska zbliżała się już ukraińska armia, a kolejka do rosyjskiej granicy ciągnęła się, „Czyż" nie zdecydował się na wyjazd do Rosji. Prawdopodobnie dlatego, że nie byłby tam mile widziany. Z podrobionymi dokumentami i trudny do rozpoznania – po sporej utracie wagi – próbował się przedostać w głąb terytorium Ukrainy, aby następnie wyjechać za granicę. Został jednak szybko zatrzymany przez organy ścigania i od tej pory jest w areszcie.

Mimo to mieszkańcy miasta, gdy tylko są pytani o „Czyża", jeszcze dzisiaj urywają temat albo, jeśli gotowi są coś powiedzieć, proszą o zachowanie anonimowości.

– Ja takimi sprawami się nie interesuję. Żyjesz sobie po cichu, niczego nie wiesz i lepiej się śpi. Jeszcze przyjdą w nocy i wyciągną z domu – stwierdza 58-letni Ołeksandr.

TETIANA BONDAREWA wróciła na Ukrainę, ale nie do Wowczańska. Mówi, że odstraszają ją przede wszystkim regularne rosyjskie ostrzały terenów przygranicznych.

– Nie wrócę tam pewnie w najbliższym czasie. Z kolei jak się zakończy wojna, może już nie być do czego wracać. Chyba żeby odbudowywać miasto – zastanawia się.

Bondarewa pozostaje jednak gdzieś w obwodzie charkowskim. Wraz z rodziną przeprowadziła się do wsi, gdzie kupili skromny dom. Jeszcze nie zdążyli się w nim na dobre umościć. Dalej pracuje w koledżu, teraz na posadzie zastępczyni dyrektorki. Działają online, w trybie nauczania zdalnego, bo także studenci rozjechali się po kraju, a część poszła walczyć. Wiadomo, że dwóch absolwentów koledżu zginęło.

Za każdym razem, gdy Tetiana Bondarewa łapie się na myśli, że być może zbyt srogo ocenia tych, którzy współpracowali z Rosjanami, patrzy na zdjęcia swoich poległych studentów. Wątpliwości od razu znikają.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

AFP / EAST NEWS

Sudańczycy uciekają przed walkami między armią a oddziałami paramilitarnymi. Chartum, 19 kwietnia 2023 r.

Republika żołnierzy

WOJCIECH JAGIELSKI

W historii niepodległego Sudanu przewroty wojskowe to jedyny sposób wymiany rządzących elit. Właśnie trwa jej kolejny rozdział.

Mieszkańcy Chartumu przywykli do widoku czołgów na głównych placach, skrzyżowaniach, a także na mostach nad Nilami Białym i Błękitnym, zlewającymi się tu w jedną rzekę. Widok ten oznacza, że wojskowi dokonują nowego przewrotu, że zmienia się przywódca państwa. Zwykle milkną wtedy telefony, zamykane są granice i stołeczne lotnisko, a telewizja przerywa program i nadaje podniosłe patriotyczne pieśni.

W sobotę 15 kwietnia telewizja przerwała program dopiero po południu (wkrótce zresztą wznowiła działalność), gdy w mieście toczyła się już regularna wojna między armiami dwóch zwaśnionych generałów, z których każdy chce całej władzy dla siebie.

POJEDYNEK | Generał Abdel Fattah al-Burhan, 63-letni dowódca armii, sprawuje ją od czterech lat. Objął ją po przedostatnim puczu, gdy generałowie obalili panującego od ponad 30 lat dyktatora Omara al-Baszira, by uprzedzić wymierzoną w niego uliczną rewolucję. Aby uspokoić wzburzone tłumy, zgodzili się podzielić władzą z przywódcami tejże rewolucji aż do czasu wolnych wyborów, które miały wyłonić nowe prawowite władze.

Drugi generał, Mohammed Hamdan „Hemetti" Dagalo, młodszy od Burhana o kilkanaście lat, wraz z nim obalił Baszira, choć wcześniej uchodził za pupilka tyrana. W nagrodę Burhan wziął go na zastępcę w tymczasowym rządzie. Jesienią 2021 r., gdy zbliżał się termin obiecanego przez nich przekazania władzy cywilom, wspólnie dokonali kolejnego przewrotu, rozwiązali tymczasowy rząd i powołali nowy, w którym obaj grali pierwsze skrzypce – Burhan jako szef i „Hemetti" jako jego zastępca.

ONZ, USA, UE i Unia Afrykańska, a także szejkowie znad Zatoki Perskiej wymusili wprawdzie na obu generałach, że oddadzą władzę cywilom, a pospolite ruszenie, któremu przewodził „Hemetti", wcielą do regularnej armii. Nie ustalono jednak, kto będzie nią dowodził. Burhan ani myślał ustępować przywództwa, a „Hemetti" – odgrywać dłużej drugoplanowych ról. Ten drugi coraz zachłanniej rozpychał się, a pospolite ruszenie przebudował w świetnie uzbrojone wojsko, niemal tak liczne jak armia regularna. Brakowało mu tylko własnego lotnictwa. Kiedy 13 kwietnia próbował zająć lotnisko i samoloty w Meroe, na północ od Chartumu, Burhan uznał to za wyzwanie rzucone jego przywództwu.

Ten pojedynek generałów był nieunikniony. Nie sądzono jednak, że zamiast kolejnego puczu w 5-milionowej stolicy (niektóre szacunki mówią, że w Chartumie i na jego przedmieściach żyje nawet 10 mln ludzi, jedna piąta ludności kraju) dojdzie do ulicznej wojny, w której walczący używać będą czołgów, ciężkiej artylerii i lotnictwa. Według niepełnych obrachunków w pierwszych czterech dniach starć zginęło prawie pół tysiąca cywilów, a prawie trzy tysiące zostało rannych. Zabitych żołnierzy nikt nie policzył. Wojna z Chartumu rozlała się też do pustynnego Darfuru, gdzie walki trwają od lat, do Meroe na północy, a także czerwonomorskiego Portu Sudanu i Kassali na wschodzie.

CHWILA DLA CYWILÓW | W niepodległym od 1956 r. Sudanie (wcześniej był on protektoratem brytyjsko-egipskim) wojskowe przewroty, poprzedzane próbami ulicznych rewolucji, są jedynym sposobem wymiany rządzących elit.

Do pierwszego doszło już dwa lata po ogłoszeniu niepodległości, gdy premier, zresztą były żołnierz z armii Egiptu, oddał władzę wojskowej juncie, uważając, że lepiej niż cywilni politycy upora się z kłopotami młodego państwa, biedą i zbrojnym powstaniem, jakie na południu podniosły tamtejsze ludy afrykańskie, wyznające chrześcijaństwo i uskarżające się na dyskryminację ze strony Arabów z północy. Wojskowi nie spisali się jednak lepiej i jesienią 1964 r. w Chartumie doszło do pierwszej ulicznej rewolucji, która zmusiła generałów do ustąpienia. Stery państwa wróciły do cywilów, partii politycznych rodów Mirghanich i Mahdich – potomków przywódcy powstania z XIX stulecia przeciw osmańskiej Turcji, jej wasalowi Egiptowi i Wielkiej Brytanii.

PRZEWROTY I BUNTY | Wojna na południu coraz bardziej się jednak rozpalała, Sudańczycy wciąż klepali biedę, ↦

↦ a cywilni politycy, nie radząc sobie z rządzeniem, oddawali się korupcji i intrygom. W 1969 r. wojskowi dokonali więc nowego przewrotu i przywódcą Sudanu został generał Dżaafar al-Nimejri.

On również poległ w batalii z gospodarką, a i na południu nie odniósł sukcesów. Nabrzmiewającą uliczną rewolucję, która zmiotłaby dyktatora, uprzedzili wojskowi: pod wodzą gen. Abdela Rahmana al-Dahaba w 1985 r. odsunęli Nimejriego od władzy, a rok później urządzili wolne wybory i oddali rządy Mirghanim i Mahdim. Ci długo się nimi nie nacieszyli, bo w 1989 r. w Chartumie doszło do nowego zamachu i rządy przejął pułkownik Omar al-Baszir, który później ogłosił się polnym marszałkiem i rządził aż do wiosny 2019 r. Ze wszystkich przywódców Sudanu żaden nie panował tak długo.

Jego towarzysze broni, generałowie, znalazłszy się u władzy zawłaszczyli całą niemal gospodarkę i wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Rozsmakowani w bogactwie, wygodach i przywilejach, szybko zapomnieli o swoim rzemiośle, wojaczce. Wojny w dalekich prowincjach trwały: na zbuntowanym południu (nie mogąc go pokonać, Baszir zgodził się na jego secesję i w 2011 r. ogłosił niepodległość jako Sudan Południowy; po tej secesji Sudan z rangi największego kraju Afryki spadł na trzecie miejsce po Algierii i Kongu), w Darfurze na zachodzie (sukces Południa zachęcił do buntu także afrykańskie ludy z Darfuru, wyznające islam, które też narzekały na prześladowania ze strony rządzących w Chartumie Arabów), a także w Kordofanie. W tych konfliktach generałowie woleli wyręczać się opłacanymi przez rząd milicjami i pospolitym ruszeniem. Im zostawiano walki i pacyfikacje zbuntowanych prowincji. Wojsko rządowe ograniczało się do wydawania rozkazów i posyłania w bój lotnictwa.

PRETORIANIN DYKTATORA | Właśnie w Darfurze do sprzymierzonego z wojskiem arabskiego pospolitego ruszenia zaciągnął się młody „Hemetti", zwany też „Mahomecik" (ten jego przydomek jest zdrobnieniem imienia Mohammed, Mahomet).

Był synem hodowcy wielbłądów, darfurskiego Araba ze szczepu Rizeigatów, żyjącego na pograniczu Sudanu i Czadu.

> Jeśli chartumska bitwa między dwoma zwaśnionymi dziś generałami nie rozstrzygnie ich pojedynku o władzę, **wojna może rozlać się na cały Sudan.**

Szkołę rzucił, nudziła go. Pomagał ojcu przy wielbłądach. Kiedy w 2003 r. w Darfurze wybuchło antyrządowe powstanie, a na prośbę Chartumu darfurski szejk Musa Hilal skrzyknął arabskie pospolite ruszenie, 19-letni „Hemetti" zaciągnął się do *dżandżawidów* – konnicy, która wkrótce zdobyła złowrogą sławę, gromiąc i paląc zbuntowane wioski Furów, Messalitów i Zaghawów.

Na Zachodzie mordy w Darfurze, w których zginęło ćwierć miliona ludzi (w półwiecznej wojnie na Południu życie straciło ponad półtora miliona), uznano za pierwsze ludobójstwo w XXI stuleciu, a Baszir został oskarżony przez Międzynarodowy Trybunał Karny z Hagi o zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko ludzkości.

„Hemetti" wyróżnił się na darfurskiej wojnie tak bardzo, że Baszir przyznał mu stopień generała, a kiedy zaślepiony władzą Musa Hilal w 2013 r. odmówił mu posłuszeństwa, dyktator kazał go aresztować, zaś na atamana *dżandżawidów* wyznaczył „Hemettiego". Rozkazał mu też, by z pospolitego ruszenia stworzył Siły Szybkiego Reagowania – podległe prezydentowi, lecz niezależne od regularnego wojska. Baszir, któremu Opatrzność poskąpiła męskiego dziedzica, traktował „Mahomecika" jak syna. Ufał mu równie bardzo, jak bardzo nie ufał generałom, których podejrzewał o spiski. „Mahomecik" i jego pospolite ruszenie mieli być pretorianami dyktatora.

NAJZAMOŻNIEJSZY | Swoim pretorianom Baszir niczego nie skąpił. Płacił żołd, karmił i zbroił. Posłał na wojnę przeciw buntownikom w Górach Nubijskich w Kordofanie, a gdy saudyjski następca tronu w 2015 r. poprosił Sudan o pomoc w najeździe na Jemen, Baszir wysłał tam „Mahomecika". Wdzięczni Saudyjczycy, a także szejkowie z Abu Zabi i Dubaju nie szczędzili „Hemettiemu" pochwał i pieniędzy. Najbardziej jednak wzbogacił się na kopalniach złota w Darfurze, które Baszir pozwolił mu przejąć. Zyskami z nich dzielił się z Rosjanami z Grupy Wagnera, których Baszir zaprosił do Sudanu, by strzegli jego bezpieczeństwa i szkolili jego pretorian.

Już przed czterdziestką „Hemetti" wyrósł na jednego z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych polityków. Miał majątek, koneksje i stutysięczne wojsko, do którego poza Darfurczykami werbował rekrutów z innych regionów kraju, by uwolnić się od opinii prowincjonalnego watażki.

Kiedy generałowie postanowili obalić Baszira, „Mahomecik" przyłączył się do spisku. Uznał, że jest gotów, by samemu objąć władzę i zostać pierwszym Darfurczykiem, który zasiądzie na chartumskim tronie od czasów XIX-wiecznego Chalify Abdullahiego „al-Ta'ajsziego", towarzysza i następcy Mahdiego. Wszyscy pozostali sudańscy przywódcy pochodzili znad Nilu, a nadrzeczne elity gardzą pustynnymi Darfurczykami, mając ich za parweniuszy i dzikusów.

CIĄG DALSZY NASTĄPI | Teraz Burhan, reprezentant elit znad Nilu, ani myśli pogodzić się z „Mahomecikiem". A ten, przywdziewając szaty obrońcy uciśnionych przez stołeczne elity, nie chce pokoju z Burhanem. Stutysięczna armia „Mahomecika" jest lepiej uzbrojona i zaprawiona w bojach, choć wojsko Burhana jest dwa razy liczniejsze i dysponuje lotnictwem, którego „Mahomecik" nie ma (to dlatego jego żołnierze, żeby pozbawić wroga panowania w powietrzu, szturmują w całym kraju lotniska).

Jeśli chartumska bitwa nie rozstrzygnie wojny o władzę, rozleje się ona na cały Sudan. „Mahomecik" wycofa się do twierdzy w Darfurze, a Burhan, zgodnie z sudańską tradycją, nie pośle przeciw niemu swojego wojska, lecz podburzy darfurskich partyzantów, których kiedyś wraz z „Mahomecikiem" zwalczali. Zwycięzca weźmie wszystko, a przegrany wszystko straci – władzę, sławę i wolność. Bo jak to się dzieje w Afryce, zwycięzca wyda przegranego – jako najgorszego zbrodniarza – trybunałowi z Hagi.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

REKLAMA

IL VOLO

LIVE IN CONCERT

27 maja 2023 TAURON Arena Kraków

Bilety: BILETSERWIS.pl

Prestige MJM · BILET SERWIS · onet · RZECZPOSPOLITA · TYGODNIK POWSZECHNY · proart · VIXON MEDIA

REKLAMA

WSZYSTKIE WOJNY IZRAELA

Nowa książka Konstantego Geberta

KONSTANTY GEBERT
POKÓJ Z WIDOKIEM NA WOJNĘ
HISTORIA IZRAELA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

HISTORIA

CZAS GRUZOBETONU

ADAM PRZYWARA, HISTORYK, BADACZ ARCHITEKTURY:

Botanicy twierdzili, że gdyby nie było ingerencji człowieka, po roku 1945 zrujnowana lewobrzeżna Warszawa zamieniłaby się w las.

PATRYCJA BUKALSKA: Rozmawiamy na najwyższym piętrze Muzeum Warszawy. Mamy stąd widok na Starówkę i dalej ku Wiśle i Żoliborzowi. Po wojnie tego budynku nie było. Gdyby jednak ocalał, byłoby stąd widać jedynie morze gruzów?

ADAM PRZYWARA: Wracający do Warszawy w 1945 r. określali to, co widzieli, mianem krajobrazu naturalnego: góry gruzów, jary, kratery. Używano też określeń typu „wybuch wulkanu". Wprawdzie podczas tej wojny miasto było niszczone etapami, ale to niemiecka planowa akcja po powstaniu zmieniła najwięcej, a jej skutków nie było widać aż do powrotu mieszkańców. Ludzie wkraczali w ruiny i starali się w nich żyć.

Pamiętam zdjęcie kobiety sprzedającej wśród ruin bukieciki kwiatów. Ktoś mógł nie mieć okien, ale chciał mieć wazonik z kwiatami.

Od początku szukano możliwości życia w gruzach, udomowiano je. Ludzie szukali zarówno krewnych – stąd kartki na bramach – jak też rzeczy, które ukryli lub pozostawili. Na otwartej w Muzeum Warszawy wystawie prezentujemy reportaż Zofii Chomętowskiej z 1945 r., który przedstawia kobiety przeprawiające się łodzią z Pragi do lewobrzeżnej Warszawy, wydobywające tu z gruzów drewno na opał i wracające na Pragę. Takie poszukiwawcze migracje trwały codziennie. Były w tym okresie udziałem głównie kobiet, często tych, które wojna rozdzieliła z rodziną. Mężczyźni byli wciąż w armii lub na robotach i powracali dopiero w kolejnych miesiącach.

Co jeszcze można było znaleźć w gruzach?

Był mit skarbu! Mamy nawet film Leonarda Buczkowskiego „Skarb". W rzeczywistości skarbu może nie było, ale były wartościowe rzeczy, które oczyszczano i używano. Nawet jak się wydaje, że już nic nie ma, bo jest tylko gruz, to coś zostaje. I z tego odbudowano miasto.

Skąd pomysł, by to gruz postawić w centrum uwagi?

To dziwny czas, od roku 1945 do 1949, gdy wszystkie granice – geograficzne, polityczne, społeczne – są niejasne. Marcin Zaremba nazwał to czasem „wielkiej trwogi" i można go tak widzieć, jako czas pookupacyjnego chaosu. Jednak w kontekście Warszawy ten czas pokazuje, że odbudowa jako zjawisko społeczne, polityczne i architektoniczne nie mieści się w pojęciu „komunistyczna odbudowa". To było różnorodne zjawisko, w którym wyrażały się różne wizje i pragnienia. Pragnienie domu, ale też tworzenia nowego świata. Na Starym Mieście możemy mówić o pragnieniu ochrony przeszłości, ale w innych miejscach odbudowa miała mocny wyraz „ku przyszłości", jak teraz może wyglądać społeczeństwo czy wspólnota sąsiedzka. I nie chodziło tylko o ludzi, ale też o to, z czym oni pracowali.

Kobiety niosą drewno wydobyte z gruzów Warszawy, 1945 r.

ZOFIA CHOMĘTOWSKA / MUZEUM WARSZAWY

Z gruzem?

Sądzi się, że gruz był wyzwaniem w tym sensie, że nie pozwalał miastu odżyć. Tymczasem – i o tym opowiada nasza wystawa – miał donioślejsze znaczenie. Był bazą materiałową odbudowy. W 1946 r. w Biurze Odbudowy Stolicy powstał raport wskazujący, że w gruzie są materiały budowlane, których można użyć, i które pozwolą odbudowywać miasto aż do początku lat 50. Nastąpiło więc odwrócenie tego, czym ten gruz był początkowo.

Były też różne rodzaje gruzu?

Przedwojenną Warszawę zbudowano z cegły i drewna. Musimy teraz wyobrazić sobie jej zniszczenie: wiele materiałów zniszczono całkowicie, przez wypalenie, bomby itd. Choć część budynków utraciła swą funkcję, bo została np. tylko jedna ściana, można było wydobyć z nich i ponownie użyć około jednej trzeciej tej masy. W latach 40. były szacunki, w których porównywano ilość materiałów w gruzach w Warszawie, Woroneżu i Berlinie.

Te materiały to cegły?

Cegły, belki żelazne, elementy wykończenia, jak kafelki. Jedną trzecią materiałów z rozbiórki można było ponownie użyć, a jedną trzecią przetworzyć. Dziś powiedzielibyśmy: recyklingować. Polega to na tym, że mieli się kawałki cegieł, miesza z wodą, cementem i piaskiem, i produkuje beton. Właściwie gruzobeton. Sam beton jako mieszanka kruszywa, kamieni, piasku, cementu i wody był używany już wcześniej w XX w.

Wtedy był to nowy materiał?

Opowiadamy na wystawie o wynalezieniu gruzobetonu. Od 1945 r. w Warszawie zaczynają się badania, jak odzyskać gruz do odbudowy. W 1947 r. nabierają one tempa. To jest pierwszy okres planowej gospodarki w Polsce, tzw. plan trzyletni, w którym uczestniczy nie tylko państwo, ale wówczas jeszcze prywatni przedsiębiorcy, spółdzielnie. W tym trzyletnim planie państwowe pieniądze szły na eksperymenty i modernizację budownictwa, w tym na nowe instytucje, jak Instytut Badań Budownictwa. Jego dyrektor Antoni Kobyliński wygłosił w 1949 r. pierwszy na międzynarodowym forum wykład o możliwości odzyskania gruzu w budownictwie. Inżynierowie Instytutu zajęli się tym, jak produkować gruzobeton i co jest do tego potrzebne. Co więc, poza gruzem? Wiedza i maszyny.

Jak zdobyto maszyny?

Ze Szwajcarii i Szwecji. Te neutralne kraje zachowały potencjał przemysłowy i zarabiały na nim po wojnie w czasie odbudowy. Polska nie miała pieniędzy, więc powstał ciekawy barter: kupowaliśmy w Szwajcarii technologie budowlane w zamian za węgiel. Te maszyny pozwoliły mielić gruz i produkować pustaki, alternatywę dla cegieł. To był początek nowego myślenia o budownictwie: takiego, które nie wiąże się z cegłą i drewnem.

Czy w Warszawie są jeszcze budynki zbudowane z tych pustaków?

Na przykład osiedle Muranów Południowy projektu Bohdana Lacherta z zespołem. To najbardziej znany przykład architektury gruzobetonowej, także ze względu na wartość symboliczną, upamiętnienia znajdującego się tam wcześniej getta.

Wcześniej gruzobeton testowano: pierwsze eksperymentalne domki zbudowano w latach 1947-48 na Polu Mokotowskim. Zamieszkali w nich inżynierowie, aby badać, jak gruzobeton będzie się zachowywać. Bo nie było wiadomo! Ale nie czekając na wyniki, ze względu na ambicję rządu i modernistycznych architektów z Biura Odbudowy Stolicy, gruzobeton zaczęto wprowadzać do budownictwa, np. na osiedlu Koło II projektu Heleny i Szymona Syrkusów. Taka była ambicja: zbudować całe osiedle bez użycia drewna i cegły. To osiedle jest najlepszym przykładem ↦

↦ ich architektury, realizacją wizji, które rozwijali od lat 20.: wizji osiedla społecznego. Podczas jego budowy gruzobeton okazał się tańszy niż cegła. Był sukces i był plan powtórzenia tego w wielu miejscach. Nawet zaczęto to robić na Pradze – osiedle Praga I jest częściowo zbudowane z gruzobetonu, choć dokończone cegłami.

Dlaczego?

W 1949 r. modernizm tego okresu, ta awangardowa architektura, miał czołowe zderzenie z socrealizmem. Rozważania na temat techniki poszły na bok.

Chciałabym na chwilę zostawić budynki i wrócić do relacji społecznych. Odbudowa miasta była wyzwaniem dla architektów, ale też dla ludzi, którzy wracali i dosłownie gołymi rękami odbudowywali i Warszawę, i swoje życie.

Na wystawie mamy salę „Wielkie porządki": możemy mówić o odzyskiwaniu materiałów z gruzów, przerabianiu ich, ale większość gruzu poszła na regulację Wisły, budowę dróg i lotnisk. Czyli większość gruzu musiała zostać z ulic i placów ściągnięta, i to jest ważna część powojennej pracy, która po 1945 r. polegała na oczyszczaniu miasta.

Ktoś to musiał zrobić?

To fascynujący rozdział w społecznej historii Warszawy. W 1945 r. zaczęło się od organizacji nazywanej Brygady Pracy, założonej przez pierwszego powojennego prezydenta miasta i architekta Mariana Spychalskiego. To musiała być organizacja publiczna ze względu na skalę – trzeba było posprzątać całe miasto. Brygady Pracy, oparte na wzorze wojskowym, szybko się rozrosły: w styczniu 1945 r. zgłosiło się 1500 osób, w marcu było ich już pięć tysięcy, a w maju 15 tysięcy. Oczywiście te osoby nie były stale zatrudnione, ale można je było mobilizować. W tym 60-70 proc. to były kobiety. Brygady Pracy zajmowały się usuwaniem ruin, oczyszczaniem, sortowaniem gruzów, odzyskiwaniem cegieł.

W Biurze Odbudowy Stolicy uznano jednak, że trzeba rozdzielić pracę na te wyburzeniowe, prowadzone przez specjalistów, oraz na oczyszczanie miasta, co powinno być ochotnicze – bo Brygady Pracy były lepiej lub gorzej, ale opłacane. Trzeba było więc zmobilizować społeczeństwo i tak się stało. Zaczęło się w 1946 r. We wrześniu 1947 r. mieliśmy już pierwszy Miesiąc Odbudowy Stolicy, a co niedziela akcję odgruzowywania.

Kto brał udział w tych akcjach?

Na wystawie mamy historię Marii Nowickiej, która wspomina, jak wraz z innymi studentami szli z zapałem na Starówkę, by odgruzowywać. Dla nich było to doświadczenie pokoleniowe. Z drugiej strony są historie o całych zakładach pracy, gdzie pod koniec dnia przyjeżdżała ciężarówka i mówiono ludziom: jedziemy na odgruzowywanie. Nie było przymusu, ale był ostracyzm – raczej nie można było nie iść. Zdjęcia, jakie mamy na wystawie, wykorzystywano do celów propagandowych: np. prezydent Bolesław Bierut przychodził poprzerzucać gruz, w białym stroju. Ale znowu – przychodzili też zwykli ludzie. To było takie lokalne poruszenie, moment solidarności na gruzach. Praca zrozumiała dla wszystkich, która zrównywała ludzi, bo każdy mógł wziąć łopatę. Przyjeżdżały też grupy z Niemiec, Jugosławii, ze Związku Sowieckiego – sportowcy, wolontariusze, aktorzy. Mamy nieznane zdjęcia z okolicy pierwszego i drugiego Pomnika Bohaterów Getta i koszar, na miejscu których stoi dziś Muzeum Polin: widać na nich, że tam odgruzowywały organizacje żydowskie.

Mówimy o oczyszczaniu miasta na wielką skalę. Ale była też skala najmniejsza, wręcz intymna: ludzie przemierzali gruzy, szukając pozostałości dawnego życia.

Wgląd w indywidualne losy daje historia mówiona i zapisane wspomnienia. Albo przedmioty: na wystawie mamy kolekcję ceramiki, to ceramika pochodząca z domów, ze Starego Miasta, Zamku Królewskiego. Talerze, wazy, wanienki. Ocalały, bo Barbara Bazińska z Muzeum Warszawy w 1949 i 1950 r. codziennie spraw-

Cegła po cegle

„8 MAJA WIECZOREM rozległa się straszliwa kanonada: wybuchy, race świetlne na niebie! (...) Wszyscy lokatorzy naszej kamienicy, jak jeden mąż, zeszli do schronu do piwnicy. I siedzieliśmy tam niemal w składzie, w jakim siedzieliśmy w czasie powstania (...). W pewnym momencie ktoś do nas zszedł i powiedział: Co wy, to jest koniec wojny! (...) Ale dla mnie właściwie wojna skończyła się w innym momencie – kiedy wróciliśmy do domu w lutym 1945 roku" – wspominał Jerzy Timoszewicz, rocznik 1933 (jego relacja znalazła się w zbiorze „Warszawa zapamiętana. Powroty 1945-1946", wyd. Dom Spotkań z Historią).

78 LAT TEMU, w maju 1945 r., Warszawa miała już prawie 380 tys. mieszkańców. Wkrótce wracali kolejni: z obozów, robót. W zniszczonym mieście brakowało wszystkiego. Ale życie nie dało się zatrzymać – rok później w stolicy żyło już pół miliona ludzi.

POWROTY zaczęły się już wcześniej: gdy tylko w styczniu 1945 r. z lewego brzegu Wisły wycofali się Niemcy. Po lodzie, potem po pontonowym moście ludzie przeprawiali się z prawobrzeżnej Pragi. Widok lewobrzeżnych dzielnic musiał być dla nich szokiem. Jednak z każdym dniem miasto się odradzało. To relacje kilkorga z nich: „Przyjechaliśmy w nocy, wysiedliśmy na Wschodnim. Musiałam dostać się na Dworzec Główny (...). Na Śródmieściu – pustynia! Jeden gruz przede mną! Patrzę na tę straszną

dzała wozy wyjeżdżające ze Starego Miasta z gruzami i wydobywała z nich ceramikę. Stworzyła w ten sposób wyjątkową kolekcję, symboliczną, bo ceramika jest potłuczona.

Przygotowując się do naszej rozmowy, dowiedziałam się, że w architekturze jest pojęcie tzw. „szarej energii" (ang. *embodied energy*): oznacza, że każda cegła, każdy przedmiot zawiera energię, która była potrzebna do jego wytworzenia. Chodzi o to, by tej energii nie stracić.

Na to, co jest w gruzach, zwracano uwagę już wtedy. Polscy inżynierowie wskazywali, by np. pamiętać o węglu, który jest w cegłach, by go oszczędzać, używając cegieł ponownie – to w gruncie rzeczy zasada szarej energii. O tym, co jest w gruzie, toczyły się zresztą nie tylko dyskusje techniczne, ale też symboliczne. Pokazujemy projekt z 1945 r. architekta Stanisława Gruszczyńskiego: proponował zbudowanie z gruzów w okolicy Tamki wielkiego kopca Wolności. Argumentował, że musimy spojrzeć na te gruzy jak na relikwie, w których jest praca ludzi sprzed lat, łzy, krew, wspomnienia. Był on oburzony tym, jak się gruzy wywoziło, rozrzucało. Uważał, że trzeba je odpowiednio pochować i tym samym pochować dawną Warszawę. Projektu nie zrealizowano, 160-metrowa góra nad Tamką była mało realistyczna. Pokazuje

KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

ADAM PRZYWARA za pracę poświęconą historii przemiany powojennych gruzów w architekturę i krajobraz Warszawy uzyskał stopień doktora Uniwersytetu w Manchesterze (2022). Obecnie związany ze szwajcarskim Uniwersytetem we Fryburgu. Kurator wystawy „Zgruzowstanie Warszawy 1945-1949".

on jednak takie spojrzenie na gruzy, które podkreśla pamięć i wartość symboliczną.

Nie ma kopca na Tamce, ale są w innych częściach Warszawy?

Kilka gór gruzowych powstało niejako poza planem. Mamy Górkę Szczęśliwicką, Górkę Moczydłowską w ramach osiedla Koło II czy Górkę Czerniakowską. Wokół tej ostatniej od lat 40. trwała dyskusja, aby zamienić ją w miejsce upamiętnienia. Ona właściwie trwa do dziś. Sprawy nabrały tempa pod koniec wieku XX, gdy Eugeniusz Ajewski złożył projekt przemianowania jej na kopiec Powstania Warszawskiego i ustawienia na nim kotwicy, symbolu Polski Walczącej. Stało się tak z początkiem nowego milenium. Natomiast w tym roku sfinalizowana będzie przebudowa tego kopca, z wystawą stałą o historii odbudowy i historii naturalnej miasta. Kopiec będzie pokazany nie tylko jako miejsce upamiętnienia, ale też miejsce, gdzie wytworzyły się nowe ekosystemy, o które musimy dbać. Splatają się tu środowisko i pamięć.

Skoro mowa o ekosystemach, na wystawie pojawia się pojęcie „roślinność ruderalna". Co to?

Roślinność ruderalna, tak jak gruzobeton, to także odkrycie tamtego czasu. Pojęcie to opracowali botanicy w Berlinie, a także w Warszawie, gdzie zajęli się tym Jadwiga i Roman Kobendzowie, zatrudnieni w Biurze Odbudowy Stolicy. Bo wojna zniszczyła podobny odsetek drzew co budynków na lewym brzegu miasta: ok. 80 procent.

Określenie „ruderalna" pochodzi od łacińskiego *rudus*, gruz. Tym pojęciem Kobendza określał roślinność i ekosystemy, które pojawiły się na gruzach. Bo co się okazało? Po tym, jak minęła zima 1945 r., gruzy zakwitły, pojawiły się rośliny i kwiaty. Kobendza zorientował się, że to, co widzi na gruzach, to nie rośliny tradycyjnie pojawiające się w tych miejscach. Np. na Muranowie kwitły pomidory. Były też rośliny egzotyczne, które rozsadziły się z ogrodu botanicznego albo ze zniszczonych domów. One, w przeciwieństwie ↦

ruinę, jak zaorane pole, krańca nie widać... (...) Widzę, że gdzieś spod ziemi unosi się dym, i słyszę: »Jak uśmiech dziewczyny kochanej, jak wiosny budzącej się wiew« (...) Ten obraz i tę piosenkę mam w każdej chwili przy sobie" – Eugenia Świechowska, rocznik 1923.
„Nasza piekarnia na ulicy Racławickiej była spalona. Musiałem ją odbudować. (...) Piece były prowizorycznie zabezpieczone blachą, która spadła z dachów. (...) No i zaczęliśmy produkcję – 20 lutego 1945 uzyskałem zezwolenie na uruchomienie piekarni" – Tadeusz Kałasa, rocznik 1917.
„Na ulicy zobaczyłam przymarznięte karakułowe futra. Nie miałam co na głowę włożyć – pomyślałam, że wezmę i zrobię sobie czapkę. Chwyciłam – popękało na kawałki. Wzięłam dwa czy trzy i uszyłam czapkę. Wzięłam też z ruin kilka zmrożonych starych swetrów, uprałam, poprułam i zrobiłam sobie bardzo ładny sweter" – Stanisława Mańko, rocznik 1928.
„Gdzie się zachował kawałek muru, kawałek bramy, poprzyczepiane były karteczki: »Żyjemy, jesteśmy tu i tu«" – Zofia Kamińska, rocznik 1933.
„Tata chodził i zbierał blachę – był bardzo zdolny, umiał z niej zrobić różne rzeczy. Odgruzował sobie piwnicę i wyrabiał tam kubeczki i kubły. To było potrzebne, bo ludzie szukali pojemników na wodę. Obwiesił mnie nimi, a ja poszłam je sprzedać. Jak zobaczyłam, że mam pieniądze, to pobiegłam na Pragę, kupiłam chleb, cebulę i bardzo dużo boczku" – Janina Żukowska, rocznik 1929.
„Jak już chodziłam do szkoły, to jeździliśmy odgruzowywać Starówkę. Pamiętam, na Rynku Starego Miasta ustawił się wąż ludzi i podawaliśmy sobie cegłę z rąk do rąk (...). Gdy mówiono wtedy, że Warszawę trzeba przenieść do Łodzi, to myślałam sobie, że chyba tak, bo przecież tych gruzów nie da się usunąć! Do dzisiaj się zastanawiam, jak to było możliwe, że taka wielka siła tkwiła w narodzie, że (...) myśmy cegła po cegle wybierali te ruiny" – Danuta Drachal, rocznik 1931.

22 MILIONY: tyle metrów sześciennych gruzu pokrywało Warszawę w 1945 r. Usunięcie ich trwałoby 10 lat, jeśli co dzień miasto opuszczałoby dwadzieścia 500-tonowych pociągów. Te gruzy i odbudowane z nich miasto są tematem wystawy „Zgruzowstanie Warszawy 1945-1949", którą do początku września można obejrzeć w Muzeum Warszawy.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Produkcja pustaków z gruzobetonu w Państwowym Przedsiębiorstwie Rozbiórki i Gospodarki Gruzem, Warszawa, 1947 r.

ALFRED FUNKIEWICZ / MUZEUM WARSZAWY

↦ do lokalnej flory, były w stanie wytrzymać na gruzie. Kobendza pisał, że warunki na gruzach przypominały pustynię, było bardzo zimno i bardzo ciepło, duże zmiany temperatury, więc rdzennym roślinom było trudno się w takim środowisku utrzymać. Dziś mianem roślinności ruderalnej, lub „czwartej przyrody", określa się taką, która pojawia się w miejscach całkowicie zmienionych przez człowieka.

Co się stało z tymi roślinami na gruzach?

Kobendza pisał, że gdyby nie było ingerencji człowieka, Warszawa zmieniłaby się w las...

Ale człowiek zaingerował: wrócił.

Tak, więc las nie wyrósł. Ale wydaje mi się, że w tych roślinach jest piękna metafora. Ta pierwsza fala roślin ruderalnych zasiliła ten gruz. Obumierając, stworzyła tam warunki umożliwiające powrót do życia. Widzę tu zazębianie się historii społecznej i naturalnej. Bo były też fale ludzi, którzy wchodzili do miasta i je oczyszczali. To się poetycko łączy: koncepcja roślinności ruderalnej i społeczeństwa ruderalnego.

Czy jakiś przedmiot na wystawie ma dla Pana szczególne znaczenie?

Są dwa. To cegły. Czasem z kopców gruzowych wychodzą całe cegły, które mają sygnatury przedwojennych cegielni. Tak zaczęło się moje zainteresowanie gruzami: byłem na spacerze w warszawskim parku Morskie Oko i zobaczyłem na trawniku cegły. Okazało się, że deszcz wymywa je z górki. Miały sygnatury. Zacząłem dłubać w internecie i tak otworzył się przede mną świat cegielni warszawskich, których kiedyś były setki.

Poza tym polecam obejrzenie gruzobetonu – bo jedna rzecz to wiedzieć, jak on powstaje, a inna go zobaczyć. Ma przedziwny kolor, ani ceglany, ani betonowy. Kojarzy się... z ciałem, lub jakimś nieznanym minerałem, stworzonym przez człowieka.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Wykorzystane na ss. 68-70 archiwalne zdjęcia pochodzą z wystawy „Zgruzowstanie Warszawy 1945-1949" w Muzeum Warszawy (30.03.–3.09.2023).

Otrzaskane z rozpaczą

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Powojenna Warszawa to dziesiątki tysięcy prowizorycznych mogił. Ekshumacja i pochówek ofiar są potrzebą chwili – z szacunku dla zmarłych i z obawy przed epidemią.

Pielęgniarka Sabina Dłużniewska wspominała: „Wszędzie leżały szczątki zabitych. Po ruinach przelatywały ogromne szczury. Gdy dotarłam do Twardej, ujrzałam na małym, pustym placyku w pobliżu dawnej bramy zakładów Toebbensa klęczącą nad odkopaną jamą, opartą na łopacie kobietę w bluzie-pasiaku. W płytkim czarnym dole leżało obok siebie troje małych dzieci: chłopiec i dwie dziewczynki o twarzyczkach koloru gliny. Stanęłam. Klęcząca kobieta nie zwróciła na mnie uwagi. Pozostawiłam ją – wpatrzoną w dół".

W styczniu 1945 r. lewobrzeżna stolica to nie tylko morze ruin – to także wszechobecne mogiły, kryjące ofiary wojskowe oraz cywilne z sierpnia i września 1944 r. Są wszędzie: na ulicach, chodnikach, podwórzach. Podczas powstania zabitych chowano nie na cmentarzach – nie było to możliwe – lecz wykorzystując każdą wolną przestrzeń. Bywało, że do zwłok dołączano przedmioty ułatwiające ich identyfikację. Czasem umieszczano tabliczki na prowizorycznych krzyżach. Większość mogił jest jednak bezimienna. Także dlatego, że Niemcy zacierali zbrodnie, m.in. paląc swoje ofiary – po tych zostały góry prochów.

„Dzikie" ekshumacje

Wydobycie ciał jest koniecznością – religijną, kulturową, prawną oraz *last but not least* sanitarną. 6 lutego 1945 r. na konferencji z udziałem przedstawicieli władz i administracji Warszawy zapada decyzja o powołaniu Komitetu do spraw Ekshumacji Zwłok, którym kieruje naczelnik stołecznego Wydziału Sanitarnego doktor Juliusz Majkowski (podczas wojny podporucznik AK, jako szef Sanitariatu miasta stołecznego Warszawy pomagał m.in. Irenie Sendlerowej). Komitet zostaje później przekształcony w Referat Ekshumacji.

Sprawa jest na tyle pilna, że władze zgadzają się na prywatne ekshumacje. 27 lutego 1945 r. „Życie Warszawy" drukuje zarządzenie wiceprezydenta miasta, by ludność stolicy „z własnej inicjatywy i we własnym zakresie przystąpiła do grzebania trupów na miejscu ich spoczynku". Zarząd Miejski nie ma na to pieniędzy, a skala zjawiska przerasta jego możliwości. Szacuje się, że w stolicy spoczywa od 150 do 200 tys. ofiar powstania, w tym kilkanaście tysięcy pogrzebanych płytko lub w ogóle niepochowanych.

Do Wydziału Sanitarnego, który wydaje zezwolenia na ekshumacje i pogrzeby, zgłasza się dziennie ok. 250 osób, pragnących samodzielnie pochować szczątki. Większość odchodzi z niczym, bo nie spełnia wymogów formalnych. Należy m.in. znać tożsamość zmarłej osoby, musi istnieć jej osobna mogiła z napisem identyfikującym, a ekshumowane szczątki trzeba złożyć w trumnie wyłożonej torfem lub trocinami i tak przewieźć na cmentarz.

Prywatne ekshumacje – wydano na nie ogółem 6 tys. zezwoleń – nie rozwiązują problemu. Zdarzają się też wypadki samowolnego rozkopywania mogił – bez kontroli, formalnych zgód, zabezpieczenia epidemicznego. „Dzikie ekshumacje" utrudniają pracę władz sanitarnych, mogą się przyczynić do epidemii. Są zwalczane przez władze.

Bez precedensu

W końcu machina administracyjna zaczyna jednak działać. W prowadzonych w Warszawie ekshumacjach uczestniczą m.in. Miejski Zakład Pogrzebowy, Polski Czerwony Krzyż, wspomniany Wydział Sanitarny, a także Zakład Oczyszczania Miasta.

Wydobywanie zwłok jest zadaniem trudnym. Brakuje przygotowanych do

STANISŁAW URBANOWICZ / PAP

Ekshumacja przy ulicy Wspólnej w dzielnicy Śródmieście, 1945 r.

tego psychicznie i fizycznie ludzi, pieniędzy, a także narzędzi: łopat, kilofów, rękawic, fartuchów ochronnych, środków dezynfekcyjnych. Nie ma wypracowanych metod wydobywania z ziemi i gruzu dziesiątek tysięcy ciał. Skala problemu jest bez precedensu w historii Europy.

Początkowo prace idą jak po grudzie. W ciągu trzech pierwszych tygodni ekshumacji udaje się pochować podobno tylko ok. 2 tys. zwłok. W związku z tym w drugiej połowie marca 1945 r. Wydział Sanitarny proponuje, by w celu usprawnienia akcji palić wydobyte szczątki. Kontrowersyjny pomysł nie zostaje przyjęty – uniemożliwiłby identyfikację i budziłby skojarzenia z niedawnym ukrywaniem zbrodni przez Niemców.

Tymczasem nadchodzi wiosna i miastu grozi epidemia. 19 marca 1945 r. „Życie Warszawy" alarmuje: „Większość zwłok leży płytko, pod cienką warstwą ziemi. Niektóre wprost depczemy nogami, inne dają żer szczurom, a wszystkie stanowią łatwą pożywkę dla bakterii". Sytuację pogarsza fakt, że brakuje bieżącej wody, środków czystości, toalet.

Modus operandi

Prace odbywają się według planu. Najpierw – w 1945 r. – ekshumowane są szczątki leżące płytko lub w prowizorycznych mogiłach. Początkowo miasto nie ma transportu do ich przewiezienia na cmentarze. Dlatego po opisaniu ciał umieszcza się je w tymczasowych zbiorowych mogiłach na skwerach i w ogrodach miejskich. W latach 1946-47 zostaną one ponownie ekshumowane i pochowane na cmentarzach.

Prace prowadzone są dzielnica po dzielnicy – głównie w Warszawie lewobrzeżnej, ale obejmują także Pragę. Likwidacja grobów ulicznych odbywa się kwartałami. Informacje o akcji podają media, co ułatwia wyszukiwanie zwłok i ich identyfikację.

Kolejny etap prac obejmuje zasypane w gruzach ofiary powstania. Jest on powiązany z działalnością Biura Odbudowy Stolicy. Poszukiwania odbywają się też w piwnicach.

W obiektach zajmowanych przez aparat policyjny III Rzeszy odkrywane są głównie ludzkie prochy. W sumie w latach 1946-47 komisje ekshumacyjne zbierają ich w Warszawie ponad 22 tony. Przy tej okazji utrwalane są też świadectwa niemieckiego terroru, np. napisy na ścianach katowni Gestapo w alei Szucha. To bezcenny materiał dowodowy i historyczny.

Pogrzebom ofiar odnalezionych w masowych mogiłach towarzyszy kościelny i państwowy ceremoniał. Rodzą się „ekshumacyjne inicjatywy" – np. w kwietniu 1945 r. na Żoliborzu partie polityczne, związki zawodowe i domowe komitety tworzą za zgodą władz miejskich brygady pracujące przy wydobywaniu zwłok.

Akcję wspomagają specjaliści, np. sekcji dokonuje profesor medycyny sądowej Wiktor Grzywo-Dąbrowski. W ustaleniu metody ekshumacji pomaga Jerzy Wodzinowski, który jako członek komisji Polskiego Czerwonego Krzyża uczestniczył w 1943 r. w wydobywaniu ofiar sowieckiej zbrodni w Katyniu.

Siłaczki z PCK

W całej Warszawie działają ekipy Wydziału Grobownictwa PCK, stworzonego od podstaw przez Jadwigę Borytę-Nowakowską – przed 1939 r. aktorkę, a podczas wojny pracowniczkę wywiadu ofensywnego AK na Wschodzie. W wydziale pracują głównie kobiety: zbierają informacje o miejscach pochówków, rejestrują je i sporządzają protokoły rozpoznania zwłok. Na ich podstawie powstają karty rejestracyjne, które upoważniają do wydania zawiadomienia o śmierci i wystawienia aktu zgonu.

W identyfikacji ofiar pomagają anatomiczne cechy szczególne, a także ubranie, biżuteria, dokumenty. Rodziny zostawiają w PCK ich opisy. Im bardziej są precyzyjne, tym większa szansa na identyfikację.

Praca protokolantek jest heroiczna. Początkowo odbywa się w zimowych warunkach i na zaminowanym terenie. Ruiny grożą zawaleniem. Ekshumacje trwają czasem przez cały tydzień, bo wielu bliskich ofiar może w nich uczestniczyć tylko w niedzielę. Zwłoki, w stanie rozkładu, trzeba opisać z detalami. Trzeba też odnaleźć i opisać znajdujące się przy nich przedmioty ułatwiające identyfikację. Tymczasem protokolantki nie mają wystarczającej ilości rękawic i kombinezonów. Często pracują w prywatnych ubraniach – jedynych, jakie mają. Zdarza się, że nie mogą nawet umyć rąk – brakuje wody. Pracy jest tak dużo, że kartoteka PCK nie jest w stanie przerobić napływających protokołów, tworzą się zaległości.

Ekshumacje to także psychofizyczny rollercoaster. Choć koleżanki mówią o Nowakowskiej, że jest „otrzaskana z rozpaczą", nawet ona z trudem znosi niektóre sytuacje. I niemal codziennie konfrontuje się z cierpieniem żyjących – np. gdy musi powiadomić pewną kobietę, że jej pięcioro dzieci zginęło w powstaniu.

Nadludzkie poświęcenie tych kobiet, siłaczek z PCK, jest motywowane chęcią niesienia ulgi zrozpaczonym bliskim. ↦

↦ I wiarą, że ci, co przeżyli wojnę, mają do spłacenia dług wobec jej ofiar.

Zdążyć przed 1 maja

Do kwietnia 1945 r. zostaje pochowanych ok. 8 tys. ofiar. Mało, zważywszy na skalę zjawiska. Stąd kontrowersyjna, choć wynikająca z konieczności inicjatywa: władze Warszawy apelują do mieszkańców o masowy udział w ekshumacji zwłok spod gruzów.

Ma to być, jak czytamy w apelu, sprawdzianem „zdolności do pracy zespołowej" i „dowodem czci dla Poległych". Stawka za godzinę pracy wynosi 10 zł (w Warszawie średnia cena chleba żytniego to 41 zł za bochenek), do tego dochodzi premia.

Akcja obejmuje jednorazowo wszystkie dzielnice. Przybiera charakter propagandowej makabreski: państwowej celebry pod hasłem: „Na 1-go maja – ani jeden trup nie będzie w Warszawie niepochowany" (sic!). W istocie to wyścig z czasem, w którym stawką jest zdrowie, a nawet życie 350 tys. warszawiaków, którzy do tej pory wrócili do miasta. Na makabryczną semantykę mało kto zwraca wtedy uwagę; ludzie są oswojeni ze śmiercią.

Ostatecznie ten „czyn społeczny" kończy się sukcesem; opóźnienie występuje tylko w Śródmieściu. We wspólnych 87 mogiłach zostaje pochowanych według oficjalnych danych ok. 29 tys. ciał. Zakończony zostaje ważny etap ekshumacji. Później poszukiwanie i wydobywanie ofiar obejmuje tereny zajmowane przez instytucje i sięga głębiej – w gruzowiska oraz do miejskich kanałów. W miarę postępu prac odkrywane są nowe miejsca niemieckich zbrodni np. w alei Szucha, Halach Mirowskich, Ogrodzie Sejmowym.

Ekshumacje przyspieszają, gdy od 15 października 1945 r. zaczyna je prowadzić Wydział Sanitarny w porozumieniu z Miejskim Zakładem Pogrzebowym. Choć czasem blokuje je brak pieniędzy – akcja jest dotowana z budżetu miasta i Ministerstwa Odbudowy. Największe wydatki, 260 tys. zł, Wydział Sanitarny przeznacza na ekshumacje w okresie luty-marzec 1947 r. Przestoje występują też latem, w okresie upałów, i trwają do jesieni.

Powrót do przeszłości

Ekshumacje to nie tylko proces poszukiwania, wydobywania, identyfikacji i pochówku ofiar, lecz także przywracania pamięci o powstaniu. Wiąże się z tym oficjalny ceremoniał, który komunistom trudno jest – jeszcze – całkowicie wyrugować. Wszak działa wtedy legalna opozycja z PSL Mikołajczyka na czele, a na styczeń 1947 r. są rozpisane wybory do Sejmu.

Po 1945 r. ponownym pogrzebom towarzyszą uroczyste nabożeństwa i pochody. W czasach stalinizmu coś takiego będzie już nie do pomyślenia.

Ludzie władzy udają więc, że szanują demokrację, i nie wprowadzają totalistycznej postaci polityki „potępienia pamięci". W tym czasie mają poważniejsze problemy: toczą nadal walkę z podziemiem niepodległościowym.

Pogrzebom ekshumowanych towarzyszą więc uroczyste nabożeństwa, pochody na cmentarze, przemówienia. Największe takie wydarzenie ma miejsce 6 sierpnia 1946 r., gdy z kościoła Najświętszego Zbawiciela wielotysięczny kondukt żałobny – po mszy odprawionej przez biskupa Wacława Majewskiego – odprowadza na Cmentarz Wolski 115 trumien z prochami. Z kolei w lutym 1947 r., na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach z honorami są żegnani odnalezieni powstańcy i lotnicy brytyjskiego RAF-u, którzy zginęli niosąc pomoc powstaniu. Później, w apogeum stalinizmu, coś takiego byłoby już nie do pomyślenia.

W 1945 r. powstają też tzw. rodzicielskie komitety opieki nad grobami poległych, których prace koordynuje płk Jan Mazurkiewicz, pseudonim „Radosław", podczas okupacji dowódca oddziałów Kierownictwa Dywersji AK i uczestnik powstania. We własnym zakresie – niezależnie od państwa – komitety zajmują się ekshumacjami i pochówkiem kolegów i koleżanek, towarzyszy broni. Ich szczątki spoczywają w osobnej kwaterze Powązek. Komitety są inwigilowane przez Urząd Bezpieczeństwa, a ich członkowie represjonowani.

„Gazeta Ludowa", organ PSL, informuje o odnalezionych powstańcach, krytykuje też władze za opieszałość. W tej roli występuje zwłaszcza Władysław Bartoszewski, chodząca encyklopedia wiedzy o okupacyjnej stolicy. Współpracuje z Nowakowską, informacje o ekshumacjach ma z pierwszej ręki (wkrótce, pod koniec 1946 r., zostanie aresztowany).

Niebezpieczne z punktu widzenia komunistów zjawiska, związane z ekshumacjami, nakazują jak najszybsze ich zakończenie. Aparat władzy ogranicza więc skalę pochówków żołnierzy AK. Pamięć o nich zaczyna podlegać coraz silniejszemu zafałszowaniu i manipulacji.

Pierścień śmierci

Przez pierwsze dwa powojenne lata akcja ekshumacyjna obejmuje też otaczające Warszawę miejscowości – jak Bukowiec, Laski, Magdalenka, Palmiry, Stefanów, Wólka Węglowa. W ich pobliżu Niemcy popełniali masowe zbrodnie. Tworzą one wokół stolicy „pierścień śmierci" – to pojęcie użyte po raz pierwszy przez Nowakowską.

Z jej inicjatywy 25 listopada 1945 r. rozpoczynają się uroczyście ekshumacje w Palmirach (w tym czasie trwa proces niemieckich zbrodniarzy w Norymberdze). Trwają do 10 czerwca 1946 r. Prace w obrębie „pierścienia śmierci" kończą się w maju 1947 r. Większość z wydobytych w nich 2670 ciał zostaje pochowana na cmentarzu-mauzoleum w Palmirach.

Wcześniej, 29 listopada 1945 r., zostaje poświęcony Cmentarz Powstańców Warszawy, na którym ostatecznie spocznie ponad 104 tys. szczątków – w większości ofiar cywilnych.

■■■

Zorganizowane masowe ekshumacje trwają w Warszawie do końca 1947 r. Ale szczątki będą odnajdywane także dużo później, np. podczas rozbiórek i budowy nowych obiektów.

Wiele dekad po tych wydarzeniach w oparciu o listy ekshumowanych Archiwum Państwowe w Warszawie udostępni internetową bazę danych, która zawiera ponad 15 tys. personaliów. Tylko tyle, bo większość odnalezionych ofiar, jakie przyniósł stolicy *furor teutonicus*, pozostanie anonimowa.

© BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Autor, doktor historii, pracuje w warszawskim IPN. Wydał szereg książek, poświęconych głównie XX-wiecznej historii Polski. Ostatnio ukazał się jego „Orient zesłańców".

ELIZA

Kącka:
Rzepka na cito

Skwer Chorwacki, ławka sąsiednia, dwie starsze. „a pani co nie było na naszej mszy o 15?”. „byłam w Zbawicielu. mieli specjalną mszę z relikwią”. „o!”. „kawałek siostry Faustyny przyjechał z Krakowa”. „nono. serce?”. „kość. a ja, wie pani, osteoporozę teraz mam”. „ojoj”. „i ja się do tej kości modliłam”. „ksiądz Jacek ostatnio pani mówił, że modlimy się do Jezusa...”. „no wiem, wiem, ja się zawsze zwracam do obrazu Jezusa, ale tak szczerze pani powiem, że jak postawili na ołtarzu tę kość, to od razu odczułam podporę”.

Wiata przy Gagarina. starszy pan z kundelkiem. „no i co, Leoś, chcesz imieninowej kiełbaski?”. wyciąga z kieszeni palta papierowy pakiecik, rozkłada. pies ostrożnie, niełapczywie podważa kłem plasterek, wciąga i powoli przeżuwa. „nie udław się” – starszy z czułością. do mnie: „jak beknie, znaczy, że przeszło dalej”. beknął, śmiejemy się. „Leoś ma na imię Leon, po moim ulubionym aktorze. skandal dla mojej żony”. „bo ludzkie imię?”. „tak. nigdy nas nie zaakceptowała”. „przykro mi”. „ale już jest dobrze. rok temu zostałem wdowcem i już się nie ukrywamy, nie, Leoś?”. poklepał psa serdecznie.

autobus 116, dwie w wieku studenckim (notuję gorączkowo): „byliście pięć lat razem i mu nie dałaś?!”. „ciiiiszej. nie”. „dlaczego?”. „bo mi się nie podobał”. „to po co z nim byłaś?”. „nie miałam nikogo lepszego akurat”. „ale nie bałaś się, że cię zostawi?”. „nie, bo mu nie dałam”. „bosz, ja was nie rozumiem”. „no ale teraz jestem z kimś innym i jest dobrze”. „jak się rozstaliście?”. „powiedziałam mu, że dałam innemu i było dobrze. i że mu kogoś znajdę”. „sam niech sobie znajdzie”. „nie pozwolę”. „?!?”. „po pięciu latach należy mi się wiedza, jak było. muszę znać tę drugą i już”.

autobus 180, niewidoczny dla mnie młody w komórkę: „dobra, dziadku, muszę kończyć”. pauza. „w autobusie jestem”. pauza. „no coś ty, słyszeli tylko moje komentarze”. pauza. „są jacyś ludzie, ale co oni cię obchodzą, to nie rodzina”. pauza. „dziadek, tylko ciotka wie, mówię ci, ten autobus się nie liczy”. pauza. „słuchaj, naprawdę, twoja prostata jest anonimowa”. pauza. „wyluzuj, serial zobacz jakiś”.

folder Inne umila życie: „Szanowna Pani, informuję iż, zakupiłem Pani prozy, które może Panią podciągną, ale chciałem odnieść się do Pani aktywności w sieci internetowej. Byłem niedawno na spotkaniu z udziałem Pani co skłoniło mnie, do zapoznania się z Pani działalnością. Na wstępie zaznaczę iż szanuję Pani za to, iż posiada Pani dziecko. To Panią stawia w świetle usprawiedliwienia, które ja od takich osób przyjmuję. Z braku informacji o rodzinie wnioskuję, że jest Pani osobą tzw. nowoczesną. Kobietom takim niepotrzebny nawet ojciec do dziecka. Nie mniej ja szanuję Pani za macierzyństwo. Zawsze to dar Boga, który jednak w tym wypadku okazuje się perłą rzuconą... Nie będę tłumaczył osobie oczytanej. Chcę Panią jednak ostrzec przed spłyceniem. Niepotrzebnie brnie Pani w feminizm. Zauważyłem że jedna, z ostatnich Pani wypowiedzi pisemnych zawarta jest w książce wykładowcy filozofii Brach-Czaji. Jednym z tematów tej publikacji jest feminizm szkodliwy dla kobiet dzietnych. Ponad to w książce zawarta jest wątpliwa filozofia na poziomie porad psychologicznych jak wykonywać codzienne obowiązki. Mądre kobiety niepotrzebują takich szkoleń. Powiem więcej profesor przez Panią opisywana okazuje cześć bałwochwalczą różnym owocom i warzywom, a Pani przyłącza się do chóru trzcicieli cielca. Jest Pani inteligentną i pora to udowodnić i nakierować się na dobrą drogę osoby skromnej. Naprawdę dobrze Pani życzę poprawy”.

luxmed, poczekalnia. mężczyzna z matką o kulach i kobieta kiele sześćdziesiątki. mężczyzna: „muszę mieć mamy rzepkę na cito. to priorytet”. ona: „ja się tu nie mogę połapać. ostatnio tego profesora, o tego (wskazuje na tabliczkę) spytałam, czy on jest profesorem medycyny, czy tylko luxmedu”. staruszka o kulach: „co też pani!”. kobieta: „może to statyści”. mężczyzna: „proszę pani, ja mam ważne badania u mamy, proszę mi mamy nie straszyć!”. kobieta: „a czytał pan wypowiedź pani Edyty Górniak o statystach na oddziałach covidowych?”. staruszka o kulach: „ona jest kopnięta!”. kobieta: „zawsze tak mówią o prorokach. po mojemu to Górniak jasnowidzi, i już”.

autobus 141, ja w płaszczu z papierowym żonkilem. po przeciwnej para w średnim wieku dosiada się do staruszki. gość wgapia się we mnie i coraz gwałtowniej się wierci. w końcu wypala: „tak, jasne, wszędzie”. staruszka: „co panu?”. gość łokciem na mnie: „ta też z żonkilem”. „osiemdziesiąta rocznica getta...”. żachnął się: „ja rozumiem, ale to nie ich miasto!”. staruszka dobitniej: „nie Żydów?”. kilka osób się obejrzało. „to my za Warszawę walczyliśmy”. „no tak, pan ma kotwicę na plecaku. pan walczył”. zawiesił się: „no bo jeszcze trochę, a będziemy głównie Żydów opłakiwać! ja nie mówię, że nie ginęli, ja nie mówię”. chwila ciszy. staruszka: „to jest zazdrość”. gość: „?!?”. staruszka: „o śmierć”. gość: „to jakieś wymysły”. staruszka: „pan tam nie walczył, ja też. niech pan nie depcze kwiatów”. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

NAUKA

ZAMASKOWANI

80 lat temu powstały pierwsze naukowe opisy autyzmu. Po tysiącach kolejnych publikacji wciąż mamy na jego temat więcej pytań niż odpowiedzi.

MARZENA ZDANOWSKA

Na adres Poradni językowej PWN została kiedyś wysłana wiadomość: „Witam, poszukuję poprawnego określenia osoby cierpiącej na autyzm". Poza profesorem językoznawstwa odpowiedział także Zbigniew Worony, społecznik walczący o poprawę sytuacji osób z niepełnosprawnościami: „Przede wszystkim, mimo trudności wynikających z zaburzeń ze spektrum autyzmu, to na autyzm nie cierpi się. Cierpienie osobom ze spektrum autyzmu sprawia niezrozumienie społeczne ich odmienności i wynikający z niego brak akceptacji".

Trudno jednak dziwić się temu niezrozumieniu. Mimo wielu lat badań i naukowych debat nadal nie wiadomo dokładnie, skąd bierze się autyzm, czym jest i jak najskuteczniej pomagać osobom ze spektrum. Nie sposób autyzmu łatwo i szybko wyjaśnić.

Widziane z boku

W kwietniu tego roku mija 80 lat od publikacji tekstu, który uważany jest za pierwszy naukowy opis autyzmu u dzieci. Amerykański psychiatra Leo Kanner w artykule „Autistic Disturbances of Affective Contact" przedstawia historie jedenaściorga dzieci, u których obserwował brak dążenia do kontaktu z ludźmi. Rodzice mówili, że ich dzieci są „samowystarczalne". „Zamknięte jak w skorupie". „Najszczęśliwsze, jeśli zostawi się je w spokoju". „Nieświadome obecności innych". A przy tym często sprawiały na opiekunach wrażenie „milczącej mądrości".

Brak adekwatnej reakcji na ludzi sprawiał jednak, że nie odnajdowały się chociażby w systemie edukacji, gdzie ich potencjał intelektualny był oceniany jako znacznie ograniczony. Trudno było określić ich kompetencje językowe – mówiły niewiele albo wcale, dlatego czasem podejrzewano u nich problemy ze słuchem lub diagnozowano upośledzenie umysłowe.

Artykuł Kannera podsumowuje obserwacje prowadzone przez kilka lat. Ostatecznie autor stwierdza, że opisywane dzieci robiły postępy i stopniowo nawiązywały relacje z otaczającym je światem. Mówiły coraz więcej i swobodniej. Bawiły się obok innych dzieci, choć wciąż rzadko z nimi. Widoczna była pewna więź z opiekunami.

Jeszcze więcej nadziei dawał artykuł opublikowany rok później przez Hansa Aspergera. Tekst, napisany po niemiecku i przez wiele lat nieznany naukowcom spoza tego kręgu językowego, dużo miejsca poświęcał specyficznej autystycznej inteligencji. Asperger zauważał, że źródłem wiedzy dla badanych dzieci jest głównie ich własne doświadczenie, gorzej radzą sobie z przyswajaniem wiedzy podanej przez nauczyciela. Dlatego też ich wypowiedzi często cechuje oryginalność, ich analiza rzeczywistości zaskakuje kreatywnością.

Trudności w relacjach z ludźmi, choć są ewidentne, mogą zostać przezwyciężone. Autor uważał, że „Przystosowanie społeczne musi nastąpić poprzez intelekt. W istocie dzieci te muszą wszystko przyswoić sobie za pośrednictwem intelektu" (przekł. wszystkich fragmentów tekstu Beata Godlewska).

Asperger idzie jeszcze dalej i zapewnia, że przyszłość jego pacjentów może być zupełnie satysfakcjonująca. Przekonuje, że „osoby z autyzmem, tak długo jak pozostają intelektualnie niezaburzone, niemal zawsze są w stanie odnieść sukces zawodowy, zazwyczaj w wysokospecjalistycznych dyscyplinach akademickich, często na bardzo wysokich stanowiskach, z preferencją dla dziedzin abstrakcyjnych". Ma ich do tego predestynować umiejętność skupienia uwagi na wąskiej dziedzinie przy ograniczonym zainteresowaniu „bogatymi możliwościami" życia społecznego. „Dobrze spełniają swoją funkcję, być może lepiej niż ktokolwiek inny byłby w stanie, a mówimy tu o ludziach, którzy mieli w dzieciństwie olbrzymie trudno-

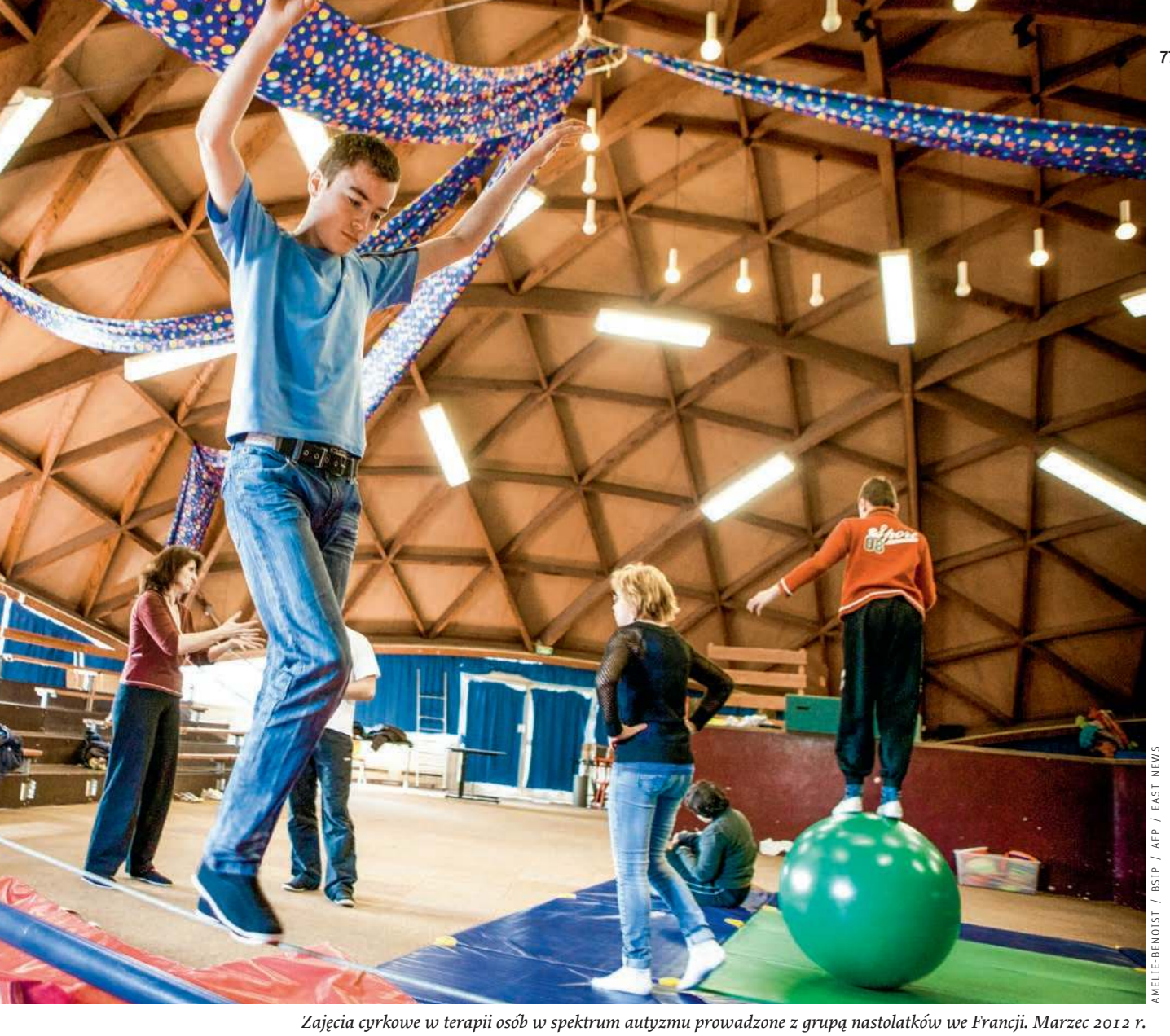

AMELIE-BENOIST / BSIP / AFP / EAST NEWS

Zajęcia cyrkowe w terapii osób w spektrum autyzmu prowadzone z grupą nastolatków we Francji. Marzec 2012 r.

ści i byli przyczyną niewymownych zmartwień swoich opiekunów".

W nieswojej roli

Nie bez znaczenia jest kontekst historyczny powstania artykułu. Asperger opublikował swój tekst w 1944 r. (ukończył go wcześniej), a wszystko działo się w Austrii w czasie II wojny światowej, kiedy naziści realizowali program „eliminacji życia niewartego życia", czyli eutanazji osób z zaburzeniami rozwojowymi i chorobami psychicznymi. Wiedeński pediatra wiedział dobrze, że od jego opinii zależy przyszłość jego pacjentów.

Historyk medycyny Herwig Czech twierdzi, że Asperger popierał propagowaną w III Rzeczy eugenikę i „przy różnych okazjach aktywnie współpracował z programem eutanazji [dzieci z upośledzeniami]". Z drugiej strony – teksty Aspergera opisujące autyzm u dzieci brzmią jak ich obrona w świecie, w którym liczy się głównie to, jak pożyteczny może być dla społeczeństwa dany człowiek. Autor pisał we wnioskach: „Przykład autyzmu szczególnie dobrze pokazuje, że nawet zaburzone osobowości są zdolne do rozwoju i przystosowania się. W trakcie rozwoju mogą powstać takie możliwości integracji społecznej, o których nikomu by się nawet nie śniło".

Aspergerowi nie można zarzucić przekłamywania rzeczywistości, ale na pewno jego dobór przykładów charakteryzuje znaczna wybiórczość. Mimo że znał dzieci ze spektrum autyzmu o różnym poziomie inteligencji, w swoim tekście skupia się tylko na tych, które nie mają głębokich trudności z funkcjonowaniem. Brak naturalnej umiejętności nawiązywania relacji kompensuje im wysoki poziom intelektualny.

Artykuły Kannera i Aspergera określiły na wiele lat perspektywę myślenia o autyzmie, w której na pierwszy plan wysuwa się zidentyfikowanie deficytów i wyznaczenie sposobów ich przezwyciężenia. Celem stało się dążenie do normy, przyzwyczajanie dzieci do zachowań akceptowalnych społecznie. Wyrabianie w nich takich nawyków, które sprawią, że ich autyzm stanie się niewidzialny.

Do pewnego stopnia to podejście ułatwia integrację ze społeczeństwem. Temple Grandin, 76-letnia dziś profesor Uniwersytetu w Kolorado, która poza pracą naukową poświęciła życie szerzeniu wiedzy o autyzmie, sama wspomina swoje dzieciństwo, kiedy sztywne zasady ↦

↦ życia społecznego wpajane jej przez całą rodzinę (np. normy zachowania się przy stole) umożliwiły jej funkcjonowanie między ludźmi. Grandin urodziła się w czasach, w których praktycznie nie miała szans na diagnozę, bo nikt jeszcze nie rozumiał autyzmu, a wielu pediatrów nawet o nim nie słyszało. Determinacja jej matki doprowadziła jednak do tego, że Grandin nauczyła się mówić, nawiązywać kontakty z ludźmi, a w dorosłym życiu stała się poważaną ekspertką w swojej dziedzinie.

Jest jednak cena, jaką autyści płacą za odgrywanie roli dobrze przystosowanych członków społeczeństwa. Bo takie zachowanie wcale nie jest zgodne z ich naturalnymi odruchami. Nawet jeśli odnoszą sukcesy w dorosłym życiu, muszą wkładać mnóstwo energii w bycie tym, kim nie są. A techniki, które stosują mniej lub bardziej świadomie, żeby wtopić się w tłum, zyskały nawet swoją nazwę – maskowanie. Choć maskować może się każdy, to w świecie autyzmu ukrywanie swojej dziwności ma szczególne znaczenie. Staje się ciągłym pilnowaniem, żeby nikt nie zauważył, że coś jest nie tak.

Czuły obserwator

W kwietniu tego roku mija 80 lat także od publikacji tekstu, który został przez historię praktycznie zapomniany. Dokładnie w tym samym numerze nieistniejącego już czasopisma medycznego „The Nervous Child", w którym opublikowano tekst Kannera, pojawia się artykuł George'a Frankla „Language and Affective Contact". Frankl pracował z Aspergerem w klinice w Wiedniu przed wybuchem wojny i z Kannerem w Szpitalu Johna Hopkinsa w Maryland po ucieczce do Stanów Zjednoczonych. W przeciwieństwie do swoich kolegów do opisów autyzmu (w tekście z 1943 r. i kolejnym, niepublikowanym, z 1957 r.) wybiera dzieci najbardziej wycofane, niemówiące lub mówiące w dziwny sposób, o niskim ilorazie inteligencji. Na ich przykładach udowadnia, że rozumieją więcej, niż może się wydawać. Podchodzi do swoich pacjentów z ogromną uważnością i empatią. Próbuje zrozumieć ich motywacje.

W artykule z 1943 r. Frankl pisze o pewnym chłopcu: „Jego podejście do dzieci i do dorosłych w jego otoczeniu przypominało podejście zdrowej osoby do przedmiotów. Przedmiotów używa się, jeśli są przydatne, odrzuca się je, jeśli stwarzają zagrożenie. Ale nikt się z nimi nie komunikuje, ani nie oczekuje, że one zainicjują komunikację. Słowa i inne symboliczne wyrazy emocji kieruje się tylko w stronę tych, o których uważa się, że potrafią myśleć i doświadczać w ten sam sposób, co my" (przeł. MZ). Była to prawdopodobnie pierwsza naukowa próba zrozumienia, jak świat wygląda z perspektywy osoby autystycznej.

> Dzieci na placu zabaw robiły na mnie takie samo wrażenie **jak kaczki pływające po jeziorze** – mogły nawet wydawać mi się sympatyczne, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby do nich dołączyć.

Wiele lat później Paul Micallef, twórca internetowego kanału *Autism from the Inside*, będzie tak wspominał swoje najwcześniejsze relacje z otoczeniem: „Dzieci na placu zabaw robiły na mnie takie samo wrażenie jak kaczki pływające po jeziorze – mogły nawet wydawać mi się sympatyczne, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby do nich dołączyć".

W późniejszym artykule Frankl znów skupia się na problemach, jakie pojawiają się w komunikacji językowej u dzieci ze spektrum autyzmu i znów dochodzi do wniosków daleko wyprzedzających jego czasy. Opisuje przypadki echolalii, czyli powtarzania zasłyszanych słów. Pojawia się ona wprawdzie u dzieci nabywających język, jednak w przypadku dzieci autystycznych jest tak nasilona, że najczęściej postrzega się wymawiane zwroty jako komunikacyjnie nieistotne. W przykładach przytoczonych przez autora okazuje się, że takie pozornie bezsensowne użycie słów może stać się początkowym etapem komunikacji i nauki języka.

Po latach głośno zrobi się o historii Owena Suskinda, chłopca ze spektrum, który w wieku trzech lat przestał mówić, a po jakimś czasie zaczął wciąż powtarzać jedną niezrozumiałą frazę. Rodzice interpretowali echolalię Owena jako próbę przekazania im czegoś i zorientowali się, że ich syn powtarza słowa usłyszane w filmie dla dzieci. Posługując się cytatami z bajek, udało im się później stworzyć z Owenem rozbudowany system komunikacji.

Frankl przytacza w końcu przykład dzieci powtarzających z teatralną emfazą zasłyszane gdzieś skomplikowane językowo wypowiedzi i widzi w tym wspomniane już autystyczne maskowanie, próbę udawania prawdziwych emocji. Ci, którzy mogli to zaobserwować, są według niego „świadkami mniej lub bardziej świadomych wysiłków dziecka, żeby uchwycić życie uczuciowe innych i wyrazić siebie w taki sposób, jak wydają się to robić ludzie wokół". Maskowanie stanie się później jednym z częściej poruszanych tematów w społecznościach osób ze spektrum autyzmu.

Portret własny

Od kiedy tylko zaczęto definiować autyzm, jasne było, że nie do przecenienia są obserwacje najbliższych opiekunów. Autorzy pierwszych artykułów w dużej mierze opierali się na wywiadach z rodzicami i ich – niekiedy niezwykle skrupulatnych – zapiskach dotyczących rozwoju dzieci. Podkreślali w publikowanych tekstach, że matki i ojcowie często rozumieli sygnały, które umykały uwadze badaczy.

W domowym zaciszu rodziły się też pierwsze pomysły na działania terapeutyczne. Matki uczyły dzieci mówić i pisać, choć mogło się to wydawać z początku daremnym przedsięwzięciem. W końcu niektóre z dzieci zaczęły mówić do szerszej publiczności w swoim imieniu.

Wspomniana już Temple Grandin jest autorką kilkunastu książek na temat autyzmu. Wyrzuca w nich naukowcom, że zbyt lekko traktują kwestię zaburzeń sensorycznych. W napisanej 10 lat temu wspólnie z Richardem Pankiem i przetłumaczonej na polski pozycji „Mózg autystyczny. Podróż w głąb niezwykłych umysłów" pokazuje, jak logiczna może być pozorna dziwność osób ze spektrum.

Ktoś, kto spotykał przelotnie w swoim życiu dzieci z widocznym autyzmem, mógł z tych spotkań zapamiętać, że takie dziecko nie nawiązuje kontaktu, nie patrzy w oczy, może macha rękami albo czymś, co trzyma w rękach (tasiemki lub paski papieru), kręci się w kółko

i pozwala zakładać sobie tylko niektóre ubrania. A innych nie, bo drapie w nich metka. Ta drapiąca metka dla postronnych obserwatorów jest jakimś nieistotnym szczegółem, którego nielogicznie uczepiło się dziecko. A Grandin wyciąga ten temat i na wielu przykładach pokazuje, jak inaczej wygląda życie człowieka, którego zmysły są nieprzeciętnie wyczulone na bodźce. Którego dusi zapach perfum w restauracji. Albo dla którego hałas ulicy jest ogłuszający. Którego oślepia światło odbite od białej kartki. Albo którego ciało wydaje się płonąć przez dotyk drapiącego swetra. Z boku ta osoba robi wrażenie nieskupionej na rozmowie, nieobecnej, zamkniętej w sobie albo rozdrażnionej „bez powodu".

Przez wiele lat uważano, że osoby ze spektrum mogą nie odnajdować się w relacjach z ludźmi, bo brakuje im tzw. teorii umysłu, czyli umiejętności przyjęcia czyjejś perspektywy i zrozumienia innego punktu widzenia. Grandin odpowiada na to, że to raczej badaczom autyzmu musi brakować „teorii mózgu", skoro nie potrafią docenić wagi problemów sensorycznych dla relacji społecznych.

Ludziom widzącym na zbyt jasnej kartce drżące litery radzi czytać przez okulary słoneczne. Czasami pomaga tylko konkretny kolor szkieł. Tym, których z równowagi wyprowadzają metki i szwy w ubraniach, sugeruje, żeby bieliznę nosili na lewą stronę. Kiedy już ukoją swoje rozdrażnione zmysły, stają się bardziej skłonni do kontaktu z ludźmi, skupieni, wydajni w pracy.

Dziś Temple Grandin nie jest już jedynym głosem, który opowiada, co to znaczy być osobą ze spektrum autyzmu. Wraz z rosnącą świadomością, jak może objawiać się autyzm, rośnie liczba osób diagnozowanych w wieku dorosłym. Ludzie ze spektrum piszą i mówią o swoim doświadczeniu, tworzą wspierające się społeczności. Twórcy kanałów na YouTubie tacy jak wspomniany Paul Micallef czy Taylor Heaton z *Mom on the Spectrum* skupiają się nie tylko na swoich doświadczeniach, ale też aktywnie animują wymianę wiedzy naukowej i praktycznych wskazówek, jak uławiać sobie życie.

Na wiele pytań o autyzm wciąż nie da się udzielić jednoznacznej odpowiedzi, jednak samo poznawanie tych dyskusji niesamowicie otwiera oczy. Czy autyzm to niepełnosprawność, czy tożsamość? Kiedy ukrywać autystyczne zachowania, takie jak rytmiczne ruchy głową lub kołysanie, i jak to robić? (Podobno dobrym rozwiązaniem np. w środkach transportu jest założenie słuchawek.) A może jednak uznać takie stereotypie jako uzasadniony i nieszkodliwy sposób na rozładowanie gromadzącej się energii? (W końcu każdy czasem robi coś podobnego.) Jak traktować dziecko ze spektrum? Czy motywować je do kontaktów społecznych? Czy po prostu akceptować? Czy z wiekiem życie autysty staje się łatwiejsze? Dlaczego wydaje się, że autyści pozbawieni są empatii? Czy osoby ze spektrum są społecznie wycofane, czy tylko robią takie wrażenie? Lista podobnych pytań nigdy się nie kończy.

Autyści wychodzą z szafy

Prace Kannera i Aspergera pozwalały mieć nadzieję, że dzieci ze spektrum wtopią się w tłum. Coraz lepiej słyszalne dziś głosy samych autystów dają z kolei nadzieję, że nie będą oni musieli się w tym tłumie ukrywać. Temple Grandin i jej następcy pokazują mocne strony autystycznych umysłów. Taylor Heaton nawołuje, żeby nie bać się stereotypii, bo dla niezwykle czułej anteny, jaką jest człowiek ze spektrum, wyłapującej z otoczenia ogromne bogactwo bodźców, chodzenie w kółko albo kiwanie głową może być po prostu niezawodnym sposobem na wyciszenie. Devon Price pisze o tym, że dobrze jest pozbyć się maski.

Zrozumienie i akceptacja dla autyzmu, o których pisał kilka lat temu Worony, nadejdzie. I będzie to głównie zasługa samych ludzi ze spektrum.

© MARZENA ZDANOWSKA

Autyzm: warto przeczytać

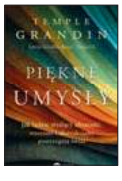

▪ Młoda Temple Grandin, obdarzona wyjątkowo wyczulonym na bodźce umysłem, znajdowała ukojenie w stworzonej dla siebie „maszynie do ściskania". Obserwacje zwierząt, które również uspokajały się pod wpływem dotyku, pchnęły ją na ścieżkę kariery ekspertki od hodowli przemysłowej. Pisała o zachowaniach i prawach zwierząt oraz poszukiwaniu wzorców i myśleniu obrazami, charakterystycznym dla osób ze spektrum (**„PIĘKNE UMYSŁY"**, CCPress 2023).

▪ Psycholog Simon Baron-Cohen twierdzi, że ludzkie mózgi podzielić można na pięć typów, w zależności od tego, jak bardzo jesteśmy skłonni do empatii oraz wyczuleni na spotykane w przyrodzie regularności. Osoby autystyczne często są hipersystematyzatorami – postrzegają świat jak maszynę, złożoną z miliardów oddziałujących z sobą elementów. Tacy ludzie, jak pisze w **„POSZUKIWACZACH WZORÓW"** (Smak Słowa 2021), stawali się wynalazcami, którzy pchali naprzód cywilizację.

▪ Brytyjczyk Daniel Tammet, autystyk i sawant o niezwykłej pamięci, zabiera czytelników w podróż w głąb swojego umysłu. W książce **„SŁOWA SĄ JAK PTAKI, KTÓRE UCZYMY ŚPIEWAĆ"** (CCPress 2022) pisze, że jego pierwszym językiem były liczby, to przy ich pomocy nauczył się myśleć o świecie. Dopiero później wyrażenia liczbowe przekładał w głowie na angielski, którego uczył się, jakby był dla niego językiem obcym (dziś posługuje się kilkunastoma innymi).

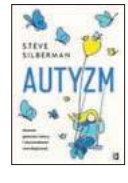

▪ Książka publicysty magazynu „Wired" Steve'a Silbermana ukazała się w Polsce pod dwoma tytułami: w 2017 r. jako **„NEUROPLEMIONA. DZIEDZICTWO AUTYZMU I PRZYSZŁOŚĆ NEUROROŻNORODNOŚCI"**, a w 2021 r. jako **„AUTYZM. HISTORIA GENIUSZU NATURY I RÓŻNORODNOŚCI NEUROLOGICZNEJ"** (Wydawnictwo Kobiece). To drobiazgowa historia badań nad autyzmem połączona z apelem, by umysłów o nietypowym „oprogramowaniu" nie traktować jako zaburzonych i wymagających leczenia. ©℗ ŁK

Szkoła pszczelego tańca

JUSTYNA KIERAT

O tym, że owady potrafią uczyć się od innych osobników, wiedzieliśmy od lat. Właśnie okazało się, że obejmuje to nawet sposoby komunikacji.

Rodzina pszczół miodnych jest świetnie zorganizowaną społecznością. W szczycie sezonu może liczyć nawet 80 tysięcy robotnic. Zadania, jakimi zajmuje się każda z nich, zależą nie tylko od potrzeb w danej chwili, ale również od wieku i kondycji samej pszczoły. Te młode i zdrowe pracują w gnieździe, poświęcając się karmieniu potomstwa i opiece nad królową. Nieco starsze biorą udział w produkcji miodu, budowie plastrów czy pilnowaniu wejścia do gniazda, a najstarsze lub w słabej kondycji, mające przed sobą już stosunkowo niewiele życia, wylatują z gniazda po pokarm. Z powodu pełnionej funkcji nazywa się je zbieraczkami. Jeśli któraś z nich natrafi na źródło wartościowego pokarmu, po powrocie do gniazda może poinformować swoje siostry, gdzie się ono znajduje.

Leć w stronę słońca

Sposób, w jaki przekazywane są te informacje, jest wyjątkowy dla pszczoły miodnej i jej (niewystępujących w Polsce) krewnych z rodzaju *Apis*. Za jego rozszyfrowanie austriacki etolog Karl von Frisch dostał w 1973 r. Nagrodę Nobla. Taniec pszczół, bo o nim mowa, jest swego rodzaju językiem, posiadającym własne reguły.

Tancerka biega po plastrze, zakreślając figurę przypominającą ósemkę: biegnie po linii prostej, po czym skręca w prawo lub w lewo (na przemian raz w jedną, raz w drugą stronę), wraca po półokręgu na miejsce startu i zaczyna od nowa. Najważniejszym elementem jest bieg po prostym odcinku. Jego pokonywaniu towarzyszy wymachiwanie na boki odwłokiem i wibrowanie skrzydełkami. Odległość, którą tancerka wtedy pokonuje, jest proporcjonalna do dystansu między ulem a źródłem pokarmu. Kierunek, w którym należy lecieć, jest z kolei kodowany w odniesieniu do położenia słońca nad horyzontem. Plastry w pszczelim gnieździe – czy to ulu, czy dziupli – są ustawione pionowo. W czasie tańca taki plaster staje się mapą, na której słońce jest położone u góry.

Jeśli tancerka przebiega prosty odcinek pionowo w górę, oznacza to, że po wylocie z gniazda należy kierować się w stronę słońca. Jeśli biegnie w dół – trzeba lecieć w przeciwną stronę. Jeśli biega pod pewnym kątem względem pionu, to ten sam kąt trzeba utrzymywać względem linii łączącej gniazdo z położeniem słońca nad horyzontem. Im bardziej atrakcyjny jest reklamowany pokarm, tym szybciej i dłużej taniec jest wykonywany.

Położenie słońca na niebie zmienia się z czasem, jednak i z tym pszczoły potrafią sobie poradzić. Długo tańcząca robotnica zmienia kąt swego ruchu tak, by odwzorować wędrówkę słońca po niebie. Dzięki temu informacje o kierunku są przez cały czas aktualne. Jest to możliwe dzięki wewnętrznemu zegarowi biologicznemu pszczoły, gdyż nie widzi ona położenia słońca we wnętrzu gniazda – panuje tam ciemność. Z tego samego powodu pszczoły obserwujące tancerkę nie mogą liczyć na wzrok, jednak mogą użyć innych zmysłów. Podążają za tancerką, dotykają jej czułkami oraz odbierają wydawane przez nią dźwięki, drgania plastra i zapach przyniesionego pokarmu. Jeśli na podstawie uzyskanych informacji uznają, że reklamowane źródło pokarmu rzeczywiście jest atrakcyjne, same wybierają się we wskazane miejsce.

Program do zmiany

Już wcześniej było wiadomo, że umiejętność tańca pszczelego jest kodowana genetycznie. Różne linie pszczół miodnych mogą mieć swoje dialekty, a różnice pomiędzy nimi utrzymują się nawet wtedy, kiedy robotnice są wychowywane w innej rodzinie – tańczą wtedy w sposób charakterystyczny dla swojej macierzystej kolonii, a nie dla tej, w której się wychowały. Shihao Dong i Tao Lin z Chińskiej Akademii Nauk z zespołem zadali sobie jednak pytanie, czy taniec to zdolność całkowicie wrodzona, czy może jej bezbłędne opanowanie przez młodą robotnicę wymaga nauki. W świecie owadów znane są zarówno przykłady zachowań ściśle zaprogramowanych genetycznie, jak i takich o wiele bardziej plastycznych.

Posiadanie wrodzonego „programu postępowania" ma tę zaletę, że zwierzę nie jest uzależnione od spotykania się z innymi, bardziej doświadczonymi osobnikami, od których mogłoby się uczyć. Biorąc pod uwagę to, jak rzadkie jest wychowywanie potomstwa czy życie społeczne u owadów (nawet wśród pszczół większość gatunków żyje samotniczo),

ERIC TOURNERET / BIOSPHOTO / EAST NEWS

Pokonaną w locie odległość pszczoły oceniają m.in. na podstawie obserwowanych elementów środowiska. Umieszczając je w tunelach z gęstszymi wzorami można sprawić, by wydawało im się, że przemierzyły dłuższy dystans (i odpowiednio komunikowały to tańcem).

nie ma nic dziwnego w tym, że przychodzą one na świat wyposażone w instynkty, które pozwalają im samodzielnie sobie poradzić. Ale nie oznacza to, że nie są one w stanie się uczyć i funkcjonują niczym bezwolne, zaprogramowane maszyny.

Owad może być wyposażony w instrukcje, jak postępować w danej sytuacji, ale w razie potrzeby dostosowywać się do panujących warunków. Lars Chittka w książce „Pszczoły" (której polskie wydanie właśnie ma premierę) wspomina o starym eksperymencie, wyraźnie pokazującym tę plastyczność.

Jean-Henri Fabre, żyjący na przełomie XIX i XX w. entomolog, badał pewien gatunek nęka (*Sphex*) polującego na świerszcze. Nęki to drapieżne błonkówki, które kopią norki w ziemi i znoszą do nich upolowane bezkręgowce jako pokarm dla larw. Kiedy samica obserwowanego przez Fabrego gatunku przylatywała do swojej norki ze zdobyczą, najpierw kładła ją przed wejściem i wchodziła do środka, prawdopodobnie po to, by sprawdzić, czy wewnątrz wszystko jest w porządku. Następnie, upewniwszy się, że w gnieździe nie ma żadnego intruza, wracała po świerszcza i wciągała go do środka.

Fabre przesuwał świerszcza kawałek od norki w momencie, kiedy samica była pod ziemią, i obserwował jej reakcje. Początkowo przyciągała ona świerszcza z powrotem, po czym znów wchodziła pod ziemię. W tym czasie badacz ponownie przesuwał zdobycz i cała sytuacja się powtarzała. Jednak po kilku takich wydarzeniach nęk odstępował od swojej rutyny i od razu wciągał świerszcza do norki, tak że Fabre nie mógł mu go po raz kolejny zabrać.

Zachowanie, które początkowo wydawało się ściśle wykonywanym programem, zostało zmienione na potrzeby chwili.

Owad dobrze wychowany

U owadów społecznych, takich jak pszczoła miodna czy trzmiele, kontakty międzyosobnicze zdarzają się oczywiście znacznie częściej niż u gatunków prowadzących samotniczy tryb życia. Młode pszczoły wychowywane są przez swoje starsze siostry i mają stałą styczność z doświadczonymi członkiniami kolonii. W takich warunkach komunikacja i uczenie się od siebie nawzajem stają się realną opcją.

I rzeczywiście, udowodniono eksperymentalnie, że trzmiele potrafią uczyć się nowych zachowań, podpatrując swoich pobratymców. Pokazano to nie tylko w sytuacjach imitujących warunki naturalne (trzmiele uczyły się od siebie nawzajem, do którego przypominającego kwiat karmnika warto lecieć po pokarm). Również kiedy trzmiele były postawione przed zadaniem zupełnie nowym i niespotykanym w naturze, takim jak konieczność pociągnięcia za sznurek czy popchnięcia dźwigni, by otrzymać nagrodę, z sukcesem podpatrywały inne osobniki, by później lepiej radzić sobie z zadaniem. Z tego powodu przypuszczenia badaczy, że opanowanie sztuki pszczelego tańca może wymagać kontaktu z bardziej doświadczonymi tancerkami, były uzasadnione.

W badaniach przeprowadzonych w Kunming w Chinach, Dong i Lin z zespołem stworzyli eksperymentalne kolonie złożone z robotnic w tym samym wieku. Pszczoły były obserwowane od pierwszego dnia swojego życia. Mimo że nie miały kontaktu ze starszymi robotnicami (ponieważ w gnieździe żadnych nie było), w wieku około dziewięciu dni zaczęły tańczyć. Te pierwsze próby zostały nagrane przez badaczy, a nagrania przeanalizowane. Dla porównania nagrano również tańce wykonywane 20 dni później. Pszczoły miały już wtedy większe doświadczenie, jednak wynikało ono jedynie z praktyki oraz interakcji z równie (nie)doświadczonymi siostrami.

Jako grupę kontrolną do eksperymentu wybrano rodziny pszczele, w których znajdowały się pszczoły w różnym wieku, tak jak to ma miejsce w normalnych rodzinach. Tutaj również obserwacjom poddano grupę młodych pszczół ↦

↦ (oznakowanych kolorowym markerem na tułowiu, żeby można było je rozpoznać) od ich pierwszego dnia życia i analizowano ich pierwsze oraz późniejsze tańce. Pszczoły te, w przeciwieństwie do tych z eksperymentalnych kolonii, miały stały kontakt ze starszymi siostrami i możliwość przyglądania się ich tańcom, nawet zanim jeszcze rozpoczęły wykonywanie własnych. Wszystkie kolonie były uczone przylatywania do karmnika ustawionego w tej samej odległości od ula, tak by różnic w tańcu nie można było przypisać temu, że pszczoły komunikowały różne lokalizacje.

Grupa pszczół, które nie miały możliwości uczenia się od starszych sióstr, w czasie swoich pierwszych tańców popełniała większe błędy w pokazywaniu kierunku niż 20 dni później. Robotnice z kolonii kontrolnych natomiast już na początku radziły sobie na podobnym poziomie jak doświadczone tancerki. Pszczoły z grupy eksperymentalnej miały również większy problem niż kontrolne z prawidłowym zasygnalizowaniem odległości od ula do pokarmu, i ta umiejętność, w przeciwieństwie do określania kierunku, nie poprawiała się u nich wraz z wiekiem. Świadczy to o tym, że do prawidłowego określania odległości konieczne było podpatrywanie bardziej doświadczonych tancerek, a brak tej możliwości był stratą nie do nadrobienia w późniejszym czasie.

Długo tańcząca robotnica zmienia kąt swego ruchu tak, **by odwzorować wędrówkę słońca po niebie.** Pomaga jej w tym wewnętrzny zegar. Informacje o kierunku pożywienia są ciągle aktualne.

Czy to język?

Wyniki tego eksperymentu, opublikowane w marcu w „Science", pokazują, że pszczeli taniec jest tylko częściowo umiejętnością wrodzoną. Młode robotnice pozbawione możliwości nauki wprawdzie zaczęły tańczyć w odpowiednim wieku, popełniały jednak wiele błędów. Część z nich została wyeliminowana dzięki ćwiczeniom, jednak niektórych nie udało się pszczołom poprawić. Tymczasem robotnice wychowywane w normalnych warunkach, mogące obserwować dobrze wykształcone tańce, już na początku radziły sobie lepiej, unikając tym samym etapu żmudnej nauki metodą prób i błędów.

Konieczność uczenia się od innych osobników to kolejna, obok występowania gramatyki (reguł tańca), cecha systemu komunikacji pszczół, który upodabnia go do naszego.

Dla kogoś nieznającego danego języka wypowiadane w nim słowa będą nic nieznaczącymi dźwiękami, podczas gdy dla rozumiejącego je odbiorcy będą stanowić symbol przedmiotów, czynności i innych elementów rzeczywistego świata. Bieg pszczoły po plastrze, połączony z wymachiwaniem odwłokiem i poruszaniem skrzydłami, przed odkryciami von Frischa nic dla nas nie znaczył, podczas gdy dla innych pszczół niósł mnóstwo informacji na temat świata (źródeł pokarmu w otoczeniu ich gniazda). A skoro także pszczoły uczą się swojego tańca, to znaczy, że nie jest to dla nich wiedza całkowicie wrodzona i genetycznie zdeterminowana.

My, ludzie, rodzimy się z predyspozycjami do nauki języka, jednak bez kontaktu z osobami posługującymi się nim płynnie nie bylibyśmy w stanie zacząć mówić. Małe dziecko najpierw gaworzy, wydając niezrozumiałe i niezbyt jeszcze przypominające mowę dźwięki. Z czasem pojawia się coraz więcej czystych głosek i sylab, a w końcu również powstają wyrazy i zdania. Stopniowo wypowiedzi stają się coraz bardziej skomplikowane, poprawne gramatycznie i bogate w słownictwo.

Naukę ludzkiej mowy porównuje się często z nauką śpiewu u ptaków. Młode samce nie od razu śpiewają tak jak doświadczone ptaki. Kiedy zaczynają podśpiewywać, ich piosenki brzmią inaczej, zawierają pewne elementy niewystępujące w „dorosłych" pieśniach, innych z kolei im brakuje. Z czasem to ptasie „gaworzenie" rozwija się i stopniowo osiąga swoją ostateczną formę. W tym procesie ważna jest nauka od bardziej doświadczonych śpiewaków bądź otrzymywanie informacji zwrotnej od przysłuchujących się samic.

Już podobieństwa między komunikacją ptaków i ludzi mogą zaskakiwać, tymczasem pszczoły są jeszcze bardziej odległe ewolucyjnie – ostatniego wspólnego przodka bezkręgowce i kręgowce miały przeszło 500 mln lat temu. Przyroda lubi się jednak powtarzać: pewne rozwiązania mogą w niej wielokrotnie powstawać niezależnie i się utrzymywać, jeśli tylko skutecznie pomagają w przetrwaniu.

© JUSTYNA KIERAT

POŻEGNANIE

Ze smutkiem zawiadamiamy, że 1 kwietnia zmarła

Zofia Lardelli-Narutowicz

Wnuczka pierwszego polskiego prezydenta Gabriela Narutowicza

Urodzona w 1930 roku, mieszkanka Bazylei, pracowniczka koncernu farmaceutycznego Hoffmann La Roche. Swego dziadka nigdy nie poznała, dziedzictwo Narutowiczów było jednak dla niej ważne.

Pogrzeb odbędzie się w maju na cmentarzu w Bottmingen (Bazylea-Okręg)

Synowi Janowi Lardellemu składamy wyrazy współczucia

MAREK GŁUSZKO, TOMASZ OTOCKI

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

REKLAMA

PRESTIGE MJM PREZENTUJE

SCORPIONS
ROCK BELIEVER
World Tour 2023

22 CZERWCA 2023
ERGO ARENA
GDAŃSK/SOPOT

BILETY: BILETSERWIS.PL

THE-SCORPIONS.COM

Prestige MJM · Radio Złote Przeboje · Bilet Serwis · onet · Rzeczpospolita · Tygodnik Powszechny · pap MediaRoom · proart · Vixon

REKLAMA

GĘSIEGO

Z miasta na wieś

„Mądra i zabawna. Przeczytajcie tę książkę, zanim kupicie ziemię za miastem.

FILIP SPRINGER

JUŻ W SPRZEDAŻY

Wydawnictwo Agora

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 18-19/2023

Nagroda Literacka Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego

DAWID GROMADZKI / UM BIAŁYSTOK

Gala wręczenia Nagrody im. Kazaneckiego.
Białystok, klub Fama, 14 kwietnia 2023 r.
Od lewej: prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski
oraz laureaci i nominowani: Marcin Mokry, Paweł Stasiewicz, Jakub Sęczyk,
Anouk Herman, Julek Rosiński, Paweł Gorszewski

Nagroda Literacka Prezydenta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego kształtuje przestrzeń polskiego pola literackiego już od dawna i ma dla niego ogromne znaczenie, gdyż wskazuje na niezwykłe talenty literackie, jednocześnie otwierając przed nimi drogę do dalszej kariery i wyróżnień.

Po raz pierwszy przyznano ją w 1992 r. – i już od trzech dekad otrzymują ją pisarki i pisarze uprawiający wszystkie rodzaje i gatunki literackie. Wymóg formalny, kształtujący specyfikę Nagrody, jest jeden: autorka bądź autor musi być związany z Białymstokiem (lub regionem) – pochodzeniem, tematyką swojej twórczości bądź miejscem wydania. Wśród dotychczasowych laureatów są takie postaci, jak Edward Redliński, Ignacy Karpowicz, Szymon Hołownia, Piotr Nesterowicz, Michał Książek czy Andrzej Stasiuk.

W tym roku laureatem w kategorii „Najlepsza książka roku" został Marcin Mokry za tomik poetycki „żywe linie nowe usta".

Natomiast statuetkę w kategorii „Najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku" – przyznawaną od 2019 roku – prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski wręczył Anouk Herman za tomik „right into pod tramwaj".

NOMINACJE W KATEGORII NAJLEPSZA KSIĄŻKA ROKU

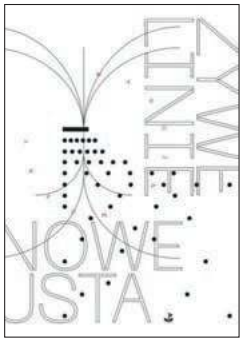

MOKRY:
LINIE I USTA

Jak twierdził Tadeusz Peiper, poezja to sztuka układania pięknych zdań. To zdanie, samo w sobie niepozbawione uroku, od dawna kusi poetów. Aby się z nim zmierzyć, z pewnością potrzeba odwagi, bo sięganie do tradycji awangardowej wiąże się ze sporym niebezpieczeństwem. Czy powtórzenie któregoś z radykalnych gestów tej tradycji jest jeszcze możliwe, a nawet jeśli – to w jakim celu?

Papież polskiej awangardy pojawia się tu nieprzypadkowo, jako że jest on nie tylko istotnym kontekstem, ale również bohaterem tomiku „żywe linie nowe usta" Marcina Mokrego. W jego przypadku poezja konkretna, uwolniona od tradycyjnych ograniczeń, zatacza koło i powraca do punktu wyjścia – do życia pojedynczego, konkretnego właśnie, które wymyka się opisom, a przez to także naszej wyobraźni i wrażliwości. Mokry, który pracował przez lata w rydułtowskim MOPS-ie, łączy frazę Tadeusza Peipera z zapiskami Janusza Zimnego, swojego podopiecznego.

„Nie zajmowało mojej głowy, jak coś napisać, ale raczej jak utrzymać w czystości jamę ustną u chorego leżącego", pisze w posłowiu autor, poniekąd tłumacząc się ze swojego pomysłu na ten tomik.

W tej poezji zderzane są ze sobą zupełnie różne, nieprzystające do siebie języki. Wiersze, których litery rozsypują się na pustej kartce, stoją obok fragmentów arkuszy egzaminacyjnych, przeznaczonych dla kandydatów na pracowników ośrodków opiekuńczych.

„Opiekun zaplanował zmianę pieluchomajtek 77-letniemu pacjentowi. Po zdjęciu spodni od piżamy pacjent zaczął krzyczeć, kurczowo chwycił się drabinek. Co w tej sytuacji powinien zrobić opiekun?".

Do tego fragmenty prozatorskie, gdzie opowieść o jednostkowym doświadczeniu balansuje na granicy szaleństwa. Dzięki tym ryzykownym zestawieniom otrzymujemy obraz niejednorodny, ale przez to bliski, na ile to możliwe, uchwycenia tego, jak wygląda życie człowieka pozostawionego samemu sobie. Szczególnie jeśli nie godzi się na to, aby jego świat był opisywany wyłącznie zdehumanizowanym dyskursem medycznym. Na szczęście są poeci, którzy pomagają w tej nierównej walce o język i godność człowieka.

Marcin Mokry, „żywe linie nowe usta"
Biuro Literackie

GORSZEWSKI:
EPOS O OJCU

Tomik „Uczulenia" Pawła Gorszewskiego to zapis specyficznego stanu, który znajduje się gdzieś na przecięciu doświadczenia bardzo intymnego i palącej konieczności opowiadania wciąż od nowa tej samej historii. Podobną podwójnością charakteryzuje się tytułowa nadwrażliwość, która bywa bolesna i dokuczliwa, ale jednocześnie otwiera nas na intensywniejszy kontakt ze światem – szczególnie tym, po którym zostały już tylko okruchy i wspomnienia. „Uczulenia" to bowiem zaproszenie do wysłuchania monologu, którego bohaterem jest zmarły ojciec. Strumień obrazów, anegdot i refleksji płynie raz wartko, kiedy indziej rwie się i meandruje, a ich rytm wyznacza indywidualna gramatyka żałoby. Nie jest to jednak opowieść zbudowana na wysokich i surowych emocjach. Dominuje raczej atmosfera pogodnej melancholii, dzięki której ślady w pamięci zyskują szczególną głębię.

Konstruując portret ojca, poeta opowiada także o sobie – o tym, kim był wobec niego na różnych etapach swojego życia. W tym rozpisanym na 25 wierszy eposie nie ma zbyt wiele dramaturgii, sporo za to nostalgii, budowanej przez czytelne dla tego pokolenia artefakty kulturowe i materialne: Reksio miesza się tu z fiatem 125p, a bohaterowie „Beverly Hills 90210" z kupowanymi za ostatnie pieniądze butami Nike. Jednak na tym prostym stelażu wspomnień Gorszewski rozpina także rzeczy i wydarzenia wyjątkowe, których pełny sens przynależy już do prywatnego archiwum pamięci.

Wiersze zebrane w tomie „Uczulenia" czyta się jak opowieść nieznajomego, z którym szybko nawiązujemy nić porozumienia. Jednak w tej sytuacji empatia i życzliwość nie są obliczone na długie dystanse, a sam poeta nie zachęca nas do wyprawy ku głębokim warstwom intymności. Mamy tu raczej do czynienia z poruszającą zwyczajnością, w której łatwo możemy zobaczyć odbicia naszej własnej codzienności. I zapewne dlatego z taką łatwością przystajemy na chwilę, aby posłuchać tej historii, która równie dobrze mogłaby być naszą.

Paweł Gorszewski, „Uczulenia"
Forma

UM BIAŁYSTOK / MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW KAZANECKI (1939–1989) – poeta, prozaik, publicysta.Urodzony w Białymstoku, po studiach w Opolu wrócił do rodzinnego miasta. Początkowo pracował jako nauczyciel. W latach 70. związany z czasopismami „Kontrasty" i „Zdarzenia".
Za życia opublikował 12 tomików poetyckich. Był jedną z najważniejszych postaci podlaskiego życia literackiego.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 18-19/2023
TEKSTY I REDAKCJA: Michał Sowiński
PROJ. GRAF. Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Edward Augustyn
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
NA OKŁADCE: OGRÓD I PAŁAC BRANICKICH W BIAŁYMSTOKU
FOT: DAWID GROMADZKI / UM BIAŁYSTOK

Białystok

DODATEK POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z URZĘDEM MIEJSKIM W BIAŁYMSTOKU

NOMINACJE W KATEGORII

HERMAN: INACZEJ

W uzasadnieniu wyróżnienia dla Anouk Herman jury Nagrody napisało: „za miejskie nasłuchy i poszukiwanie nowej tożsamości podmiotu". Tomik „right into pod tramwaj" to faktycznie poetycki dziennik podróży przez ulice dużego miasta, gdzie na wędrującego bohatera wierszy czekają liczne pułapki i niebezpieczeństwa. Zarówno te językowe, jak i bardzo konkretne: przemoc, nie tylko symboliczna. Herman próbuje bowiem opowiedzieć nam, jak wyglądają codzienne zderzenia z szarym murem rzeczywistości, gdy w tejże rzeczywistości chce się zamieszkiwać na własnych zasadach.
Queer, jak pokazuje Herman, nie ogranicza się wyłącznie do sfery seksualnej. To raczej nieustanne mierzenie się ze światem, który dla każdego ma gotowe formy życia i zawzięcie broni swojej zachowawczej matrycy tożsamościowej. Najskuteczniejszą strategią walki jest w tej sytuacji wprawianie w ruch wszystkich elementów dookolnej rzeczywistości – chaos, z którego narodzić się może coś nowego.

To wirowanie widać w tomiku już na poziomie rozmieszczenia tekstu na poszczególnych stronach. Słowa układają się w najróżniejsze konstelacje, a przez to same wiersze nie dają się łatwo uporządkować w przestrzeni. Nie inaczej jest na poziomie samego języka, chropowatego, pełnego slangu i nieformalnych skrótowców, do tego przeplatanego słowami angielskimi, które, jak widać już w samym tytule tomiku, nie tyle są wtrętami, co raczej naturalnymi elementami tej leksykalnej magmy.
Sens poszczególnych scen podejrzanych na ulicy i doświadczeń, które z nich wyrastają, pozostaje migotliwy – za to łatwiej daje się uchwycić dynamika skomplikowanych relacji, jakie między nimi zachodzą. Daje to olbrzymie możliwości, aby inaczej opowiedzieć zarówno o tym, co bolesne, jak i o tym, co intrygujące i nieuchwytne w codziennej percepcji. Z jednej strony oswajanie, z drugiej dziwienie się (niekiedy wręcz rozkoszowanie się) najróżniejszymi drobiazgami. Nawet jeżeli czasem, przy okazji, wpadnie się right into pod tramwaj.

Anouk Herman,
„right into pod tramwaj"
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich oddział w Łodzi, Instytut Literatury

NAJLEPSZY OGÓLNOPOLSKI POETYCKI DEBIUT ROKU

STASIEWICZ: PRZYGODY UMYSŁU I CIAŁA

W wierszu otwierającym tomik Paweł Stasiewicz pisze: „Zabierz powietrze / Czytaj tak szybko / jak głos na końcu leków". Jego wiersze, za sprawą lekkiej, momentami wręcz zwiewnej frazy, faktycznie przepływają przed naszymi oczami szybko, co nie znaczy, że nie pozostawiają po sobie śladu. „Oprawa skórzana" to bowiem opowieść o cielesności naszego myślenia – o tym, jak zaciera się granica między wnętrzem i zewnętrzem, gdy próbujemy zamykać rzeczywistość w małych, kameralnych kadrach. „Przeziębiłem sobie kolana / od lodówek w dużych sklepach", pisze nieco dalej poeta, pokazując jednocześnie, że ironia jest dla niego niezwykle ważnym narzędziem. Dzięki niej bardziej uchwytne stają się codzienne przygody umysłu i ciała, ale jednocześnie stanowi ona filtr, który chroni przed nadmiarem rzeczy. W tak pomyślanej poezji chodzi o przeczesywanie świata pełnego rzeczy i zjawisk nieistotnych, odruchowo pomijanych i momentalnie wymazywanych z pamięci – tak aby wyłowić z niego cenne okruchy nieoczywistości.

Paweł Stasiewicz,
„Oprawa skórzana"
papierwdole

ROSIŃSKI: OPIEWANIE ŚWIATA

Jedna z definicji poezji mówi, że wiersza nie da się streścić. Julek Rosiński w tomiku „Streszczenie pieśni" zdaje się igrać z tą zasadą, pokazując, że tak rozumiana esencjonalność jest tyleż ważna, co problematyczna. Bowiem to, co (wydawałoby się) istotne, nieustannie podmywane jest tu przez ironiczny banał, bezużyteczne odpryski rzeczywistości. Dlatego też tytułowe pieśni, które mają opiewać świat widziany i doświadczany, plączą się po drodze, gubią swój rytm i pierwotny sens. „jaka to satysfakcja krzyczeć najgłośniej, / wyczerpać możliwości, w końcu drążyć plażę, wyjść?", pisze Rosiński w wierszu „tym, do których się spóźniamy". Wyczerpywanie możliwości jako strategia poetycka świadczy o odwadze, ale jest też ryzykowne. Fraza w tym tomiku często rozrasta się do niebezpiecznych rozmiarów, zagarniając coraz większe obszary języka, przez co testuje granice własnej wyporności. Dlatego też najistotniejszy jest nie efekt końcowy, lecz sam ruch, którego nie da się streścić.

Julek Rosiński,
„Streszczenie pieśni"
Biuro Literackie

SĘCZYK: UPOMINANIE SIĘ

Tomik Jakuba Sęczyka to gorzka podróż przez świat sprekaryzowanej pracy, w której człowiek zredukowany zostaje do narzędzia – eksploatowanego bezdusznie i z brakiem poszanowania podstawowych potrzeb cielesnych, o innych nawet nie wspominając. A mimo to autor próbuje w tej ciasnej i nieprzyjaznej przestrzeni znaleźć miejsce na ekspresję, poszukiwanie języka, którym mógłby opowiedzieć o swoim doświadczeniu. Wiele z zawartych w tomiku wierszy zbudowanych jest niczym mantra, a powtarzająca się w kolejnych wersach skarga wprowadza nas w duszny świat znużenia i poczucia bezsensu pracy ponad siły. „Ten wiersz upomina się o odpowiedzialność za głód, przecież wiesz, / ten wiersz upomina się o przerażenie, kiedy zostajesz sam, / ten wiersz upomina się o twój strach, dobrze wiesz, że ma rację". W tej sytuacji poezja jest zarówno świętem – przestrzenią ucieczki i wolności, ale równocześnie pozwala odzyskać podmiotowość, daje nadzieję i poczucie sprawczości. A tytułowa fraza częściowo wytraca swoją ironiczną gorycz.

Jakub Sęczyk, ***„Święta pracy"***
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
oddział w Łodzi, Instytut Literatury

BRUNO BARRAL / CC 4.0

Z ODDECHEM

PATRZ Z UKOSA

Przyjemność opowiadania biografii i dzieła Sama Szafrana jest oczywista. Od bidy z nędzą po wybitność. Od materii prostej do materii wyższej.

MAREK BIEŃCZYK

Gdziekolwiek się spojrzy, którykolwiek obraz czy grafikę Sama Szafrana się wybierze, w oczy bije nadmiar, przerost, przepełnienie, zawrót głowy, zagęszczenie: w niejedne nie dałoby się palca wetknąć.

Nawet te kapusty, zapewne podstawowe jego wyżywienie w dzieciństwie, bardziej się rozpychają, niż służą do jedzenia. Niby tylko martwe natury, lecz intensywność ich bycia, nabrzmiałość ich kształtów jest taka, że chciałoby się zapytać, kto tu jest martwy i skąd się wzięła taka bezwględna obecność. Albo te stada rododendronów i innych zielsk, nie tylko zielonych, lecz również niebieskich, które z ogrodów czynią gąszcze nie do przebycia, a z cieplarni i pomieszczeń uwewnętrznione puszcze. Albo te roztańczone klatki schodowe, jakby ziemia kręciła się szybciej wokół słońca, a nasze nosy przed zejściem po schodach wciągnęły to i owo.

I te pracownie artysty, niczym składy odpadków wiodących własne ruchliwe życie. Wreszcie miasta, fragmenty miast w ciągłej wibracji, we wrzeniu, dalekie od spokojnej stateczności, od stania w miejscu, w którym je postawiono. ↦

Sam Szafran, Hołd dla Jeana Claira, 2012 r.

BRUNO BARRAL / CC 4.0

Sam Szafran, Roślinność w pracowni, 1980 r.

ARTCURIAL / MATERIAŁY PRASOWE

Sam Szafran, Lilette i filodendrony, 1967 r.

Dawno temu w Paryżu

↦ Ale kiedy jest czegoś za dużo, od razu rodzi się myśl, że czegoś było za mało, albo że coś chce się tu usilnie przykryć. Stąd do pojęcia założycielskich traum jeden krok. Biografia Sama Szafrana nam w tym pomoże, więzy między życiem a dziełem zaplatają się łatwo, zapewne zbyt łatwo, podobnie jak więzy między literaturą a życiem w przypadku znajomego Szafrana – Georges'a Pereca, któremu dedykował jeden z obrazów. Tym bardziej że w obu przypadkach chodzi o dzieła wyjątkowe, o sztukę wysokich lotów.

Wielbiciele Szafrana mają za złe prezydentowi Macronowi, że nie był zaćwierkał po śmierci artysty (2019), skoro puści tweeta, gdy odejdzie Pierre Soulages (1919-2022), uznawany powszechnie za największą wybitność francuskiego malarstwa powojennego. Szafran jest wedle wielu malarzem równie wybitnym, jednym z najważniejszych francuskich artystów ostatniego półwiecza.

W jego życiu, podobnie jak u Georges'a Pereca, najciekawszego pisarza Francji powojennej, mamy tak zwany „akcent polski", cokolwiek to znaczy. Szafran urodził się jako Samuel Berger w Paryżu w roku 1934; ojciec, Jakub Berger, był krawcem z Łodzi, matka, Blima Szafran, pochodziła z Warszawy, gdzie sprzedawała tekstylia. Poznali się w Paryżu, do którego wyemigrowali z rodzinami; w ich domu mówiło się mieszaniną polskiego, jidysz i francuskiego. Wojny nie przeżył ojciec (prawdopodobnie zginął w Auschwitz) i spora część krewnych. Sam o mało nie trafił w 1942 r. do Vel d'Hiv, sławetnego obozu deportacyjnego usytuowanego na paryskim welodromie; uratowała go jasna czupryna i świadectwo, że jest synem francuskiego dozorcy. Później ukrywano go na prowincji w rodzinie hiszpańskich republikanów, lecz ostatecznie dziesięcioletni Sam został schwytany i przewieziony do obozu w Drancy. Nie zdążono go wywieźć do pieca; chłopca i ostatnich więźniów wyzwoliły wojska amerykańskie.

Niedługo po wojnie Sam z matką i siostrą wyemigrowali do Australii; imał się tam wielu rzeczy, był m.in. dżokejem. Po czterech latach wrócili. Syn, wsobny dzikus, zerwał kontakty z matką i przystał do młodocianej bandy opryszków. W głowie od razu pojawiają się sekwencje jak ze słynnego filmu Sergio Leone „Dawno temu w Ameryce", przedstawiającego narodziny – najpierw jeszcze dziecięcej – mafii żydowskiej na Brooklynie: drobne rozboje, kradzieże. Żeby jeszcze muzyka Ennio Morricone!

Za pierwsze pieniądze zdobyte przed wyjazdem do Australii Sam kupił sobie farby i poleciał, mając lat dwanaście, na inicjację do domu rozkoszy, gdzie naukę pobrał (w dzieciństwie zawsze znajdą się jakieś literacko-filmowe sztampy) od kobiety z drewnianą nogą. Był typowym dzieckiem ulicy, przyjacielem prostytutek, parał się dla zarobku różnymi zajęciami, na przykład myciem ciał w kostnicy. I był przy okazji świadkiem ostatniej świetności ludowego folkloru paryskiego w centralnej dzielnicy Les Halles, dziś zamienionej w betonowy kicz.

Banda kradła samochody i rowery; Sam wyspecjalizował się w ich przemalowywaniu. Robił to z taką inwencją, że zachwycił herszta. A kiedy ten zobaczył fantazyjnie przemalowany rower przywieziony jeszcze z Australii, miał powiedzieć Samowi, że skoro dobry Bóg dał mu taki talent, musi skończyć z łobuzerką. I tak to się zaczęło.

Święty Alberto od figur

Dalsze losy Szafrana (powróci do nazwiska rodowego od strony matki) poniekąd znamy, nawet gdybyśmy nic o nich nie wiedzieli. Spełniają bowiem wzory bytowania paryskiego artysty po wojnie. Nieoczekiwana zmiana dzielnic: z ludowych Halles Sam trafił na drugą stronę Sekwany do artystyczno-cyganerskich kwartałów Saint-Germain i Montparnasse. Krótkie próby edukacji na wieczornych kursach, lecz przede wszystkim gorące życie Paryża lat 50. Życie na zewnątrz od brasserie do brasserie, od klubu jazzowego do klubu; dziś trudno sobie wyobrazić tę intensywność wylegania ku światu, ku ludziom, to szkicowanie, to pisanie tekstów – uznawanych nieraz za już klasyczne – na stolikach kawiarnianych. Do domu wracało się na resztkę nocy. Jeśli miało się dom; bezdomny przez lata Szafran nocował gdzie popadnie, na los szczęścia, z łaski innych. I jadał, co mu dano.

Przyjemność poznawania tej biografii i mówienia o niej jest oczywista. Bo do tej bidy z nędzą, z której wypączkuje wybitność, można dorzucić talię nazwisk, same asy i figury. Znajomości przelotne, na jedną czy dwie rozmowy, albo przyjaźnie dłuższe. Francis Bacon, Alberto i Diego Giacometti (którejś nocy Sam ujrzał Alberto i Marlenę Dietrich idących pod rękę, innej nocy Marlenę pod rękę z Milesem Davisem), Henri Cartier-Bresson, Raymond Mason, Henri Matisse, Nicolas de Staël, César, Lucian Freud, Joan Miró i Alexander Calder, którzy pili razem (Calder miał blisko dwa metry, ale padał po pierwszym kieliszku, mały Miró ciągnął do rana), później Roman Opałka, z którym dobrze się znał, i *tutti quanti*, wyliczenie byłoby nieskończone, a anegdotek jak powyższe moc.

Najważniejszym napotkanym artystą był Alberto Giacometti; Szafran składał mu przez całe życie nieustanny hołd. Zawdzięczał mu porzucenie sztuki abstrakcyjnej i przejście do sztuki figuratywnej. I na dodatek do pasteli (stąd miłość do Degas; później Szafran dorzuci do pasteli akwarele i różne wymyślne sposoby obchodzenia się z nimi), których używanie uchodziło za koszmarny anachronizm. Co w tamtych czasach oznaczało zarazem dalsze cienkie zupki. Także dla jego rodziny; w roku 1963 Sam się ożenił z Lillette, rok później urodził się im syn Sebastian, niestety ciężko chory.

MARTINE FRANCK / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Sam Szafran, Szwajcaria, 2005 r.

Obrazy figuratywne nie sprzedawały się dobrze, gorączka kolekcjonerów i marszandów skupiała się na abstrakcji. Taki był szyk, gust i wielkie mecyje. Ci, co porzucali w tym czasie abstrakcję, jak fenomenalny włoski malarz filozofujący Leonardo Cremonini czy patologiczny Jean Rustin, przy którym malarstwo Bacona to miłe śniadanko, musieli swoje odczekać, aby wychynąć na światło. O Szafranie wiedziano już nieco szerzej w latach 70., jednak jego pierwszą bardzo poważną, planowaną na rok 1988 wystawę w paryskim Beaubourgu, wcieleniu najnowocześniejszej nowoczesności, niemal w ostatniej chwili pod presją krytyki abstrakcjonistycznej i podległych jej zarządców kultury odwołano. Bo taka była ówczesna poprawność w sztuce, taki trend w instytucjach. Krytykowano „realizm w sosie Szafranowym", kpin nie brakowało. Dopiero wraz z pierwszym większym kryzysem abstrakcji kilka lat później Szafran znalazł w miarę powszechne, a nie tylko wybiórcze uznanie.

Wymienianie napotkanych przez Szafrana wielkości nie jest zwykłym *name dropping*. On, który praktycznie nie liznął żadnej porządnej edukacji, przez długi czas poszukiwał mistrza. Poza Albertem Giacomettim, który jednak zbyt szybko umarł, nikogo nie znalazł; bardzo liczył się ze zdaniem jego brata Diego. Przez chwilę należał do grupy Panique (Roland Topor, Fernando Arrabal i inni), nie zagrzał w niej jednak miejsca, jego droga musiała być samotnicza. Ale to poszukiwanie z Sama samouka uczyniło nie tylko nadzwyczajnego erudytę, cytującego księgi i książki, lecz nowatorskiego artystę, który bardzo głęboko wniknął w techniki malarskie, filmowe oraz fotograficzne, i rozpoznał dla własnych potrzeb światowe dzieje sztuki. I do tego stopnia, żeglując między tradycją a inwencją, wykorzystał je w swoich dziełach, że mistrzostwo formy, mistrzostwo by tak rzec „robocze" czy „rzemieślnicze", wysforowało się na pierwszy plan i przeniosło jego natręctwa na wyższy poziom, tam, gdzie już nie widać tła.

Obsesja schodów

To jest chyba w tym wszystkim najciekawsze. Zobaczyć, w jaki sposób sztuka wchłania obsesje i zdejmuje z nich odmę psychozy. A nawet w jaki sposób sztuka czyni z różnych obsesji podstawę do rewolucyjnej gry z formą, wykorzystuje ich „techniczny potencjał". Czy to przypadek, że podobną drogę artystyczną przeszedł Georges Perec, również dziecko emigrantów z Polski, również ukrywane podczas wojny i również dotknięte utratą najbliższych w obozach zagłady? Czy raczej taka szczególna sytuacja egzystencjalna zrodziła podobną formalną możliwość, wykorzystaną przez obu, malarza i pisarza, których dzieła przebiły pod względem artystycznym wiele innych dzieł poholokaustowych? I, co więcej, pozwoliły (Szafranowi całkowicie, Perecowi tylko chwilami) uznać siebie tylko i wyłącznie za artystę odłączonego od człowieka biograficznego. Czy na przykład – pytanie całkowicie retoryczne – można sobie wyobrazić, że „zwykła", bezpośrednia powieść o Zagładzie napisana przez Pereca byłaby lepsza od jego „Zniknięć", uznawanych przez większość za powieść kryptoholokaustową? A kryjówki wojenne namalowane przez Szafrana byłyby lepsze od atelier, gniazda artysty? Z pewnością nie.

Ostatnia retrospektywa Szafrana została nazwana tak właśnie: „Obsesje". Prawidłowo, choć równie dobrze mogłaby nosić tytuł „Warsztaty". Obsesje dlatego, ↦

ARTCURIAL / MATERIAŁY PRASOWE

Sam Szafran, Schody na Rue de Seine, ok. 1981 r.

↦ że w jego malarstwie wiodące motywy powracają nieustannie, tworząc cztery podstawowe, jednotematyczne grupy obrazów. Jest grupa „pracownia malarza" i pokrewna jej grupa „drukarnie". Jest grupa „rośliny" i grupa „schody". Jest ciągłe sprawdzanie miejsc: czym są, jaki jest ich byt.

A warsztaty dlatego, że malowanie wymaga przemyślenia i rozwiązania wielkich problemów warsztatowych, jak choćby perspektywa. I dlatego również, że – jak o tym świadczy seria obrazów przedstawiających zasłużoną drukarnię Belliniego – pociągała Szafrana maszyneria w sensie dosłownym oraz jako przedmiot w aranżacji przestrzeni, której przedstawienie wymaga odkrycia jej własnych, logicznych, biologicznych i geometrycznych praw. Ten, kto zwiedzał piwnice Muzeum Książki w Łodzi i widział nagromadzenie starych maszyn drukarskich wykorzystywanych jeszcze do tworzenia książek artystycznych, poczuje podobny co u Szafrana nastrój: świętości miejsca, w którym odbywa się tajna transformacja materii prostej w materię wyższą.

Od czego zatem, na przykład w przypadku schodów, zacząć? Od tego, że wuj Sama, profesjonalny stręczyciel, karał małego Sama za każde przewinienie, trzymając go za poręczą i obracając nim tak, by chłopiec widział przepaść przed sobą? Przeto od lęku i zawrotu głowy? Od fascynacji linoskoczkami, którym w każdej chwili grozi lot w dół? Czy od studiowania perspektywy przez lektury i w większym jeszcze stopniu przez kino? I od tego, że niektóre schody malował przez kilka lat, gdyż wciąż nie był zadowolony z rezultatu? Szafran nie chciał poza wyjaśnianiem techniki własnych dzieł interpretować. Lęk i zawrót głowy, strach przed *horror vacui*? Być może; „dla mnie schody to raczej oczekiwanie". Oczekiwanie jakby filmowe, rzekłbym: z Hitchcocka. Coś tu się może za chwilę zdarzyć. Bo estetyka kina i fotografii na pewno miały na Szafrana duży wpływ.

Film Orsona Wellesa „Dotyk zła" oglądał dziesięć razy dla jednej sceny, dwudziestominutowego travellingu, gdyż zachwyciło go płynne, bezmontażowe przechodzenie z jednego obrazu do drugiego. W kinie odkrywał ruchliwość oka-kamery i próbował przełożyć tę dynamikę na spojrzenie malarza. Porównywał swoje oko nie tylko do ruchliwej kamery, lecz także do pająka, przesuwającego się wciąż po pajęczynie. Zrywał – twierdził – z perspektywą trwale narzuconą przez *quattrocento*, zbliżając się raczej do perspektywy malarstwa arabskiego, bardziej związanej z konfiguracją oka, i do malarstwa japońskiego, również z inną niż statyczna koncepcją perspektywy.

Powtarzał za Perekiem, że na jego obrazy trzeba „patrzeć ukośnie". Czyli tak, jak on sam malował. Co rozumiem następująco: „skos" jest tutaj gestem artystycznym, a nie byłoby nim spojrzenie nieruchome, bezpośrednie, wprost, twarzą w twarz z obiektem, także obiektem własnej traumy. Bez „skosu" byłoby pasywnie, nudnawo i może nawet cokolwiek skomląco. Nie wyobrażam sobie Szafrana malującego na przykład krematorium albo bramę wjazdową do Auschwitz-Birkenau.

Widać od razu, że malarstwo Szafrana nie jest bezpośrednio emocjonalne. Tak jak pisanie Pereca, który narzuca sobie różne formalne przymusy czy buduje teksty oparte na wariantach powtórzeń, wprowadzając je w konstrukcję swej prozy. Odczucie „ścisłości", dokładnie wymierzonych praw jest przy wnikliwszym wejrzeniu w dzieła Szafrana bardzo

silne. Gdyby uczył w szkole, byłby szalonym profesorem z rozwianym włosem pilnującym absolutnej dyscypliny myślenia i patrzenia.

Falowanie i spadanie

Jean Clair, przyjaciel Szafrana i uznany historyk sztuki, pisał o ostatniej rozmowie z Szafranem na krótko przed jego śmiercią. Szafran opowiedział mu po raz pierwszy o swoich wizytach, gdy był dzieckiem, w synagodze zaprojektowanej przez Guimarda i otwartej w roku 1913. Guimard miał do dyspozycji bardzo wąski pas ziemi i wybrnął z tej niewygody, tworząc falującą fasadę i przemyślny rysunek linii krzywych, okien i pilastrów. Dla Sama miało to być pierwsze przeżycie estetyczne, pierwsze doznanie piękna, odkrycie więzi, a może nawet symbiozy między spojrzeniem a różnymi układami przestrzennymi, profilowaniem miejsca.

Ostatnia opowieść Szafrana uzmysłowiła jego przyjacielowi („odkryłem brakującą część puzzle'a"), jak bardzo ten sposób kreacji przestrzeni, oparty na przeplataniu się krzywych i przeciwkrzywych, odzwierciedla czy zawiera żywioł roślinny w ciągłym rozroście. I zarazem ofiarowuje siedzibę, w której można bezpiecznie osiąść. „Roślinny wymiar modernizmu" (my byśmy raczej powiedzieli: „późnej secesji") będzie kolebką wyobraźni, szukającej magicznego, dobrze obudowanego i dobrze wypełnionego miejsca. Taką bezpieczną hiperprzestrzenią staną się kolejne pracownie z nagromadzonymi przedmiotami i z długimi stołami, na których leżą pastele (Szafran miał ich naraz po 1700 kg). Bylibyśmy tu na ziemi, w poziomie, tam, gdzie nie ma groźnej pionowości, gdzie nie otwiera się przed oczyma otchłań klatki schodowej.

Poszukiwania uczyniły z samouka nie tylko nadzwyczajnego erudytę, cytującego księgi, ale też artystę, który głęboko wniknął w techniki malarskie i rozpoznał dla własnych potrzeb światowe dzieje sztuki.

Ostatni, niedokończony obraz Szafrana (akwarela i pastele) przedstawia niebywałe gąszcze rododendronów, na których leży długa plansza pełna farbek. Na pierwszym zaś planie postać Lillette, żony Szafrana. Tak jakby przypieczętowywał tą kompozycją punkt dojścia, szczęśliwe zakończenie.

Czy tak można czytać drogę twórczą Szafrana? Pusto w tezie, gęsto w antytezie i rodzaj syntezy, w której miłość do czystej sztuki i miłość do Lillette przenicowuje przeciwieństwa? Czemu nie, coś tu się składa, powstaje opowieść, a czyż nawet dla malarstwa nie potrzebujemy dłuższych „epickich" opowieści? Jeśli tak, to nie wolno zapominać o tym, że wszelka w niej biograficzność jest do tego stopnia przetworzona przez najwyższej klasy artystyzm, że lustro faktyczności, w którym oglądać ma się dzieło, zasnuwa się i staje mgliste.

Przywykło się myśleć, że tam, gdzie jest żydowski los, ukrywanie się, tragedie i wykluczenie, tam – melancholia. Perec i Szafran niejako z góry wydają się dziećmi Saturna i łatwo jest dostrzec u obu sygnały tego, co nazywam estetyką melancholijną. Choćby uporczywe sięganie po cytaty, u Pereca metodyczne, u Szafrana skryte. Na przykład ta ławka, narysowana i zaprojektowana przez Gaudiego, innego architekta artysty dla Szafrana tak istotnego: pojawia się gdzieś ukryta na wielu obrazach.

Albo owe liczne pracownie artysty, motyw sam w sobie dla malarstwa odwieczny. Jak tu nie sięgnąć po archetyp, jakim jest pracownia – nie malarska, a naukowa – Anioła Melancholii na rycinie Dürera? Tym bardziej że sprzętów tu nie brakuje, niebo również ukazuje się w skrawkach, i widać sylwetkę artysty. Tyle że u Szafrana jest ona malutka, ukryta, zapadła gdzieś w fotelu, albo leży na kanapie dla kontemplacji, a może snu (błogiego?). I jeśli nawet, podobnie jak Anioł Melancholii, dotyka w namyśle twarzy, wydaje się raczej akceptować bogactwo zgromadzonej materii, obecność siebie wśród tylu przedmiotów niż nicość instrumentów niezdolnych jak u Dürera wymierzyć sens świata.

Jednak najlepiej jest pozostać z Samem sam na sam, w ciszy, poza melancholią i biografią. Zapomnieć o tym wszystkim, postawić sobie tylko pytanie: co to znaczy zamieszkać w jestestwie przestrzeni? Najpierw wszystko się wyda obce, mało ponętne, nieco chłodne, nie całkiem w swej powtarzalności zrozumiałe. A później wszystko się połączy, organiczne z nieorganicznym, beton z rośliną i wszystko stanie się przestrzenną niszą. Będącą regresem wobec nieskończonej otchłani, lecz progresem w budowaniu domu na ziemi.

© MAREK BIEŃCZYK

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 23/23 toczy się postępowanie z wniosku Mateusza Ślusarczyka o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności zabudowanej nieruchomości położonej w Skrzyńsku, gmina Przysucha – obszar wiejski, woj. mazowieckie, oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 2762 o pow. 0,0267 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego na nr. kancelaryjnym GK.I.6621.607.2022, gdzie jako właściciel wpisana jest Zofia Szyszka, c. Jana.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego – zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 555/22 toczy się postępowanie z wniosku Polskich Kolei Państwowych S.A. w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po zmarłym Januszu Jakubie Łoś, urodzonym dnia 1 czerwca 1965 r., synu Arkadiusza i Barbary, zmarłym dnia 10 kwietnia 2022 r. w Kłodzku, ostatnio zamieszkałym w Kamieńcu Ząbkowickim.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców po Januszu Jakubie Łoś, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

KULTURA

ŻYCIE W PEŁNI

KATARZYNA GRONIEC:

Świat ma skrajną naturę, jest piękny i ohydny, dobry i wściekle zły, bywa niewinny, ale też zepsuty. Czy przyszliśmy do dobrego świata, który natychmiast popsuliśmy? Czy do złego, który próbujemy naprawić, a on się nie poddaje, wymyka?

MONIKA OCHĘDOWSKA: Chciała Pani być kosmonautką?

KATARZYNA GRONIEC: Dawno, dawno temu, bo aż na przełomie wieków, natknęłam się w raczkującym wówczas internecie na konkurs, w którym główną nagrodą był lot w kosmos. Oczywiście nie samotny, jak to było w przypadku biednej Łajki, tylko w profesjonalnym towarzystwie, które co najmniej w dziewięćdziesięciu procentach mogło zagwarantować powrót na Ziemię.

Żartem powiedziałam, że wezmę w tym konkursie udział i na pewno go wygram, czym bardzo zdenerwowałam moją wtedy malutką jeszcze córkę Manię, więc natychmiast się wycofałam. Tym samym nie doszło do kompromitacji wyłożenia się na pierwszym pytaniu z fizyki.

A gdyby brali bez piątki z fizyki?

Pytanie brzmi, czy braliby bez trójki. Mogliby do mycia garów w nieważkości. Tak czy siak moje marzenie zobaczenia Ziemi z kosmosu nigdy się nie spełni. Dotarło to do mnie w okolicach czterdziestki.

I?

Cóż, trzeba było myśleć o tym wcześniej, jak mi powiedział kiedyś Wojciech Młynarski. Byłam młodą piosenkarką, za trzy minuty miałam zaśpiewać własny recital w Teatrze Polskim we Wrocławiu – wielka scena i tak dalej. Młynarski podszedł dać mi kopniaka w tyłek na szczęście i wtedy powiedziałam do niego: „panie Wojciechu, ja się tak strasznie boję...". A Młynarski niewzruszony: „trzeba było myśleć o tym wcześniej". Nie pomyślałam.

„Już na orbitę nie mam szans, już nie zobaczę Ziemi stamtąd, zostaje mi przyziemny lans. Silnik zgasł kochanie, raczej tu zostanę". To z płyty „Pin-up Princess".

„Już nie dam nura na Uran". Do pewnego momentu w życiu wszystko jest ciągle przed nami.

I nagle?

„I nagle...?". Tak poganiała mnie malutka Mania, kiedy Czerwony Kapturek przynudzał, oglądając listki, krzaczki i grzybki w lesie, zamiast natknąć się wreszcie na wilka.

„I nagle..." okazuje się, że jednak już sporo za mną i coraz mniej przed. Czterdzieste urodziny były dla mnie właśnie takim momentem granicznym. Moje dziecko miało już ↦

Katarzyna Groniec, styczeń 2023 r.

KATARZYNA GRONIEC jest autorką muzyki i tekstów oraz wokalistką. W 1991 r. zagrała główną rolę w pierwszym polskim musicalu „Metro" w Teatrze Dramatycznym i przez kolejną dekadę współpracowała z tandemem Józefowicz–Stokłosa w stołecznym Studio Buffo. Wydała 10 solowych płyt (producentem debiutanckiego albumu „Mężczyźni" nagranego w 2000 r. był Grzegorz Ciechowski). W marcu br. nakładem wydawnictwa Nisza ukazała się jej pierwsza książka prozatorska „Kundle", a pod koniec kwietnia premierę ma jedenasty album pt. „Konstelacje".

ALEX LUA KACZKOWSKA / WARNER MUSIC POLAND

↦ dowód osobisty, choć z całą pewnością nie było jeszcze dorosłe, ale miałam poczucie, że już wyruszyło swoją krętą drogą, a ja zaczęłam być postrzegana jako kobieta w średnim wieku.

„Ballady i romanse" miały o tym dobrą piosenkę. Siostry Wrońskie w „Kto przepłynie" śpiewały: „niepokoi dziadków pogrzeb, lecz rodzice czują się dobrze". Skoro tak, to wciąż jesteśmy bezpieczni. „I nagle...?". Nagle nie ma takiej bariery – chorują i odchodzą rodzice, nie ma już nikogo pomiędzy.

„Pokolenie mija i przychodzi nowe. To, co było, znów się zdarzy. Nic nowego pod słońcem" – to słowa otwierające Pani nową płytę.

Tak, inspirowane Księgą Koheleta. Bardzo mocno teraz odczuwam sztafetę pokoleń.

Jeśli „Kosmonautka", o której rozmawiałyśmy przed chwilą, była krzykiem wynikającym z wkurzenia, że „to już", to „Konstelacje" są rodzajem zrozumienia i próbą pogodzenia się z nieuniknionym, podszytą jednak zaciekawieniem, jaki musi w nas budzić Tajemnica.

Śpiewa Pani, że wszystko już wiadomo o świecie, a „teraz tylko powiedz, kto go stworzył".

Świat ma skrajną naturę, o czym też mówi ta piosenka – jest piękny i ohydny, dobry i wściekle zły, bywa niewinny, ale też zepsuty. Pytanie, kto go takim stworzył. Czy przyszliśmy do dobrego świata, który natychmiast popsuliśmy, czy do złego, który próbujemy naprawić, a on się nie poddaje, wymyka?

„Konstelacje" zainspirowała książka George'a Saundersa „Lincoln w Bardo". Z myślą o niej powstała większość piosenek na tę płytę.

Powieść o duchach i zaświatach!

Tak, bardzo chciałam na jej podstawie stworzyć spektakl muzyczny. „Kto", „Calm Down" i „Konstelacje" były pisane z myślą o powieści Saundersa, a nawet konkretnej z tej książki postaci. Pracowaliśmy nad tym materiałem z Tomkiem Waldowskim, producentem muzycznym, przez ponad rok z przerwami. A w międzyczasie wszyscy zmagaliśmy się z pandemią.

I jak Pani z tym było?

W połowie życia musiałam zapytać, kim jestem, skoro już nie piosenkarką.

Czy w ogóle potrafię zdefiniować siebie inaczej niż przez ostatnią płytę. Albo ostatni koncert i natężenie oklasków tuż po nim.

Muszę przyznać, że świetnie się czułam w masce. Dawała mi poczucie wolności. I nie dlatego, żebym cierpiała z powodu dokuczliwej rozpoznawalności. Nie mam tego typu kłopotów, ale możliwość schowania się, bycia samymi oczami, była dla mnie darem.

W listopadzie 2019 roku poszłam na roczny urlop z możliwością przedłużania go w nieskończoność, gdybym uznała, że jednak już nie chcę wracać do zawodu. I kiedy podjęłam tę decyzję – a ważne również jest to, że mogłam sobie na nią pozwolić – miałam poczucie, że frunę.

Ten lot był przyjemny, ale krótki i zakończony fundamentalnym pytaniem, na które człowiek próbuje sobie odpowiedzieć raczej w młodości, a nie po pół wieku życia: kim jestem, skoro już nie piosenkarką? Czy ja w ogóle potrafię zdefiniować siebie inaczej niż przez ostatnią płytę. Albo ostatni koncert i natężenie oklasków tuż po nim.

Zaczęła Pani pisać.

W ciszy, zatkana zatyczkami do uszu, żeby lepiej słyszeć spisywane słowa.

Dobrze szło?

Nie szło to na pewno szybko. Jednego dnia po kilku godzinach miałam jedno zdanie, innego całą kartkę. Do tego ciągnęło mnie na manowce, do coraz to nowych, wyłaniających się raz po raz postaci. Wtedy się trochę przestraszyłam, że będę tak pisać do końca życia. Postanowiłam więc nadać temu wszystkiemu jakąś formę, a potem skracać, ile się da. Chciałam napisać krótkie opowiadania połączone losami kilkorga bohaterów.

Mniej więcej w połowie pisania odsłuchałam dwa poradniki dla pisarzy, z których dowiedziałam się, że najlepiej codziennie o 10.00 rano usiąść do pracy i pisać przez co najmniej cztery godziny. Potem trzeba wyjść z domu, przewietrzyć się i znowu usiąść do pisania, a późnym popołudniem dużo czytać. I tak rzeczywiście próbowałam... A po trzech dniach chciałam się zabić. Zrozumiałam, że muszę pozostać amatorką, która pisze wtedy, kiedy może.

To był moment, w którym pojawiła się myśl o „Kundlach"?

Pierwsza myśl o tym, że chciałabym napisać książkę, przyszła po lekturze „Domu głuchego" słowackiego pisarza Petera Krištúfka. Nie do końca rozumiem, dlaczego akurat czytając tę książkę nachodziła mnie natrętna myśl – ja też chcę pisać.

Potem, będąc już w trakcie pisania „Kundli", w jakimś trudniejszym momencie, przyszedł impuls – sprawdzę, co Krištúfek wydał nowego, poczytam go sobie w przerwach. Zajrzałam do internetu w poszukiwaniu jego książek i dowiedziałam się, że niczego już nie przeczytam, bo autor zginął w wypadku autobusowym.

Nie napiszę już do niego listu: „panie Krištúfku, bardzo dziękuję za pana powieść". To, co mogłam zrobić, to wyobrazić sobie, że on jest gdzieś indziej, wsiada do innego autobusu albo postanawia iść pieszo. A potem wydaje kolejną świetną prozę. Że może są jakieś światy równoległe, gdzie toczy się zupełnie inne życie, w którym jesteśmy kimś innym, bo podjęliśmy inne decyzje.

W tych światach zostajemy kosmonautkami.

I dzieje się wszystko wszędzie naraz.

Kosmos, Syberia – pociągają Panią puste, ciche, surowe przestrzenie. Była Pani na wyspie Olchon.

Byłam tam w sierpniu, nocą temperatura spadała do zera, ale w ciągu dnia było wystarczająco ciepło, żeby wędrować, a nawet powygrzewać się w słońcu i gapić na Bajkał. Nie podróżowałam tam niestety zimą, a prawdopodobnie nawet zima stulecia z 1979 roku jest przy tych syberyjskich zimach małym piwem. Pamiętam ją doskonale, bo to był rok, kiedy poszłam do szkoły. Od razu pękły kaloryfery i lekcje odwołano. I znowu byłam

w domu z babcią, jak do tej pory. Z babcią i z Ciszą.

Bohaterką Pani książki jest co prawda Cisza, ale to proza o niezwykle intensywnym rytmie. Czasem, zamiast podążać za fabułą, dawałam się po prostu ponieść melodii zdań.

Wspaniale! Bardzo lubię długie, melodyjne zdania. Powiedziałabym nawet, że jestem fanką za długich zdań. Więcej nawet – karkołomnie długich zdań, na które mnie samej jeszcze nie starcza odwagi.

Czyja formuła zdania wydaje się Pani najlepsza?

Jestem wielbicielką Thomasa Bernharda. Lubię jego charakterystyczny rytm i wielokrotne powtórki. Idę za nim w ciemno. To pirat drogowy, który znienacka skręca albo zawraca pod prąd. Trzeba po prostu wsiąść do tego auta i pozwolić mu się wieźć, ryzykując, że można tej przygody nie skończyć w jednym kawałku.

Jego proza to jakiś cholerny ciąg matematyczny, zagadka, tajemnica. Uwielbiam go też za to, że jak przeczytam Bernharda, to nie mogę już później czytać kolejnego Bernharda.

Panią też się czyta z poczuciem, że chce Pani wpuścić czytelniczkę w maliny, co jest skądinąd całkiem przyjemne.

Chciałam napisać coś małego, bo jestem przyzwyczajona do małych form. „Kundle" miały być krótkimi, może połączonymi ze sobą opowiadaniami. Ale jak już zaczęłam pisać, okazało się, że dygresje, które wciąż się pojawiały w tych historiach, otwierały raz za razem jakieś nowe światy i czasy tych opowieści. Nie wiedziałam do końca, dokąd zmierzam. Ciągnęło mnie daleko w przeszłość, aż wreszcie narzuciłam sobie dyscyplinę, bo wiedziałam, że idąc tym tropem skończę w jaskini. Bardzo mi zależało na tym, żeby tę książkę domknąć, żebym nie stała się niewolnicą własnej niekończącej się opowieści. Chociaż czas płatał mi figle.

Jak w baśniach.

Tak, rzeczywiście, w dzieciństwie czytałam dużo baśni, także śląskich – o wszystkich tych strzygach, utopcach, bebokach. Uwielbiałam grube śląskie dowcipy o tym, że „świnia zaczyno się łod przodku dwiema dziurkami łobtoconymi mięsem, co się nazywo ryjok" i tak dalej.

W latach osiemdziesiątych, kiedy już miałam dwanaście lat, zaczęło się na poważnie – rodzice kupili wideo i przychodziły do mnie koleżanki na nocne oglądanie. Oczywiście oglądałyśmy horrory, a w kinie – „Niekończącą się opowieść" Wolfganga Petersena i „E.T." Stevena Spielberga. Te filmy karmiły naszą dziecięcą wyobraźnię.

Dlatego w „Kundlach" opisuje Pani Śląsk tamtego czasu?

W „Kundlach" opisuję różne czasy. Wczesne lata osiemdziesiąte są jedynie punktem wyjścia opowieści, które, swoją drogą, mogłyby dziać się wszędzie. Wybrałam Śląsk i moje podwórko, bo głęboko je czuję. To miejsce, z którego pochodzę.

Kocham gwarę śląską, melodię tego języka, w dzieciństwie miałam z nim kontakt. „Bery i bojki śląskie" oraz ↦

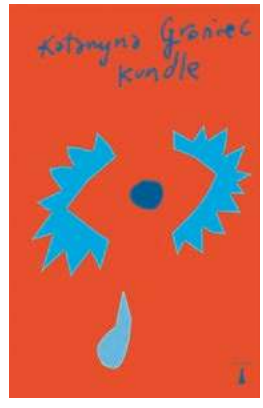

▪ **Kundle**, wyd. Nisza, Warszawa 2023

Jesteśmy w okolicach Toszka, na północny zachód od Zabrza. Poznajemy splecione losy Andreasa, Aszer, Fatimy, Goryla, Sophie i innych „kundli", czyli przesiedleńców, Żydów, Romów i Niemców, którzy po wojnie zamieszkali obok siebie na terenie Śląska. Przeskakujemy pomiędzy historiami poszczególnych ludzi, porami roku i dekadami. Cykliczności czasu i współzależnościom bohaterów odpowiada w prozie Groniec charakterystyczny rytm języka. Wielokrotnie złożone zdania rozrastają się, tworząc przeplatające się kłącza, niosą powtórzenia i dygresje. To rytm słyszanego w ciszy tykania zegara albo marszu, podczas którego „tak się można zapamiętać i zapomnieć, że aż zniknąć". Ale jest też w „Kundlach" czule i zabawnie, jak wtedy, gdy Fatima śni o Zwiastowaniu – oto sama Matka Boska wyjawia jej, że urodzi Józikowi Andrzejka (albo „Andżejka"). Na otuchę kobiety wypalają po papierosie, a Matka Boska przestrzega, że odtąd Fatima będzie mogła sobie zakurzyć już tylko razem z nią we śnie.

▪ **Konstelacje**, Warner Music Poland, 2023

Zapowiadający płytę singiel „Ballada o Evelyn McHale" nawiązuje do słynnego zdjęcia zrobionego 1 maja 1947 r. przez Roberta Wilesa. Fotografia pokazuje dwudziestotrzyletnią dziewczynę leżącą we wgniecionej karoserii auta tuż po samobójczym skoku z osiemdziesiątego szóstego piętra Empire State Building. McHale – w pełnym makijażu, eleganckiej garsonce i rękawiczkach, trzymająca w ręku sznur pereł – wygląda jakby na moment zasnęła. Zdjęcie Wilesa wielokrotnie inspirowało artystów, także muzyków. David Bowie odwołał się do niego w teledysku do „Jump They Say" (1993), a Taylor Swift w klipie do utworu „Bad Blood" (2014). Z kolei amerykański zespół rockowy Machines of Loving Grace wiernie odwzorował je na okładce płyty „Gilt" (1995). Uchwycone na fotografii „przelotne chwile blasku" powracają w kolejnych piosenkach Katarzyny Groniec razem z wątkiem szaleństwa planet, światłości przenikającej mrok i nieustannego odradzania się życia. To płyta, której tematem jest – zupełnie serio – kosmogonia. Sporo nawiązań literackich. ©℗ MOCH

↦ „Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny” były moimi ukochanymi książkami. A kiedy jestem na Śląsku i babinka w aptece kupuje tabletki do ssania na ból gardła, pytając w okienku: „Pani, mocie co do cyckanio?”, to się wzruszam. Miękki ze mnie człek.

Lubiła Pani oglądać horrory – dlaczego? Bo miały w sobie jakąś tajemnicę? Pomyślałam teraz, że zanim na ekranie pojawi się zło, zwykle robi się cicho, zupełnie jak w piosence „Ratunku!”: „Cicho się zrobiło na mojej ulicy, jak w horrorze klasy a, pusto – tylko ja”.

Nie interesuje mnie byle tajemnica. Interesuje mnie Tajemnica, jaką jest Wielka Cisza. Ten rodzaj ciszy, jaki mają w sobie na przykład oscarowe „Duchy Inisherin” – wstrząsający film, prawda?

Rzeczywiście, film zaczyna się od niezrozumiałej dla głównego bohatera ciszy – przestaje się do niego odzywać najlepszy przyjaciel, skrzypek.

Tak. „Duchy...” próbują odpowiedzieć na pytanie, czy można zamordować dobro w imię piękna. I co się właściwie stanie, kiedy zabijesz w drugim człowieku dobro, jak to zrobił filmowy Colm Doherty.

Ten facet zrezygnował z relacji z przyjacielem i zajął się komponowaniem muzyki. Dobro okazało się ceną, którą trzeba zapłacić za sztukę.

Ale sztuka w końcu nie powstała. A między pięknem a dobrem niekoniecznie jest znak równości.

W Pani książce jest całkiem dużo dobra...

I sporo zła. Według Junga Bóg jest wszystkim. I dobrem, i złem.

Zdaje się, że Jung był przeciwnikiem, jak to ujmował, „aroganckich kwalifikacji” w rodzaju: „Bóg może być tylko dobry”.

Tak. Kiedy dopuszczam do siebie tę myśl, wszystko wydaje się zrozumiałe.

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

MATERIAŁY PRASOWE

Rozkojarzeni

GRZEGORZ JANKOWICZ

Kiedy Franz Kafka uświadomił sobie, że literatura jest jego powołaniem, namierzył też przeszkodę, która utrudnia mu realizację upragnionego celu. Tą przeszkodą był świat.

W latach pięćdziesiątych XX wieku w niemieckim S. Fischer Verlag zaczęły ukazywać się książki Franza Kafki. Pod wieloma względami wydanie to było wyjątkowe, przede wszystkim dlatego, że na okładkach poszczególnych tomów umieszczone zostały rysunki samego autora. Na górze czerwony pasek z napisem „Fischer Bücherei” (Biblioteka Fischera) oraz charakterystycznym – przedstawiającym trzy ryby – logotypem wydawnictwa, poniżej (po prawej stronie) imię i nazwisko pisarza, jeszcze niżej (po lewej) tytuł tomu, a pod kreską czarno-biały obrazek.

Wszystkie rysunki zostały wykonane tuszem. Przedstawiały mężczyzn ukazanych z różnych perspektyw. Uderzają ich szczupłe sylwetki, wręcz nienaturalnie długie nogi i głowy oddzielone od tułowia cienkimi paskami bieli. Na przykład jedna z postaci stoi przy barierce, która przypomina balustradę sądowej mównicy (a może to balkon?), inna siedzi przed biurkiem z rękami i głową opartymi o blat. Wystarczy pospieszny rzut oka, by zorientować się, że za pomocą kilku kresek autorowi udało się zbudować wokół tych osobliwych figur (a może po prostu jednej – konsekwentnie rysowanej – figury?) niepokojącą atmosferę. Wyglądają na zamyślone, zagubione, może nawet przestraszone i przez to usztywnione (te wrażenia wywołuje samo ułożenie ich ciał, gdyż twarze pozostają zazwyczaj niedostępne). No właśnie, wyglądają bardzo kafkowsko.

O rysunkach Kafki mówiło się już wcześniej, nieliczne z nich były nawet prezentowane, ale dzięki Fischer Verlag po raz pierwszy mogli się z nimi zapoznać wszyscy. Od tamtej pory regularnie wykorzystywano je w druku, zresztą nie tylko na i w książkach praskiego pisarza, również na i w pracach poświęconych jego twórczości. Zestaw używanych materiałów był co prawda niewielki, w zasadzie wszyscy wydawcy reprodukowali te same rysunki, ale z relacji Maksa Broda wynikało, że Kafkowskich „wizualiów” jest dużo więcej, że można by nawet opublikować obszerny katalog, który ukazałby go jako utalentowanego grafika. Brod zapowiadał publikację takiej książki, ale z nieznanych powodów

nigdy jej nie przygotował. Czekaliśmy na nią do 2021 roku. Dlaczego tak długo?

Szwajcarski sejf

Na początku XX wieku, w salach wykładowych Uniwersytetu Karola w Pradze spotkało się dwóch młodych i utalentowanych niemieckojęzycznych Żydów, wychowanych w czeskiej części monarchii austro-węgierskiej.

Gdy Maks Brod poznał Franza Kafkę, nie wiedział, że ten marzy o tworzeniu literatury. Literacka więź kształtowała się między nimi powoli, ale gdy już ujawnili swoje pisarskie pragnienia i plany, przyjęła postać żelaznego paktu. Od początku Maks darzył Franza bezgranicznym uwielbieniem. Bardzo szybko uświadomił sobie, że Kafka, mimo ogromnego talentu, nie będzie w stanie sam przebić się ze swoim pisarstwem do szerszej publiczności. Zachęcał Franza do pisania, pomagał mu w nawiązaniu relacji z wydawcami, krytykami i innymi pisarzami oraz artystami. To on powstrzymywał go – nie zawsze skutecznie – przed niszczeniem kolejnych tekstów. Po przedwczesnej śmierci Kafki, która nastąpiła w 1924 r., Brod zabezpieczył każdy pozostawiony przez przyjaciela skrawek papieru, łącznie z rysunkami, z których część znajdowała się na marginesach książek czy gazet, mimo że w odręcznej notatce Franz nakazał wszystko spalić. Potem zredagował, a następnie wydał najważniejsze dzieła Kafki, promując jego twórczość z niezrównanym zaangażowaniem, również za pośrednictwem własnych – pionierskich – publikacji biograficznych oraz krytycznoliterackich.

W 1939 r. Brod uciekł przed wojenną zawieruchą do Palestyny, zabierając ze sobą całe archiwum. W nowym miejscu kontynuował pracę nad porządkowaniem spuścizny po przyjacielu, korzystając przy tym z pomocy asystentki Esther Hoffe, której przed śmiercią (zmarł w 1968 r.) powierzył opiekę nad częścią materiałów – własnych i Kafki.

Sześć lat wcześniej kilka rękopisów zwrócił potomkom najbliższej rodziny Kafki (ostatecznie trafiły one do Bodleian Library w Oksfordzie), ale w rękach Hoffe pozostało wiele bezcennych manuskryptów, którymi dość chimerycznie zarządzała do końca swojego długiego życia, czyli do 2007 r. Nie wszyscy badacze twórczości Kafki mogli z archiwum korzystać.

ARDON BAR-HAMA / THE NATIONALY LIBRARY OF ISRAEL / MATERIAŁY PRASOWE

Portret matki i autoportret, 1911 r.

Przez jakiś czas nie wiadomo było nawet, co dokładnie się w nim znajduje. Krążyły legendy o skrytce w szwajcarskim banku wypełnionej po brzegi literackimi skarbami. Prawda była bardziej prozaiczna – nieznanych z druku materiałów było tam niewiele, niemniej sprawa budziła potężne emocje.

Podsyciła je interwencja izraelskich władz, które po śmierci Esther zablokowały proces spadkowy i uniemożliwiły jej córkom przejęcie archiwum. Proces sądowy trwał kilka lat, jego stroną było nawet Niemieckie Archiwum Literatury w Marbach, które – mając już u siebie pewne rękopisy Kafki – chciało zaopiekować się kolekcją Broda. Spór błyskawicznie zyskał wymiar polityczny. Jego przebieg relacjonowała prasa izraelska i zagraniczna (również „Tygodnik Powszechny"). Finalnie manuskrypty i rysunki trafiły do Biblioteki Narodowej Izraela, która w 2021 r. postanowiła je zdigitalizować i udostępnić wszystkim zainteresowanym. W tym samym roku ukazał się przygotowany przez Andreasa Kilchera katalog „Franz Kafka. Rysunki", który zawiera również komentarze redaktora oraz amerykańskiej filozofki Judith Butler. Od niedawna książka dostępna jest również w polskojęzycznej edycji.

Publikacja obejmuje wszystkie zachowane rysunki Kafki, które zostały wydrukowane w postaci faksymilowych odbitek. Część z nich była już wcześniej dostępna, nie tylko we wspomnianych edycjach dzieł praskiego autora, ale także w opracowanym przez Nielsa Bokhove'a i Marijke van Dorst tomie „Niegdyś świetny rysownik. Franz Kafka jako artysta sztuk plastycznych" (wydanym dwukrotnie – w 2002 i 2011 r. – za drugim razem w rozszerzonej wersji). Ta ostatnia inicjatywa wydawnicza obejmowała jednak tylko 41 rysunków, a ponadto nie prezentowała odbitek oryginałów. Zatem dopiero od niedawna wiemy, jakim tak naprawdę talentem graficznym dysponował Kafka, i jaki jest zakres jego plastycznej schedy. Zakres jest spory, bo obejmuje przeszło 160 wizualiów, ale – wbrew tytułowi książki Bokhove'a i van Dorst – ich autor nie był wielkim rysownikiem, co jednak nie oznacza, że jego prace nie są ciekawe. Są, nawet bardzo.

Kafka profeta

W trzecim sezonie „Twin Peaks" – amerykańskiego serialu autorstwa Davida Lyncha i Marka Frosta – możemy obejrzeć wnętrze biura Gordona Cole'a, zastępcy dyrektora FBI, w którego wciela się sam Lynch. Na jednej ze ścian wisi portret Franza Kafki: powiększone do rozmiarów plakatu ostatnie zdjęcie pisarza, podówczas terminalnie chorego na gruźlicę. Wychudzona twarz, starannie zaczesane do góry włosy, wyraźnie zarysowany nos i zaciśnięte usta. Duże oczy intensywnie wpatrują się w obiektyw, choć siła tego spojrzenia jest nieco rozproszona blikami, których źródeł dopatrywałbym się w gorączce trawiącej modela. Na znajdującej się za plecami Gordona ścianie znajduje się fotoobraz przedstawiający atomową chmurę. Podczas gdy dyrektor FBI przygląda się Kafce, znieruchomiałe spojrzenie tego ostatniego wbija się w zdjęcie atomowego grzyba. Lynch daje nam do zrozumienia, że dzięki niezrównanej przenikliwości Kafka „widział" dwudziestowieczne katastrofy, zanim prowadzące do nich procesy zostały uruchomione. Co więcej, potrafił z wyprzedzeniem opisać wszystkie anomalie, które na skutek tych katastrof pojawiły się później w naszej percepcji świata.

Tym właśnie jest dla nas najczęściej Kafka: profetą destrukcji, dwudziestowiecznych wojen i totalitaryzmów, który zarazem uchwycił absurd wpisany w egzystencję człowieka. Tak wyprofilowany ↦

↦ Kafka nieustannie powraca w naszych rozmowach, artykułach, książkach i filmach. Jego twórczość stała się poręcznym narzędziem krytyki, po które sięgamy zawsze wtedy, gdy rzeczywistość (nie tylko polityczna) przytłacza nas swoją absurdalnością.

To prawda, opowieści Kafki są komentarzem do tego, co dzieje się teraz wokół nas, w naszych instytucjach, w naszych sądach i w gabinetach władzy. Wydaje mi się jednak, że aktualniejszy jest inny aspekt tego pisarstwa. W jego zrozumieniu mogą nam pomóc rysunki Kafki.

Niesamodzielność pisania

Wątpliwości dotyczące pisania – związane z wyborem tej aktywności – towarzyszyły Kafce przez całe życie. Początkowo (w wieku dwudziestu kilku lat) wydawało mu się, że może poprowadzić wszystko innym torem. Później nie mógł się już wycofać – nawet wtedy, gdy spadał na niego demon niepewności. Zdarzały mu się dłuższe przestoje, ale mimo cyklicznych kryzysów, nigdy nie zrezygnował z twórczości literackiej.

Punkt zwrotny nastąpił w okolicach 1909 r. Uświadomił sobie wówczas, że literatura jest jego powołaniem i niemal równocześnie namierzył przeszkodę, która utrudnia mu realizację upragnionego celu. Mówiąc najkrócej (ale precyzyjnie) tą przeszkodą był świat. Rodzina, praca, znajomi, codzienne obowiązki, nawet najdrobniejsze sprawy – wszystko to jawiło mu się jako zestaw ograniczeń wyznaczających ramy jego egzystencjalnego więzienia.

W młodości sądził, że z tej niewoli można się wyswobodzić, znajdując dla siebie inne miejsce (jakąś jamę, której położenie będzie znane tylko jemu), gdzie nie dotrze żaden z impulsów zakłócających pisanie. W dziennikowych notatkach często wracał do tej elementarnej potrzeby. Przez wszystkie przypadki odmieniał słowo „spokój", a jednak nie był w stanie podjąć decyzji o wyprowadzce, jakby nie potrafił funkcjonować poza przestrzenią, w której znajdowało się źródło utrapienia, jakby uzależnił się od pewnej emocji, od specyficznego napięcia, które odbierało mu dech i wywoływało zawroty głowy. „Usamodzielnił" się dopiero wtedy, gdy zawładnęła nim choroba, co znaczy, że tak naprawdę nigdy nie znalazł w sobie siły, by aktywnie przeciwstawić się obezwładniającym go biesom.

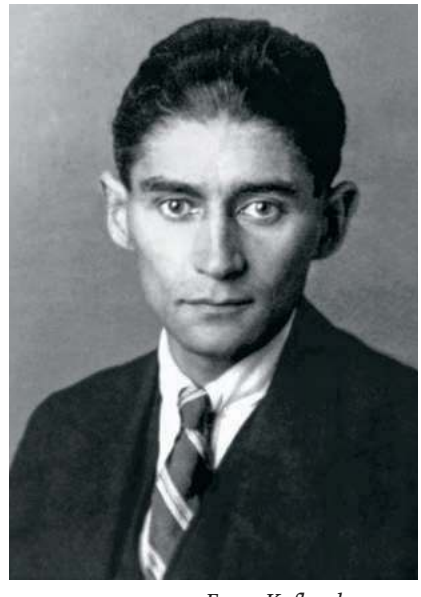

KLAUS WAGENBACH ARCHIV

Franz Kafka ok. 1923 r.

Doskonale wiedział, że pierwotną sceną jego życiowego i pisarskiego dramatu była chwila, w której ojciec podważył sensowność jego **twórczych przedsięwzięć.**

Oddalił się wtedy od rodziny i pracy zarobkowej, dwóch największych gejzerów rozczarowania, ale jego stan nie pozwalał na realizację nowego projektu życiowego. I chyba właśnie dlatego mógł sobie na to przemieszczenie pozwolić: czuł, że wreszcie będzie mógł zniknąć innym z oczu, czuł, że nikt nie będzie oczekiwał, że mu się uda, skoro śmierć była jedynie kwestią czasu.

W pierwszym okresie pisanie traktował jako środek terapeutyczny. W grudniu 1911 r. zapisał w dzienniku słynne zdanie o tym, że chciałby „wypisać" z siebie cały lęk, a potem – gdy już zostanie przelany w głąb papieru, gdy papier całkowicie nim nasiąknie – wchłonąć go bez reszty. Napięcie trzeba wyrzucić z siebie, zanurzyć je w piśmie, a potem zintegrować i przetrawić. By jednak osiągnąć ten cel, trzeba by oddać się pisaniu całkowicie, a to było dla Kafki niemożliwe, gdyż ciągle coś mu przeszkadzało.

Zanotował nawet taką myśl, że praca pisarska jest jedyną aktywnością, która nie ma autonomicznego charakteru. Na wszystkich innych działaniach można się skoncentrować w pełni (co prawda, on nie potrafiłby się tak im poświęcić, ale źródłem tego problemu był on, a nie konkretna aktywność). Pisanie nigdy nie jest – by tak rzec – samodzielne. Zawsze pozostaje w związku z czymś innym. Żeby się nim zajmować, trzeba walczyć o czas. Oczywiście, w tym przypadku źródło problemu również tkwiło w nim samym, w jego przeżyciu, w traumie, którą nosił w sobie od najmłodszych lat. Zdawał sobie z tego sprawę i jednocześnie stale od konfrontacji z tą myślą uciekał.

Doskonale wiedział, że pierwotną sceną jego życiowego i pisarskiego dramatu była chwila, w której ojciec – największy autorytet mieszczańskiego stadła, upostaciowienie absolutnego władcy – podważył sensowność jego twórczych przedsięwzięć. Kafka chciał tylko tego (pisania) i właśnie to zostało zakwestionowane. Literatura jawiła mu się jako zasada istnienia, więc uderzenie w nią odebrał jako uderzenie w siebie, w sam fundament swojej osobowości.

Dlatego przez cały czas mierzył się z wątpliwościami. Drobne pisarskie zawirowanie, niedługi przestój, pojedyncze zawahanie, krótkotrwała utrata natchnienia – wszystko mogło wybić go z rytmu i sprawić, że porzucał rozpoczętą historię na rzecz innej. Albo – co gorsza – palił gotowy tekst. Satysfakcję przynosiły mu wyłącznie te dzieła, które powstawały w jednym rzucie, w ramach jednej sesji.

Coś takiego po raz pierwszy przydarzyło mu się w nocy z 22 na 23 września 1912 r. Między dziesiątą wieczorem a szóstą rano napisał opowiadanie „Wyrok". Miał wrażenie, że udało mu się wówczas osiągnąć stan, w którym elastyczna materia opowieści wypełnia jego wnętrze bez reszty, zagłuszając wszelkie obiekcje. Było to potwierdzenie prawdziwej siły, dowód na istnienie w nim energii, która może rozkruszyć mury więzienia. „Wyrok" przykrył rozdrażnione końcówki nerwów niewidoczną, ale mocną powłoką.

Szczeliny w kartce

Podobne jednak doświadczenia były rzadkością. Tamta noc stanowiła wyjątek od reguły, której obowiązywalność potwierdzały kolejne porzucone koncepty.

Petent i wytworny protektor, 1906 r.

ARDON BAR-HAMA / THE NATIONALY LIBRARY OF ISRAEL / MATERIAŁY PRASOWE X2

Pijak, 1901-1907

Właśnie na tym tle można sobie w pełni uświadomić znaczenie rysunków w twórczości Franza Kafki.

Początkowo szkicował na osobnych kartkach. Oddawał się tej aktywności bez związku z pisaniem. Ale mniej więcej w tym samym czasie, w którym uświadomił sobie, iż jego powołaniem jest literatura, rysunki zaczęły pojawiać się w rękopisach. Ich charakter był bardzo różnorodny. Kafka posługiwał się oszczędnymi środkami graficznymi. Jak wspomniałem wcześniej, wystarczyło mu kilka kresek, by powołać do istnienia jakąś postać. Te ostatnie bardzo często prezentowane są w ruchu, jakby dopiero co poderwały się do biegu lub do skoku. Niektóre wizerunki zbliżają się do karykatury.

Wydaje się, że Kafce sprawiało przyjemność wykreślanie ciągłych linii. Wyobrażam sobie, że takiemu ruchowi ręki towarzyszył dłuższy wydech, dzięki czemu napięcie choć na chwilę ustępowało. Moim zdaniem Judith Butler ma rację, gdy sugeruje, że rysunek był dla Kafki przeciwwagą dla pisania. Nie tylko dlatego, że gdy opadało go zmęczenie, a nie mógł bądź nie chciał odejść od biurka, po prostu bazgrał po kartce, odnajdując w tej odruchowej czynności fizyczny ekwiwalent procesu, który toczył się wtedy w jego zmaltretowanej głowie. Rozkojarzony umysł poddawał mu chaotyczne myśli, których nie można było ani zatrzymać, ani uporządkować czy zapisać. Rysowanie pomagało w opanowaniu tego niepokojącego stanu.

Ale chodziło też o coś więcej. W momentach największego natężenia, gdy język stawiał opór, ale opowieść wciąż zmuszała pisarza do pełnego zaangażowania, rysunek stawał się „szczeliną", poprzez którą można było dostrzec słabe światło przychodzące z tego innego – upragnionego – miejsca. Dla kogoś, kogo zranić może każdy impuls ze strony świata, takie obrazy nie są wcale osobliwe.

To jest w doświadczeniu i twórczości Kafki najaktualniejsze. Relacja z ojcem uwrażliwiła go na wszelkie formy symbolicznej przemocy, które tropił w języku, w codziennych rozmowach, w strukturach społecznych i politycznych konstrukcjach. Skrupulatnie opisywał skutki działania tych wszystkich maszyn: poczucie zagubienia i przewrażliwienia, ciągłe rozkojarzenie, niemoc, rozedrganie, alopraksję i alogię (lata temu zwrócił na to uwagę Günther Anders: postaci Kafki robią i mówią zawsze coś innego, niż chciały zrobić lub powiedzieć). I czy nie jest przypadkiem tak, że dziś wszyscy jesteśmy choć trochę rozkojarzeni jak Kafka?

Nie, nie był wielkim rysownikiem i miał tego świadomość. Tytuł książki Bokhove'a i van Dorst pochodzi z jego listu do narzeczonej Felicji Bauer datowanego na 11/12 lutego 1913 r. Opisuje w nim sen, w którym szli bardzo blisko siebie, mając ręce splecione w niezwyczajny sposób. Nie wie, jak jej ten sposób opisać, więc za pomocą dwóch schematycznych rysunków prezentuje swoją senną wizję. Zaraz potem pyta, czy podobały się jej te obrazki, bo kiedyś był „wielkim rysownikiem", ale zła nauczycielka malarstwa zniszczyła jego talent. I dorzuca jeszcze zapowiedź: niebawem prześle jej kilka starych prac, żeby mogła się pośmiać. Widać tu dystans do siebie, ale myślę, że Kafce nie chodziło wyłącznie o kpinę. Jak zauważył niegdyś Maurice Blanchot, śmiech (zwłaszcza taki śmiech!) zawsze był jedną z nieoczywistych form jego cierpienia.

© GRZEGORZ JANKOWICZ

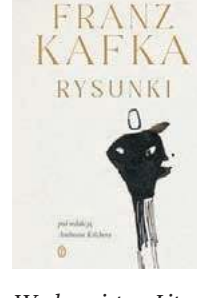

FRANZ KAFKA. RYSUNKI, *redakcja Andras Kilcher, współpraca Pavel Schmidt, teksty Judith Butler, Andreas Kilcher, Pavel Schmidt, przeł. Elżbieta Zarych, Tomasz Kunz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023.*

Na czasie i poza nim

JAKUB MAJMUREK

Postać Bonda ucieleśniała fantazję o Wielkiej Brytanii, która nie tracąc swojej tożsamości potrafi odnaleźć się w świecie kształtowanym przez Stany Zjednoczone, swojego młodszego kuzyna zza oceanu.

KEITH HAMSHERE / GETTY IMAGES

Pierce Brosnan i Michelle Yeoh w materiałach promocyjnych filmu „Jutro nie umiera nigdy", 1997 r.

Siedemdziesiąt lat temu, w kwietniu 1953 r., ukazała się powieść Iana Fleminga „Casino Royale" – pierwszy utwór przedstawiający postać Jamesa Bonda. Nakład wynosił zaledwie 4750 egzemplarzy, sprzedał się jednak szybko i wydawnictwo zleciło dodruki.

Musiało jednak upłynąć jeszcze trochę czasu, zanim Bond stał się globalnym fenomenem popkulturowym. Dziś jest twarzą jednej z najbardziej rozpoznawalnych i dochodowych popkulturowych franczyz, obejmującej dwanaście powieści, dwa zbiory opowiadań Fleminga oraz dwadzieścia pięć filmów.

W „Nie czas umierać" (2021), ostatnim filmie z serii, agent 007 umiera. Kolejny Bond będzie musiał zrestartować franczyzę, wymyśleć dla niej nową formułę, odpowiadającą wrażliwości współczesnych widzów. Bo z punktu widzenia współczesnych norm w postaci Bonda wiele rzeczy trudno zaakceptować. Jubileuszowa edycja prozy Fleminga, która ma się ukazać w Wielkiej Brytanii w 70. rocznicę publikacji „Casino Royal", zostanie poddana poprawkom zasugerowanym przez „czytelników wrażliwościowych". Usunięte z niej mają być przede wszystkim sformułowania dotyczące czarnoskórych bohaterów.

Publikacjom ma też towarzyszyć ostrzeżenie: „Książka ta została napisana w czasach, gdy słowa i postawy dziś uważane za obraźliwe były powszechne". Jak wielu odbiorców potraktuje to jako wskazówkę, by sięgnąć po bardziej współczesnego bohatera?

Agent fantazji

Jednocześnie franczyza przetrwała kolejnych aktorów, zimną wojnę i wojnę z terrorem, a nawet pandemię i kryzys, w jaki przymusowe lockdowny wpędziły branżę filmową.

Gdy „Nie czas umierać" wchodziło na światowe ekrany, prasa pisała, że misją agenta 007 jest nie tylko ocalenie świata, ale też finansów kin w pierwszym roku po wybuchu pandemii. Misję można chyba uznać za udaną. Na całym świecie Bond nr 25 zarobił ponad 774 miliony dolarów i zajął czwarte miejsce w światowym *box office*. Wyprzedziły go co prawda chińska komedia „Witaj, mamo", propagandowa chińska superprodukcja historyczna „Bitwa na jeziorze Changjin" i „Spider Man: bez drogi do domu", któremu niewiele zabrakło do tego, by z wpływów z biletów osiągnąć 2 miliardy dolarów. Chińskie hity pozostają jednak praktycznie prawie nieznane poza Chinami, a marvelowska seria złapała widoczną zadyszkę. Franczyza Bonda z kolei może raz jeszcze dać dowód swojej żywotności.

Co jest jej źródłem? Przede wszystkim to, że doskonale potrafi rozpoznać i obsługiwać fantazje swoich odbiorców. Gdy Fleming przystępował do pisania pierwszego Bonda na Jamajce, wyspa – podobnie jak spora część Karaibów – ciągle po-

zostawała pod brytyjskim panowaniem. Jednocześnie brytyjskie imperium, po utracie Indii w latach 40., jest już tylko cieniem samego siebie i wydaje się oczywiste, że prędzej czy później czeka je rozpad, a Wielka Brytania nie jest już globalnym mocarstwem z pierwszej ligi.

O ile mistrz John Le Carré posługiwał się konwencją powieści szpiegowskiej, by na poważnie zmierzyć się z rzeczywistymi politycznymi problemami, o tyle proza Fleminga pozwala uciec od powojennej rzeczywistości zmierzchu brytyjskiego imperium w szereg fantazji – nie tylko politycznych. Gdy ukazało się pierwsze wydanie „Casino Royale", w Wielkiej Brytanii ciągle obowiązywały kartki na żywność, wprowadzone w okresie II wojny światowej. Powojenne rządy tworzą podstawy nowoczesnego państwa dobrobytu, ale od końca wojny będzie musiała minąć blisko dekada, zanim Brytyjczycy odczują powszechny dobrobyt.

Bond oferuje ucieczkę od dość zgrzebnej rzeczywistości lat powojennych. Choć w swojej pierwszej książkowej misji agent 007 nie pokonuje wielkiego geograficznego dystansu – tytułowe kasyno znajduje się po drugiej stronie Kanału La Manche, w fikcyjnym kurorcie Royale-les-Eaux w departamencie Sommy – to jest on wystarczający, by trafić do świata luksusu, który w Wielkiej Brytanii lat 50. wydawał się albo egzotyką, albo wspomnieniem starych dobrych czasów.

Fleming nie operował jednak wyłącznie na nostalgicznych nutach. Jedną z kluczowych inspiracji przy pisaniu „Casino Royale" był dla niego amerykański czarny kryminał, zwłaszcza proza Raymonda Chandlera. „Casino Royale" można uznać za próbę unowocześnienia brytyjskiej powieści szpiegowskiej, przeniesienia jej w czasy zdominowane przez amerykańskie popkulturowe wzorce.

W wiktoriańskiej powieści szpiegowskiej szpieg był dżentelmenem-dyletantem, u Fleminga wykazuje się „amerykańskim" profesjonalizmem, podobnie jak stojąca za nim organizacja. Postać Bonda ucieleśnia fantazję o Wielkiej Brytanii, która nie tracąc swojej tożsamości – i klasowej tożsamości własnego establishmentu – unowocześnia się na tyle, by móc odnaleźć się w świecie kształtowanym przez Stany Zjednoczone, swojego młodszego kuzyna zza oceanu.

CAPITAL PICTURES / FILM STILLS / FORUM

Ian Fleming i Sean Connery na planie filmu „Dr. No", 1962 r.

Pisarzowi bardzo zależało, by podobne wrażenie stwarzały filmowe adaptacje jego prozy. W liście do Hubella Robinsona, szefa amerykańskiej telewizji CBS, zainteresowanego realizacją serii telewizyjnych filmów o Bondzie, Fleming pisał, że w adaptacji zdecydowanie nie chce widzieć żadnych „monokli, wąsów, meloników" i innych rekwizytów „teatralnej angielskości". Szczególnie istotne jest dla niego, by brytyjski wywiad przedstawiony został jako „twarda, nowoczesna organizacja".

Ucieczka od zimnej wojny

CBS ostatecznie przeniosło na mały ekran tylko „Casino Royale". Choć Fleming od początku marzył o filmowej, a przynajmniej telewizyjnej adaptacji Bonda, to przez pierwsze dziesięć lat kolejne podejścia do ekranizacji kończyły się falstartem.

Złą passę przerywa dopiero spotkanie Fleminga z dwoma producentami, Albertem R. Broccolim i Harrym Saltzmanem, którzy wspólnie stworzą pierwszych dziewięć filmowych Bondów. Ponieważ prawa do „Casino Royale" ciągle były przy CBS, zdecydowali się oni zacząć od adaptacji wydanej w 1958 r. powieści „Dr No". Udało się im uzyskać finansowanie od wytwórni United Artists oraz zebrać ekipę, która nada kształt pierwszym Bondom: reżysera Terrence'a Younga, scenarzystę Richarda Mainbauma, scenografa Kena Adama, wreszcie odtwórcę tytułowej roli Seana Connery'ego.

Filmowy Bond jest postacią wypływającą ze „swingującego Londynu" lat 60. Miasta, które może przestało być stolicą imperium, ale stało się globalną stolicą popkultury i przemian obyczajowych, symbolizującą nową, liberalną, permisywną, konsumpcyjną cywilizację. Tradycyjny motyw „walki za królową i ojczyznę" płynnie łączy się w serii z obyczajową, zwłaszcza seksualną swobodą – nie ma postaci Bonda bez licznych seksualnych podbojów – z czarnym, cynicznym humorem i klimatem moralnej ambiwalencji.

Bond w wersji Connery'ego – inaczej niż ten literacki – nie jest już postacią, która musi się „zamerykanizować", by dogonić zmieniający się świat. Doskonale czuje się we współczesnym świecie jako ambasador marki nowej, kulturowo atrakcyjnej brytyjskości. I nie tylko brytyjskości, ale też konsumpcyjnych możliwości rozwiniętego kapitalizmu. Bond wnosi do niego poczucie stylu i smaku brytyjskich klas wyższych, zostaje obsadzony wobec widza w roli kogoś w rodzaju trenera konsumpcji z klasą, ambasadora prestiżowych marek. Od samego początku seria buduje relacje z markami alkoholi czy samochodów, którym dostarcza widoczności, zarabiając przy tym świetnie na lokowaniu produktu. Bondowska fantazja zawsze była tyleż eskapistyczna, co konsumpcyjno-aspiracyjna.

Lata 60. to nie tylko przemiany kulturowe i obyczajowe, ale też szczyt zimnej wojny. Dekada zaczyna się od kryzysu ↦

↦ kubańskiego i budowy muru berlińskiego, kończy wojną w Wietnamie i inwazją Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Ten zimnowojenny konflikt jest niemal zupełnie nieobecny w pierwszych Bondach, co może zaskakiwać w serii filmów o superszpiegu.

Powieści Fleminga z lat 50. osadzone są w zimnowojennych realiach. Le Chifre – antagonista z „Casino Royale" – jest w powieści radzieckim agentem i skarbnikiem kontrolowanego przez Sowietów francuskiego związku zawodowego. Radzieckimi agentami są też król afroamerykańskiego półświatka Mr Big z „Żyj i pozwól umrzeć" i Dr No. W filmach przeciwnikami Bonda nie są jednak Sowieci, ale terrorystyczna organizacja Spectre – zainteresowana wyłącznie pieniędzmi.

Od realiów zimnej wojny seria o Bondzie ucieka w fantazję, w której całkowicie znika rywalizacja dwóch odmiennych systemów polityczno-społecznych. Antagoniści Bonda nie są przedstawicielami systemu alternatywnego dla zachodniego, tylko pospolitymi przestępcami – choć działającymi na niepospolitą skalę.

W późniejszych filmach Bondowi zdarza się walczyć z radykalnymi elementami w radzieckiej elicie, dążącymi do konfrontacji z Zachodem, ale równie często współpracuje z Sowietami. W „Zabójczym widoku" (1985) zostaje nawet uhonorowany orderem Bohatera Związku Radzieckiego za... uratowanie amerykańskiej Doliny Krzemowej przed terrorystycznymi planami niejakiego Maksa Zorina. Jak uzasadniają to Sowieci: „Od kogo kradlibyśmy technologię, gdyby atak się powiódł?".

Gdy oglądamy dziś zimnowojenne Bondy, uderza nas, jak współcześni są przeciwnicy głównego bohatera – w większości szaleni geniusze dysponujący milionami dolarów. Z tego powodu koniec zimnej wojny nigdy nie był tak naprawdę problemem dla serii.

Uda się raz jeszcze?

Problemem okazało się co innego. Po pierwsze, zmieniające się normy obyczajowe. Proza Fleminga faktycznie razi dziś sposobem, w jaki podchodzi do kwestii rasowych czy genderowych. Nie chodzi tu tylko u seksizm – zwłaszcza że Fleming potrafił też tworzyć postaci kobiece wykraczające poza seksistowski stereotyp – ale także o stosunek do przemocy seksualnej czy męskości odstającej od ucieleśnianego przez Bonda nowoczesnego, efektywnego, atletycznego ideału. Przeciwnicy agenta 007 to często postaci homoseksualne, dotknięte różnego rodzaju deformacjami czy niepełnosprawnościami – które proza Fleminga przedstawia niemalże jak moralne ułomności.

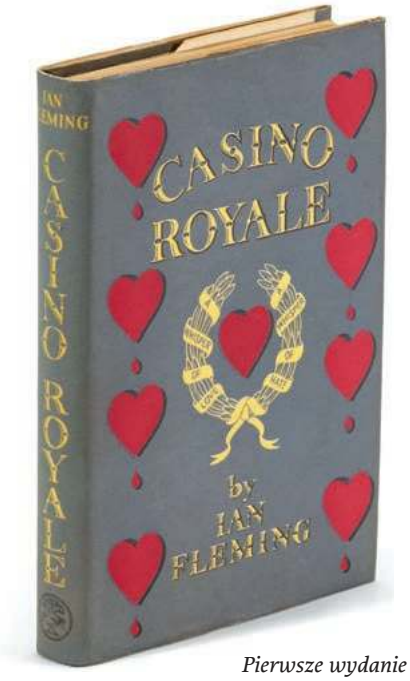

Pierwsze wydanie „Casino Royal" Iana Fleminga z 1953 r.

Trudno też ukryć, że jeden z najlepszym Bondów – „Goldfinger" (1964) – jest ze współczesnego punktu widzenia dziełem głęboko problematycznym. Zwrot akcji, który ostatecznie pomaga pokonać tytułowego złoczyńcę, ma miejsce w stodole na ranchu Goldfingera, gdzie Bond próbuje uwieść pracującą dla złowieszczego milionera pilotkę, Pussy Galore. Kobieta opiera się, niejednokrotnie mówi nie, walczy z Bondem, ale w końcu mu ulega. Wymuszony stosunek sprawia, że Pussy Galore zdradza swojego przestępczego pracodawcę. Dziś w tej scenie widać przede wszystkim przemoc seksualną, jeśli nie po prostu gwałt. Wybija ona widza z filmowej fantazji, z zabawy filmowymi kliszami, która w „Goldfingerze" wychodzi lepiej niż w jakimkolwiek innym filmie serii.

Po drugie, sama postać Bonda – jako połączenia zimnego zabójcy, ambasadora prestiżowych marek i seryjnego uwodziciela – łatwo może zmienić się w kliszę, jeśli nie we własną karykaturę. Z kolei próby „humanizacji" postaci, nadania jej jakiejś psychologicznej głębi, dokonywane co najmniej od czasów „W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości" (1969), nie zawsze się udawały. Dopiero w ostatniej odsłonie franczyzy, jej restarcie, jaki dokonuje się wraz z obsadzeniem w roli Bonda Daniela Craiga, udaje się połączyć widowiskowo-rozrywkową formułę serii z bardziej złożonym emocjonalnie bohaterem.

Franczyza przeżywała już wiele kryzysowych momentów, które mogły zagrozić jej istnieniu. Serię składano przedwcześnie do grobu po odejściu z niej Connery'ego, rozpadzie biznesowego partnerstwa Broccolego i Saltzmana, po słabych wynikach „Człowieka ze złotym pistoletem" (1974), po końcu zimnej wojny. Gdy trwały prace nad pierwszym Bondem z Pierce'em Brosnanem („Goldeneye", 1995), finansujące produkcję studio MGM było przekonane, że Bond to relikt przeszłości, i zakładało, że film trzeba wyprodukować względnie tanio, bo w kinach może na siebie nie zarobić, za to powinien zwrócić się na rynku wideo.

„Goldeneye" okazał się tymczasem czwartym filmem roku 1995 pod względem wpływów z biletów i zarobił najwięcej ze wszystkich Bondów od czasów „Moonrakera" (1979). Dał też nowe życie franczyzie, korygując ją udanie pod względem współczesnej wrażliwości, głównie jeśli chodzi o postaci kobiece. Szefem Bonda, M, po raz pierwszy zostaje kobieta, a w kolejnym po „Goldeneye" filmie, „Jutro nie umiera nigdy" (1997), agent 007 konkuruje i współpracuje z równą mu w szpiegowskim fachu chińską agentką, graną przez Michelle Yeoh (nagrodzoną w tym roku Oscarem gwiazdę kina akcji z Hongkongu).

Czy przy kolejnym restarcie serii uda się ją dostosować do etycznej wrażliwości pokolenia Z, nie gubiąc tego, co czyni Bonda Bondem? Z pewnością na fali współczesnych przemian kulturowych franczyzę czeka krytyczny sąd, być może jakaś jej część na pewien czas wyląduje w kulturowym czyśćcu. Ostatecznie seria może wyjść jednak z tego obronną ręką. Zawsze potrafiła się wybronić, nie traktując siebie zbyt serio, a przy tym oferując widzom najbardziej podstawową filmową fantazję – jej magia może znów zadziałać.

© JAKUB MAJMUREK

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

„Syndrom Hamleta" – film otwarcia 62. Krakowskiego Festiwalu Filmowego. Kraków, 30 maja 2022 r.

Przestali płakać

ELWIRA NIEWIERA, PIOTR ROSOŁOWSKI, FILMOWCY:

Marzymy o stworzeniu w Karpatach ośrodka, w którym osoby z traumą wojenną będą mogły po zakończeniu wojny przechodzić proces rehabilitacji.

MAŁGORZATA NOCUŃ: Bohaterowie Waszego filmu „Syndrom Hamleta" stoją przed wyborem: zostać w Ukrainie czy wyemigrować; iść na front czy próbować ocalić swoje życie? Jakąkolwiek decyzję podejmą, będzie zła i tragiczna.

ELWIRA NIEWIERA: Postanowiliśmy stworzyć spektakl teatralny bazujący na motywach dramatu Szekspira i nakręcić film na jego kanwie. Szukaliśmy w Ukrainie współczesnych Hamletów, czyli osób, które pod wpływem rewolucji godności, a potem wojny, która na wschodzie kraju rozpoczęła się w 2014 r., zostały postawione przed egzystencjalnymi wyborami, które całkowicie zmieniły ich losy. Doszliśmy do wniosku, że figura Hamleta – dwudziestokilkulatka, który nagle zderza się z brutalną walką o władzę w swojej ojczyźnie – jest paralelą opisującą rozterki dużej części młodej ukraińskiej generacji. Na scenie zainicjowaliśmy proces, w którym bohaterowie podejmują próbę rozliczenia się – zarówno w grze, jak i w życiu – z traumatycznych wydarzeń ostatnich lat. Zależało nam na stworzeniu emocjonalnego portretu tej generacji.

Wojna nikogo w Ukrainie nie oszczędziła. Każdy stanął w sytuacji granicznej.

PIOTR ROSOŁOWSKI: Kiedy realizowaliśmy zdjęcia do filmu, Ukraina była dużo bardziej podzielona niż dzisiaj, rok po pełnozakresowej rosyjskiej inwazji, która rozpoczęła wojnę totalną. Świadomie staraliśmy się wybierać różnorodnych bohaterów, nie tylko weteranów wojny w Donbasie z 2014 r., ale też ukraińską feministkę czy przedstawiciela środowiska LGBTQ+ z Doniecka. Każdy z nich inaczej doświadczył konfliktu i inaczej go przeżył. Widać to bardzo mocno w ich emocjonujących rozmowach i kłótniach.

W pewnym momencie Oksana, ukraińska aktorka i feministka, która jeszcze bezpośrednio nie zetknęła się z konfliktem zbrojnym, pyta reżyserkę, czy jej postawa i obecność na scenie w ogóle pasuje do innych historii, skoro nie musiała uciekać ze swojego rodzinnego miasta, jak Rodion, i nie walczyła na froncie, jak Katia. Jednak dzisiejsze doświadczenia ukraińskiego społeczeństwa są o wiele bardziej ekstremalne. Nawet ci, którym przed wybuchem wojny udało się wyjechać z Ukrainy, zostawili tam swoje rodziny i bliskich. W taki czy inny sposób każdy został naznaczony tym konfliktem.

W kontekście wojny łatwo zadawać błahe i głupie pytania, np. „Co czułaś, kiedy strzelałaś?", „A jak to jest czuć, że się umrze?". Czy dlatego zachęciliście swoich bohaterów do monologu? Sami decydują, co chcą powiedzieć.

ELWIRA NIEWIERA: Każdy z bohaterów był świadom, że sam decyduje, czy i kiedy chce wrócić do doświadczeń z przeszłości, czy w ogóle chce się nimi podzielić i w jaki sposób to uczyni. Nagle mogło się okazać, że nie są gotowi sięgać do swoich ↦

↦ trudnych przeżyć. Przez rok jeździliśmy do nich bez kamery i budowaliśmy wzajemne zaufanie. W ten sposób stworzyliśmy relację, która dała im poczucie bezpieczeństwa: mogli się otworzyć, ale mogli też bez problemu powiedzieć: „STOP", kiedy poczują, że nie chcą iść dalej.

Po zakończeniu prób nasi bohaterowie, jak i my sami, uświadomili sobie, że postać Hamleta stała się czymś w rodzaju medium. Pomogła wyrazić to, czego przez lata nie potrafili wypowiedzieć. Co więcej, ten proces miał też moc uzdrawiającą. Scena stała się platformą, na której uczestnicy projektu mogli skonfrontować się z własnym żalem, bezsilnością i złością. Próby oczywiście nie zastąpią profesjonalnej terapii, ale naszym bohaterom pomogły pogodzić się z traumatycznymi przeżyciami.

Film opowiada przede wszystkim o emocjach. Bohaterowie tej opowieści nigdy sobie z nimi nie poradzą. Będą jak pokolenia radzieckich żołnierzy wracające z Afganistanu w latach 80.

PIOTR ROSOŁOWSKI: Sławik, który w 2014 r. był jednym z obrońców lotniska w Doniecku, postanowił wziąć udział w spektaklu właśnie po to, by ostatecznie poskromić swoje traumy. Liczył, że odtwarzanie na scenie najgorszych doświadczeń z czasów walki i niewoli pozwoli nabrać mu więcej dystansu. Czterdzieści dni prób dało mu niezwykłą siłę. Oczywiście, rany psychiczne nigdy się w pełni nie zagoją, ale mogą się przynajmniej częściowo zabliźnić. Sławik po premierze spektaklu wziął udział w ukraińskiej wersji popularnego programu telewizyjnego „Voice of Ukraine". Wystąpił przed wielomilionową publicznością, ponownie opowiadał o swoich wojennych doświadczeniach, teraz jednak z dużo większym spokojem i dystansem. Można zatem powiedzieć, że wszedł na drogę okiełznania traumy. Tragiczne jest to, że Sławik jest teraz znowu na froncie i kolejny raz musi mierzyć się z tym, co chciał pokonać.

Ale Katia nie potrafi poradzić sobie z emocjami. Wciąż wracają do niej najtragiczniejsze wspomnienia: trupy kolegów, lęk o własne życie. Czy Ukrainki potrafią udźwignąć ciężar wojny? Na froncie stanowią 30 proc. sił.

AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

Sławik, bohater filmu „Syndrom Hamleta", podczas 62. Krakowskiego Festiwalu Filmowego. Kraków, 29 maja 2022 r.

ELWIRA NIEWIERA: Katia podkreśla, że nie jest żołnierką, bo nigdy nie chciała nią zostać. Określa siebie jako „człowieka wojny", co oznacza, że jeśli tylko jej kraj jest w stanie konfliktu, ona bierze broń do ręki. Poszła na front, ponieważ już w 2014 r., kiedy w Ukrainie pojawiły się „zielone ludziki", miała świadomość, że może dojść do pełnowymiarowej agresji Rosji. Ukraińska Armia nie przyjmowała wtedy kobiet, dlatego Katia walczyła w batalionie ochotniczym. Dopiero po rosyjskiej napaści w lutym 2022 r. wstąpiła w szeregi Ukraińskiej Armii. Liczba kobiet w armii wzrosła w ubiegłym roku do 50 tys.

Przez wiele miesięcy Katia była na pierwszej linii frontu. Kiedy rakieta uderzyła zaledwie 200 metrów od niej, przez kilka dni nie mogła opanować drżenia ciała. Nie udawało jej się nawet utrzymać w rękach kubka z herbatą. Ostatnio napisała do mnie: „Przestałam płakać, gdy umierają moi przyjaciele".

Katia mówi, że nie jest żadną bohaterką, bo się boi. Rzadko w ten sposób pisze się i mówi o walczących. Przedstawiani są raczej jako herosi i heroski.

PIOTR ROSOŁOWSKI: Nasi bohaterowie są wolni od romantycznego spojrzenia na wojnę. Szczerość młodych Ukraińców ujmuje. Ich opowieści potwierdzają bezsens wojny, która jak maszynka do mielenia mięsa niszczy każdego, kto zaplątał się w jej tryby – a jednocześnie chcą i muszą walczyć. Katia miała w filmie drugi monolog, w którym padały słowa: „Ja chcę na wojnę, tam od razu wiadomo, kto wróg, a kto przyjaciel".

„Klin trzeba wbijać klinem" – mówi. Czy każdy uczestnik tej wojny cierpi na syndrom lęku pourazowego?

ELWIRA NIEWIERA: Bez wątpienia. Kiedy Katia trafiła na Majdan, studiowała stosunki międzynarodowe i planowała karierę zawodową. Jednak rewolucja wszystko zmieniła. Prosto z Majdanu, bez żadnego wojskowego przygotowania, pojechała na front w Donbasie. Po doświadczeniach na froncie często nie ma powrotu do tego, co było wcześniej. Dlatego Katia nie wróciła już do środowiska znajomych z elitarnych studiów, którzy podejmowali pierwszą pracę w biznesie czy polityce. Została na wojnie, dokumentując naruszenia praw człowieka we wschodniej Ukrainie. Po powrocie do domu długo zmagała się z traumą, nie mogła znaleźć dla siebie odpowiedniej terapii. Dopiero hipnoza, a potem nasz projekt w jakiś sposób ją wzmocniły.

Marzymy o stworzeniu w Karpatach ośrodka, w którym osoby z traumą wojenną będą mogły po zakończeniu wojny przechodzić proces rehabilitacji.

Jednym z bohaterów Waszej opowieści jest homoseksualista z Doniecka. Mówi, że geje w Doniecku są gwałceni przez policję pałkami, a jego własna matka zawiozła go do psychiatryka.

PIOTR ROSOŁOWSKI: Rodion w 2014 r. musiał uciekać z Doniecka do Kijowa i postanowił już więcej nie ukrywać, kim naprawdę jest. Oczywiście zapłacił za to słoną cenę: wielokrotnie bito go na ulicach Kijowa za „prowokujący wygląd". Sam przyznaje, że teraz walczy na zupełnie innym froncie. Chciałby, aby jego ojczyzna stała się w końcu krajem, w którym szanowane będą też prawa mniejszości seksualnych. To oczywiście walka nierówna i wyczerpująca, jednak po doświadczeniach życia w Doniecku Rodion jest zahartowany. Udało mu się – po wielu latach – przekonać matkę, by zaczęła akceptować go takim, jakim jest.

MARECHAL AURORE / ABACA / PAP

ELWIRA NIEWIERA jest reżyserką i scenarzystką,

PIOTR ROSOŁOWSKI jest scenarzystą i operatorem, wspólnie zrealizowali wiele dokumentalnych produkcji.

Ich najnowszy film „Syndrom Hamleta" jest dostępny na platformach: CANAL+ online, Premiery CANAL+, Player.

Piotr Rosołowski i Elwira Niewiera z nagrodą za film „Książę i dybuk" na 74. Festiwalu Filmowym w Wenecji. 9 września 2017 r.

Na teatralnej scenie udaje mu się zjednać pochodzącego z zachodniej Ukrainy Sławika, który sam przyznaje, że pierwszy raz w życiu spotkał na swojej drodze osobę ze środowiska LGBTQ+.

W filmie młody chłopak mówi, że „Nie ma wyjścia", na co ktoś dopowiada: „Nie masz wyjścia, to znaczy, że jesteś gotowy, by iść na front".

ELWIRA NIEWIERA: Nasz film jest teraz pokazywany w niemieckich kinach. Byliśmy obecni na projekcjach i rozmowach z publicznością. Wiele osób mówiło nam, że to, co zobaczyli, przypomina im ukrywane przez lata wspomnienia osób, które przeżyły II wojnę światową. Szczególnie że w niemieckim, pacyfistycznie nastrojonym społeczeństwie długo trwano w iluzji, że w Europie nie będzie już nigdy wojny, bo Europejczycy nie popełnią jeszcze raz tego samego błędu. Poziom bestialstwa i ofiar wśród cywili w Ukrainie jest faktycznie porównywalny z tym, co działo się w czasie II wojny światowej. Dzięki bliskości z bohaterami naszego filmu poznałam relacje na temat egzekucji, tortur, gwałtów, masowych mordów czy porwań. Tak trudno te okrucieństwa emocjonalnie udźwignąć. Już dziś wiemy, że ta wojna utkwi w doświadczeniu kolejnych pokoleń.

Bywaliście w Ukrainie przed wybuchem wojny. Ciężko prognozować, co będzie po jej zakończeniu, ale Wasz film pokazuje, że konflikt zbrojny zmienił ludzi bezpowrotnie. Potraficie opowiedzieć o tych metamorfozach?

PIOTR ROSOŁOWSKI: W naszych paszportach jest już tyle stempli ukraińskiej kontroli granicznej... Byliśmy też na pokazie naszego filmu we Lwowie. Było to emocjonujące wydarzenie, spotkaliśmy się z kilkorgiem naszych bohaterów, jeden z nich – Roman – dopiero co wrócił z frontu pod Bachmutem. Wzruszające było zobaczyć go uśmiechniętego, pomimo tego, że historie z frontu, które opowiadał, były przerażające. Roman swego czasu był aktorem w jednym z lwowskich teatrów, obecnie jest medykiem na froncie i jak sam przyznaje, trzeba przygotować się do myśli, że ta wojna szybko się nie skończy, a on nie wróci w najbliższym czasie do domu.

Wojna to otchłań i trudno z niej wrócić do rzeczywistości, w której panuje pokój. Teraz przygotowujemy nowy projekt filmowy w Ukrainie, który będzie współczesnym rozwinięciem bestselleru Swietłany Aleksijewicz „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety". Chcielibyśmy pokazać próby powrotu do normalności kobiet, które uczestniczyły w walkach o Mariupol, przetrwały oblężenie kombinatu Azow-Stal i przeszły przez rosyjską niewolę. Ich historie muszą zostać teraz opowiedziane.

Czy wojna w Ukrainie zmieniła także Wasze życie?

ELWIRA NIEWIERA: 24 lutego 2022 roku mój świat też runął. Wiedziałam, jak strasznym obciążeniem dla naszych bohaterów będzie kolejna faza konfliktu. Katia jechała do bazy wojskowej, żeby się zameldować, a ta na jej oczach została zbombardowana. Dostałam od niej długą listę rzeczy, których ona i jej koledzy potrzebują. Mój pierwszy transport dotarł do nich sześć dni później: kamizelki kuloodporne, hełmy, noktowizory, GPS-y, lornetki, plecaki, śpiwory, leki, namioty i buty wojskowe. Potem szły kolejne transporty: drony, jeepy, krótkofalówki, telefony satelitarne.

Kiedy okazało się, że Roman musi pojechać na front pod Bachmut, wspólnie zastanawialiśmy się, co mogę zrobić, żeby go wewnętrznie wzmocnić. Wciąż walczył z poczuciem winy, że na jego rękach w latach 2014-15 umierali żołnierze, którym nie był w stanie pomóc. Wspólnie zaczęliśmy przygotowywać zestawienie, na którym znalazło się ponad sto pozycji: leki i sprzęt medyczny, który powinien mieć w plecaku, by móc wykonać choćby niewielką operację na polu walki. Przez ostatnie jedenaście miesięcy praktycznie nie zajmuję się pracą nad nowymi projektami filmowymi, tylko organizuję pomoc lub podróżuję po świecie z „Syndromem Hamleta" od festiwalu do festiwalu. Pomaga mi to w przezwyciężeniu bólu, który noszę w sobie w związku z tą wojną.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUŃ

Zrzuć winę na mamę

ANITA PIOTROWSKA

Ari Aster, nawet kiedy realizuje swoje przesadnie ambitne pomysły ciężką ręką, bywa interesujący. Czuć w tym dotknięcie budzącego się dopiero i ciągle błądzącego geniusza.

MATERIAŁY PRASOWE

Któż nie zna takich lęków? Że terminal w sklepie nieoczekiwanie odpowie: „transakcja odrzucona". Że gdzieś w bloku czai się jadowity pająk. Że zostawimy klucze w drzwiach, ktoś je wyciągnie i pewnego dnia zainstalują się w naszym mieszkaniu okoliczni menele... I jeszcze ten najgorszy lęk, kafkowski – kiedy trzeba udowodnić swą niewinność albo zrealizować jakiś cel, lecz nikt nie traktuje poważnie człowieka, który nie potrafi się bronić ani przekonać do swoich racji. A w dodatku jest w piżamie. Film „Bo się boi" do pewnego momentu świetnie wygrywa te wszystkie nasze strachy, zazwyczaj głęboko poukrywane i najpełniej ujawniające się w sennych koszmarach. Cierpiący na ataki paniki Beau uosabia dzisiejsze turboniepewne czasy, fobie podsycane przez media i polityków, społeczeństwo „na prochach" czy widma męskości w kryzysie. Takiego filmu, egzorcyzmującego lęki zbiorowe, bardzo dzisiaj potrzebujemy, choć Ari Aster pochyla się nad tym jedynie na początku trzygodzinnego dreszczowca. Bardziej interesuje go indywidualny freudowski trip. Byłby zupełnie nie do zniesienia, gdyby nie poczucie humoru.

Dla bohatera, granego – jakże by inaczej – przez Joaquina Phoeniksa, świat dawno temu przestał być swojskim miejscem. Film rozpoczyna się tak zwaną sceną pierwotną, czyli narodzinami Beau, oglądanymi z jego perspektywy, i nie będzie to ostatnie jego traumatyczne doświadczenie. Poczucie niedogodności narodzin wypielęgnowała w nim jego własna rodzicielka, zimna bizneswoman (Zoe Lister-Jones/Patti LuPone), stąd „Bo się boi" już na starcie zamienia się w psychoanalityczne studium toksycznego macierzyństwa. Z niego ma wynikać cała reszta, czyli fakt, iż facet w średnim wieku żyje samotnie w wielkomiejskiej norze, boi się w zasadzie wszystkiego, deliberując na terapii, czy większy jest jego lęk o śmierć matki, czy raczej życzenie jej tego. Również po osieroceniu przez nią, w nader absurdalnych okolicznościach, będzie gnębiony przez poczucie winy i wstydu. Ktoś mógłby dodać, że żydowskie, biorąc pod uwagę pochodzenie bohatera i nowojorskiego reżysera. To samo rzec by można o genetycznie zakodowanym i samonapędzającym się strachu. Lecz i tego wątku Aster specjalnie nie rozwija, skupiając się na samej patologii oraz jej edypalnej wykładni. Tam znajduje uniwersalną metaforę dla męskiego życia, od narodzin aż do śmierci.

Są w tym ekstrawaganckim filmie liczne i pewnie trochę zamierzone pęknięcia, jakby zbyt nachalnie próbował stać się wielowymiarową projekcją paranoicznego umysłu. Najlepszy jest wtedy, gdy wykrzywia rzeczywistość, ale ciągle jeszcze ironicznie balansuje na jej granicy: w upiornej miejskiej dżungli, gdzie człowiek człowiekowi pająkiem, czy w uroczym podmiejskim domu, dokąd Beau trafia po wypadku samochodowym i zostaje adoptowany przez parę, która straciła syna na wojnie. Aster z tragikomicznym wyczuciem wybudza tu kolejne archetypiczne demony, jak lęk bohatera przed utratą tożsamości, przed wrobieniem w coś, czego nie robił, i przed niezrobieniem tego, co zrobić powinien – jako dobry syn przede wszystkim. Tyle że reżyser mierzy znacznie wyżej i ostatecznie przestrzela.

W pewnym momencie zaczyna bawić się w daleko posuniętą dekonstrukcję filmowego spektaklu, wpuszczając swego protagonistę do ciemnego lasu, a stamtąd wprost na deski wędrownego teatru, ażeby z widza przeistoczył się w aktora swego życia. Ów wysoce artystyczny zabieg, kojarzący się niektórym z „Dogville" Larsa von Triera, innym zaś z „Może pora z tym skończyć" Charliego Kaufmana, urzeka wizualną finezją (zdjęcia Pawła Pogorzelskiego, stałego współpracownika Astera, to najmocniejsze prócz aktorstwa strony „Bo się boi"). Nie przekonuje jednak ów alternatywny scenariusz męskiego żywota. Znać w nim głównie przerost ambicji, jakby nie wystarczał reżyserowi sprawnie i sugestywnie zrealizowany „mózgotrzep".

Jako psychoanalityczna odyseja na wesoło też film nie do końca się broni. Bo ileż można natrząsać się z „kompleksu Portnoya" lub syndromu kastrującej matki jemioły, które miałyby, rzecz jasna z przymrużeniem oka, uzasadniać wszelkie fik-

BO SIĘ BOI
(Beau Is Afraid)
– reż. Ari Aster.
Prod. USA 2023.
Dystryb. Gutek Film.
W kinach.

Ari Aster ma 36 lat i zdążył wyspecjalizować się w tzw. uszlachetnionych horrorach (elevated horrors). Najpierw było „Dziedzictwo. Hereditary" (2018) z Toni Colette – film o żałobie, poczuciu winy i opętaniu. Następnie zrealizował „Midsommar. W biały dzień" (2019) z Florence Pugh, inspirowany skandynawskim folklorem. Wszystkie jego filmy wyprodukowało kultowe studio A24.

sacje Beau. W „Jokerze" Todda Phillipsa grany przez Phoeniksa tytułowy szaleniec był czymś więcej niż ofiarą rozmaitych instytucji z rodziną na czele; chcąc nie chcąc stawał się wyrazicielem społecznego gniewu. Czyniło to jego postać bardziej wieloznaczną. Poza tym Aster, od dziecka zakochany w kinie grozy, musi wiedzieć, że najciekawsze (i poniekąd najstraszniejsze) są filmy o lęku przed tym, co do końca nienazywalne i co wymyka się racjonalnej kontroli. Tutaj sam chwilami pada jej ofiarą, aczkolwiek w brawurowym, ultragroteskowym stylu, docenionym przez samego Martina Scorsese, najwyraźniej niezmęczonego metrażem. Bo film, mimo całej swej efektowności, wystawia na próbę percepcyjną wytrzymałość widza. Nawet wzięcie tej historii w cudzysłów, niczym lękową fantazję rządzącą się własną logiką, nie ułatwia zadania. Lepiej rozsmakować się w maestrii poszczególnych wątków i scen, bowiem Aster, nawet kiedy realizuje swoje bizarne pomysły przyciężką ręką, bywa interesujący. Czuć w tym dotknięcie budzącego się dopiero i ciągle błądzącego geniusza.

Z upodobaniem grzebie w ludzkich głowach, bo tam kryje się dlań najprawdziwsza groza i – jednocześnie – bogaty światotwórczy potencjał. Każdy z jego głównych bohaterów ma swoją wilgotną piwnicę albo zasnuty pajęczynami strych, dosłownie bądź w przenośni. W zakurzonych pudłach spoczywają ich wstydliwe tajemnice, nieprzepracowane traumy, wyrzuty sumienia. Pewnie dlatego zastępczymi rodzinami stają się dla nich sekty – satanistyczne („Dziedzictwo. Hereditary") czy zakorzenione w pogańskich rytach („Midsommar. W biały dzień"), domy zaś mają postać stworzonych w chorym umyśle makiet. Nic dziwnego, że i dla Beau, samobiczującego się życiowego przegrywa, głównym wyzwalaczem ataków paniki jest jego rodzinny dom. I zarazem przedmiotem wiecznej, nieutulonej tęsknoty. Jeśli jednak „Bo się boi" miałoby dla Astera (i dla nas) być czymś więcej niż gatunkową zabawą (na przykład formą terapii), próżno oczekiwać w niej *katharsis*. Podobnie jak w poprzednim filmie, pozostaje spiętrzony sarkazm jako krótkodziałające antidotum na nasze lęki. ©

Lektor:
Podróż w czasie

▪ *Joanna Gellner*
KRAKÓW KRIEGERÓW. ZBLIŻENIA
Muzeum Krakowa, 2022,
ss. 400.

Wiemy o nich niewiele, choć bardzo wiele im zawdzięczamy. Na Kraków w dobie autonomii galicyjskiej patrzymy w znacznej mierze ich oczami. Wybrane przez nich kadry, jak choćby widok z Wawelu w stronę Zwierzyńca, z Wisłą i kopcem Kościuszki, którego nie przesłoniły jeszcze drzewa, należą do ikonicznych wizerunków miasta.

Ignacy Krieger (1817-1889) osiedlił się w Krakowie wraz z rodziną około roku 1860. Przyjechali z Lipnika pod Białą (dziś część miasta Bielsko-Biała). W ogłoszeniu na łamach „Czasu" Krieger poleca swoje usługi, wspominając o zagranicznych podróżach odbytych „celem wydoskonalenia się w fotografii" – nie wiemy jednak, kto był jego mistrzem. Po jego śmierci atelier przejęli syn Natan (1844-1903) i córka Amalia (1846-1928), Amalia zaś zapisała Gminie Miasta Krakowa zarówno wyposażenie rodzinnego zakładu, jak i bezcenny zbiór negatywów (ponad osiem i pół tysiąca szklanych klisz!).

Zbiór obejmuje wiele dziedzin: „krajowidoki", przede wszystkim krakowskie zabytki, fotografię portretową (specjalność Amalii), typy ludowe, prace konserwatorskie w katedrze czy kościele Mariackim (specjalność Natana), dzieła sztuki... Natan podróżował, by dokumentować regulację galicyjskich rzek, ale też na przykład kolekcję Działyńskich w Gołuchowie.

Układając album, Joanna Gellner skupiła się – zgodnie z tytułem – na portrecie miasta. Kolejne odsłony tego portretu oglądamy dokładnie, bo także na zbliżeniach, które pozwalają odkryć niezauważone w pierwszej chwili szczegóły, jak choćby poszczególne stoiska targu na kazimierskim placu Wolnica. Okazała kamienica przy ulicy Kurniki z fasadą z wielobarwnej cegły stoi do dziś, niedawno została odnowiona i wygląda zupełnie jak na zdjęciu Natana Kriegera, z tą różnicą, że u Kriegera wiele się dzieje: z bramy patrzą na nas trzej chłopcy, z narożnego balkonu na drugim piętrze – cała rodzina, tylko starsza pani ma zamazaną twarz, bo się poruszyła. Podobnie jak sprzedający i kupujący na placu Szczepańskim – uchwyceni w ruchu, wyglądają zupełnie widmowo. Szczególnie zaś polecam zbliżenia fasady Domu Egipskiego, który pod koniec XIX wieku wzniesiony został nad Rudawą, płynącą wtedy ulicą Retoryka. Dom nadal stoi, ale po jego modernizacji w latach 20. zeszłego wieku zdumiewający „egipski" sztafaż zniknął. A jest na co popatrzeć! ©℗

Z ODDECHEM

ŹRÓDŁA OGNIA

Sakralny, duchowy, etniczny jazgot gitar i łomot bębnów był jak plemienne wycie, jak podróż do źródeł czasu. Zmysłowy wymiar koncertów sprawiał, że gitara stawała się kluczem do wrót ostateczności.

ROBERT KASPRZYCKI

Powiedzmy sobie szczerze. Ludzie dzielą się na dwa typy: tych, co grają na gitarze, oraz tych, co na niej nie grają. Ci pierwsi dzielą się na tych, co grają na gitarze klasycznej, akustycznej albo elektrycznej. A o tych drugich, Panie, to nawet wspominać nie warto.

Chwyty

Są miejsca takie jak Włochy, gdzie gitara jest bez mała sztandarem. „Lasciate mi cantare / Con la chitarra in mano / Lasciate mi cantare / Sono l'Italiano" – śpiewał Artysta, otwarcie przypisując duetowi głos-gitara atrybuty żartobliwego nacjonalizmu. Są też miejsca takie jak Hiszpania, Anglia czy Rosja – gdzie gitara przez lata odgrywała rolę instrumentu domowego. Niejako z odbicia warto wspomnieć, iż mogliśmy ją zobaczyć na ścianie mieszkania Ignacego Rzeckiego w „Lalce" Bolesława Prusa, co w pewnym stopniu świadczyć może o wpływach rosyjskich.

W wersji polskiej anonimowy twórca mógł tylko pojękiwać: „Gdybym miał gitarę / to bym na niej grał", rzucając absurdalną tezę, iż warunkiem koniecznym i wystarczającym jest samo posiadanie instrumentu. Że jest to bzdura, wie każdy, kto kiedykolwiek próbował brać gitarę do rąk i złapać akord, zwany także chwytem. Słowo „chwyt" słusznie naprowadza nas na skojarzenia ze sztukami walki, albowiem synchronizacja jest tu równie ważna jak w judo czy zapasach – prawa ręka musi wykonywać stosowne ruchy, lewa zaś narażona jest na ból opuszków, który skutecznie gasi entuzjazm byle osobnika biorącego gitarę do ręki. Mniejsza o gitarę elektryczną – ta, z odpowiednio ustawioną akcją strun (czyli ich wysokością nad gryfem), pozwala na dość swobodne wejście w świat muzyki, natomiast „akustyk" czy „klasyk" wymagają dni, jeśli nie tygodni piekielnego bólu.

W polskim kosmosie tekstów była gitara nie tyle instrumentem, co symbolem młodości, witalności i może nawet buntu: chłopak z gitarą byłby dla niej parą, co dzień pojawiało się cztery tysiące gitar, słowem – ech, żyć nie umierać. Co prawda na ogół były to krajowe defile, skutecznie deformujące nadgarstek, niemniej to na nich powstawał repertuar, który z estrad i muzycznych pocztówek przechodził w recitale wykonywane na osiedlowych ławkach, gęsto przetykane gulgotem wina marki Wino oraz scenami z „Romea i Julii".

Prawdziwy renesans przeżywała u nas gitara w latach 70., kiedy to, m.in. dzięki działalności zespołów studenckich, weszła do szerokiego obiegu – Wolna Grupa Bukowina, Nasza Basia Kochana, setka mniej lub bardziej znanych wykonawców grających poezję śpiewaną i piosenkę turystyczną przypisały ją gatunkowi na dobre i na złe. Prawdziwymi templariuszami gitary byli jednak harcerze, a śpiewnik harcerski niezwykle zasłużył się dla poziomu polskiego poziomu „śpiewalnictwa" i „gitarownictwa". To za gitarą ruszyła popularność pieśni bardów zagranicznych: Okudżawy, Wysockiego, Kryla, Cohena, Brassensa, a także twórców rodzimych: Kelusa, Bellona, Kleyffa, Kaczmarskiego czy Gintrowskiego.

Oczywiście gitara pojawiała się w muzyce polskiej często i gęsto, początkowo jednak brzmiąc lekko łzawym i jazzawym tonem, który stopniowo przekształcał się w big-bitowe kopnięcie. Niemniej na pełną rewelację czekaliśmy do lat 80., kiedy rock wybuchł z każdego głośnika, ponoć w celu odwrócenia uwagi.

Sakralizacja

Rockowy boom gitarowy zwielokrotnił i uświęcił zjawisko – pojawili się gitarowi bogowie, herosi i święci, biorący swe początki od Roberta Johnsona, który dla bluesa podpisał ponoć cyrograf z diabłem. Nieprzypadkowe jest tu użycie aż tak wysokiego tonu – dla fanów rocka, bluesa, metalu gitara stała się nośnikiem *sacrum*, a ludzi obdarzonych talentem traktowano, jakby mieli gorącą linię z niebiosami.

Sakralny, duchowy, etniczny jazgot gitar i łomot bębnów był jak plemienne wycie, jak podróż do źródeł czasu, a zmysłowy wymiar koncertów sprawiał, że gitara stawała się kluczem do wrót ostateczności. Świat ów, jak każdy świat poddany sakralizacji, miał swe złote opowieści i legendy. B.B. King, jeden z ojców gitary bluesowej, wspominał, że swoją gitarę, nazwaną imieniem Lucille, wyniósł był z płonącego klubu. Inny „bóg rocka", Stevie Ray Vaughan, mówił otwarcie: „To stratocaster rocznik '59. Nazywam ją swoją pierwszą żoną. Nie przygaduje mi, tylko mówi do mnie. Nie krzyczy na mnie, a dla mnie".

Gitarze poświęcano osobne dzieła, z których bodaj najbardziej znanym jest „While My Guitar Gently Weeps", autorstwa George'a Harrisona, będąca piosenką tyleż o samym instrumencie, co o mentalnym wyzwoleniu, które przynosi. Podobnie wygląda sprawa w „2112" zespołu Rush, nagranej w 1977 r., gdzie w przyszłym świecie, pozbawionym muzyki, gitara staje się symbolem odrodzenia i buntu przeciwko opresyjnemu rządowi. Za sakralnym traktowaniem gitary szedł hermetyczny język liturgii: sakralizacji uległy dyskusje o przystawkach, pickguardach, kostkach, lakierach, strunach flatwound i roundwound, kapodastrach – cała ta ezoteryczna gnoza oddzielająca wtajemniczonych od profanów.

Każdy band miał swojego proroka, który, niczym uczeń Hogwarthu, dzierżył obstalowaną dla siebie różdżkę. Wiadomo, że na les paulu grał Jimmy Page, lider Led Zeppelin, telecasterem władał Jeff Beck, na stratocasterach grali Ritchie Blackmore (Deep Purple), David Gilmour (Pink Floyd) czy bodaj największy z nich – Jimi Hendrix. Do wizerunków rockowych świętych, zresztą nie tylko rockowych, przypisane były konkretne *logoi* – na gitarach martin grali chociażby James Taylor, Paul Simon, Joni Mitchell i Neil Young. A ikona country – Willie Nelson – dosiadał swojego triggera, przerobionego zresztą na akustyka z gitary klasycznej.

Znamienny był także sam stosunek do gitar – oscylujący między szkołą *à la* Jimmy Page, w której instrument wywyższany był na symbol falliczno-masturbacyjny, a szkołą *à la* The Who, gdzie Pete Townshend demolował instrumenty, jakby zacierając ślady po tym, co stało się na scenie, aktem destrukcji nadając koncertowi dodatkowe sensy. Jej bodaj ostatnim wierzgnięciem była Nirvana.

Rzec można również, iż popularność gitary następowała falami – po gitarzystach wielkiej Czwórki (The Beatles, The Rolling Stones, The Who i The Animals) ruszyły kolejne – m.in. Nowa Fala Brytyjskiego Heavy Metalu czy słynna thrashmetalowa Czwórka: (Metallica, Megadeth, Slayer i Anthrax). Zaskakująco popularna była też fala koncertów unplugged z lat 90., która przyniosła interesujące odświeżenie brzmienia grunge'u. ↦

Ritchie Blackmore z zespołu Deep Purple podczas finału festiwalu California Jam rozbija swojego fendera stratocastera o wzmacniacze. Stany Zjednoczone, 6 kwietnia 1974 r.

FIN COSTELLO / GETTY IMAGES

Życie jest gdzie indziej

Pod koniec lat 80. pojawiły się pierwsze harpie przemian – zwiastuny rapu i hip-hopu. Jeszcze przez chwileczkę próbowali sobie z nim, dosłownie, pogrywać panowie z Aerosmith, dokonując w „Walk This Way" udanej fuzji obu gatunków, ale było już za późno. Rap odebrał muzyce gitarowej to, co, jak się wydawało, będzie przy niej wiecznie – prawdę, dostępność i demokratyzm. Przez chwileczkę popularny był miks rapu i metalu, widoczny w twórczości Limp Bizkit, jednak, co by nie mówić, mimo chwilowej popularności grunge'u, gitara już nigdy nie odzyskała pola walki.

Właściwie z polskiej perspektywy trudno jednoznacznie rzec, czym stawała się gitara w kolejnych latach. Gitarowe życie dzieje się przecież gdzie indziej. Mało u nas znany gatunek zwany country ma w Stanach masę odcieni, odzwierciedlanych chociażby w nagrodach Grammy. Artyści megapopularni w Stanach, choćby Dave Matthews czy John Mayer, w Europie traktowani są, przy zachowaniu wszelkich proporcji, trochę jak Bruce Springsteen, czyli z morderczą rezerwą.

Multiplatyną okrywają się artyści tacy jak Taylor Swift czy Ed Sheeran, który śmiało może służyć jako antyteza tezy głoszącej śmierć gitary. Jego koncert na festiwalu w Glastonbury, zagrany dla 150 tysięcy ludzi, oparty był na formule człowieka z gitarą – Sheeran posiłkował się co prawda looperem, pozwalającym na zdublowanie i zapisywanie gotowych partii instrumentalnych, niemniej wizerunek gwiazdy o takim zasięgu z wiosłem w dłoni pokazuje milionom jemu podobnych, że można pisać piosenki, zaczynając i kończąc na gitarze. I wciąż zarabiać na nich grube, grube, grube miliony

Co jeszcze opóźnia jej odwrót? Kilka zjawisk. Rosnący dostęp do relatywnie tanich instrumentów: na miejsce kilku firm, powiedzmy na literkę „G", „F" bądź „I", pojawiają się tańsze, a wystarczające do robienia hałasu instrumenty firmy z literką „B", gdyż niczym u Wyspiańskiego „Chińcyki trzymają się mocno", wprowadzając na rynek gitarowy setki tysięcy relatywnie tanich, a nieprzeszacowanych cenowo instrumentów.

Dodać warto, że rynek gitarowy – pierwotny i wtórny – to nadal ogromny pakiet związany nie tylko z samymi gitarami, ale także z urządzeniami zewnętrznymi: wzmacniaczami, efektami, symulatorami brzmień, że pominiemy parafernalia w rodzaju strun czy kostek do gitary. Pandemia sprawiła, że wiele liczących się sklepów przeszło w tryb online, jednak w przypadku gitar sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. Być może zakup „klocków" elektronicznych – keyboardu, preampów, efektów gitarowych może mieć wtedy pewien sens, jednak w przypadku gitar, będących zakupem wysoce „naskórkowym" i organoleptycznym, może sprawiać pewien problem. Zdaje się, że jak zawsze dobrze trzyma się klasa instrumentów butikowych, sprowadzanych specjalnie dla klientów bardziej majętnych, dla których gitara jest spełnieniem młodzieńczych snów o byciu gwiazdą rocka, a kolekcja kilkunastu topowych modeli nierzadko bywa również inwestycją. No, ale nie o nich tu mowa.

Paradoks

Cóż jeszcze? Jak rzekłby klasyk: „Edukacja, głupcze!" – mamy zatem w sieci nauczycieli, rozgryzających problemy techniczne, zgłębiających tajniki harmonii, będących przy okazji wyśmienitymi muzykami. Możemy zatem znaleźć (w wersji darmowej i płatnej) rzetelne szkoły Brandona Ackera (gitara klasyczna, lutnia), Bena Ellera (rock i metal) czy Paula Davidsa (szeroko i głęboko), oscylujące między merytoryką i żartem filmiki Lucasa Brara czy gitarowych komików w rodzaju Monty Pythonowskiego Bradleya Halla albo szalonego Steve'a Terreberry'ego, bawiących się konwencjami i cytatami, rozgryzających style i banały zawarte w muzyce gwiazd – że wymienię tylko garstkę. Sprawiają oni, że nigdy nauka nie była tak łatwa i przyjemna. W wersji polskiej dzielnie im sekunduje chociażby Bartosz „Bazok" Zelek.

Nie bez znaczenia jest także świat *talent shows*, YouTube i virale – pojawiające się na YouTubie czy TikToku filmiki z eksplozjami talentu (*vide casus* naszego Marcina Patrzałka, który w bardzo młodym wieku pojawił się jako rewelator gitary w jej wirtuozerskim wymiarze). Warto też obejrzeć, co robi z gitarą Luca Stricagnoli – to już nie tyle gra na gitarze, co miks fingerstyle i technologii kosmicznych.

W świecie gitary elektrycznej takim przybyszem z Proxima Centauri jawi się chociażby Guthrie Govan – którego trzeba posłuchać, bo literki nie oddają poziomu jego stratosferyczności. I to wszystko w każdej ilości, od razu pod ręką, z dostępem do nut i tabulatur.

Paradoks polega zatem na tym, że choć nigdy tak wielu nie grało tak dobrze na tylu gitarach, sama gitara utraciła rząd dusz grajków podwórkowych, ulicznych, górskich i akademikowych, i mało pozostało z czasów, kiedy na każdym piętrze domu studenckiego był przynajmniej jeden znośny gitarero, i – dodajmy – trzydziestu nieznośnych. Dziś ręcznie pisany śpiewnik zmienił się w internetowy portal z tekstami, do którego dostęp trwa sekundę, ba, obok tekstu coraz częściej znaleźć można jeśli nie tabulaturę (czyli dokładny opis tego, gdzie i co nacisnąć i jak szarpnąć), to przynajmniej akordy.

Dawne czasy nie wrócą – to jasne – inna jest funkcja gitary, przestała być instrumentem kreującym wspólnotę, w każdym razie w tak totalny sposób, jak w latach 60. i 70., kiedy była podstawą nie tylko brzmienia muzyki popowej, ale i brzmienia podwórek. Źródłem ognia.

Brat nam gra

Jak to ujął Tom Morello, gitarzysta Rage Against The Machine, dziś już żadna firma płytowa nie wyda ogromnych budżetów na promocje konkretnej kapeli, siłą rzeczy obrót płytowy, cały biznes opierający się na nośnikach staje się mało opłacalny, stanowi rodzaj darmowej reklamy, wszystko płynie wartkim rynsztokiem streamingu, bo jeśli nie jesteś megagwiazdą, nigdy nie przeskoczysz pewnego progu. Spotify to w pewnym sensie z punktu widzenia artystów Napster-bis, który za równowartość połowy płyty zdejmuje z ciebie poczucie winy – oto masz wreszcie dostęp do płytowych nowości, za darmo, zawsze, pod każdą szerokością geograficzną, byle był dostęp do internetu.

Muzyka wraca więc do swych korzeni, całość ogniskuje się wokół występów koncertowych, gdzie na żywo można przekonać się o wartości zespołu. O ile oczywiście nie wykorzystuje on gotowych podkładów czy pełnego playbacku.

Od rocka odeszły mainstreamowe rozgłośnie radiowe, wstyd już nawet mówić o MTV, która przecież swego czasu odrodziła modę na gitarę – godzinami pokazując gibsona dzierżonego przez Marka Knopflera. Przypomnijmy, że frontalny atak

Chuck Berry ze swoim gibsonem upowszechnił tzw. „kaczy chód", naśladowany później przez wielu gitarzystów. Na zdjęciu koncert w Madison Square Garden. Nowy Jork, 15 października 1971 r.

MICHAEL OCHS ARCHIVES / GETTY IMAGES

na nasze zmysły zaczął się przecież od klasycznego teledysku do „Money for Nothing". Wszystko schowało się w sieci – oferując nam wybór nie do przejedzenia.

Być może warto zatem zadać pytanie, po co nam w ogóle muzyka tworzona przez żywych ludzi, skoro krótsza czy dłuższa sekwencja piosenkopodobna, generowana przez nakarmione danymi programy, będzie tańsza, łatwiej dostępna, w pełni dostosowana do oczekiwań słuchacza. Programy selekcjonujące piosenki umieszczone na serwerach rozgłośni radiowych od dawna kreują kształt masowych gustów muzycznych.

Pytanie o przyszłość gitary jest zatem w pewnym sensie pytaniem o przyszłość każdej muzyki, granej bez udziału chatbotów, sztucznej inteligencji – muzyka komponowana na gitarze ma przecież swego kompozytora, kogoś, kto fizycznie musi wykonać pewną pracę, docisnąć struny, szarpnąć je, a przedtem opanować wbrew pozorom dość skomplikowaną sekwencję mózgową obejmującą zharmonizowanie i zrytmizowanie wypowiedzi.

To jasne, jest możliwa opcja zerowa, dosłownie niwelująca wszystko zerami i jedynkami – sztuczna inteligencja pochłonie nas wszystkich. Relatywnie tania, potrafiąca komponować z zadanymi parametrami rytmicznymi, harmonicznymi, stylistycznymi będzie potrafiła dodać tekst, a opierając się na miliardach wpisanych wcześniej sekwencji melodyczno-słownych, będzie potrafiła wykreować dowolną melodię. Doskonałe syntezatory mowy przeskoczą żywych muzyków, miksując ulubione barwy głosów, ich cechy charakterystyczne: zaśpiewy, frazę, melizmaty i kadencje. Doskonałe algorytmy słowne dopiszą słowa. Pokochamy Starszego Brata.

Nowy początek

W pamiętnym szkicu Bronisława Maja, opublikowanym niegdyś w „NaGłosie", a opiewającym koncert The Animals, autor wspominał siłę zawartą w prostocie gitarowej sekwencji akordów aCDFaCE – tworzących „House of The Rising Sun". Stary folkowy song, spopularyzowany przez Boba Dylana, stał się symbolem wolności, wyzwolenia, goryczy, sprawiał, że gitara stała się nośnikiem nie konfekcyjnych, ułagodzonych bredni, lecz wyrazem buntu, protestu i furii. Niedziwne wszak, że wszystkie protest songi epoki to rzeczy pisane na gitarze, na gitarę, śpiewane przy gitarze – od Guthriego, Seegera, Dylana, Llacha, Kaczmarskiego po Rage Against The Machine, w których gitara staje się prawdziwym wehikułem czasu, przenoszącym nas do przeszłości, gdzie krzyk był krzykiem, gniew gniewem, a bunt – buntem.

Może zatem taki będzie nowy początek? Zacznie się od struny, od targnięcia wiatru, od jednej linijki? Może więc zamiast załamywać ręce i biadolić na stagnację, inflację i dystopię, lepiej kupić dziecku gitarę. I piec? © ROBERT KASPRZYCKI

REKLAMA

słowo/obraz terytoria
www.terytoria.com.pl

Maurizio Ferraris
Manifest Nowego Realizmu

Roberto Calasso
Kręte ścieżki

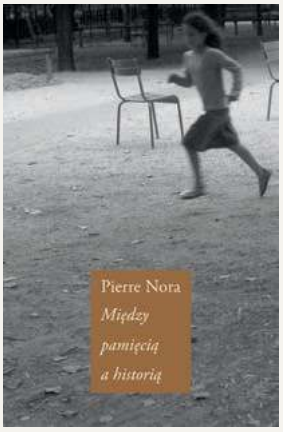

Pierre Nora
Między pamięcią a historią

OLGA

Drenda:
Rzucili suszarki

Z kategorii „wspomnienia multimedialne" szczególnie zapadły mi w pamięć wyprawy z moją babcią do takich jednostek administracyjnych jak Ruda Śląska-Wirek, Katowice-Kostuchna czy rolnicza dzielnica Katowic, Podlesie Śląskie. Celem podróży fiatem 125p były tamtejsze placówki uspołecznionego handlu detalicznego z asortymentem przemysłowym, ogrodniczo-gospodarskim oraz odzieżowo-obuwniczym – obowiązuje nas chwilowo takie nazewnictwo, albowiem właśnie kończyła się epoka PRL. Są to wspomnienia multimedialne, ponieważ zapamiętałam stamtąd, poza żartami babci, przebiegiem trasy i portretem Jima Morrisona na tablicy przy wjeździe do Podlesia, intensywne zapachy tworzyw sztucznych, chemikaliów, etyliny i nieodłączny ból głowy po tym koktajlu. Nie rozumiałam, dlaczego zamiast takich atrakcyjnych i światowych miejsc jak domy handlowe w centrum Katowic odwiedzałyśmy zakątki dla kilkulatki równie pasjonujące co „Koncert Życzeń". Później dowiedziałam się, że babcia praktykowała coś, co dzisiaj nazwano by „smart shoppingiem", ponieważ domy handlowe Społem i GS w tych mało dynamicznych dzielnicach miast oferowały wyroby dobre jak z Peweksu, tylko rzucano ich tam więcej, niż wymagał tego miejscowy popyt. Babcia miała najwidoczniej swoją mapę takich miejsc, w których można było uniknąć kolejek, przepychanek czy różnych czynności o charakterze półmagicznym (zamawiania, zaklinania, układania się z kimś, zaklepywania towaru), charakterystycznych dla czasów niedoboru. Trzeba było jedynie znać zakamarki i wiedzieć, gdzie po sandały, gdzie po jajcarnię, a gdzie po meble gięte.

OLGA DRENDA

Tu przynajmniej znalazłabym moją suszarkę.

Te przygody przypomniały mi się ostatnio, gdy okazało się, że potrzebuję małego AGD. Suszarka do włosów dokonała samozapłonu podczas użytkowania i chciałam kupić nową. W swojej naiwności postąpiłam pewnie tak samo, jak zrobiłabym 5 czy 10 lat temu, i wybrałam się do supermarketu, w końcu tam chodzi się po „wszystko". Wkrótce przekonałam się, że jest to wiedza nieaktualna. Nawet w dużych sklepach okrojono mocno działy przemysłowe i np. w tym tygodniu nie ma suszarek, ale mogę za to kupić w okazyjnej cenie hantle, grabie i kryminały skandynawskie. Supermarket przez długie lata obiecywał, że zmieści mniej więcej wszystko pod jednym dachem. To pozwalało odpocząć od zbieracko-łowieckiego modelu wyprawy po dobra, a wielu Polakom zapewniło nowy typ relaksu: przebieranie, oglądanie, chodzenie po alejkach. Nie trzeba było już zastanawiać się i kombinować. Obecnie, jak się przekonałam, znów trzeba.

Dzisiejszy globalny system zaopatrzenia i dystrybucji oparty na krótkich dostawach, szybkiej wymianie towarów i outletach zaczął nieco przypominać świat zakupowych wypraw mojej babci: chcąc kupić np. suszarkę, musimy wiedzieć, gdzie akurat ją rzucili. To paradoks, bo w czasach obfitości towarów, a nawet ich marnowania, jedynie pozornie możemy kupić sobie wszystko; bardzo często dostępne jest wszystko, oprócz tego, czego potrzebujemy. Mamy mnóstwo sklepów wielobranżowych, w których nieustannie trwają jakieś promocje, ale nie ma stałości. Nie trzeba już polegać na poczcie pantoflowej, jak w czasach analogowych, bo w poszukiwaniach pomagają aplikacje, ale bywa, że koniec końców i tak czeka nas wyprawa do najbardziej zapomnianej dzielnicy.

Istnieje też nadal szeptany obieg informacji co do tego, który sklep jednej i tej samej sieci dyskontowej ma lepsze dostawy, a do którego nie warto, albo gdzie i kiedy można kupić takie delikatesy jak np. ręcznik. Popularne sieci handlowe wypuszczają też krótkie serie produktów, o które trwają wyścigi niczym kiedyś o bluzy Barbary Hoff. Oczywiście, wszystko jest, ale w internecie, bo do takich zakupów przyzwyczajają się klienci i zachęcają ich biznesy; to jednak oznacza czekanie (zupełnie jak kiedyś w kolejce), a nawet równie PRL-owskie w duchu zapisy.

Te porównania snuję tu naturalnie na wyrost, bo w przeciwieństwie do lat 80. suszarka, ręcznik czy worek do odkurzacza w końcu zostaną kupione, po prostu odrobinę większym wysiłkiem. Czasy nadal mamy luksusowe i narzekania zawsze nieco pobrzmiewają księżniczką na ziarnku grochu. Zastanawia mnie jedynie, jak niepostrzeżenie dokonał się ten zwrot – od wygody kupowania wszystkiego od ręki przeszliśmy na powrót do modelu, w którym nie wszystko i nie zawsze jest dostępne, trzeba polegać na instynkcie tropiciela i liczyć na łut szczęścia. Może to są nasze ustawienia fabryczne? ©

ATLAS / ADOBE STOCK

PAWEŁ

Bravo:
Na pohybel żabojadom

Siedem ton żabich udek pożarto w zeszły weekend w Vittel. To wychuchane uzdrowisko w Lotaryngii, dobrze wam znane z nalepek na butelkach mineralnej w eleganckich lokalach, liczy na co dzień ledwie parę tysięcy dusz, które bez pomocy z zewnątrz nie dałyby rady przerobić tak kolosalnej ilości płaziny. Nie były jednak same. Niektórzy moi bliscy świętowali w niedzielę dzień książki, naoglądałem się, jak internet długi i szeroki, zdjęcia Marilyn Monroe w ślicznym kostiumie kąpielowym i z egzemplarzem „Ulissesa" w dłoni. Cóż, podzielam to, co powiedziała przy okazji fotografce: że uwielbia brzmienie słów Joyce'a i czyta je sobie na głos, by jakoś się w nich połapać, ale to trudna rzecz i nie może czytać za dużo na raz. W moim kalendarzu pasibrzucha wypadał natomiast wielki festyn żabojada w Vittel właśnie, jedna z najważniejszych cyklicznych dat w kalendarzu francuskiej gastronomii.

Powstaje pytanie: w jakim stopniu francuskiej? Naukowcy od dawna ostrzegają, że jesteśmy na dobrej drodze, by spowodować całkowite wyginięcie wielu gatunków żab na planecie: nie dość, że płazy w ogóle są szczególnie wrażliwe na zmiany w otoczeniu i degradację swoich siedlisk, to jeszcze ludzkość wyjada kurczącą się ich populację poza wszelką praktycznie kontrolą. Bo żab właściwie nie da się hodować na dużą skalę i trafiają na rynek głównie drogą masowego, ale robionego chałupniczo odłowu z dzikich siedlisk – szczególnie w Indonezji, będącej niekwestionowanym liderem światowego handlu żabim mięsem. Te siedem ton z wielkiego, ach, jakże tradycyjnego i wielbiącego lokalność festynu w Lotaryngii przyjechało mrożone z Azji. Chyba że ktoś kłusował w okolicznych stawach i strumieniach – obecność dogodnych akwenów w okolicy sprawiła niegdyś, że uzdrowisko w Wogezach słynęło z połowu żab, ale Paryż już w latach 80. wziął sobie do serca alarmy naukowców i prawie całkowicie zakazał procederu.

Jako że jedzenie żab jest dość rozpowszechnione w plebejskich kuchniach wielu rejonów Azji (a także w niektórych stanach południa USA), uspokoiwszy swoje zielone sumienie, Francja mogła spokojnie „outsource'ować" na indonezyjską wieś niewdzięczną pracę urywania żabom nóg żywcem. Co może skłonić do paru złośliwych pytań, jakie makaroniarz może zadać żabojadom w imieniu zagrożonych ekosystemów oraz zdrowego rozsądku. Zwłaszcza że nie rozprawiamy tu o szczególnie hedonistycznych wyżynach, żabie mięso smakuje samo w sobie jak bezpłciowy nugget z kurzej piersi, wszystko zależy od jakości panierki i sosu. Dzieci, owszem, lubią nuggetsy za to, że zapewniają ich nieufnym podniebieniom smakowe zero absolutne, ale rzekomo dorosły naród mógłby sobie darować celebrowanie tożsamości na mrożonej podpórce i pozostać przy rzeczywiście miejscowych zwierzętach, trochę ich tam jeszcze po zagrodach i lasach biega.

A jeśli już mamy spalać tony ropy na transport z Azji, to da się ściągać o wiele smaczniejsze składniki, np. tymi samymi statkami, którymi do Japonii płynie dwadzieścia parę tysięcy ton norweskiego łososia. Oprócz tartinek siejących postrach na każdym firmowym bankiecie, ryba ta kojarzy nam się przede wszystkim z sushi, zwłaszcza jego tańszymi wersjami, na równi z tuńczykiem i makrelą (też zresztą w większości z Norwegii). Sęk w tym, że aż do końca lat 80. Japończycy w ogóle jej nie używali na większą skalę, traktowali wręcz podejrzliwie, nie lubili jej barwy. Zmiana zaszła szybko, jak na normalne tempo ewolucji gustów, za sprawą kampanii marketingowej sowicie sfinansowanej przez norweskie państwo, które chciało wesprzeć najważniejszy sektor hodowlany mający problem z nadprodukcją.

Ale i żywot makaroniarza-gastropatrioty nie jest lekki: większość pszenicy na kluski Włosi ściągają z Kanady. Tymczasem w rzymskim parlamencie posłowie rządzącej partii złożyli projekt ustawy czyszczącej mowę z „obcych naleciałości". Wszystko ma być teraz pisane po włosku, a specjalna komisja zadba o promocję właściwej wymowy słowa „bruschetta" (wbrew bzdurom z naszej prasy nie będzie jednak grzywien za mówienie „bruszetta"). Wszystko pięknie, tylko ten właśnie narodowo wzmożony rząd powołał sobie resort promocji włoskości, którego nazwa, nie żartuję, brzmi „Ministerstwo ds. Made in Italy".

Na tym tle Polska, choć chłepcze niewątpliwie własny żurek z kiełbaską z arcytutejszej świnki, zachowuje jednak trzeźwy dystans do swojskości. Na murze kościoła Bożego Ciała w Krakowie, który jest niebanalnym zwierciadłem duszy tego miasta, czytam co dzień po drodze do pracy napis: „Skąd masz swoje zdanie?". ©℗

Co zrobić, kiedy kupiliśmy filet z kurczaka, a dzieci zażądały pizzy i musimy to mdłe mięso zjeść sami? Można podkręcić go na kwaśno, cytryną. Kroimy mięso na kawałki ok. 3 cm, obtaczamy w mące. Smażymy na cienkiej warstwie oliwy, obracając, przez 3-4 minuty, odkładamy na bok. W miseczce mieszamy 200 ml wody i 100 ml soku z cytryny, łyżkę cukru i łyżkę skrobi kukurydzianej, wlewamy na patelnię z oliwą po kurczaku, podgrzewamy powoli na nowo, ciągle mieszając, kiedy zacznie gęstnieć, wkładamy z powrotem kurczaka i jeszcze dusimy go ze dwie minuty. Na wydaniu posypujemy skórką z cytryny, pieprzem i oregano.

KWITNIE ŻYCIE

W Warszawie ich powierzchnia przewyższa areał miejskich parków. W całej Polsce uprawiają je cztery miliony ludzi. Ogródki działkowe wcale nie odchodzą w przeszłość – można wręcz odczytać z nich przyszłość.

MAREK RABIJ

Pierwszy kopczyk wyrósł przy ścieżce, dokładnie w połowie drogi od furtki do altanki. Jakby sprawcy zależało, by gospodarz nie przegapił tej prowokacji! W kolejnych dniach na trawniku pojawiły się następne kretowiska, niczym strzałka kompasu wycelowana w rozkwitające właśnie piwonie. Los kwietnika, który teściowa Lecha Sawczuka urządziła na wąskim pasie gruntu między domkiem a ogrodzeniem, wydawał się przesądzony.

– W panikę wpadłem – opowiada Lech. – Teść był ninją ogrodnictwa. Dobierając odpowiednie rośliny, umiał nawet pozbyć się komarów, więc żaden kret nie śmiał mu się zapuścić na działkę. Ale umarł, a mnie zajrzała w oczy kompromitacja. Co ja wiem o kretach? Tyle, ile zapamiętam z czeskiej kreskówki.

Ogródek był oczkiem w głowie rodziców żony Sawczuka. Teść dostał go w przydziale z kopalni jeszcze w latach 80. i od tamtej pory spędzał tu każdą wolną chwilę. Tutaj przyszła żona zabrała też Lecha na pierwszą poważną randkę – i również tu, w alejkach pomiędzy działkami, ich najstarsza córka pod okiem dziadka ćwiczyła kilka lat później jazdę na dwukołowym rowerku. Pojedynek z intruzem w tym rodzinnym mateczniku szybko stał się dla Sawczuka sprawą honoru.

– Teściu nawoził działkę jedynie naturalnie, dlatego wykluczyłem chemię i elektroniczne gadżety. W internecie znalazłem podpowiedź, że krety nie znoszą zapachu czosnku i bazylii, więc przez tydzień po pracy gnałem na działkę ze świeżo ukręconym pesto – śmieje się Lech. – Na szkodniku oczywiście nie robiło to wrażenia. Uratowała nas dopiero sąsiadka z działki. W foliowej reklamówce przyniosła sierść swojego psa i kazała zakopać po garstce w każdym kretowisku.

Ogródek Sawczuków faktycznie przestały szpecić kolejne kopczyki. Lech do dzisiaj nie ma pewności, czy pomogło doświadczenie sąsiadki, czy raczej kret znudził się okolicą albo zdechł.

– Zrozumiałem za to, co przez prawie czterdzieści lat, bez względu na pogodę, gnało tutaj teścia – mówi. – To było jego miejsce. Skrawek świata, który urządzał na swoich warunkach i za który czuł się odpowiedzialny. Bo wszystko, co tu robił, robił zawsze z myślą o najbliższych.

ROD zamiast Rodos

Nieważne, czy na bramie widnieje pełna nazwa, czy tylko jej akronim ROD. Polska Rzeczpospolita Działkowa ma się świetnie, a składa się na nią obecnie 4,5 tys. Rodzinnych Ogródków Działkowych, podzielonych na 966 tys. działek. Biorąc pod uwagę podkreślony w nazwie, familijny charakter tej formy spędzania czasu, można założyć, że za działkowiczów uważa się obecnie co najmniej cztery miliony Polaków. Dla porównania, składki w Polskim Związku Wędkarskim co roku opłaca około 620-630 tys. osób. Koła myśliwskie zrzeszają tylko 130 tys. Polaków, a do wszystkich czynnych partii politycznych zapisało się łącznie 239,9 tys. członków (stan na koniec 2020 roku). W kontekście tych liczb autentyczna wydaje się także sympatia, jaką ogródkom Polacy okazują w sondażach opinii. W badaniu CBOS z lata 2012 r. aż 88 proc. Polaków uznało działki za cenny zielony element miasta, który należy zachować za wszelką cenę. Gdyby dziś powtórzyć ankietę, odsetek zwolenników ROD mógłby być jeszcze wyższy. A wszystko za sprawą pandemii.

Dość spojrzeć na ceny odstępnego za ogródek (działkowcy nie są właścicielami gruntu). Jeszcze w 2017 r. w największych polskich miastach można było przejąć w użytkowanie działkę za 20-30 tysięcy zł. Dziś nikogo nie dziwią oferty odstępnego za 50-70 tys., a perełki potrafią osiągać ceny przekraczające i 100 tys. zł. Pandemia wprowadziła na działki wielkomiejski blichtr.

– Kto je uprawia? – powtarza pytanie Magdalena Zych z Muzeum Etnograficznego w Krakowie, współautorka opracowania „Dzieło działka", którym zaowocowały wieloletnie badania środowiska polskich działkowiczów. – Odpowiedź jest zarazem łatwa i trudna. Można ją bowiem sprowadzić do obserwacji, że przeważają osoby, które mają na to czas, ale

ZENON ZYBURTOWICZ / EAST NEWS

W ogródku działkowym. Warszawa, lata 80.

ciekawsze jest uchwycenie zmian w strukturze społecznej tak zdefiniowanej grupy.

W cytowanym wyżej badaniu CBOS wśród działkowców dominowały dwie grupy: emeryci oraz ankietowani w wieku 25-34 lata. W obu przeważały osoby ze średnim wykształceniem, byli lub czynni pracownicy usług, robotnicy niewykwalifikowani, pracujący na własny rachunek. W trakcie lockdownu, który zamknął świat na kłódkę nawet tym, którym do tej pory wszystko zdawało się kwestią ceny, cichy zielony zakątek, do tego blisko domu, stał się jednak nagle dobrem luksusowym. W gronie działkowców zaczęło zaś szybko przybywać przedstawicieli grup społecznych, które do tej pory nad ROD przedkładały Rodos.

– Jesteśmy świadkami czegoś, co można chyba nazwać początkiem gentryfikacji polskich ogródków działkowych – waży słowa Magdalena Zych. – Świat, który był do tej pory społecznie zróżnicowany, ale jednak z wyraźnym przesunięciem w kierunku klas ludowych i robotniczych, w trakcie ↦

↦ pandemii uległ rozszczelnieniu. Trafiło do niego wiele osób o wyższym statusie, a to z kolei każe przypuszczać, że za kilkanaście lat krajobraz działek i ich klimat społeczny ulegną przeobrażeniu. Już dziś widać, że ogródek staje się symbolem statusu jako coś wymagającego dużej ilości czasu wolnego. Posiadanie działki to deklaracja: tak, stać mnie na tryb życia w zgodzie z przyrodą, wolny od pogoni za każdą złotówką.

Antropologia kompostu

Doktor Jan Jalkowski, który w 1897 r. stworzył w Grudziądzu pierwsze ogródki działkowe na ziemiach polskich, mógłby tej metamorfozie gorąco przyklasnąć, choć pewnie byłby nią też przerażony. Jego grudziądzkie „Kąpiele słoneczne" były projektem, w którym powrót do życia w rytm natury odgrywał kluczową rolę, ale zarazem przedsięwzięciem na wskroś egalitarnym.

Park z altankami, który otworzył Jalkowski (dopiero z czasem przerobiony na klasyczne ogródki działkowe), miał służyć wszystkim mieszkańcom miasta, ale zwłaszcza pracownikom tamtejszych fabryk, zamkniętych w ciemnych halach i narażonych na toksyczne wyziewy. Inspirację stanowiła idea francuskich ogrodów pracowniczych z przełomu XVIII i XIX wieku, w których sterani robotnicy, zgodnie z ideami Rousseau, mieli odnajdywać w sobie na powrót „szlachetnego dzikusa". Pomimo tak wątpliwej podbudowy ideologicznej pomysł okazał się trafiony i w drugiej połowie XIX wieku w niemal wszystkich uprzemysłowionych państwach Europy Zachodniej zaczęły się szybko rozwijać ogródki działkowe.

Polska na to samo musiała zaczekać do chwili, kiedy z kraju rolniczego zaczęła się szybko przeobrażać w rolniczo-przemysłowy. Nic też dziwnego, że w powszechnym polskim wyobrażeniu idea ogródków po dziś dzień uchodzi za wytwór ideologii PRL. Komuniści nie mieli oczywiście powodu, by zwalczać działkowców, ale też nie od razu wpadli na pomysł dołożenia drugiej, zielonej nóżki do swoich pięcio- i dziesięciolatek. Największy rozwój ROD nastąpił dopiero w latach 80., kiedy areał działek rozrósł się aż o 14 tys. hektarów w stosunku do lat 70. W 1985 r. zielone tereny ROD zajmowały już ponad 45 tys. hektarów, liczba samych działek zaś dobiła do 965 tys. – i mniej więcej w tej liczebności dotrwały one do dziś.

Kacper Pobłocki, antropolog, autor głośnej monografii „Chamstwo", w której na światło dziennie wydobył zapomniany ludowy aspekt dziejów Polski, właśnie w takiej działce z lat 80. ulokował pierwszą dziecięcą arkadię: – Mój dziadek pracował w biurze w jednym z wielkich zakładów Bydgoszczy. Z dużą rodziną gnieździł się w małym mieszkaniu w bloku, dlatego każdą wolną chwilę spędzał na działce. Mam z tego czasu cudowne wspomnienia: smak słodko-cierpkiego agrestu zrywanego z krzaka, przyjemny zaduch w szklarni na pomidory, radość ze zmęczenia po całym dniu baraszkowania w piachu. Kilka lat temu podczas wakacji temperatury na warszawskiej Pradze sprawiły, że dosłownie nie dało się w domu wytrzymać z gorąca. Wtedy zaczęliśmy myśleć o działce, na którą można uciec z miejskiej wyspy ciepła.

Ogródkowi, który przejęli, najbliżej było do schludnego trawniczka z katalogów z marketów budowlanych, ale to projekt, jak zapewnia Pobłocki, wieloletni. Może nawet wielopokoleniowy: – Co roku z córką robimy powidła, może więc zasadzimy śliwę. Na razie działka to głównie przestrzeń, w której córka może się swobodnie bawić, babrać w piachu i taplać w błocie. Powoli uczymy się ogrodnictwa, zasadziliśmy porzeczki, w tym roku przymierzamy się do założenia małego ogródka z warzywami.

Zaczął od zbudowania kompostownika, bo to, jak mówi, najważniejsze miejsce na działce. Do trawy i liści z działki przez cały rok dorzucał odpadki z domowej kuchni: – Jak dziadek kiedyś, zabierałem na rower kubełek z odpadkami i zawoziłem systematycznie na działkę. Potem na to poszły liście zgrabione jesienią. Przyjeżdżam wczesną wiosną i widzę, że mam czarną ziemię. Aż się wzruszyłem. Niesamowita jest ta przemiana materii – fakt, że coś może powstać z niczego. Praca naukowa i pisanie to procesy rozciągnięte w czasie, w których łatwo zagubić poczucie, że robi się postęp. W ogrodnictwie efekty widać od razu, szybciej odbiera się więc i nagrodę. Po dniu spędzonym na działce mam satysfakcję nie tylko z tego, że się zmęczyłem.

Działka nie dzieli

– Badania, które prowadziliśmy na początku zeszłej dekady, uchwyciły moment, w którym w ogródkach działkowych zaczęli się pojawiać pierwsi przedstawiciele wielkomiejskiej kultury korporacyjnej, zmęczeni życiem między domem a biurem. W ich opowieściach jak refren powracał wątek swoistej lekcji pokory, jaką odebrali zaczynając pracę na działce – wspomina Magdalena Zych z Muzeum Etnograficznego.

– Nowi działkowcy i działkowiczki odkrywali, że nie wszystko jest kwestią precyzyjnego zarządzania czasem, bo nie da się negocjować deadline'u z cyklem wegetacyjnym roślin. Rezultaty pracy też nie są wyłącznie pochodną włożonego wysiłku, bo możesz tygodniami zasuwać przy grządce, którą potem w jeden weekend zjedzą ślimaki. Wszystko to jednak skutkowało, jak podkreślali badani, zmianą ich stosunku do rzeczywistości na mniej nerwowy i roszczeniowy. W bycie działkowcem wpisany jest kompromis – podkreśla badaczka.

Ogródki widziane oczami etnografa to przestrzeń nieustannych negocjacji, gdzie ścierają się ze sobą różne estetyki i aspiracje, pomysły na czas wolny i często dalekie od siebie statusy społeczne czy potrzeby życiowe. Działka może być kwadratem przystrzyżonej krótko murawy z rzędem tuj posadzonych pośpiesznie przy płocie, dla odgrodzenia od sąsiadów – albo ogrodem, w którym ścieżki wiją się pośród kwietników, krzewów, pergol z pnączami i dostojnych drzew, które co roku darzą owocami kolejne pokolenia rodziny. Ogródek może zmienić się w hałaśliwy plac zabaw dzieci skoszarowanych na co dzień w centrum dużego miasta, gdzie rodzice boją się wypuścić je z domu bez kontroli – lub ostoją dla intelektualisty, który w jej zaciszu usiłuje zbierać myśli. Warzywniakiem lub kwiaciarnią. Wreszcie – wyprawą w nieznane albo przeciwnie, powrotem do rodzinnej prahistorii zakorzenionej we wsi. Rezultat bywa jednak zwykle ten sam. Ogród na serio.

– Pytaliśmy, co znaczy dla działkowiczów „ładny ogródek", prosząc o przykłady – wyjaśnia Zych. – Najczęściej wskazywano na działkę „zadbaną", czyli taką, której wygląd oddaje

nakład włożonej weń pracy. Jej przeciwieństwem był chaos zaniedbania, sygnał choroby, braku sił.

Badaczka gwałtownie protestuje jednak, słysząc biblijny cytat o „czynieniu sobie ziemi poddaną". Ogródki działkowe – podkreśla – to nie festiwal antropocenu, lecz jego przeciwieństwo: przestrzeń, na której człowiek prędzej czy później uczy się respektować prawa natury.

Ogródki działkowe to nie festiwal antropocenu, lecz jego przeciwieństwo: przestrzeń, na której człowiek prędzej czy później uczy się respektować prawa natury.

Zielono mi

W tym kontekście nietrudno zrozumieć narodową fascynację ogródkami. Ponad połowa Polaków mieszka w miastach – dla nich działka to dziś jedyne miejsce do odebrania lekcji natury.

Tylko w Warszawie ROD-y zajmują 17 kilometrów kwadratowych, czyli 3 proc. powierzchni stolicy – więcej niż wszystkie miejskie parki. W odróżnieniu od tych ostatnich, działki pustoszeją jednak po zmroku, zmieniając się w ostoję dla tysięcy gatunków miejskich zwierząt. To samo dotyczy roślin. Monokultury miejskich parków i przydomowych ogrodów z trawą strzyżoną na rekruta pod względem bioróżnorodności nie mogą nawet równać się z działkami, które prócz funkcji aprowizacyjnych zapewniają też doznania estetyczne. Na jednym arze przeciętnego miejskiego parku w Polsce występuje dziś średnio 8 gatunków roślin. Na działce jest ich dwa razy więcej. Nic dziwnego, że Andrzej Dąbrowski jeden ze swoich największych hitów zatytułował: „Zielono mi". Niewykluczone, że piosenka bezpośrednio nawiązywała do wrażeń z działki, którą muzyk uprawiał na krakowskich Dębnikach.

Kacper Pobłocki: – Na działce wciąż można odnaleźć elementy codzienności, które pamiętam z wczesnego dzieciństwa w PRL, a które niemal całkowicie wyparowały z wielkomiejskiej codzienności. Konwersacje z osobami przygodnie napotkanymi w pociągu czy w kolejce do sklepu były wtedy na porządku dziennym, a próg wejścia w taką interakcję w zasadzie nie istniał. Podobnie rzecz miała się z niezapowiedzianymi odwiedzinami w domu. Dzisiaj obydwa zachowania są nie do pomyślenia. Na terenie ogródków obcy sobie ludzie wciąż rozmawiają jednak ze sobą jak za PRL, głównie na tematy związane z ogrodnictwem. Czasem mam wrażenie, że unikamy wątków potencjalnie niebezpiecznych, jak polityka, właśnie po to, by móc cieszyć się tą pierwotną swobodą kontaktu, której na co dzień chyba nam brakuje.

Są i ciemne strony. W 2010 r. Najwyższa Izba Kontroli sprawdziła przestrzeganie przepisów i statusów ROD-ów w ośmiu gminach. Okazało się, że w aż sześciu z nich na działkach mieszkało niemal tysiąc osób, z czego 148 było tam zameldowanych na stałe – mimo że w praktyce powinno to być niewykonalne. Wykryto również 402 przypadki naruszenia przepisów, które zakazują stawiania w miejskich ogródkach działkowych altan większych niż 25 metrów kwadratowych. Anachroniczny status prawny działek sprawia, że ich użytkownicy chętnie mylą go z prawem własności – kiedy tylko jest im to na rękę.

W badaniu CBOS aż 87 proc. ankietowanych działkowców wyraziło opinię, że po śmierci użytkownika działki pierwszeństwo do jej przejęcia powinna mieć jego rodzina, a 90 proc. oczekiwało odszkodowania na wypadek likwidacji ogródków. Jednocześnie 58 proc. działkowiczów było zdania, że korzystanie z ogródków nie może podlegać opodatkowaniu. Polski Związek Działkowców, jak na liczbę członków i zwolenników, ma rzeczywiście umiarkowane aspiracje polityczne. W Sejmie świetnie odnalazła się nieformalna partia myśliwych, swoich ludzi mają tam też zapaleni automobiliści. Miłośnicy truskawek z własnej grządki funkcjonują w tym świecie raczej z doskoku.

Cała zieleń w ręce ludu

Ale to nie oznacza, że wkrótce polityka znów nie zainteresuje się nimi. Na początku ubiegłej dekady rząd PO-PSL razem z deweloperami próbował wyrugować ogródki działkowe z polskich miast, tłumacząc to pilnymi potrzebami mieszkaniowymi. Pomysł nie trafił wtedy na podatny społeczny grunt, ale to nie znaczy, że działkowcy już na zawsze mają po swojej stronie sympatię polskiej ulicy. W publicystyce i opracowaniach, zwłaszcza tych spod pióra autorów mających serca wyraźnie po lewej stronie, coraz częściej padają bowiem pytania, czy ogródki działkowe to na pewno najbardziej sprawiedliwy model partycypacji w zieleni miejskiej? Zwłaszcza w obliczu katastrofy klimatycznej, zmieniającej centra miast w wyspy ciepła i nie mniej dotkliwych trendów demograficznych. W Polsce od 1989 r. podwoiła się liczba osób 60 plus, a ich odsetek w społeczeństwie zwiększył się z 12 do aż 20 proc. Działki są tymczasem miejscem ulubionej aktywności fizycznej seniorów. Jak podaje GUS, tylko 19 proc. polskich emerytów uprawia sport, za to aż 58 proc. uprawia ogród lub działkę.

Szanse na zwiększenie powierzchni ogródków są niewielkie. Rozwiązaniem może być więc przemodelowanie funkcjonowania ROD w stronę bliższą ogrodom społecznym, których nie zamyka się na kluczyk (choć przyznać trzeba, że plaga włamań i kradzieży jest dla działkowiczów dotkliwa i dość powszechna). Za taką zmianą w przywoływanym już badaniu CBOS było aż 35 proc. ankietowanych.

Działkowcy czują, co się święci. ROD im. Żwirki i Wigury w Warszawie otworzył się na wszystkich, którzy pragnęliby pospacerować wśród zieleni, urządzono dla nich nawet plac zabaw i siłownię plenerową. W Poznaniu na terenie jednego z ogródków jedną działkę oddano do dyspozycji Stowarzyszeniu Przyjaciół Niewidomych i Słabowidzących, które urządziło na niej ogród sensoryczny.

Trudno nazywać to promowaniem idei ogródków, bo promować jej nie trzeba. Chodzi raczej o to, by nikt nawet w żartach nie nazywał ich Rodzinnymi Ogródkami Działkowymi Otoczonymi Siatką.

©℗ MAREK RABIJ

STANISŁAW

Mancewicz:
O niedoborach

Posłuchaliśmy sobie ostatniej, jak zawsze ciekawej, przedwyborczej prelekcji p. Kaczyńskiego o gospodarce. Są to – jak wszystko, co ów mówi – myśli koloru złotego, skierowane głównie do kibiców, ale też do ludzi takich jak my, bardzo ciekawych tej złożonej przecież umysłowości. Co prawda Gospodarz bez ogródek nazwał nas w tej mowie głupkami, ale my akurat nie obrażamy się z byle powodu. Chciałoby się powiedzieć, że kto się przezywa, ten sam się tak nazywa, ale staramy się jednak nie popadać w jakże modny dziś infantylizm.

Oczywiście nie będziemy się dziś szczegółowo zajmować materiałem, z którego myśli prezesa PiS-u są odlane. Żyjemy przecież na tym świecie nie od wczoraj, i wiemy już aż za dobrze, co p. Kaczyński wie. O wszystkim. W tym o medycynie, energetyce, hodowli rogacizny oraz zbóż, transporcie, wychowywaniu dzieci, o psychologii, religii, edukacji, gospodarce, seksie czy o stosunkach międzynarodowych bądź o polityce zagranicznej. Co wie – by wejść na sekundę w detale – na temat inflacji i deflacji, bądź jak brzmią regułki sumujące jego wiedzę o życiu, historii i świecie współczesnym. No więc wszystko, co on wie, bądź czego nie wie, nie ma już od jakiegoś czasu specjalnego znaczenia. I nad tym pochylimy się dziś, wobec długiego weekendu, podczas którego można sobie przemyśleć to i owo bądź pofantazjować na temat bliższej i dalszej przyszłości.

Wiedzenie prezesa PiS-u, czy też niewiedzenie, ale mówienie, sprzęgło się z zasadniczą zmianą, którą niektórzy nazywają największym obserwowanym na żywo regresem intelektualnym w historii ludzkości. Czasy są takie, że naprawdę nie chodzi o to, by jakaś sprawdzalna wiedza była potrzebna do zdobycia nieograniczonej władzy czy objęcia dowolnego stanowiska w państwie. Nie ma znaczenia, czy przywódca kraju mówi do rzeczy, czy od rzeczy. Programy są zbędne, dyplomy są tak naprawdę źle widziane, wykształcenie jest podejrzane, doświadczenie jest podejrzane jeszcze bardziej, bowiem może wynikać z kompromitującej pracy dla komucha. No więc, by zdobyć i utrzymać władzę, wystarczy jedno: wydanie polecenia, by nad miastami i wsiami latał helikopter i zrzucano zeń pieniądze. Do tego trzeba wyraźnie i wystarczająco głośno mówić, że przeciwnicy polityczni helikoptera nigdy nie poślą, że te pieniądze sobie wezmą bądź rozdadzą je osobom nieheteronormatywnym, że Polak będzie jadł na śniadanie larwę, na obiad mola, a na kolację muchy, że będzie pił sok z karaluchów zamiast piwa. Że Europa zakaże mu handlu nieruchomościami i używania aut spalinowych, a polskie kobiety zostaną pohańbione przez ludzi nie stąd. Są pytania? Nie ma.

No więc są to poniekąd uwagi i wieszczby już nam – jak tu ponuro siedzimy – znane, wysłuchane wiele razy, a przez masy nader lubiane i chciwie wchłaniane. Gdyby się tu zatrzymać, tekst ten uderzałby nieświeżością oraz zgranym zestawem grepsów. Można by rzec, że byłby zbędny, co takoż sprawiłoby nam wielką przykrość. Zwłaszcza wobec długiego weekendu.

Plącze się nam jednak po głowie spostrzeżenie dość, wydaje się, świeże. Otóż: powojenna historia Polski to kilka ważnych, rewolucyjnych zrywów, a wszystkie one wzięły się z niedoborów towarowych i słabowania tutejszego pieniądza. Potem, gdy komuch z postkomuchem byli już nie do odróżnienia od solidarucha, zmiany u władzy takoż wynikały z problemów ekonomicznych. Ktoś tu teraz powie, że skąd, że zawsze ważne były kwestie zasadnicze, wyższe, tożsamościowe, religijne i inne z tego gatunku. Trudno się zgodzić z tak ustawionym myśleniem, które nazywamy lekceważąco życzeniowym i łatwym. Upieramy się, choć brzmi to cynicznie, że zawsze szło albo o brak pieniędzy w kieszeni wyborcy, albo o ich nadmiar w kieszeniach ludzi władzy. Czy coś się zmieniło? Regres wszystko zmienił. Dziś, wiele na to wskazuje, wyborca polski nie wie, ile ma pieniędzy i dlaczego, czy inflacja to coś dobrego, czy złego, nie wie, dlaczego ludzie władzy są milionerami, i wierzy w nadlatujący helikopter. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

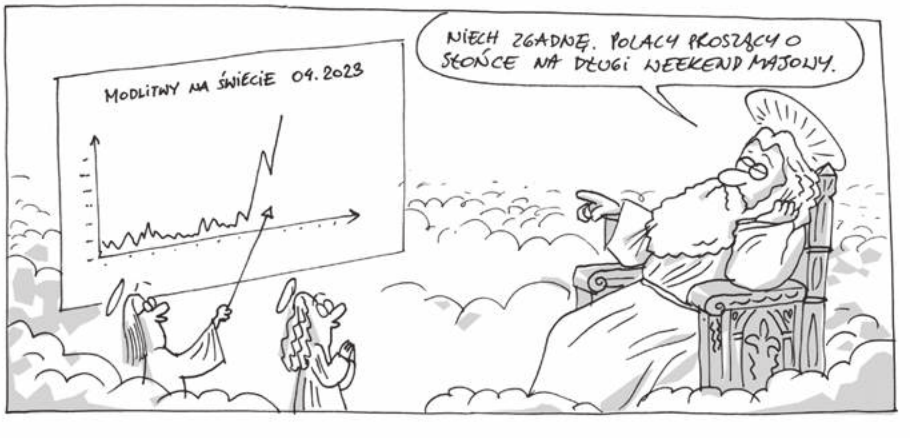

TYGODNIK POWSZECHNY

Zamów dowolną prenumeratę wydania papierowego „TP” – do KAŻDEGO zamówienia torba i książka w PREZENCIE!

Książkę Barbary Sadurskiej „Naturalnie”, wydaną przez Małopolski Instytut Kultury, oraz kolorową torbę „TP” otrzymają wszyscy kupujący – do wyczerpania nakładu kompletów.

PRENUMERATĘ WYDANIA DRUKOWANEGO MOŻNA ZAMÓWIĆ PRZEZ:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11–15 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10–14 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**
Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	CENA Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

małopolski instytut kultury MIK

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

REKLAMA

KATOWICE dla odmiany | KATOWICE MIASTO MUZYKI UNESCO

Marcin Krupa
Prezydent
Miasta Katowice
zaprasza

Festiwal Katowice Kultura Natura

11–21 maja 2023

nospr.org.pl

PEJZAŻ

Organizator

Stowarzyszenie Katowice Kultura Natura

Współorganizatorzy

NOSPR | KATOWICE Miasto Ogrodów

NOSPR współfinansują

MKiDN | POLSKIE RADIO | KATOWICE dla odmiany | KATOWICE MIASTO MUZYKI UNESCO

Patroni Medialni

dwójka POLSKIE RADIO | Polskie Radio Katowice | polmic.pl

Partner Motoryzacyjny

BMW Gazda Group

Partner Główny Festiwalu

PGE Polska Grupa Energetyczna

Partner

TOTALIZATOR SPORTOWY

JSW SA

Partner Główny koncertów abonamentowych NOSPR w sezonie 2022/2023

KUP BILET!